



KREĆTA DROGA

do nieba

BOŻENA GAŁCZYŃSKA-SZUREK

BOŻENA GAŁCZYŃSKA-SZUREK

KRĘTA DROGA
d o n i e b a

SZARA GODZINA

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej książki nie może być reprodukowana w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki i stron tytułowych *Ilona Gostyńska-Rymkiewicz* Redakcja *Justyna Nosal-Bartniczuk* Zdjęcia na okładce © *Porechenskaya/fotolia.pl* Redakcja techniczna, skład, łamanie oraz opracowanie wersji elektronicznej *Grzegorz Bociak* Korekta *Barbara Kaszubowska* Niniejsza powieść to fikcja literacka. Jakiegokolwiek podobieństwo do wydarzeń lub postaci autentycznych jest zupełnie przypadkowe.

Wydanie II zmienione i poprawione, Katowice 2017

Wydanie I ukazało się pt. *Tajemnice greckiej Madonny* Wydawnictwo Szara Godzina s.c.

biuro@szaragodzina.pl www.szaragodzina.pl Dystrybucja wersji drukowanej: DICTUM Sp. z o.o.

ul. Kabaretowa 21, 01-942 Warszawa tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12

dystrybucja@dictum.pl www.dictum.pl © Copyright by Wydawnictwo Szara Godzina, 2017

Αυτό το βιβλίο το αφιερώνω στους φίλους μου,
στην Γιάννα και τον Κώστα Κανελλόπουλο.

Tę książkę dedykuję moim przyjaciołom,
Janie i Kostasowi Kanellopoulosom.

Nie należy sądzić, że diabeł kusi jedynie ludzi genialnych.

Gardzi zapewne głupcami, ale nie lekceważy ich pomocy.

Przeciwnie, pokłada w nich wielkie nadzieje.

Charles Baudelaire

Osoby

Klara – narratorka, hellenistka i policyjny psycholog

Tasos – inspektor Interpolu, młody przystojny Grek wychowany w Londynie, którego problemem jest grecka dusza i anglosaskie przyzwyczajenia

Kostas – komendant miejscowego komisariatu policji; oczywiście, bez komentarza!

posterunkowy Nikos – bardzo sympatyczna postać z tła powieści

Jana i Janis – przyjaciele Klary, para ekscentrycznych i bardzo zamożnych Greków, obiekt nieustających plotek

Anna i Stawros Margaritisowie – właściciele tawerny i rodzice **Lakisa Margaritisa**, od którego wszystko się zaczęło

Dimitris i Eleni Samarasowie – typowe małżeństwo greckich milionerów, których łączy wielki majątek, a dzieli kolosalna różnica wieku

ojciec Teodor – charyzmatyczny i tajemniczy miejscowy pop

Sotiris – właściciel kawiarni i hotelu, troskliwy opiekun swojego dziadka Waggielisa – dość nijaka postać

Andreas Kotopulos – Niemiec greckiego pochodzenia, wybitny historyk sztuki, wybitnie antypatyczny **dziadek Waggielis** – pozornie stary i niedołączny

Tula – gospodyni Klary i przyjaciółka domu, która czasem to wykorzystuje

Ewa i Adam – wyraźnie faworyzowane przez narratorkę rodzeństwo z Polski

Janek i Jurek Kostkowscy – też rodzeństwo i też z Polski

Klaudiusz i Tyberiusz – psy Klary – trochę wredne, ale piękne wielorasowce szczerze znienawidzone przez gangsterów

Od Autorki

Kręta droga do nieba jest książką sensacyjną. Tematykę i osadzenie akcji powieści uwarunkował mój długi pobyt w Grecji. Nadałam jej nieco refleksyjny charakter, bo bez przemyśleń i morałów w kraju Sokratesa nie powstają nawet czytanki w podręcznikach szkolnych dla dzieci. No cóż, można się pokusić o tezę, że żartobliwe powiedzenie „nie filozofuj” ma swoją genezę w tamtych rejonach Europy. W swoim debiucie nie ukrywam fascynacji Helladą. Obrazuję greckie zwyczaje i tradycje, a realistyczne opisy Aten można porównać z planem miasta.

Choć pośród pięknych wysp Dodekanezu nie ma Toros i zdarzenia opisane przeze mnie są fikcją literacką, to pierwowzory postaci istnieją w rzeczywistości. Wielu moich greckich przyjaciół, gdyby potrafiło czytać po polsku, rozpoznałoby siebie na kartach tej powieści. Jana, Dimitris i inne osoby, które posłużyły mi za typy charakterologiczne, naprawdę żyją i mieszkają w Grecji. Odegrali w moim życiu niezwykłą rolę i do dzisiaj zajmują w nim ważne miejsce. W pewnym sensie *Kręta droga do nieba* jest więc pozycją autobiograficzną. Klara i jej postrzeganie rzeczywistości, jakże innej niż Polska, uosabia mnie i moje przemyślenia sprzed wielu lat. Jednak na tym koniec osobistych odniesień. Tak zaczynają się i kończą w mojej twórczości nawiązania do własnego życia. Bohaterka powraca w kolejnych publikacjach, w czasach współczesnych, jako ta sama trzydziestoletnia agentka Interpolu.

Być może docenicie Państwo spowolnione w porównaniu do obecnego tempa życia na Toros, a może przeciwnie – będzie Wam brakować internetu, osobistych komputerów czy komórek. Powieść osadzona w latach osiemdziesiątych XX wieku serwuje

bowiem zarówno sensacyjną akcją, jak i codzienne życie wyspiarzy, a w nim święty, prawie boski spokój. Czas odmierza tu bicie dzwonów, a nie częstotliwość zaglądania na Facebooka. Mam nadzieję, że Czytelnicy polubią specyficzny klimat tej książki.

Rozdział 1

– Chodźże! Chodźże tutaj! – wrzeszczał ktoś chrapliwie za oknem.

Wyrwana ze snu nie od razu uświadomiłam sobie, gdzie jestem. Od wielu lat wiodłam żywot emigrantki na niewielkiej wyspie zagubionej w otchłaniach Morza Egejskiego. Przełamując senność, wyskoczyłam z drewnianego łoża i rozczochrana jak nieboskie stworzenie wyjrzałam na zewnątrz. Przed domem na wykutych w skale stopniach zatrzymał się osioł. Chudy staruszek w dziurawym słomianym kapeluszu usiłował go zmusić do marszu. To jego okrzyki mnie obudziły, ale zwierzak, prawdę mówiąc, też kwiczał jak zarzynany.

Chociaż było jeszcze wcześniej, dawało się odczuć nadchodzący upał. Zapatrzyłam się w morze. Kochałam ten kraj – gorący klimat, szeleszczący język, wybujale temperamenty i ciepłe spojrzenia ludzi. Przyzwyczaiałam się z czasem do dzwoniącej w uszach ciszy i upalnych wieczorów przepełnionych śpiewem cykad. Czy w miejscu, gdzie ten wzniosły, prawie boski spokój zdaje się przeznaczeniem, może się wydarzyć coś nieoczekiwanego? Poprawiłam fryzurę, żeby nie burzyć greckiego przeświadczenia o urodzie moich rodaczek, i znów wyglądnęłam na pokwikującego osła. Zwierzak nie ruszył się z miejsca. Solidnie zapał się kopytami i tępo patrzył przed siebie. Zniechęcony Grek poprawił dziurawy kapelusz, wyciągnął zza pazuchy papierosy i usiadł na kamiennych stopniach.

– No... i dobrze kombinuje. Najważniejsze to zachować spokój. – Z prawdziwą rozkoszą oddawałam się podglądaniu. Ranek przed domem zapowiadał się ciekawie. Przechylona przez parapet zauważyłam w oddali grupę ludzi. Wiatr przywiewał

odgłosy kłótni. A to co? Dziwna pora na zbiegowisko, pomyślałam. Czyżbym się przesłyszała, czy chodzi o kolejny cud w cerkwi?

– Matka Boska! Matka Boska płacze! – Głosy wieśniaków stawały się coraz wyraźniejsze. – A właśnie że tak! Po obrazie spływały łzy! – Kobiety przekrzykiwały się piskliwie. – Cud! Ikona znowu jest mokra! To cud! W dodatku Teodor na własne oczy widział, jak Mateńka zapłakała – zarzekał się ktoś.

Miejscowa monotonia czyniła wyspiarzy łasymi na sensacje. Moja senność zniknęła bez śladu. Trawiona ciekawością byłam skłonna zrezygnować ze śniadania i natychmiast wyruszyć do miasteczka.

Przygotowana do wyjścia wkładałam sandały, gdy do drzwi zaczął się ktoś dobijać.

– No, no, co za dzień – mruknęłam i na progu dosłownie wpadłam w objęcia Jany. Jej piwne oczy były pełne niepokoju, a cała postać wyrażała podekscytowanie i napięcie. Jeśli pojawiła się u mnie o tak wczesnej porze, to musiała mieć ważny powód.

Po chwili siedziałyśmy w moim salonie i sączyłyśmy kawę z małych filiżanek. Jana milczała, obserwując morze przez okno.

– Jest piękna – odezwała się wreszcie. Patrzyła na zatokę i górującą nad nią białą cerkiew ze złotą kopułą.

– No, rzeczywiście – przytaknęłam, zerkając to na nią, to na kościółek. – Świątynia jest piękna, ale przecież nie jej uroda jest powodem twojej wizyty. – Obserwowałam Janę i usiłowałam zrozumieć, co się dzieje.

– Wymarzone miejsce dla naszej Madonny – kontynuowała, popadając w zadumę.

– Więc? – wtrąciłam znudzona przydługim wstępem. – Coś się stało?

– Starzy ludzie ostrzegali przed gniewem Przenajświętszej Paniarki już w kwietniu. – Zignorowała moje pytanie. Jej twarz spochmurniała jeszcze bardziej, a w oczach pojawił się ten sam strach, z którym do mnie przyszła. Domyśliłam się, że mówi o wizerunku Matki Boskiej Płaczącej z Toros. Bezcenny obraz uświetniał templon (Templon (ikonostas) – przegroda, zbiór ikon oddzielający w cerkwi nawę przeznaczoną dla wiernych od prezbiterium z ukrytym przed ich oczyma ołtarzem.) tutejszej cerkwi. Był dumą i obiektem kultu mieszkańców Dodekanezu.

– Nie pamiętasz procesji wielkanocnej, bo wyjechaliście z Jorgosem do Polski – mówiła przejęta. – Zdarzył się wtedy wypadek, o którym ci wspominałam.

– A tak, tak. Coś sobie przypominam – wtrąciłam, żeby zachęcić ją do kontynuowania. Od kilku miesięcy to zdarzenie było głównym tematem na wyspie. Podczas procesji wielkanocnej wiał silny wiatr i była brzydka pochmurna pogoda. Na oczach uczestników ceremonii mnich niosący osobliwy skarb wyspiarzy potknął się i legendarna ikona omal nie runęła w przepaść. Zatrzymała się na stromym zboczu pełnym kolczastych krzewów. Ocalała, ale w tawernach, kawiarniach i restauracjach mieszkańcy Toros z zabobonnym lękiem wciąż komentowali ten wypadek. Przypominali o licznych objawieniach, cudach i znakach przypisywanych wizerunkowi Matki Boskiej Płaczącej. Oczekiwano, że spełni się zła wróżba, która ponoć zawsze towarzyszyła zakłóceniu spokoju Mateńki. Czyżby znowu chodziło o ten przesąd? Uśmiechnęłam się pobłaźliwie do swoich myśli. – Grecy bywają naiwni, ale żeby tak się przejąć zabobonami... – Sondowałam Janę spojrzeniem. Pochyliłam się nad stolikiem, żeby dolać kawy i ukryć ogarniające mnie rozbawienie.

Jakby w odpowiedzi na moje myśli, zachnęła się:

– Za kogo mnie bierzesz? Za histeryczkę? – Zaduma zniknęła bez śladu, a w jej głosie pojawił się gniew. – Dzisiaj nad ranem w cerkwi doszło do tragedii. Na podłodze w zakrystii pop znalazł nieprzytomnego Lakisa Margaritisa. Leżał zakrwawiony kilka metrów od Madonny z Toros. Podobno cudowna ikona roniła łzy. Krążą słuchy, że to była próba zabójstwa – skończyła, unikając mojego spojrzenia.

Poderwałam się z kanapy.

– Jasna cholera! – wyrwało mi się po polsku. – Więc to tak!

Wreszcie skojarzyłam krzyki rozlegające się wcześniej przed moim domem z jej niepokojem. Chociaż Lakis od wielu lat mieszkał w Atenach, a Jana była mężatką, ludzie wciąż o nich plotkowali. Zatargi pomiędzy Janisem – mężem Jany – a jej dawnym narzeczonym były ciągłym tematem plotek na wyspie.

Stałam przed nią z kolejną filiżanką kawy, durną miną i kompletnym zamętem w głowie.

– Przepraszam – wymamrotałam. – Wiadomo, jak do tego doszło?

– Nie. Nikt nic nie wie. – Odruchowo poruszyła głową do góry i w dół, by zaprzeczyć. Dopiero teraz zauważyłam, że jest bardzo blada.

– Jak się o tym dowiedziałaś?

– Moja gospodyni wybrała się rano na przystań po świeże ryby, jak w każdą środę. Przyniosła te sensacje i wciąż lamentuje. Wytrzymać nie można. – Jana wstała i zaczęła nerwowo przemierzać pokój tam i z powrotem. – Dobrze, że chociaż Janis był przez całą noc w domu.

Pokiwałam głową. To zrozumiałe, że w tej sytuacji martwiła się przede wszystkim o niego.

– Nikt nie wie, co tam zaszło. Nie wiadomo, kto to zrobił i o co poszło. – Głos się jej załamał, gdy dodała szeptem: – I czy on jeszcze żyje.

– No pewnie, że żyje! Gdyby było inaczej, już byśmy o tym wiedziały. Wrócisz teraz do siebie, a ja wybiorę się do miasteczka po zakupy. Głowa do góry, spróbuję się czegoś dowiedzieć. – Uśmiechałam się pocieszająco. Z niepokojem obserwowałam jej poszarzałą twarz.

Rozdział 2

Gdy znalazłam się na zalanej słońcem kamiennej drodze, zbliżało się południe – czas sjesty. O tej porze wąskie ulice miasteczka zazwyczaj pustoszały, ale tym razem było inaczej. Przed domami, wystawami sklepów i w kawiarniach gromadzili się ludzie. Na przystani zebrał się taki tłum, że gdyby nie ponura atmosfera spotkania, można by sądzić, że to festyn.

Na co oni czekają? Ledwie zdążyłam pomyśleć, gdy usłyszałam odgłos nadlatującego helikoptera.

– Jest, jest wreszcie! – wykrzykiwał ktoś, choć przecież wszyscy widzieli i słyszeli to samo. W normalnych warunkach lądujący na wyspie śmigłowiec powodował okrzyki radości, żarty i komentarze. Teraz ludzie się rozpierzchli. W ciszy i milczeniu obserwowali, jak służby ratownicze w pośpiechu wnoszą do kabiny nieprzytomnego Lakisa.

– Żyje – powiedziałam z ulgą do stojącego obok mnie sąsiada, miejscowego lekarza.

– Jeszcze żyje – skwitował.

– To znaczy? – Sondowałam jego twarz. Popatrzył na mnie uważnie, jakby odgadując intencję pytania.

– Że różnie może być, ale – zajrzał mi głęboko w oczy – nie powtarzaj tego nikomu.

– Jasne – odparłam.

– Trudno uwierzyć, że ktoś go tak poturbował w cerkwi.

– Ale kto? – zastanawiałam się.

– Dobre pytanie. – Mój rozmówca w odpowiedzi wzruszył ramionami. – Sam się nie przyzna, skoro uciekł z miejsca bójki, a znaleźć winnego nie będzie łatwo. Lakisowi niejeden chciał przyłożyć – rzucił przez ramię, odchodząc.

Ta oszczędna wymiana myśli nie wprawiła mnie w dobry nastrój. Straciłam też ochotę na zakupy i zmieniałam plany. Postanowiłam dowiedzieć się czegoś więcej na miejscu przestępstwa. Szłam przed siebie. Oddalałam się od gwaru ulic, aż znalazłam się na drodze do małego kościółka, pozostawiając przystań i miasteczko daleko w tyle. Wspięłam się dość wysoko, gdy nagle w ciernistych zaroślach coś się poruszyło. Poczułam się nieswojo. „Drugie morderstwo w pobliżu cerkwi Płaczącej Madonny” – oczyma wyobraźni widziałam już nagłówki ateńskich gazet. Nie wpadłam w panikę, ale na wszelki wypadek podniosłam duży sękaty kij. Gdy za moimi plecami coś trzasnęło, błyskawicznie odskoczyłam w bok. Odwróciłam się, zamachnęłam i omal nie rozbiłam głowy Adamowi.

– Dzień dobry, Klaro! Nie chciałem cię przestraszyć – tłumaczył się. – Ewa prosiła, żeby ci dostarczyć prezent od mamy, bo właśnie wczoraj dostaliśmy przesyłkę z Polski. – Uśmiechał się przeprasząco. W ręku trzymał niewielką kolorową paczkę.

– To ja cię przepraszam. Sama nie wiem, co mnie napadło, żeby łapać za kij – spieszyłam się. – To pewnie ta tragedia w cerkwi niezdrowo działa na wyobraźnię.

Przytaknął uprzejmie, ale nie podjął tematu.

– Czy zauważyliście nad ranem coś szczególnego? – nagabywałam go.

– Nie, choć właściwie wszystko, co się tu teraz dzieje, jest szczególne. Biegają, krzyczą, była policja, a nad plażą nawet krążył helikopter. Sama wiesz, jak trudno zrozumieć, co mówią po angielsku, a grecki... – roześmiał się. – Kto ich zrozumie? – Wzruszył ramionami. – Nie znamy żadnych szczegółów, zresztą nikt z nami nie rozmawia – odpowiadał uprzejmie, ale było

widać, że się niecierpliwi. Nawoływany z plaży przez kolegów uśmiechnął się jeszcze raz, podał mi prezent i tyle go widziałam.

Byłam już bardzo blisko celu. Nie wiedziałam, czego mogę oczekiwać po wizycie w cerkwi. Czułam, że powinnam zobaczyć na własne oczy miejsce tragedii. Odwróciłam się i przez chwilę podziwiałam bajeczny widok miasteczka tonącego w promieniach słońca, gdy za moimi plecami znowu coś wyraźnie zaszeleściło. Przeszedł mnie dreszcz. Jeśli ktoś tu jest, to dlaczego się ukrywa? Po co mnie śledzi i jakie ma zamiary?

Przyspieszyłam kroku, żeby jak najprędzej znaleźć się w pobliżu kościółka. Liczyłam na to, że będzie tam ojciec Teodor. Raniąc stopy o ostre kamienie, wbiegłam na niewielki plac przed cerkwią. Serce waliło mi jak oszalałe, tymczasem czekało mnie rozczarowanie. Stałam przed zamkniętymi i opatrzonymi potężną kłódką drzwiami świątyni. Było upiornie cicho.

– Jest tu ktoś?! – krzyknęłam.

W krzakach ponownie coś trzasnęło. Przyłgnęłam plecami do wrót przybytku Pańskiego przygotowana na wszystko, gdy nisko przy ziemi błysnęły dziko czyjeś ślepie. Potem wyłonił się kosmaty łeb, a na koniec z zarośli wyskoczyły moje psy – niesforne przybłędy, które wciąż uciekały z kojca w ogrodzie – Klaudiusz i Tyberiusz. Grecy uważali za bardzo zabawne to, że nadałam im imiona rzymskich władców. *Brawo! Brawo, Poloneza!* Poklepywali mnie po ramieniu.

Oczywiście kochałam swoje zwierzaki, choć rzadko je widywałam. Szanowałam ich dzikość i niezależność. Byłam wolna od ambicji, żeby je oswoić. Tego nauczyłam się na greckiej ziemi opromienionej cały rok słońcem i przepełnionej zapachem kwiatów – szacunku dla wolności, choćby dotyczyła psów. Dlatego wracały do domu, kiedy chciały. Przy próbach tresury zrozumiałam, że nie warto walczyć z ich nawykami.

– Przestraszyłyście mnie! Ożeż, wy kundle zatracone! – jęknęłam. Zaraz potem buszowaliśmy beztrudnie przed cerkwią.

W pierwszej chwili, kiedy coś błysnęło pod moimi nogami, pomyślałam, że to kapsel. Potem przyszło mi do głowy, że powinien być srebrny, a po chwili... że mniejszy. Błyskawicznie uklękłam i spomiędzy kamieni wygrzebałam bransoletę. Chociaż ubrudzona piaskiem wyglądała żałośnie, miała sporą wartość. Ważyłam jej ciężar w rękę i zerknęłam na okoliczne zarośla.

Złota, ciężka i – sądząc po szlifach – niewątpliwie droga, to po pierwsze, oszacowałam znalezisko. Po drugie, jeśli leży jeszcze przed drzwiami cerkwi, to znaczy, że ktoś ją musiał zgubić niedawno.

– A to co?! Co tu się dzieje!?

Na drogę zza moich pleców wypełzł długi cień. Okrzyk przerwał moje rozmyślenia. Z wrażenia upuściłam bransoletę i teraz w popłochu znowu wygrzebywałam ją spod piasku. W końcu poderwałam się z kolan i stanęłam twarzą w twarz z popem.

– Co tu się dzieje? – powtarzał, obserwując ponad moją głowę wyczyny psów. Klaudiusz i Tyberiusz skotłowały się na środku drogi w gigantyczny tuman kurzu.

– Witaj, Teodorze. Panuję nad sytuacją. Zaraz je uspokoję! – złożyłam nierealną obietnicę. Kombinowałam, jak wyjaśnić moją obecność na wzgórzu. Na szczęście pop nie oczekiwał tłumaczeń.

– Nie szkodzi, nic nie szkodzi – zamruczał.

Nie był też ciekaw, dlaczego klęczałam na drodze. Zamaszystym krokiem ruszył w kierunku kościółka. Mocował się z kłódką u drzwi, kiedy zdobyłam się na odwagę, by podejść bliżej, ignorując jego niechętnie spojrzenia.

– Ojczy, co tu się dzisiaj stało? Czy to prawda, że Madonna... – ściszyłam głos, ale nie dokończyłam, bo wrota cerkwi skrzypnęły przeraźliwie i moim oczom ukazało się mroczne wnętrze świątyni. Stojąc na wprost templonu, nie śmiałam zapytać o to, o czym wszyscy od rana mówili.

– A tak. Prawda – wyburczał niechętnie. – Ikona Mateńki Przenajświętszej ronila łzy. – Wyraz powątpiewania rysujący się na mojej twarzy sprowokował go do tego, żeby dodać: – Widziałem to na własne oczy.

Po raz kolejny tego dnia poczułam dreszcz na plecach. W dodatku byłam na miejscu przestępstwa i nie zamierzałam zmarnować takiej okazji.

– Chciałabym z tobą wejść – postawiłam sprawę jasno – bo... – rozpaczliwie szukałam w zakamarkach mózgowicy wiarygodnego kłamstwa – boję się wracać sama.

Pop nie był zachwycony.

– Nie będę ci przeszkadzać. Obejrzę sobie Mateńkę, bo jeszcze nigdy nie widziałam jej z bliska – nalegałam.

Przez jego twarz znowu przemknął cień niechęci, ale po chwili pojawiło się wahanie. Popatrzył na moje poranione nogi obute w sandały, zerknął niespokojnie na okoliczne zarośla, a potem odsunął się i bez entuzjazmu zaprosił mnie do środka.

Wewnątrz cerkwi panował półmrok i przyjemny chłód. Wystrój małej świątyni był nader skromny: kilka starych drewnianych ław i mosiężne świeczniki pełne niedopalonych cienkich świec. Na solei (Soleja – podwyższone miejsce przed ikonostasem, gdzie świeccy przyjmują komunię.) leżał podniszczony dywan, teraz zdeptany i brudny, a obok drzwi prowadzących do prezbiterium stało wysokie pięknie rzeźbione krzesło i puste wiadro z urwanym uchwytem, ubrudzone z boku

odrobiną tynku. Dwa inne, pełne czystej wody, ktoś zostawił w przejściu na samym środku kościółka.

– Co za nieład! Mateńko, co za bałagan – narzekał Teodor głośno.

– Anna, biedaczka, nie zdążyła posprzątać, zanim zdarzyło się to nieszczęście. O Jezu, co ja plotę? – mruczał pod nosem.

Gdy moje oczy przyzwyczyły się do półmroku, który panował w pomieszczeniu, ujrzałam piękny widok. Przegrodę cerkwi zdobiły zabytkowe ikony, a ściany były pokryte mozaikami na złotym tle. Z obrazów spokojnie i obojętnie spoglądały na mnie twarze świętych, a pośród nich ten, którego uwielbiałam za piękno szat i bajeczny wizerunek – Święty Mikołaj w swej purpurowej szacie. Ale to oczywiście nie on, a Matka Boska Płacząca była atrakcją wyspy. Wykorzystałam nieobecność duchownego, który zniknął w zakrystii, i podeszłam do templonu. Zaciekawiona przejechałam dłonią po powierzchni cudownej ikony. Odkoczyłam i zadrżałam, bo farba rzeczywiście była mokra. Wybacz, Mateńko, niewiernemu Tomaszowi, pomyślałam.

Chwilowa pokora ustąpiła ciekawości. Nie zastanawiałam się długo. Podążyłam za Teodorem na zaplecze cerkwi. Dopiero teraz zauważyłam zaschniętą cienką strużkę krwi, która sprzed ikonostasu prowadziła przez prezbiterium z ołtarzem do sporej plamy na podłodze w zakrystii.

Bogaty templon skrywał brzydkie i skąpo urządzone pomieszczenie. Na kamiennej posadzce ktoś kredą wykonał zarys leżącego człowieka. Ten niezdarny rysunek i słodkawy zapach krwi, który unosił się w powietrzu, spowodowały, że zrobiło mi się niedobrze. Pop liczył ustawione pod ścianą złożone świeczniki, a ja, opanowując wstręt, wędrowałam po zakrystii i oglądałam sprzęty. Wiele tego nie było. W kącie obok

sporej szafy stały drewniany stół z bardzo starym zniszczonym blatem i dwa krzesła z wiklinowymi siedziskami. Jedno piękne, rzeźbione, które nie pasowało do reszty wystroju, znalazło się przy ścianie pod oknem. Drugie identyczne zauważyłam wcześniej przed ikonostasem. Pod przeciwległą ścianą ktoś w pośpiechu niedbale porzucił świeczniki i fragmenty dekoracji wykorzystywanych podczas procesji, które teraz przeglądał duchowny. Całości dopełniały brudne szklanki na stole i wepchnięta głęboko pod szafę jeszcze wilgotna ścierka do podłogi.

– Teodor?! Panienko Przenajświętsza! Kto ci tu pozwolił wejść?! – Nasze zgodne bytowanie przerwały okrzyki dobiegające od strony drzwi.

– Czego tak wrzeszczysz, Kostaki? – obruszył się duchowny, wychodząc z zakrystii do stojącego w drzwiach kościółka komendanta policji.

– Chryste Panie, toż nikomu nie wolno tu przebywać! – denerwował się policjant.

– Ja tu nie przebywam, tylko liczę złożone świeczniki – pouczył go pop i zaraz dodał: – A gdzie jest napisane, że wejście wzbronione? To mój kościół czy nie? – zapytał groźnie.

– Nie, to jest teraz miejsce przestępstwa – irytował się Kostas.

– Tak? A gdzie jest napisane, że mnie do cerkwi wejść nie wolno? – powtórzył pytanie Teodor, tym razem dobitniej. – Swoją drogą – obrzucił pochmurnym spojrzeniem niezdarny rysunek na podłodze – chyba się nieco pospieszyliście, co?

Kostas spociał się z emocji.

– Zamierzałem napisać kartkę i oplombować drzwi cerkwi, ojciec, ale od rana dosłownie chwili czasu nie było – tłumaczył

się, pokorniejac z każdą chwilą. – A ten rysunek... – zaczerwienił się, sapnął i bezradnie wzruszył ramionami.

Ot i miejscowa beztroska w wypełnianiu obowiązków, pomyślałam i skuliłam się, bo właśnie grecki inspektor Clouseau odkrył i moją obecność. Gdy wszedł do cerkwi, ukryłam się za drewnianym spowiedniczym parawanem przystawionym do ściany z boku ikonostasu. Moje brudne nogi, widoczne do wysokości kostek u dołu zasłonki, nie uszły jego uwadze. Zdemaskował moją kryjówkę.

– A to co znowu? – Zwrócił swe piękne, acz niezbyt mądre oczęta w moją stronę. Zaraz potem teatralnym gestem wznosił je wraz z rękoma w kierunku sufitu.

– Nie co, tylko kto, jeśli już. – Naskoczyłam na niego.

– *Poloneza* – powiedział godnie w mojej obronie Teodor. To *Poloneza* – powtórzył. – Nie histeryzuj – dopowiedział z odrazą. – Wstydzilibyś się przed kobietą. Była przed cerkwią, gdy tu przyszedłem. Nie mogłem jej zostawić samej w miejscu, gdzie dzisiaj napadnięto człowieka. Przecież to kobieta. Bała się. Co sobie myślisz? Trzeba było w porę kartkę powiesić i drzwi opieczętować, a nie wrzeszczeć teraz w przybytku świętym.

– To, że przyszedłeś liczyć świeczniki, jeszcze potrafię zrozumieć, ale dlaczego wpuściłeś tu obcą osobę... – upierał się komendant policji, lecz pop mu przerwał:

– Jaką obcą osobę? No! Jaką obcą? Przecież to nasza *Poloneza*. Naszego Jorgosa kobieta. O, nieładnie, Kostaki, nieładnie. Jorgosowi by się to nie spodobało. Taki z ciebie kolega?

– Co tu robiłaś? – zapytał policjant groźnie, żeby ratować swój z każdą chwilą malejący autorytet.

– Szukałam swoich psów – odburknęłam. – Wiesz przecież, że mnie nie słuchają i gdy nie ma Jorgosa, wiecznie się gdzieś włóczą.

Przejaw kobiecej bezradności mile polechtał jego greckie ego. Kupił tę bajkę i zamilkł, popychając mnie delikatnie w kierunku drzwi. Marzyłam, żeby Klaudiusz i Tyberiusz choć raz zrobiły coś pożytecznego. Wreszcie dziś zapewniły mi alibi.

Na zewnątrz oślepiło nas światło słońca. Widok przed cerkwią spełnił moje oczekiwania. Psy, o dziwo, nie pognały do miasteczka. Nie uległy kolejnej nieodpartej namiętności. Siedziały spokojnie przed drzwiami.

– Nie do wiary – mruknęłam. Gdybym nie znała ich przewrotności, byłabym pod wrażeniem. Tymczasem stąpanie po śladach zazwyczaj mało poważanej opiekunki ze skulonymi uszami i pokorne zagłądanie mi w oczy znaczyło tylko tyle, że... są głodne. Kostas zamknął i opieczętował drzwi cerkwi. Schodziliśmy w milczeniu do miasteczka, a ja przez całą drogę rozmyślałam o niepokojących szczegółach moich oględzin kościółka. To, co zauważyłam, było nielogiczne.

Rozdział 3

Wylegiwałam się na brzegu basenu w promieniach jesiennego słońca i rozmyślałam o wczorajszych wydarzeniach. O tym, co już wiem, i o tym, w jaki sposób mogę się dowiedzieć czegoś więcej. Nie przypuszczałam, że wkrótce będę jedną z najlepiej poinformowanych osób na wyspie. Przed południem odwiedziła mnie Jana, ale zanim zdążyłyśmy zasiąść do kawy, moja gosposia zapowiedziała przybycie komendanta policji.

– Z jakimś obcym – dodała konfidencjonalnie.

Po chwili wprowadziła do salonu Kostasa i młodego, bardzo przystojnego mężczyznę. Zaprosiłam gości na ocieniony winoroślą taras i spokojnie czekałam na rozwój wydarzeń. Kątem oka zarejestrowałam, że moja przyjaciółka zbladła jak ściana.

Bezceremonialnie, czyli w najbardziej typowy dla siebie sposób, Kostas, duma miejscowej policji, przedstawił gościa:

– Nasz nowy kolega z Aten. Poznajcie się państwo.

– Tasos. – Usłyszałam.

– Klara – odparłam krótko.

Młody Grek lekko skinął głową i się uśmiechnął. Pełen profesjonalizm, pomyślałam.

– Kolega z Aten, inspektor – podkreślił z zapalem Kostaki – przybył na Toros, by maksymalnie przyspieszyć wyjaśnianie tragicznego zdarzenia, które miało tutaj miejsce wczoraj rano.

Twarz Jany zbladła jeszcze bardziej, a w mojej głowie zaczęły się kotłować myśli.

– Przyspieszyć? – zdziwiłam się. – A czy to śledztwo w ogóle się już zaczęło? – zapytałam.

Jana wyglądała jak z krzyża zdjęta, a nasz policyjny bohater aż zasapał z gniewu:

– A tak, tak, zaczęło się! I właśnie Tasos je przejmuje.

Przy tak zabezpieczonych śladach na miejscu przestępstwa przydaliby się na wyspie sam Sherlock Holmes i doktor Watson, pomyślałam i pokiwałam głową z politowaniem. Po emocjonalnym wystąpieniu miejscowego szefa policji zapanowała cisza i w powietrzu zawisło oczekiwanie na ciąg dalszy. Popijaliśmy smolistą *frappé* z wodą i lodem, gdy nasz gość zagadnął:

– Czy mogę zadać kilka pytań, pani Klaro?

– Ależ oczywiście, jeśli potrafię w czymś pomóc... – Wykazałam uprzejmie wolę współpracy.

– Co pani robiła wczoraj w południe w okolicach cerkwi? – padło pytanie, którego się spodziewałam.

– Szukałam moich psów. Kilka dni temu uciekły z kojca sprzed domu.

– Dlaczego właśnie tam ich pani szukała? – dociekał logicznie.

– Bo właśnie tam najczęściej je znajduję, gdy samowolnie opuszczą posiadłość. – Roześmiałam się. – I proszę mnie nie pytać, bo nie wiem. Przypuszczam, że gdy są spragnione, biegną na plażę w pobliże kościółka, gdzie wśród skał bije jedyne w okolicy źródło ze słodką wodą. To mądre zwierzaki.

Policjanci wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– A co pani robiła pomiędzy godziną szóstą a szóstą czterdzieści w środę rano?

– Odprowadzałyśmy z gosposią mojego męża, Jorgosa, na pierwszy prom do Aten. Jest marynarzem. Tego dnia wieczorem wypływał z Pireusu w kolejny rejs. Pożegnałyśmy go na przystani, a potem wróciłyśmy do domu i położyłyśmy się spać. Było jeszcze bardzo wcześnie. O dziewiątej rano obudził mnie hałas przed oknem. To wszystko.

– Czy pomoc domowa zechce to potwierdzić? – Obrzucił przenikliwym spojrzeniem starą Greczynkę.

Przestraszona Tula stała za moimi plecami i desperacko kiwała głową do góry, na dół, a nawet na boki.

– Już dobrze, dobrze. Nie trzeba się aż tak nie denerwować. To tylko wywiad – uspokajał, obserwując z niepokojem zestresowaną kobietę. – Czy w drodze na przystań albo wracając do domu, zauważyły panie coś niezwykłego? Może spotkałyście kogoś? – dopowiedział, przyglądając się nam badawczo.

– Nie – odparłam krótko zgodnie z prawdą, a Tula przytomniej przytaknęła głową.

– A może przyjaciółka – zwrócił się niespodziewanie do zamyślanej i pochmurnej Jany – zauważyła coś niezwykłego tamtego ranka?

– Nie – odpowiedziała Jana natychmiast i nerwowo potrząsnęła swoją kształtną głową, a gość z Aten obrzucił ją spojrzeniem pełnym zachwytu.

Z fryzurą ułożoną z gęstych kasztanowych loków spiętych na czubku głowy wyglądała olśniewająco – jak kariatyda. Była jedną z najpiękniejszych kobiet na wyspie. Nic dziwnego, że jej mąż, Janis, był o nią piekielnie zazdrosny.

Gdy w końcu inspektor z Aten zamknął notes, w którym przez cały czas coś zapisywał, i obdarzył nas kolejnym wyuczonym uśmiechem – odetchnęliśmy.

– Prawdę mówiąc, mam jeszcze jedną sprawę, o której chciałbym porozmawiać – zwrócił się do mnie. – Na plaży w pobliżu miejsca tragedii mieszkają w namiotach studenci z Polski. Mogą się okazać bezcennymi świadkami, ale nie potrafię ich przesłuchać. Bardzo słabo mówią po angielsku, no i oczywiście nie znają greckiego. Powiem krótko: czy w tej

sytuacji zechciałaby pani zostać moim tłumaczem? – Patrzył wyczekująco.

Zaniemówiłam. Nieudolność językowa Ewy i Adama zdziwiła mnie nie mniej niż ta propozycja. W dodatku bójki na Toros nie są niczym szczególnym, a tu od razu po wypadku Lakisa pojawia się na wyspie wystrojony jak James Bond przystojniaczek z Aten. Coś mi tu nie grało. Przeczynałam kłopoty.

– Tak. Oczywiście, że pomogę – zgodziłam się.

*

Po południu, z głową pełną wrażeń, z ciężkim sercem i przewieszoną przez ramię sukienką, zbliżałam się do domu Anny Margaritis, mojej przyjaciółki i krawcowej, która zajmowała się sprzątaniami cerkwi na wzgórzu. Anna była kluczową postacią dramatu, który rozegrał się na wyspie, bo to jej jedyny syn walczył teraz o życie w szpitalu. Od chwili tragedii nikt nie widział ani jej, ani Stawrosa, a ich popularna w miasteczku tawerna była zamknięta. Wątpiłam, by matka Lakisa, umówiona ze mną przed tygodniem, pamiętała o terminie wizyty, więc zdziwiło mnie, że natychmiast gdy zapukałam do drzwi, stanęła w progu. Choć się tego po sobie nie spodziewałam, zapłakałyśmy obie, jeszcze zanim weszłam do środka.

Znałam ten dom. Na oparciu najbliższego krzesła powiesiłam sukienkę, która była pretekstem do wizyty, i usiadłam na starej wysłużonej kanapie. Czekałam cierpliwie na to, by Anna sama podjęła rozmowę.

– Kiedy zadzwonił i powiedział, że przyjedzie do domu na cały tydzień, ucieszyłam się jak dziecko. Tak rzadko go widzimy – zaczęła swoją opowieść. Rzeczywiście, od czasu

rozstania z Janą jej syn był rzadkim gościem na Toros. – To takie dobre dziecko. Wiem, co myślisz! – wtrąciła gwałtownie, spodziewając się, że jak wszyscy mam o Lakisie fatalną opinię. – On się ostatnio bardzo zmienił. Kiedy przyjeżdżał do domu, chadzaliśmy razem do cerkwi i pomagał mi sprzątać. Kilka razy – dopowiedziała z dumą – był nawet u spowiedzi. Ojciec jest z tego bardzo zadowolony.

No, no, co za metamorfoza! Zastanawiałam się. Od jakiegoś czasu wszystko na tej wyspie stoi na głowie. Chyba nic mnie już nie zaskoczy.

– Tego ranka też poszliśmy do cerkwi oboje, ja i mój syn – kontynuowała Anna. – Chociaż Lakis miał zranioną rękę i nie mógł mi pomagać, wybrał się ze mną dla towarzystwa – pochwaliła się.

Pokiwałam głową z podziwem.

– Kiedy tak szliśmy o świcie, żałowałam, że nikt nas nie widzi. Wiesz przecież, jak źle o nim mówią – dodała. – Jednak o tak wczesnej porze po drodze spotkaliśmy tylko twoje psy. Pobiegały wokół nas, zamachały ogonami i zniknęły.

Wszędzie ich pełno. Tylko w domu rzadko bywają, pomyślałam z wyrzutem.

– Na miejscu okazało się, że Teodor, choć obiecał, jak zwykle nie przygotował wody do sprzątnięcia. W jednym z wiader było jej tylko trochę, więc z dwoma mniejszymi wybrałam się do źródła przy plaży. Lakis został w kościele i czekał na mnie. Przy wodociągu znowu spotkałam twoje zwierzaki i jakiegoś greckiego turystę z ogromnym plecakiem. Przyplłynął pierwszym promem i chyba zabłądził. Poprosił mnie o wskazanie drogi do najbliższego hotelu. Dziwny człowiek. Miał grube szkła w okularach, okrągłe jak denka butelek, i notował wszystko, co mówiłam. Dobrych kilka minut poświęciłam na tłumaczenie mu,

gdzie jest hotel Sotirisa i jak do niego trafić. Zaraz potem wróciłam na górę. W cerkwi był pusto i cicho, jakby się nic nie wydarzyło.

– Pomyślałaś pewnie, że Lakis poszedł do domu – wtrąciłam niepotrzebnie.

Moja pragmatyczna postawa uraziła ją. Posłała mi niechętnie spojrzenie. Nagle zrzuciła z siebie ból i cierpienie ostatnich dni. W jej oczach pojawiły się łzy i zrozpaczona wykrzyczała do mnie:

– Nic nie pomyślałam! Gdy postawiłam wiadra pełne wody na środku cerkwi i podniosłam oczy na templon, zobaczyłam, że Mateńka Przenajświętsza płacze! Czy w takiej chwili można w ogóle myśleć? Wstrząśnięta upadłam na kolana i modliłam się przed ikoną. Nie miałam śmiałości podnieść oczu. Nie trwało to długo, bo po chwili skrzypnęły drzwi i do kościółka weszli Stawros z Teodorem. W zdumieniu obserwowali ikonę, gdy nagle jeden z nich krzyknął przerażony: „Panienko Przenajświętsza!”. Wszyscy zobaczyliśmy – głos Anny się załamał – że zza ikonostasu wypływa strużka krwi. Teodor wbiegł tam natychmiast, a zaraz potem stanął poblady przed wrotami do prezbiterium i nieswoim głosem wyszeptał: „To się stało na zapleczu. Wasz dzieciak! Na miłość boską, Stawrosie, potrzebny jest lekarz!”. Na podłodze zakrystii pod oknem leżał nieprzytomny Lakis. – Anna płakała głośno, a po jej zmęczonej z niewyspania twarzy płynęły łzy. – Ubranie miał we krwi. Stawros oparł się o ścianę i powtarzał: „To niemożliwe, Anno, to niemożliwe”. Kompletnie się załamał – wyszeptała. – Wzięłam więc dłoń mojego dziecka i klęcząc, czekałam, aż nadejdzie pomoc. Teodor wezwał lekarza i policję. Zrobili wszystko, co mogli, ale stan Lakisa był tak zły, że w południe sprowadzono helikopter i przewieziono naszego chłopca do Aten. Gdy go

zabierali na noszach do karetki, usłyszałam, jak Kostas powiedział do lekarza, że chyba go ktoś pobił, bo ma podarte ubranie. – Anna wstała i drżącymi rękoma zaczęła nakrywać stół do kawy. Krzątając się nerwowo po salonie, usiłowała zagłuszyć swoje cierpienie i lęk o życie jedynaka. Nagle złapała mnie za rękę. – Kto to zrobił? Klaro! Kto to zrobił? Dlaczego ikona zapłakała? Czy Mateńka chciała mnie ostrzec? Czy uratuje moje dziecko? – szeptała poblądłymi wargami, poszukując w moich oczach pocieszenia.

Pytania się mnożyły. Wokół tragicznego zdarzenia narosła atmosfera tajemniczości. Płacząca ikona nie była już jedyną tajemnicą cerkwi na skalistym urwisku.

*

Wracałam do domu w kiepskim nastroju. To był męczący dzień, a nazajutrz rano zaplanowałam spotkanie z Janą. Nie miałam pomysłu, jak przeprowadzić rozmowę, na którą czekała. Na powrót do domu wybrałam rzadko uczęszczaną ścieżkę wśród pól, by ominąć miasteczko i zabudowania ciągnące się wzdłuż wybrzeża. Lubiłam wtedy spacerować z Jorgosem. Tęskniłam za nim, ale gdyby był teraz ze mną na wyspie, nie pozwoliłby mi zająć się tą sprawą.

Kiedy się poznaliśmy, mieszkałam w Warszawie. Kończyłam psychologię i współpracowałam z policją. Lubiłam tę pracę. Dostarczała mi adrenaliny, dla której jedni poświęcają się sportom ekstremalnym, a inni zatacają w hazardzie. Jorgos nie marzył jednak o żonie policjantce. Po długich rozmowach na ten temat zrozumiałam, że jego grecki tradycjonalizm jest niereformowalny. W miłości był jak wulkan, a w życiu – uparty jak osioł. Uwielbiałam go. Byłam gotowa poświęcić dla niego wszystko i zrobiłam to. Kiedy przyjechaliśmy na Toros, żeby

zaopiekować się babcią Jorgosa, byłam już po kolejnych studiach – hellenistycznych – i kończyłam pisać swoją pierwszą książkę o tematyce greckiej.

Tajemnicze zajście w cerkwi i chęć wsparcia Jany spowodowały, że zaplątałam się w sprawy, o których próbowałam zapomnieć. Znowu zaczęłam kombinować jak policyjny psycholog. Poczułam dreszcz emocji i magię tajemnic.

Tak rozmyślając, doszłam do rozwidlenia dróg przed cerkwią, gdzie spotkałam powracającego z obozowiska polskich studentów inspektora Tasosa, naszego gościa z Aten. Byłam zupełnie spokojna o wynik jego wizyty. Wiedziałam, że nic mu nie powiedzieli, i to wcale nie z powodu bariery językowej.

– Dobry wieczór – pozdrowił mnie uprzejmie, a ja mniej oficjalnie odpowiedziałam:

– Cześć. – Przystanąłam na chwilę. – Jak śledztwo? – zapytałam, chociaż domyślałam się, że fatalnie.

– Rozwija się. Dziękuję – odparł nieszczercze.

Był naburmuszony i zamyślony. Przez chwilę szliśmy obok siebie w milczeniu.

– Kim pani właściwie jest? – Nagle na mnie naskoczył, z trudem ukrywając rozdrażnienie. – Pojawia się pani w miejscach związanych z tym zdarzeniem wciąż o krok przede mną i mam przeczucie, że wie znacznie więcej, niż mówi.

Przemknęło mi przez głowę, że go nie doceniłam, i zaskoczona ponownie przystanąłam.

– Nie wierzę, że przed cerkwią szukała pani swoich psów. Chciałbym wiedzieć, po co pani tam poszła. – Patrzył na mnie wyczekująco.

Poczułam, że to przełomowy moment i że jeśli teraz nie zaryzykuję rozmowy na temat śledztwa, nigdy nie uzyskam dostępu do potrzebnych mi informacji.

– Ja też chciałabym wiedzieć – zawiesiłam głos – jakie obrażenia odniósł Lakis.

Mój rozmówca stanął na środku drogi jak wryty.

– Pani oszalała? To są tajemnice śledztwa.

– Które za kilka dni będą we wszystkich gazetach. Niechże pan nie przesadza. – Potrząsnęłam głową lekceważąco. – Ach, rozumiem. Chroni pan zebrany materiał dowodowy – kpiłam w żywe oczy. Nie odezwał się, co mogło być sygnałem, że obrałam dobrą drogę, żeby go przekonać. – Nic nie macie. Nic – dodałam z naciskiem. – Wszystkie ślady laboratoryjne w cerkwi są bez wartości, bo miejsce przestępstwa było powszechnie dostępne przez co najmniej cztery godziny. Kostas nie zabezpieczył śladów, nie zostawił tam nikogo, a zardzewiałą kłódkę u drzwi kościółka można otworzyć byle drutem. Co dały przesłuchania miejscowej ludności? Jak wypadły? – Byłam bezlitosna.

– E... – wydobył z siebie nieartykułowany dźwięk i machnął ręką. Potem dodał: – Mam wrażenie, że nie tylko cudzoziemcy nie rozumieją greckiego. To jakaś totalna zmowa.

– Czego się pan spodziewał? Jest pan tutaj obcy i nie rozumie ich.

– A pani, Polka, ich rozumie? – zapytał z ironią.

– Nie zawsze, ale znam zasady, według których żyją. Szanuję je. Najważniejsza to ta – znowu teatralnie zawiesiłam głos – że problemy najchętniej rozwiązują sami. Prawo prawem, a sprawiedliwości to oni dochodzą po swojemu.

– Jezu Chryste, niech mnie pani nie straszy.

– Nie straszę, ale jeśli Lakis umrze, nie chciałabym być w skórze tego, kto go pobił. O ile jest jeszcze na wyspie i kimkolwiek jest... – Zagrałam ostro. Wykorzystałam wiedzę o samosądach zaczerpniętą z mojej ulubionej powieści *Greki Zorba*. Nie powstrzymało mnie to, że książka ukazuje Grecję

sprzed niemal stu lat. Po perfidnej manipulacji spokojnie czekałam na reakcję.

– No, nie wiem. Nie wiem...

Słusznie trafiły go wątpliwości. Nie ponaglałam. W końcu jestem psychologiem, a męska psychika to delikatna materia – mieszanina przywódczych instynktów i nierzadko kompleksów. Dalsze naleganie uznałam za ryzykowną strategię, ale sugestia rozwiązania i trochę cierpliwości przyniosły oczekiwany efekt. Mój rozmówca nawet na mnie nie popatrzył. Oglądał czubki swoich butów, jednak zafundował mi ciekawą opowieść:

– Lakis ma poważną ranę na głowie. – Usłyszałam na początek. – Uderzono go przedmiotem o prawie gładkiej, twardej powierzchni z ostrym wypustem, który pozostawił wgniecenie w czaszce. Żadnych innych obrażeń nie stwierdzono, choć ubranie nosi ślady walki. Jest podarte w kilku miejscach. Obecny stan uszkodzonego jest wynikiem wylewu po lewej stronie głowy, w pobliżu skroni, który na szczęście w dużej mierze znalazł ujście na zewnątrz. Rana jest rozległa i poważna. Ofiarę pobicia po odzyskaniu przytomności czeka operacja usunięcia odprysków powstałych przy uderzeniu. Na razie interwencja medyczna nie jest możliwa. To wszystko, co wiem.

– No tak, to nic nie wyjaśnia. To raczej kolejna zagadka – zamruczałam do siebie. – Ma pan rację – przyznałam. – Moje wizyty w miejscach związanych z tą tragedią nie są częścią życia towarzyskiego, chociaż znam i lubię tych ludzi. Zbieram informacje i sporo już wiem. Nie mogę na razie i nie chcę panu tłumaczyć, jakie są motywy mojego postępowania. Jeszcze nie teraz – dodałam. – Mam alibi i posturę, która nie daje mi szans, by poturbować mężczyznę.

Wybuchnął głośnym, zaraźliwym śmiechem. Po raz pierwszy poczułam do niego sympatię.

– Ciekawość i plotkowanie, chwała Bogu, też nie są karalne. Na tej wyspie to jedna z nielicznych, cenionych i powszechnie uprawianych rozrywek. Oczywiście nie plotkujemy tu z obcymi. Tymczasem – oglądałam go wymownie od stóp do głów – domy na wyspie odwiedza nieproszony gość w nieskazitelnie błyszczących lakierkach, z efektownym notesem i złotym piórem Sheaffera. Nie, tak się nie tworzy klimatu do zwierzeń. Nie na Toros.

– Ależ to były działania zwiadowcze w terenie! – protestował, oglądając z uwagą swoje lakierki.

– Uhm... – przytaknęłam bez przekonania.

– Byłem też w *kafenijo* – wyrwało mu się. – Krótko. Wypiłem tylko coca-colę. – Upewnił mnie o szlachetnych intencjach.

Tknięta druzgocącym przeczuciem, stanęłam przed nim jak słup soli.

– W tym? – Zdumiona pokazałam palcem na jego elegancki garnitur.

Nie potwierdził, ale przystanął. Patrzył na mnie wyczekująco. Wyraźnie nie przeczuwał, do czego zmierzam.

– W miejscu, gdzie zwiadowca powinien się wtopić w tłum i obserwować? W samym sercu Dodekanezu? W kawiarni pełnej miejscowych wieśniaków wystąpił pan w garniturze od Armaniego? – dopytywałam z niedowierzaniem.

Potakiwał coraz mniej pewnie.

– No... to jak się spodziewam, był pan atrakcją wieczoru. W garniturze i popijający w miejscowym *kafenijo* colę na pewno był pan sensacją, jedyną osobą, z której nie spuszczały oczu. Nie jestem wcale przekonana, że to pan obserwował ich.

Zaczerwienił się po uszy i oburzony wrzasnął:

– Nie przyjechałem tu po to, żeby mnie polubili!

– W takim razie gratuluję sukcesu. Chyba pana nie lubią. – Zabrzmiało perfidnie i poczułam, że posunęłam się za daleko. – Trzymają stronę Kostasa, bo drażni ich pan tym swoim światowym image'em. To można zrozumieć. Znają niefrasobliwość miejscowego szefa policji, ale woleliby zeznawać przed nim, bo urodził się i wychował na Toros. Jest jednym z nich. – Widząc jego sceptyczną minę, dodałam: – Wcale nie są z nim spoufaleni tak bardzo, jak się zdaje. Wezwani na komisariat, zachowują się rozsądnie.

Szliśmy przez chwilę w milczeniu. Wreszcie otwarcie wyraziłam swoje wątpliwości:

– Czy pan jest rodowitym Grekiem?

– Urodziłem się i wychowałem w Londynie. Dopiero od kilku miesięcy mieszkam i pracuję w Atenach – mruknął zniechęcony. – Potrzebuję pomocy. – Kopnął mały kamyczek i patrzył mi wyczekująco w oczy.

W odpowiedzi pokiwałam potakująco głową.

– Nie obawia się pani ich reakcji, gdyby...

– Nie – przerwałam mu. – Kiedy się dowiedzą, że do pomocy w śledztwie wybrał pan kobietę, będą na ten temat żartować. – Udawałam, że nie widzę, jak znowu się czerwieni. – Do moich nietypowych zachowań już przywykli. Trudno by mi było ich zaskoczyć. Wiedzą, że zachowuję się inaczej niż Greczynki. Jeśli się obawiam, to tylko o to – wróciłam do tematu naszych rozważań – że nie zdążymy powstrzymać kolejnych tragicznych zdarzeń, których się spodziewam. Mam wrażenie, że chodziło o kogoś lub o coś innego, nie o Lakisa. I że to dopiero początek kłopotów na Toros.

*

Na obrzeżach miasteczka się rozstaliśmy. Plan działania był gotowy. Zainspirowana opowiadaniem Tasosa o nieudanym rekonesansie w kawiarni, skierowałam swoje kroki do *kafenijo*.

O tej porze było tu gwarno, duszno i sino od dymu z papierosów. Przy stolikach, na licznie podostawianych krzesłach z wiklinowymi siedziskami, królowali mężczyźni. Niejedno ouzo i niejeden koniak podał już Sotiris tego popołudnia, co było widać po liczbie zabrudzonych naczyń. Nieskrępowane, głośno prowadzone rozmowy i komentarze wykrzykiwane na odległość dodawały kolorytu temu miejscu. Każdy, kto uważa, że plotkują głównie kobiety, powinien trafić do greckiego *kafenijo*. Wobec cudzoziemki, która niekiedy czuła potrzebę, by tam zajrzeć, Grecy wykazywali zrozumienie, pod warunkiem że trafiała do ich kawiarni jako obserwator i nie mieszała się do dyskusji niepytana.

– Witaj, *Poloneza*! Dawno cię nie widziałem! – krzyknął Sotiris zza baru, gdy tylko weszłam do środka. – Co słysząc u twojego Jorgosa? Podać to, co zwykle? – padały pytania, na które oczekiwał tylko jednej odpowiedzi: zamówienia.

– Cześć, Sotiris. Wszystko dobrze. Tak, to, co zwykle poproszę – odpowiedziałam i usiadłam przy stoliku z dziadkiem Waggielisem, który rozpromienił się na mój widok.

– Dobrze, że cię widzę, dziecino. Spadłaś mi jak z nieba. Mam ochotę porozmawiać. No, ale nie widzę tu nikogo znajomego. – Wymownym gestem wskazał na salę pełną mężczyzn. – Tylu obcych ludzi się tu teraz kręci. – Potrząsał głową zde gustowany, przyglądając się sąsiadom i innym stałym gościom swojego wnuka Sotirisa.

Gospodarz podał mi kawę i szepnął z rozrzewnieniem:

– Dziadek dzisiaj skończył osiemdziesiąt pięć lat. Dobrze się jeszcze trzyma, tylko trochę zdziwaczał, bidula. Pamięć mu nie dopisuje.

– Rozmowa z tobą, kwiatuszku, to przyjemność – kontynuował staruszek niestrudzenie. – Chcesz, to ci opowiem o tym, jak na Toros przyjechał pewien niemiecki generał – zaproponował i od razu zaczął snuć znaną wszystkim opowieść.

Nie miałam pojęcia, czym sobie zasłużyłam na to, że Waggielis właśnie mnie zapamiętał i właściwie kojarzył. Jego towarzystwo było dobrym pretekstem, żeby poczynić obserwacje i nie zwrócić na siebie uwagi. Pijąc *frappé*, przyglądałam się więc gościom Sotirisa. Zauważyłam samotnie siedzącego przy barze i sączącego anyżową wódkę Stawrosa, ojca Lakisa. Nieobecny i jakby trochę nieprzytomnym wzrokiem patrzył w okno. Można się było domyślić, że sporo wypił, bo oparty rękami o blat, z trudem utrzymywał równowagę. Grecy rzadko się upijają, ale on wyraźnie nie był trzeźwy. Choć niektórzy goście kawiarni zerkali współczująco, nikt go nie zaczepiał. Gdy kolejny raz podniósł rękę do góry i zażądał alkoholu, Sotiris podszedł do niego, położył mu dłoń na ramieniu i powiedział:

– Wystarczy, stary. Już masz dość. Idź, chłopie, do domu, do Anny.

Stawros gwałtownie wstał. Wyszarpnął ramię Sotirisowi, ale chwiejnym krokiem posłusznie ruszył w kierunku drzwi ścigany pełnymi troski spojrzeniami. Dwóch mężczyzn zerwało się i podbiegło, żeby złapać potrącone przez niego krzesło. Potem zaległa cisza. O ile jeszcze przed chwilą goście lokalu żartowali i pokrzykiwali do siebie, o tyle teraz zrobiło się ponuro.

– Żal, oj, żal człowieka – ubolewał właściciel kawiarni.

– Z tym jego chłopakiem zawsze były, są i będą kłopoty. –
Z wielu stron dobiegły zgodne komentarze.

Pochyleni nad stolikami Grecy omawiali zdarzenie. Ktoś powiedział:

– Nie ma chyba nikogo na wyspie, komu jego synalek dotąd nie załazł za skórę. Nawet kochać nie potrafi. Jego miłość do Jany była dla rodziny Samarasów pasmem niekończących się kłopotów i awantur.

– W końcu zniecierpliwiony Dimitris położył temu kres i przepędził go od córki – dodał ktoś z drugiego końca sali.

– Ja też bym mu nie dał swojego dziecka – dopowiedział inny głos.

– Ani ja.

– A pamiętacie, jak przed cerkwią w dniu jej ślubu z Janisem Lakis rzucił pannie młodej pod nogi kwiaty i wykrzykiwał, że pożałują za jego krzywdę? Groził, że się zemści na całej rodzinie. Taki jest zawzięty – rozpamiętywali zgorszeni.

– O, tak. Tak. Trudny ma charakter – wzdychał Sotiris, w skupieniu polerując szklanki.

– Do pracy się nie garnie, za to zabawy i bójki lubi. – Sąsiad Stawrosa i Anny Margaritisów ściszył głos.

– Nawet rodzice nie są dla niego nietykalni. Nie dalej jak tydzień temu słyszałem szamotaninę Lakisa i Stawrosa, a potem płacz Anny.

Przez salę przeszedł szmer oburzenia.

– No, i trafił w końcu na silniejszego od siebie. – Ktoś dobitnie podsumował dyskusję.

– Jak wam nie wstyd tak źle mówić o moim kumplu?! Walczy o życie w szpitalu, a wy, choć nie wiadomo, co naprawdę zaszło w cerkwi, już go obgadujecie! – odezwał się nagle z przeciwległego kąta kawiarni przyjaciel Lakisa. –

Dimitris wydał córkę za Janisa, bo ten jest bogaczem – kontynuował w obronie kolegi. – Lakis od dziecka znał i do szaleństwa kochał córkę Samarasów. Tyle wam powiem. A że z miłością do takiej kobiety – westchnął w zachwycie – ciężko żyć, to był zazdrosny. Na szczęście ułożył sobie życie bez niej. Mieszka w luksusowym apartamencie w Atenach na Pláce (Starówka Aten położona u stóp Akropolu.). – Po sali przebiegł szmer niedowierzania. – Ma wielu przyjaciół i dobrze mu się wiedzie.

– To prawda – zaświadczył z powagą restaurator. – Lakis był tu ostatnio w dużym towarzystwie i bawił się do samego rana. Alkohole lały się strumieniami.

– I z rodzicami dobrze żyje. – Kolejny gość Sotirisa odważył się sprzeciwić krytycznym opiniom. – Nie wiem, jak z ojcem, ale sam widziałem, że chadza z matką sprzątać w cerkwi. Jego relacje z Janą też nie wyglądają na najgorsze.

– Gdybym go tak dobrze nie znał, może bym uwierzył w tę cudowną przemianę – odezwał się nagle od drzwi ojciec Jany. – Ale nie wierzę. Zresztą dobrze wiecie, że go nie lubię. – Machnął ręką z lekceważeniem, rozglądając się za wolnym miejscem. – I powiem wam więcej: jestem pewien, jestem pewien – powtórzył – że jego nietypowe zachowanie miało jakiś cel, a bójka w cerkwi to nie przypadek.

Na widok stojącego w drzwiach kawiarni powszechnie szanowanego Dimitrisa Samarasa kilku mężczyzn wstało od stolików i wymownym gestem zapraszało go do towarzystwa. Miejscowy milioner dziękował, rozsyłając na wszystkie strony uśmiechy i gesty powitania, ale usiadł samotnie. Zajął opuszczone przez Stawrosa miejsce przy barze. Jego wejście spowodowało konsternację i wygaśnięcie tak obiecująco zapowiadającej się dyskusji. Przez chwilę było cicho. Czekałam

cierpliwie przekonana, że tragedia w cerkwi jest tematem dnia, który z pewnością znowu ktoś podejmie.

– A słyszeliście, że nasza Mateńka zapłakała? – zapytał Sotiris, powodując ogólne poruszenie.

Wszyscy jak na komendę odwrócili się w stronę popijającego wino ojca Teodora.

– To nie jest odpowiednie miejsce, żeby o Madonnie rozmawiać! – rozgniewał się duchowny, a oni, przyzwyczajeni do jego pouczeń, zgodnie przytaknęli. – Zamiast plotkować, moglibyście czasem w liturgii uczestniczyć. Ciebie, Stefane, jakby Mateńka w kościele zobaczyła, to może by i zapłakała, i nie poznała nawet, bo od chrztu świętego cię w cerkwi nie było. Specjalista od cudów się odezwał! – dodał rozjuszony pop.

W kawiarni rozległ się ogólny śmiech. Teodor rozzłościł się na dobre.

– Wy nie lepsi jesteście! Gdyby nie wasze matki i żony, to byście nawet o imieninach swoich patronów i o największych świętach w roku nie pamiętali!

Trzeba przyznać, że pop miał rację. Żarliwość religijna Greków nie przekłada się na powszechny udział w codziennych praktykach religijnych. W licznych klasztorach i cerkwiach, które olśniewają zabytkami i wystrojem wewnątrz, freskami i dziełami sztuki, codziennymi gośćmi są zazwyczaj turyści. W mszach niedzielnych masowo uczestniczą przede wszystkim kobiety, dla których kościoł, oprócz miejsca kultu religijnego, jest tym, czym dla mężczyzn kawiarnia – miejscem spotkań z sąsiadami i znajomymi.

Krytyczna uwaga duchownego uciszyła wszystkich. Po chwili milczenia, przerywanej tylko stukaniem szklanek i kieliszków, Teodor niechętnie podjął temat.

– Tak – oświadczył z powagą. – Rzeczywiście cudowna ikona zapłakała na naszych oczach, ale tyle się strasznych rzeczy potem wydarzyło, że nie było czasu nawet o tym pomyśleć. Jeśli Mateńka zechce nam coś powiedzieć, to na pewno da jeszcze znak. – Uciał dyskusję i zatopił się w rozmyślaniach nad kolejną szklaneczką wina.

Było późno. Lokal Sotirisa powoli pustoszał. Dziadek Waggielis zasypiał, siedząc obok mnie z głową wspartą o ścianę z tyłu krzesła. Położyłam na stole pieniądze za *frappé* i wymknęłam się z knajpki.

Rozdział 4

Następnego dnia obudziłam się koło południa. Tula przyniosła mi kawę do sypialni i stanęła obok łóżka.

– O której wczoraj wróciłaś? – zapytała z wyrzutem.

Nie akceptowała moich wizyt w *kafenijo* pod nieobecność Jorgosa, a ja nie lubiłam takich pytań.

– Późno – skwitowałam krótko i nie podjęłam tematu.

– Spałaś tak smacznie, że nie wchodziłam tutaj, chociaż był telefon – wtrąciła ugodowo.

– Kto dzwonił? – przerwałam jej.

– Mężczyzna. Nie przedstawił się, ale się jeszcze odezwie – odpowiedziała i stała dalej, jakby wając jakąś decyzję.

Z udawanym zainteresowaniem i pogrążona w swoich myślach zapytałam więc:

– Jakieś nowe wieści?

Spodziewałam się, że skoro weszła do mojej sypialni, to ma jakiś powód, bo zazwyczaj tego nie robi. Wzięła głęboki wdech i... nic nie powiedziała. Tknięta niezrozumiałym przeczuciem, wyskoczyłam z łóżka.

– Co się znowu wydarzyło? – W jednej chwili znalazłam się obok Tuli. Natarczywie domagałam się odpowiedzi. – No powiedz! Powiedzże wreszcie, co się stało?! – Szarpałam ją za rękaw.

Pokiwała głową ze smutkiem.

– Dzisiejszej nocy ktoś się włamał do cerkwi.

– Skąd wiesz? – drażyłam temat.

– Byłam w miasteczku. Jest wpół do pierwszej w południe – dodała znowu naburmuszona – i wszyscy mówią tylko o tym. Na przystani kręci się policja, a droga do cerkwi jest zamknięta.

Skacząc na palcach po zimnej marmurowej podłodze, zbierałam części swojej garderoby porozrzucanej wieczorem i cicho mruczałam:

– W kawiarni siedziałam długo, ale w towarzystwie dziadka Waggielisa. Określenie „mężczyzna” już dawno wobec niego nabrało znaczenia historycznego. Nie znam nikogo, kto chciałby z własnej woli po raz kolejny słuchać jego opowieści o... – zawiesiłam znacząco głos – niemieckim generale. Przesiadanie z nim w kawiarni to działalność charytatywna. Zresztą nikt na mnie nie zwracał uwagi. Ignorowali mnie – dodałam zgodnie z prawdą i machnęłam lekceważąco ręką, gubiąc dopiero co wyciągnięty spod łóżka pantofel.

– Bo nie pochwalają tego, że spędzasz popołudnia w knajpie z mężczyznami – wtrąciła Tula z błyskiem rozbawienia w oczach, ale wciąż nadąsana.

– Czy wiadomo, co zginęło? – zapytałam.

– Oficjalnie nic nie wiadomo – odpowiedziała z namaszczeniem.

– A nieoficjalnie? – zapytałam i przymrużyłam oko.

– No, podobno nic.

– Ciekawe, co było obiektem poszukiwań – myślałam na głos.

Przypomniałam sobie o złotej bransolecie, którą przyniosłam do domu i przechowywałam w kasecie z kosztownościami w salonie. Dosłownie przefrunęłam przez sypialnię i otworzyłam zabezpieczoną zaszyfrowanym zamkiem szkatułę pełną biżuterii. Złote precjozo leżało spokojnie tam, gdzie je zostawiłam. Znowu, tak jak przed cerkwią, nie zdążyłam się mu przyjrzeć. Tym razem przeszkodził mi dzwonek telefonu. Niechętnie odłożyłam oglądany przedmiot na miejsce i upewniwszy się, że Tula jest już w kuchni, podniosłam

słuchawkę. Natychmiast rozpoznałam głos przystojniaczka z Aten.

– Pani Klara? Halo! Komisariat policji. Z tej strony Tasos.

– Tak, słucham – podjęłam rozmowę bez zbędnych wstępów.

– Miała pani rację. Mamy nowe problemy. – Jego głos był podekscytowany i pełen napięcia.

– Wiem – przerwałam mu.

Po drugiej stronie zaległa cisza.

– Ale skąd? – zdziwił się po kilku sekundach. – Przecież jeszcze przed chwilą pani spała.

– Moja gosposia była w miasteczku. Zrobiła zakupy – odpowiedziałam skrótem myślowym.

– To może wie pani więcej? – zapytał rozsierdzony.

– Podobno nic nie zginęło – odparłam zdziwiona, że wciąż nie rozumie miejscowych zwyczajów.

– Wieści szybko się tu rozchodzą – sapnął do słuchawki zirytowany. – Za szybko. Jak w takich warunkach prowadzić dochodzenie? – zapytał bardziej samego siebie niż mnie.

– Nie przejmować się i robić swoje. Pogodzić się z tym, że wielu rzeczy nie da się ukryć, i działać możliwie szybko. Omawialiśmy to wczoraj – zniecierpliwiłam się. – Co pan proponuje? – ponaglałam go.

– W najbliższych dniach w biurze komendanta policji rozpoczniemy przesłuchania świadków zdarzenia. Wytypowałam pewną grupę osób i wysłałam już do nich wezwania. Pytania opracowałam dzisiejszej nocy. Ma pani rację w tym, że to Kostas powinien z nimi rozmawiać. I jeszcze jedno. Zatrudniłem panią jako tłumacza i protokolantkę. Tak jak ustaliliśmy. To nie powinno budzić podejrzeń. Mam nadzieję, że

potrafi pani pisać na maszynie i że choć przez kilka najbliższych dni będzie spokój.

– A potrafi, potrafi – przedrzeźniałam go, gdy szczęknęła odkładana słuchawka.

Po chwili znowu wzięłam do ręki złote cacko. Byłam przekonana, że to ten przedmiot był obiektem poszukiwań włamywacza. Kim był człowiek, który tak bardzo chciał ją odzyskać, że zaryzykował włamanie do cerkwi? Gruba i ciężka bransoleta nie miała wielu charakterystycznych cech. Na podłużnej blaszce w lewym górnym rogu widniał maleńki, ledwie widoczny zodiakalny wodnik, a na środku pozostawiono puste miejsce przeznaczone na grawer. Bransoleta była elegancka i kosztowna, ale każdy mógł być jej właścicielem. To był typowy wyrób złotniczy dostępny w sklepach z biżuterią. Z czym albo z kim kojarzyłam ten przedmiot? Coś plątało się po mojej głowie. Jakieś myśli, których nie potrafiłam sprecyzować. Jakieś wspomnienia.

Jeśli miałam rację i bransoleta rzeczywiście była przyczyną włamania do cerkwi, to przetrzymywanie znaleziska w domu mogło być dla mnie zagrożeniem, jednak ktoś, do kogo należała, musiałby wiedzieć, że jestem w jej posiadaniu. Ten efektowny gadżet zagrażałby mi jeszcze bardziej, gdyby jego właściciel się spodziewał, że zdobycz pomoże mi go zidentyfikować. W mojej ocenie nie było powodów do niepokoju. Rozważałam przekazanie dowodu Tasosowi, ale na razie potrzebowałam trochę czasu na przemyślenia i chciałam mieć bransoletę pod ręką. Wyciągnęłam ją z kasety i włożyłam do kieszeni garsonki, którą ubrałam.

*

Upał nie dokuczał już tak, jak latem, ale wciąż było bardzo ciepło. Z zadowoleniem przyjąłam odwiedzinę Jany i zaproszenie na spacer, bo czułam, że powinnyśmy pogadać. Podążając powoli w kierunku miasteczka, spotkałyśmy niewysokiego rudego mężczyznę. Grube szkła jego okularów wyglądały jak denka butelek.

– To chyba ten sam. – Przypomniałam sobie opowiadanie Anny Margaritis o Greku spotkanym przez nią na plaży. Okulary, które nosił, były bardzo charakterystyczne, a jej opinia, że jest dziwakiem, nie była ani trochę przesadzona.

Chudy i piegowaty rudzielec był raczej brzydki i w dodatku okropnie ubrany. Rozchełstana pod szyją i nieodprasowana jedwabna koszula wystawała spod dżinsowej bluzy zapiętej niedbale na jedyny guzik. Bawełniane spodnie, o dziwo niepogniecione i porządne, nie pasowały do reszty stroju, ale wobec ogólnie dziwaczного ubrania to był tylko detal. Całość uzupełniał połyskujący na lewym nadgarstku złoty zegarek i markowe oprawy okularów warte majątek. Było oczywiste, że osobliwy wygląd jegomościa nie ma nic wspólnego z ubóstwem. Rudzielec trzymał w ręku nieduży neseser, który w przeciwieństwie do niechlujnego ubrania był elegancki i zadbane. Do rączki miał doczepiony plastikowy identyfikator ze szczegółowym opisem, którego nie potrafiłam odczytać z dużej odległości. Cała przywieszka była wypełniona starannie i równiutko drobnym kaligraficznym pismem. Wszystko wskazywało na to, że właściciel torby o neseser dba bardziej niż o swój wygląd.

A to ci dopiero cudak! Oglądałam go z zaciekawioną.

– Cześć – pozdrowiłyśmy go.

Rzucił nam niechętnie spojrzenie i bez uśmiechu odpowiedział:

– Dzień dobry. Witam.

Był widocznie niezadowolony ze spotkania z nami, a jeszcze bardziej z próby nawiązania kontaktu.

Co za antypatyczny typ, pomyślałam i zerknęłam na Janę. Nie zwracała na niego uwagi, ale nie spoglądała też w moim kierunku. Szła zapatrzona przed siebie.

W połowie drogi do miasteczka powiedziała nagle pod adresem jego mieszkańców:

– Nie chcę ich widzieć. Mam dość ich wścibstwa i wciskania nosa w cudze sprawy – dodała, po czym zaczęła zawracać.

Ruszyłam za nią bez słowa. To nie był dobry moment, żeby zaczynać rozmowę. Wałęsałyśmy się więc bez celu i ostatecznie dotarłyśmy w pobliże kościółka, gdzie spotkany przez nas wcześniej mężczyzna wykonywał jakieś dziwne rytuały. W pierwszej chwili nas nie zauważył. Dotykał ścian i zaglądał przez okno do zamkniętej cerkwi. Uważnie oglądał fundamenty zabytkowego obiektu i chyba nawet je mierzył.

– A ten co tu wyczynia? – szepnęła zdumiona Jana. – Jeszcze tylko wariata brakowało na wyspie.

Tajemniczy rudzielec nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest obserwowany. Właśnie przesuwając dłońmi po ścianie budynku na wysokości okien, gdy pod moimi butami trzasnął jakiś patyk. Wielbiciel zabytków drgnął, błyskawicznie się odwrócił i zaskoczony wrzasnął:

– Co, do cholery?! Co tu robicie?!

– A ty, do cholery, co tu robisz? – odparłam w tym samym tonie, bo nie podobał mi się ten facet.

– Jestem naukowcem – odburknął. Zaczął szybko zbierać z ziemi porozrzucony pod ścianą cerkwi sprzęt i chować go do swojego bajeranckiego neseserka. – Pracuję nad książką. – Bez

powodzenia usiłował nadać swojemu głosowi uprzejmy ton. – Robię pomiary kościółka do katalogu zabytkowych budowli sakralnych archipelagu Dodekanez. Mam na to tylko kilka dni, tymczasem odkąd przyjechałem na wyspę, do świątyni w ogóle nie można się zbliżyć.

– To nie powód, żeby na nas wrzeszczeć. Policja zakazuje się tu kręcić – powiedziałam groźnie. – I lepiej, żeby cię tu nikt nie widział, bo wyjaśnienia mogą ci zająć więcej niż kilka dni. Niedawno napadnięto w cerkwi na człowieka. Walczy teraz o życie w szpitalu.

– Gdzie mieszkasz? – wtrąciła się Jana. Obeszła mężczyznę wokoło i obejrzała go dokładnie.

Zachnął się i przez chwilę myślałam, że znowu wybuchnie złością, ale się opanował.

– W hotelu u Sotirisa, nad *kafenijo* – odparł. – Tam też jadam – dodał niepytany.

Grube szkła okularów powiększały jego oczy tak, że nienaturalnie wielkie były brzydkim, dominującym elementem okolonej brodą i pokrytej siwym zarostem twarzy. Przez chwilę prześlizgiwały się po nas z zainteresowaniem. Wyłupiaste i bladoniebieskie były zimne jak lód. Pomyślałam, że sam na sam wolałabym się z nim nie spotkać na tym pustkowiu. Zaniepokojony obserwował nas przez chwilę, jakby ważąc jakąś decyzję. W końcu, jak przystało na gbura, odwrócił się na pięcie i odszedł bez pożegnania. Najwyraźniej nie planował pogawędki.

– A to wredny typ – powiedziała Jana, kiedy się oddalił.

– Wczoraj wieczorem byłam w kawiarni u Sotirisa. Wyszłam tuż przed zamknięciem, ale nie przypominam sobie, żeby i on tam siedział – rozważałam to, co nam powiedział. –

Straszny i przy tym komiczny – parsknęłam rozbawiona, naśladowując nieudolnie „zaklęcia”, które odprawiał przed chwilą.

Niezdecydowane dokąd pójść, usiadłyśmy na kamiennym progu zamkniętej cerkwi. Lubiłyśmy to odludne miejsce. Oparte plecami o ciężkie wrota wyciągnęłyśmy przed siebie zakurzone, podrapane nogi i chłonęłyśmy urodę ostatnich dni greckiej jesieni. Woń traw i kwiatów mieszała się z zapachem prawie dojrzałych oliwek i pobliskiego morza, a cykady szeleściły ambitnie jak w środku lata. Można by tak siedzieć bez końca. Po chwili odważyłam się zapytać, przerywając totalne zauroczenie:

– Martwisz się o Lakisa?

Zareagowała nerwowo. Posłała mi pełne złości spojrzenie i odpowiedziała:

– Tak, i to bardzo, ale nie w taki sposób, jak myślisz.

– A w jaki? – Zaskoczyła mnie swoją reakcją.

– Martwię się, że jeśli nie wyzdrowieje, obciąży to moją rodzinę. Bez przerwy o mnie plotkują, a teraz nadarza się sposobność, by obwinić nas za to nieszczęście. Jeśli sprawy źle się potoczą, ja i mój Janis staniemy się obiektem domysłów i oskarżeń.

– Dlaczego tak uważasz?

– Dlatego, że nie widać kandydata na winnego, a my jesteśmy obrzydliwie bogaci i w dodatku pod ręką – zaśmiała się gorzko, po czym wbiła we mnie badawcze spojrzenie. – Ty też? Ty też myślisz, że coś do niego czuję?

Zaatakowana skuliłam się i wymamrotałam:

– Nie zwierzałaś mi się nigdy, ale wszyscy tak mówią, więc sądziłam, to znaczy myślałam...

– Nie. Nic do niego nie czuję. Jest nieobliczalny i porywczy. Przyjaźniliśmy się, ale nie każda przyjaźń z dzieciństwa musi się przerodzić w miłość, a historię o naszym

wielkim uczuciu wymyślił sam. Resztę, pozał się Boże, romansu dokomponowali miejscowi plotkarze. Kolejnym problemem jest to, że Lakis wierzy w swoje fantazje i nie pozwala mi żyć spokojnie w rodzinie, którą kocham. Nie mam wpływu na to, co myśli. Z maniakalnym uporem pielęgnuje własną prawdę, chociaż wielokrotnie usiłowałam mu przedstawić swój punkt widzenia. To jakiś obłąd – powiedziała.

– Masz podejrzenia, kto to mógł zrobić? – Miałam na myśli bójkę w cerkwi.

– Wiesz, że dosłownie z każdym, kogo zna, wcześniej czy później popada w konflikty. Kandydatów jest wielu.

Miejsce, w którym siedziałyśmy, było dobrym punktem obserwacyjnym. Choć od strony plaży otaczały nas kolczaste zarośla, z progu cerkwi roztaczał się wspaniały widok na miasteczko i przystań. W pewnym momencie z komisariatu wyjechał policyjny samochód. Gdy minął skrzyżowanie dróg przed cerkwią, włączył sygnał i skierował się w stronę mojej posiadłości, zrozumiwałyśmy, że coś się tam stało. Zdyszane właśnie dobiegałyśmy do głównej drogi, kiedy nadjechał kolejny radiowóz. Zatrzymał się przy nas, otworzyły się drzwi i Tasos oznajmił:

– Wsiadajcie.

Jego nadzieje na spokojny weekend najwidoczniej przysły. Rozmawiając równocześnie przez radio z posterunkiem w mieście, rzucił krótko:

– Ktoś splądrował pani mieszkanie.

– Co z Tulą? – przerwałam mu nerwowo.

– Gosposia jest w szoku. Wygląda na to, że nic się jej nie stało, ale na wszelki wypadek poprosiłem, żeby przysłali lekarza.

– Była w domu podczas włamania? – dopytywałam.

– Nie. Wchodząc, spłoszyła przestępcę. Usłyszał hałasy przy drzwiach i uciekł przez balkon.

– A psy? – zdziwiłam się.

– Nie szczekały. Włamywacz podrzucił im do kojca stertę kości.

Gdy podjechaliśmy przed dom, przy ogrodzeniu zastaliśmy sporą grupkę gapiów.

– Najrozsądniej będzie, żeby pani wróciła do siebie – powiedział Tasos, patrząc ponad głowę Jany. – Tu jest dużo ludzi. Za dużo. Będziemy mieć problemy z zabezpieczeniem śladów przestępstwa – nalegał.

Przyjaciółka spojrzała na mnie rozpaczliwie, ale wobec jego widocznej irytacji objęła mnie i tylko szepnęła do ucha:

– Trzymaj się. Zadzwońię wieczorem.

*

– Proszę się rozejść – sapał niezadowolony Tasos. – No! Proszę zrobić przejście! – Zniecierpliwiony odsuwał ciekawskich ramieniem, przepuszczając mnie przodem. – Tutaj wieści rozchodzą się lotem błyskawicy. Już nie tylko przestępcy, ale nawet gapie są o krok przed nami – mruczał z dezaprobatą. – Włączenie sygnału nie było najlepszym pomysłem – odezwał się cierpko do jednego z policjantów, którzy przyjechali na miejsce najwcześniej, żeby zabezpieczyć ślady.

– Uznaliśmy, że to poważna sprawa – odburknął miejscowy James Bond, który wiedzę o kryminalistyce czerpał z amerykańskich filmów sensacyjnych. Stał teraz przed nami wyprężony jak struna, zadowolony z siebie, z malującym się na twarzy powątpiewaniem w kompetencje zawodowe przybysza z Aten.

Mój salon przedstawiał pobożowisko. Pozrzuć i porozrzuć było wszystko, co stanowiło ruchomy majątek. Widok otwartych szuflad i splądrowanych szafek nie pozostawiał wątpliwości, że ktoś tu czegoś szukał. Było w tym coś nienaturalnego, co wzbudziło we mnie krystalizujące się stopniowo podejrzenie, że jesteśmy manipulowani.

– Może się pani rozejrzy i wstępnie zorientuje, co zginęło – poprosił Tasos. Zaraz taktownie dodał: – Będziemy tu przez jakiś czas zabezpieczać ślady. Proszę się nie spieszyć. Gdy pani przejrzy dobytek, dopełnimy formalności i spisujemy protokół.

Po tym przemówieniu zniknął za drzwiami tarasu w towarzystwie fotografa.

Snułam się po salonie jak duch. Nie lubiłam bałaganu, a jeszcze bardziej nie lubiłam sprzątać. Powoli obchodząc pokój, podeszłam do kasety z biżuterią. Była otwarta, a jej zawartość wysypano na podłogę. Przypuszczałam, że obiektem poszukiwań włamywacza była złota bransoleta, która spokojnie spoczywała w mojej kieszeni, skoro nie tknięto kosztowności ani nawet leżących na wierzchu pieniędzy.

Wyszłam na taras i zde gustowana obserwowałam, jak Tyberiusz i Klaudiusz ze smakiem obgryzają kości, oblizując się po same uszy. Uśmiechnęłam się do swoich myśli. Przypomniałam sobie, że zalety obronne psów były argumentem, który ostatecznie przekonał mojego męża do tego, żeby je przygarnąć. Tyberiusz podniósł na chwilę łeb i zamachał ogonem na mój widok, ale zaraz po tym oszłamiającym akcie powitania wrócił do swojego absorbującego zajęcia.

– A niech was – powiedziałam prawie na głos.

– Co mówisz, Klaruniu? – odezwała się za moimi plecami wchodząca do salonu Tula.

– Jak się czujesz? – odpowiedziałam pytaniem i uśmiechnęłam się najcieplej, jak potrafiłam.

– Dobrze – powiedziała bez przekonania. – Trochę się przestraszyłam.

– Jasne. – Pokiwałam głową.

– Zginęło coś? – zapytała.

– Nie, nic – odparłam szybko i dodałam, mając na myśli włamywacza: – Chyba go spłoszyłaś.

– Całe szczęście – westchnęła z ulgą.

– Całe szczęście, że tobie nic nie jest – powiedziałam z powagą. – Widziałas coś?

– Zupełnie nic. Gdyby nie bałagan, w ogóle nic bym nie zauważyła.

– Był dobrze przygotowany do tej kradzieży. Przyniósł kości dla psów i chyba wcześniej obserwował teren, skoro wiedział, jak uniknąć spotkania z tobą i uciec przez dziurawe ogrodzenie z tyłu posesji – rozgadałam się.

– Albo po prostu dobrze zna ten dom – przerwał mi Tasos. Nawet nie zauważyłyśmy, kiedy wszedł do pokoju. – Czy jest pani gotowa, by złożyć zeznania? – zapytał. Wyciągnął jakiś druk z teczki i nie czekając na odpowiedź, zaczął przesłuchanie: – Proszę wymienić i opisać możliwie dokładnie to, co zginęło.

– Nic – odparłam krótko.

– Jak to? Jest pani pewna?

– Tak. Myślę, że Tula spłoszyła włamywacza.

– Dziwne. – Zasepił się i przez chwilę pisał coś w skupieniu. – Proszę to podpisać. – Podał mi dokument. – Jest pani pewna, że nic nie zginęło? – dopytywał.

Pokiwałam twierdząco głową.

– Będę musiał zostawić tu kogoś na noc – wymruczał. – Nie podoba mi się to włamanie.

– Wykluczone! – wyrwało mi się. – Ależ to zupełnie zbędne – poprawiłam się. – Poproszę Tulę, żeby u mnie nocowała – zaproponowałam szybkie rozwiązanie.

– Jeśli przestępca jest tak zdeterminowany, że włamał się do pani domu za dnia, ryzykując, że go ktoś zobaczy, i niczego nie zabrał, to może wrócić pod osłoną nocy – przerwał mi.

– Mam psy i nie będę sama. Nie lubię obcych w domu – upierałam się.

– Pani psy to żadni obrońcy, a gosposia po środkach uspokajających zaraz zaśnie. – Tasos mówił wolno i ważył każde słowo. Obserwował mnie uważnie i chyba podejrzliwie. – Kobiety zazwyczaj boją się zostać bez ochrony w podobnych sytuacjach – kontynuował perswazję, sondując mnie przenikliwym spojrzeniem.

Zaczerwieniłam się po same uszy. Poczułam się jak gwiazda programu *Mamy cię!* i było mi wstyd. Znowu nie doceniłam funkcjonariusza z Aten i zdałam sobie sprawę, że jeśli natychmiast czegoś nie zmyślę, przestanie mi ufać. Coś mnie powstrzymywało przed wyznaniem mu prawdy. To nie był właściwy moment, żeby mu opowiadać o mojej policyjnej przeszłości i o tym, że nie jestem bezbronną kobietą, którą może przestraszyć włamywacz uciekający przez balkon przed gosposią.

– Mój mąż jest bardzo zazdrosny – wyznałam rozbrajająco po chwili namysłu.

Oślupiał. Takiej odpowiedzi się nie spodziewał.

– Ach tak – wyjąkał bezradny wobec mojego oświadczenia.

Grecja zaskakiwała go każdego dnia. Była zupełnie inna niż Anglia, w której się wychował. Nie znał tutejszych zwyczajów, a pod pozą anglosaskiego pragmatyka skrywał fascynację swoimi korzeniami i dlatego, na razie, łatwo było nim manipulować.

Absurdalna groźba wybuchu zazdrości mojego męża żeglującego obecnie po wodach Atlantyku na serio go zaniepokoiła.

Czy perspektywa wendety po powrocie Jorgosa na wyspę jest w ogóle prawdopodobna? Ubolewałam w myślach nad jego naiwnością.

– No cóż, w takim razie rozumiem i... będziemy pod telefonem. – Spojrzał pytająco.

Uwierzył bez zastrzeżeń, a ja nie miałam nawet wyrzutów sumienia! Zadowolona z obrotu sprawy bezmyślnie kiwałam głową.

W drzwiach zawahał się jeszcze. Otworzył usta, chyba z zamiarem odniesienia się do zaistniałej sytuacji, ale ostatecznie nic nie powiedział. Uznał moje potakiwanie za pożegnanie i oddalił się razem z całą ekipą.

Sprzątanie poszło nam szybciej, niż się spodziewałam. Gdy Tula przysypiała na kanapie, z kieliszkiem i butelką metaxy w rękę, wyszłam przed dom. Po ukryciu cennej bransolety w tajemnej domowej skrytce wreszcie mogłam w spokoju przeanalizować sytuację. Możliwość przypadkowego włamania natychmiast odrzuciłam. Zastanawiałam się, kto mógł zgubić ten przedmiot, a potem włamać się do cerkwi i do mojego domu. Oczywiście osoba, która zgubiła biżuterię, nie musiała być tą samą, która pobiła Lakisa. Pewne było tylko to, że zgubiła ją przed cerkwią, prawdopodobnie była tam w dniu bójki rano i koniecznie chciała to ukryć. Włamywaczem mógł być każdy, kto podejrzewał albo widział, że znalazłam zgubę. Każdy, kto wiedział, że byłam tam tego dnia, lub ktoś, kto obserwował mnie przed cerkwią z ukrycia.

Uświadomiłam sobie nagle, że moje przeczucie, że ktoś się czai w krzakach, gdy podchodziłam do kościółka, nie musiało

być złudzeniem. Poczułam ogarniający mnie niepokój i rozejrzałam się dyskretnie. Zabrałam niedopity alkohol i z butelką metaxy pod pachą przezornie wróciłam do salonu. Bardzo, bardzo starannie zamknęłam za sobą drzwi na taras.

Jeśli Lakis nie wydobrzeje, to kto wie, może nie dowiemy się nigdy, co tam zaszło. Trapiły mnie wątpliwości. Cała sprawa była tajemnicza. Przed oczyma stanęły mi obrazy z cerkwi. Ślady, które tam widziałam, nie wskazywały na logiczne i proste rozwiązanie. Przeciwnie, wnioski wzajemnie się wykluczały. Żadna moja koncepcja nie była doskonała. Każda miała jakiś słaby punkt i prowadziła donikąd. Dodatkowo jeden fakt, z punktu widzenia logiki, uniemożliwiał rekonstrukcję wydarzeń. Nieprzytomnego i krwawiącego Lakisa znaleziono w zakrystii pod oknem, podczas gdy wszystko wskazywało na to, że do bójki doszło nie tam, ale przed ikonostasem, gdzie zadbano o usunięcie śladów zajścia. Po co tuż przed ucieczką z miejsca przestępstwa, pod silną presją czasu, sprawca tracił cenne sekundy na to, żeby sprzątać? Jeszcze nigdy nie spotkałam się z podobnym zachowaniem. Jaki to miało cel? Próbę ukrycia zdarzenia przed oczyma przypadkowo zagląających do kościółka turystów? Kim był sprawca, który spokojnie zacierał ślady, podczas gdy jego ranna ofiara krwawiła na podłodze zakrystii? A może sprawców było kilku? Ostatecznie wobec faktu, że Lakis przyszedł do cerkwi z matką, na którą potem czekał, takie postępowanie nie miało sensu. Byłoby tylko niepotrzebną stratą czasu. Nie mogłam też zrozumieć, w jakim celu do nawy z zakrystii przyniesiono krzesło i postawiono je przed ikonostasem. Przecież stoi tam kilka rzędów ławek. W których szczegółach ukrył się diabeł? Wciąż zadawałam sobie nowe pytania, na które nie znajdowałam odpowiedzi. Tylko jedna kwestia nie była dla mnie tajemnicą – płacz cudownej

ikony. Przynajmniej tę zagadkę rozwiązałam. Potrafiłam udowodnić, na przekór wszystkim świadkom, że Mateńka nie roniła łez. Nie tym razem.

I jeszcze bransoleta, którą znalazłam... Chociaż nie potrafiłam tego na razie sprecyzować, kojarzyłam ją z jakimś zdarzeniem z przeszłości. Byłam przekonana, że wcześniej czy później zidentyfikuję jej właściciela, jeśli tylko przypomnę sobie, gdzie i kiedy zetknęłam się z podobnym przedmiotem. Czy włamywacz też o tym wiedział?

Miałam w ręku jedyny wartościowy dowód rzeczowy w sprawie i teraz toczyłam wewnętrzną walkę z pokusą. Pociągała mnie perspektywa samodzielnego dochodzenia do prawdy. Dwukrotnie zrezygnowałam z możliwości przekazania znaleziska Tasosowi, bo liczyłam na własne rozwiązania. Jednak czas upływał, a sytuacja wymykała się spod kontroli. Jeśli ta sama osoba, która pobiła Lakisa, zgubiła bransoletę, a później włamała się po nią do cerkwi i do mojego domu, to teraz ja mogłam się stać obiektem ataku.

Ostatecznie okoliczności wymusiły na mnie racjonalne postępowanie. Postanowiłam oddać złotą ozdobę miejscowym stróżom prawa. Po kolejnym włamaniu właśnie taka decyzja była najrozsądniejsza. Ludzie, którzy grasowali na wyspie, kimkolwiek byli, bezwzględnie dążyli do celu. Czułam, że robi się niebezpiecznie.

Rozdział 5

Był ciepły, słoneczny poranek. Od wydarzeń w cerkwi minął tydzień. Za okazałym biurkiem w budynku komisariatu policji na Toros zasiadł komendant – Kostas – z widoczną tremą i niepewną miną. W wizytowej koszuli i krawacie pocił się obficie z przegrzania i emocji. Przecierając czoło pogniecioną kraciastą chustką, popijał wodę mineralną prosto z plastikowej butelki.

Nasz gość z Aten pojawił się w ostatniej chwili, co, biorąc pod uwagę jego w połowie angielską krew, pozwalało przypuszczać, iż w głębi duszy jest bardzo grecki. Pozdrowił nas głośno od drzwi i od razu podrzucił na biurko tutejszego szefa przygotowane wcześniej pytania dla świadków.

Zapytał sympatycznie:

– I jak się pani spało po tym włamaniu?

– Spokojnie – odparłam, uśmiechając się, by nieco rozładować atmosferę napięcia, która opanowała biuro.

Nastroje na wyspie nie były lepsze. Stan przebywającego w szpitalu Lakisa Margaritisa był taki sam, jak w dniu pobicia. Syn Anny i Stawrosa jak dotąd nie odzyskał świadomości. Według lekarzy jego szanse na przeżycie były coraz mniejsze. Senność i nuda – jeszcze niedawno tak określiłam miejscową atmosferę. Tymczasem wydarzenia ostatnich dni wstrząsnęły mieszkańcami wyspy. Przewróciły ich poukładany świat do góry nogami. Osaczeni tajemniczymi zdarzeniami oczekiwali w napięciu, co się jeszcze stanie. Niektórzy z nich mieli za chwilę złożyć pierwsze w życiu zeznania w sprawie kryminalnej.

Siedziałam przy maszynie do pisania i czekałam na rozwój wydarzeń. Posterunkowy Nikos wprowadził Annę Margaritis. Wejście matki poszkodowanego wywołało u obecnych

współczucie i życzliwość. Kostas poderwał się z miejsca i odwrócił w jej kierunku wirujący bezgłośnie wentylator, a posterunkowy postawił przed nią szklankę na napoje chłodzące. Wyglądała tak samo źle, jak kilka dni temu, kiedy z nią rozmawiałam. Rozglądała się obojętnie po wnętrzu biura, a kiedy napotkała moje spojrzenie, wykrzywiła twarz i usiłowała się uśmiechnąć. W rękę ścisnęła kurczowo białą chustkę do nosa. Chwilami gniotła ją nerwowo i obracała w palcach. Tylko po tym można się było domyślić, jak wiele ją kosztuje rozmowa z nami. Po wstępnych formalnościach padły pytania. Odpowiadała na nie cicho i nad wyraz spokojnie.

– Dlaczego Lakis przyjechał na wyspę właśnie teraz? Czy miał tu jakieś interesy? – dopytywał Kostas.

– Nic o tym nie wiem i nie sędzę, żeby miał ważne sprawy do załatwienia. Przyjechał nas odwiedzić i postanowił zostać dłużej niż zwykle, bo miał zranioną rękę. To wszystko.

– Czy spotykał się z kimś w domu?

– Nie, z nikim – odparła zdecydowanie.

– Czy ma wrogów? – wybrzmiało natychmiast kolejne pytanie.

Po chwili wahania Anna odparła niezdecydowanie:

– Nie wiem. – I skuliła ramiona.

– Czy w jego zachowaniu zauważyłaś ostatnio coś niezwykłego? – sondował świadka Kostas.

– Nie.

– O której godzinie wyszliście z domu? O czym rozmawialiście w drodze do cerkwi? – Pytania padały jedno po drugim.

– Prawie wcale nie rozmawialiśmy. Wstaliśmy wcześniej i byliśmy trochę zaspani, a z domu wyszliśmy o piątej

czterdzieści. Jak zwykle. Droga do kościółka zazwyczaj zajmuje jakieś piętnaście do dwudziestu minut.

– Czy kogoś spotkaliście?

– Tylko psy Klary. – Znowu popatrzyła w moim kierunku.

– O której godzinie dotarliście na miejsce?

– Dokładnie o szóstej. Gdy otwierałam drzwi cerkwi, zaczęły bić dzwony w klasztorze po drugiej stronie wyspy.

– Czy wszystko w środku wyglądało tak jak zwykle? – Kostas patrzył na nią badawczo.

– Tak. Nawet wody do sprzątnia, jak zwykle, nie miałam przygotowanej. – Uśmiechnęła się blado. – Ojciec Teodor jest niesłowny. No cóż, mężczyzna. – Pokiwała głową ze zrozumieniem i z zabawną rezygnacją.

– Co było potem?

– W jednym z wiader była tylko odrobina wody. Wzięłam więc dwa pozostałe i poszłam do wodociągu.

– Co wtedy robił Lakis?

– Zanim wyszłam z cerkwi, powiedział, żebym się nie spieszyła. – Na wspomnienie syna głos Anny lekko zadrżał.

– Ile czasu zazwyczaj zabiera przyniesienie wody?

– Jakies dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut. Ścieżka na plażę jest wąska i stroma. Trzeba schodzić, a szczególnie wracać bardzo ostrożnie.

– Jak długo to trwało tego dnia?

– Nieco dłużej. Przy wodociągu spotkałam turystę, któremu dość długo opisywałam drogę do hotelu Sotirisa. Wokół nas znowu biegały psy Klary. – Kolejny raz uśmiechnęła się do mnie, przełamując smutek.

– Jak wyglądał ten człowiek? Możesz go opisać?

– Rudy, drobny, w okularach o bardzo grubych szklach. Spod zaniedbanej brody i siwiejącego zarostu prawie nie było

mu widać twarzy. Jakiś dziwak. – Widząc nasze zaskoczone miny, dodała: – Przywołał mnie, prosił o pomoc, ale kiedy się zbliżyłam, zachował się jak gbur. Najpierw łypał w moim kierunku spod nisko opuszczonej głowy, potem stanął do mnie bokiem, a na koniec odwrócił się prawie plecami. Pytania rzucał przez ramię, a odpowiedzi zapisywał, wodząc nosem po kartce. To byłoby nawet zabawne, gdyby nie jego arogancja. – Przez chwilę zastanawiała się nad czymś. Ściągnęła brwi w pionową bruzdę. – Tak. Dziwaczny ubiór, zachowanie, a nawet te okulary. Wszystko było nietypowe.

– Czy spotkałaś jeszcze kogoś?

– Nie, ale z daleka widziałam studentów, którzy mieszkają na naszej plaży. Na brzegu morza zauważyłam też Dimitrisa Samarasa, który przeglądał swoje sieci. Wiesz przecież, że nasze plaże sąsiadują ze sobą, ale źródło i wodociąg leżą na jego posesji – przypomniała. – Byłam na jego terenie – dodała.

Drgnęłam. Tego Anna mi nie opowiadała, gdy u niej byłam. Czyżby zapomniała?

– Nie rozmawialiście? – upewniał się Tasos.

– Nie. Nie jestem nawet pewna, czy mnie zauważył.

– Co się wydarzyło, kiedy wróciłaś do cerkwi? – Kostas kontynuował przesłuchanie. Jego głos brzmiał teraz łagodnie i miękko. Było widać, że Anna boi się tego pytania, bo jeszcze bardziej skuliła ramiona.

– Gdy zobaczyłam, że nasza Madonna płacze, zostawiłam wiadra na środku przed ikonostasem i rzuciłam się na kolana do modlitwy.

– Czy nie zdziwiło cię to, że Lakis na ciebie nie czeka?

– Nie – odparła bez wahania. – Sądziłam, że wyszedł na chwilę. Lubi palić papierosy i podziwiać ze wzgórza widok na zatokę.

– Co było potem?

Zapadła cisza. Anna wzięła głęboki wdech i umilkła. Siedziała jakiś czas, patrząc przed siebie, nieponaglana przez nikogo, a po chwili odetchnęła głęboko i z pozornym spokojem, bardzo cicho opowiadała:

– Z kolan podnieśli mnie Stawros i ojciec Teodor. Przez chwilę obserwowaliśmy płaczący obraz, ale gdy przed ikonostas wypłynęła krew, kompletnie potraciliśmy głowy. – Annie było coraz trudniej mówić, jednak wciąż panowała nad sobą. – Pop wszedł za przegrodę, a kiedy wrócił, wyszeptał ochryplym, nieswoim głosem, że to Lakis jest ranny i że trzeba natychmiast wezwać lekarza. Mój syn leżał nieprzytomny na podłodze zakrystii, pod oknem. – Trzęsąc się z emocji, Anna z trudem kontynuowała relację. – Teodor wezwał lekarza i policję, bo żadne z nas nie było w stanie tego zrobić. – Z wrażenia wyraziła się poufale o duchownym, co zupełnie do niej nie pasowało i na co chyba nikt, prócz mnie, nie zwrócił uwagi. W jej oczach pojawiły się łzy.

– Co robiłaś, gdy czekaliście na pomoc? – Kostas prowadził teraz przesłuchanie, nie patrząc na nią. – Gdzie wtedy byłaś, a gdzie był Stawros?

– Klęczałam przy moim chłopcu, trzymałam go za rękę i modliłam się. Byłam z nim przez cały czas, aż do chwili kiedy przyjechała karetka.

– A Stawros? – podpowiedział policjant.

– Był zrozpaczony i chyba w szoku. Zataczał się jak pijany, zanim stanął w drzwiach zakrystii. Miałam wrażenie, że nie jest w stanie spojrzeć na Lakisa. Kiedy w końcu wszedł na zaplecze cerkwi, oparł się o ścianę, oburącz chwycił za głowę i szeptał w kółko, że to niemożliwe. Powtarzał to wiele, wiele razy: „To niemożliwe, Anno, to niemożliwe”.

– Co niemożliwe? Co miał na myśli? Płaczącą Madonnę czy ten wypadek? – wtrącił się Tasos niepotrzebnie.

– Nie wiem! Nie mam pojęcia! Skąd mogę wiedzieć? – wybuchł nagle świadek, rzucając mu pełne rozpaczy spojrzenie.

– Czy w cerkwi coś się zmieniło podczas twojej nieobecności? – Na szczęście znowu odezwał się Kostas.

– Tak, ktoś postawił przed ikonostasem krzesło spowiednika, to z zakrystii, i wydaje mi się, że gdy wychodziłam, trzecie, prawie puste wiadro na wodę też stało w innym miejscu.

– Jak długo czekaliście na pomoc?

– Długo – powiedziała z goryczą. – Za długo – poprawiła się. – Już po kilkunastu minutach przybiegł z miasteczka zdyszany lekarz, a zaraz po nim przyszli policjanci, ale dopiero w południe przyleciał helikopter sanitarny z Aten. Lakis znalazł się w szpitalu późnym popołudniem.

Wymieniliśmy spojrzenia. Za ekologiczny żywot, z dala od wielkiej cywilizacji, wyspiarze często płacili wysoką cenę.

– Czy zauważyłaś coś jeszcze? Czy chciałabyś coś dodać? – padło rutynowe pytanie.

Po krótkim namyśle Anna pokręciła przecząco głową.

– Czy domyślasz się, a może podejrzewasz, kto to mógł zrobić?

Zaprzeczyła głową raz jeszcze. Była bardzo smutna. Gdy podpisała zeznania i wyszła, przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– Przygotuj wezwanie dla Dimitrisa Samarasa – powiedział w końcu Tasos do posterunkowego Nikosa. – Aha, i wezwijcie mi tego greckiego turystę z plaży. O tej porze roku nie powinno być większych problemów z odnalezieniem go. O ile jest jeszcze na wyspie.

– Chyba jest – wtrąciłam. – Spotkałam go dopiero co w pobliżu cerkwi podczas jakichś pomiarów. Podobno jest naukowcem. Wątpię, by w tak niesprzyjających okolicznościach zebrał już materiały do swojej publikacji naukowej, więc pewnie gdzieś się tu jeszcze szwenda. – Zaraz gdy to powiedziałam, uświadomiłam sobie sens swoich słów. Facet kręcił się ciągle w pobliżu miejsca tragedii.

– To znaczy, że on znowu był koło cerkwi? – Tasos rzucił pytanie, na które nie oczekiwał odpowiedzi.

Posterunkowy Nikos, który z zaciekawieniem przysłuchiwał się naszej rozmowie, na widok jego pochmurnego spojrzenia ruszył wreszcie w kierunku drzwi.

– Temu cudakowi nie wolno opuszczać wyspy aż do przesłuchania! Dopilnuj tego! – krzyknął za nim zwierzchnik.

W mojej głowie zalęgło się podejrzenie. Ten dziwak był na plaży w dniu pobicia, był ostatnio znowu przed cerkwią, a może... Może był też u mnie w domu? Przypomniałam sobie zimne spojrzenie jego szarobłękitnych oczu i znowu poczułam chłód.

– Mamy jeszcze do przesłuchania Sotirisa, ojca Teodora i dwoje studentów z Polski – wyliczał Kostas.

– Dwoje? – zdziwiłam się. – Dlaczego tylko dwoje? Na plaży mieszka ich czworo.

– Tak, ale bracia, Janek i Jurek, trafili dzisiaj rano do miejscowego ośrodka zdrowia z objawami zatrucia. Podobno to tylko chwilowa niedyspozycja.

– Te dzieciaki powinny zmienić lokum – sapnął zatroskany Tasos. – Plaża nie jest miejscem, gdzie można mieszkać. Nawet w Grecji.

– Uhm – zamruczał Kostas do siebie. – Skoncentrujemy się na tych, którzy czekają, a chorych przesłuchamy, gdy będą w

formie. Pewnie za kilka dni. Może to nawet lepiej, bo oprócz nich i tak mamy do przesłuchania jeszcze innych świadków – dokończył. Przerzucał papiery na biurku i co chwilę zerkał nerwowo na zegarek.

Tasos obserwował go spod oka, chłodząc sobie twarz chustką do nosa zmoczoną w wodzie mineralnej.

– A po zebraniu zeznań zbudujemy hipotetyczną wersję wydarzeń – wtrącił. – Oczywiście po sjeście – dodał, zerkając prowokacyjnie w kierunku kolegi, który tylko wzruszył ramionami. Ledwie obeznany z miejscowymi zwyczajami Grek z Anglii popisywał się wiedzą. – Sen i wypoczynek w porze sjesty to rzecz święta – rozwinął komentarz i niezrażony brakiem reakcji na zaczepkę, mrugnął do mnie porozumiewawczo.

W tym momencie otworzyły się drzwi. W progu stanął nieproszony Teodor. W długim czarnym habicie pod słońce wyglądał jak duch. Zaskoczony, że stoimy wszyscy przy jednym biurku, zatrzymał się niepewnie w progu. W spłowiełej sutannie, z siwiejącą brodą, ale rosły i szeroki w barach na tle wąskich drzwi prezentował się imponująco. Podniszczony, skromny strój duchownego skrywał wciąż przystojnego i silnego mężczyznę. Obrzucił nas uważnym, surowym spojrzeniem.

– Ależ proszę, ojczy, proszę. – Kostas poderwał się, żeby podsunąć mu krzesło.

Obyty w kontaktach z ludźmi duchowny wszedł do środka bez skrępowania, które często towarzyszy przesłuchiwanym.

– W czym mogę wam pomóc? – rozpoczął niepytany, od razu gdy usiadł.

Kostas sapnął zakłopotany:

– Nazwisko i imię – zaczął.

Zdumiony Teodor oparł się o biurko i zapytał:

– Czyś ty, Kostaki, kompletnie po tej tragedii oszalał?

– To taka procedura, ojczy.

– Ty mnie głupstwami, synu, głowy nie zawracaj, tylko mów od razu, czego ode mnie chcesz. No? – zapytał groźnie pop.

– Proszę powiedzieć, o której godzinie przyszedł ojciec do cerkwi tego dnia. I po co. – Tasos pospieszył na odsiecz koledze.

Teodor zastanowił się przez chwilę i nie patrząc już więcej na Kostasa, odpowiedział:

– Było po wpół do siódmej. Może szosta czterdzieści. Przyszedłem, bo przypomniałem sobie, że nie przygotowałem Annie wody do sprzątnia. Chciałem zobaczyć, jak sobie poradziła, i przeliczyć świeczniki, które konserwatorzy zabytków w wielkim nieładzie porzucili dwa dni wcześniej na podłodze zakrystii.

– Czy spotkał ojciec kogoś w drodze do cerkwi?

– Tak. Zaraz za głównym skrzyżowaniem, gdy zacząłem się wspinać pod górę, dopędził mnie Stawros.

– Dlaczego dopędził?

– Bo miałem wrażenie, że się spieszy.

– Rozmawialiście?

– Nie. – Odpowiedź była tak samo krótka i jednoznaczna, jak pytanie.

– Co zastaliście w cerkwi? – Tasos kontynuował przesłuchanie, notując coś dyskretnie. Pochylony nad biurkiem, nie patrzył na popa.

– Przed ikonostasem klęczała zapłakana Anna i twierdziła, że cudowna ikona Madonny roni łzy.

– Jak to twierdziła? To w końcu ikona płakała czy nie? – Tasos uniósł głowę.

– No... tak – duchowny rozglądał się bezradnie – ale...

- Co ale? – ciągnął go za język nasz inspektor.
- Zza przegrody wypływała krew i na Mateńkę już potem nie patrzyliśmy wcale. Nie było czasu.
- Co było dalej?
- Wbiegłem do zakrystii po śladach krwi i na podłodze zobaczyłem nieprzytomnego Lakisa. Zaraz potem wezwałem pomoc.
- Może to ojciec opisać dokładniej?
- Syn Margaritisów leżał na podłodze pod oknem nieprzytomny i zakrwawiony. Prawdę mówiąc, w pierwszej chwili pomyślałem, że nie żyje. Na szczęście oddychał i szybko się zorientowałem, że jest inaczej.
- Jak to przyjęli jego rodzice?
- Anna podbiegła do niego, uklękła i złapała chłopaka za rękę. Tak już przy nim została. Stawros najpierw stał w drzwiach zakrystii, a potem zatoczył się jak pijany na ścianę i mamrotał, że to niemożliwe. Poblady na twarzy nie podchodził blisko. Miałem wrażenie, że znosi widok rannego Lakisa dużo gorzej niż Anna.
- Czy tego ranka zauważył ojciec w cerkwi coś szczególnego?
- Tak – odparł duchowny. – Jedno z krzeseł, które zazwyczaj stoją w zakrystii, bo tam spowiadam wiernych, ktoś przyniósł i postawił przed ikonostasem.
- Co to może znaczyć? – zainteresował się Tasos.
- Nie mam pojęcia. – Teodor potrząsnął burzą siwiejących włosów, które niedbale opadały mu kosmykami aż do ramion. Uwagę przykuwało jego przenikliwe spojrzenie, a podeszły wiek zdradzały jedynie widoczne z bliska drobne zmarszczki wokół oczu.

– Dlaczego Anna, żona właściciela tawerny, od wielu lat osobiście sprząta kościół? – dopytywał Tasos.

– Anna obszywa za darmo całe miasteczko, choć nie jest krawcową i nie musi. Taka już jest, że różne rzeczy robi bezinteresownie, żeby pomóc. A Mateczce Przenajświętszej jest, jak widać, coś dłużna, że tak o nią dba. Najrozsądniej ją samą, Annę – podkreślił – o to zapytać.

– Czy w sprawie pobicia Lakisa ma ojciec jakieś przemyślenia lub podejrzenia? – Policjant, zganiony przez popa, zmienił temat.

– Jako duszpasterz jestem daleki i od podejrzeń, synu, i od osądzania innych – odparł wymijająco Teodor.

– Czy Lakis miał zatargi z mieszkańcami miasteczka? Czy słyszał ojciec coś na ten temat?

– Nic konkretnego nie wiem, ale że miał paskudny charakter, to chyba każdy przyzna.

– Czy to prawda, że ostatnio pozytywnie się zmienił, i to tak bardzo, że regularnie przystępował do spowiedzi?

Przez twarz duchownego przebiegł skurcz. To pytanie, nie wiedzieć dlaczego, kompletnie wytrąciło go z równowagi.

– O moich kapłańskich posługach, a szczególnie o spowiedzi wiernych, rozmawiać nie będziemy, bo to się nie godzi. Nie wolno mi tego robić, synu. Powiem ci jedno: nikt na świecie nie jest bez skazy i winy. Jeśli Bóg da nam jakiś krzyż, choćby to był paskudny charakter, niewiele możemy w tym względzie zmienić. Z tą wolną wolą u człowieka to nie taka prosta sprawa.

Po tym krótkim i emocjonalnym wystąpieniu duchowny zamilkł. Przesłuchanie wyraźnie zmierzało donikąd, a Teodor nie wykazywał już woli współpracy.

Gdy wyszedł, przez chwilę milczeliśmy. Potem Tasos powiedział:

– No, to jesteśmy wciąż w punkcie wyjścia.

– Liczę na młodzież – wtrąciłam nieśmiało, mając na myśli moich polskich przyjaciół.

– A ja nie – ubolewał Tasos. – Z naszych kiepskich kontaktów w technice manualnej – uśmiechnął się – zrozumiałem tyle, że nic nie wiedzą.

Nie podjęłam tematu. Znałam fakt, który kompletnie mógłby go zaskoczyć. Byłam pewna, że studenci zauważyli coś ważnego i ukrywają to. Tylko dlaczego kłamią? Tego nie wiedziałam. Domyślałam się, że ze strachu.

Po chwili siedział przed nami Stawros. Wyglądał fatalnie: blady, z podkrążonymi oczyma i trzęsącymi się rękoma. Był niestarannie ubrany i nieogolony, jak ciężko chory pacjent w poczekalni u lekarza, a nie oczekujący na przesłuchanie świadek. Trudno było w nim rozpoznać sympatycznego i dowcipnego męża Anny. Natychmiast gdy wszedł, Kostas postawił przed nim na stole metalową popielnicę i popatrzył pytająco w moim kierunku. Wzruszyłam ramionami. Dałam do zrozumienia, że się zgadzam. Przykro było patrzeć na malujące się na twarzy ojca Lakisa cierpienie. Chyba rzeczywiście znosił tę tragedię gorzej niż żona.

– Czy syn podczas ostatniej wizyty zachowywał się tak, jak zwykle, gdy przyjeżdżał do domu? – zapytał Kostas.

– Wydaje mi się, że tak.

– Czy ktoś go odwiedzał?

– Nie.

– Czy podejrzewasz kogoś o tę napaść?

Stawros przełknął głośno ślinę i odpowiedział:

– Oczywiście, że nie.

– O której godzinie Anna i Lakis wyszli tego dnia z domu?
– padło kolejne pytanie.

– O piątej czterdzieści, jak zwykle. W sypialni nad łóżkiem wisi zegar – dodał.

– Dlaczego poszedł pan za nimi do cerkwi? Po co? – Tym razem zapytał Tasos.

– Nie mogłem zasnąć, gdy wyszli. Pomyślałem, że Anna może potrzebować mojej pomocy, skoro Lakis ma zranioną rękę. Na popa nie można liczyć w takich sytuacjach.

– Co się synowi stało?

– Skaleczył się haczykiem podczas wędkowania. To jego hobby.

– Spotkał pan kogoś w drodze do cerkwi? – Dialog rozwijał się błyskawicznie.

– Za skrzyżowaniem głównej drogi z szosą do przystani spotkałem Teodora – odparł przesłuchiwany.

– Która to mogła być godzina? – padło rutynowe pytanie.

Stawros, ociągając się, odpowiedział:

– Nie wiem dokładnie, ale przypuszczam, że po wpół do siódmej.

– Jak to rozumieć?

– Gdy wychodziłem z domu, na zegarze w salonie była szósta dwadzieścia. Do skrzyżowania z cerkwią idę zazwyczaj około piętnastu minut. Można więc sądzić, że gdy tam doszedłem tego dnia, też była co najmniej szósta trzydzieści pięć.

– Jak często towarzyszył pan żonie podczas sprzątania cerkwi?

Zaskoczyła nas dość długa cisza, a potem odpowiedź:

– Nigdy dotąd.

– To dlaczego tym razem postąpił pan inaczej? – Widać było, że Tasos jest odpowiedzią zaintrygowany.

– Żona narzekala wieczorem, że źle się czuje, i to mnie zaniepokoiło.

– Dlaczego Anna sprząta kościółek? – wtrącił się Kostas.

– Nie wiem. Zawsze to robi, odkąd ją znam. A co, nie wolno? – zdenerwował się Stawros. – I co to ma do rzeczy?

– Proszę się uspokoić. My tylko gromadzimy fakty. – Tasos coraz uważniej przyglądał się świadkowi. – Co pan zobaczył po wejściu do cerkwi?

– Płaczącą i modlącą się na kolanach Annę – zastanawiał się Stawros. – Ikonę, po której spływały łzy, no i – zawahał się przez moment – wypływającą zza ikonostasu krew. Jak się potem okazało, krew Lakisa.

– Dlaczego powtarzał pan wiele razy, patrząc na nieprzytomnego syna, że to niemożliwe? Co się panu wydawało niemożliwe?

Świadek się zastanowił, a potem udzielił odpowiedzi, której się spodziewałam:

– Wszystko. – I jeszcze gniewny komentarz: – A gdyby pan był na moim miejscu, uwierzyłby, że to się dzieje naprawdę? Toros to nie Los Angeles.

– No, może i tak – przyznał Tasos. – A czy to prawda, że pan i syn... że mewacie panowie głośne sprzeczki? – zapytał niespodziewanie, przechylając się w kierunku przesłuchiwanego.

Byłam pod wrażeniem tempa i sposobu, w jaki prowadził rozmowę, ale choć strzał był celny, a pytanie zadane we właściwym momencie, skutek okazał się mizerny.

– Tak – odpowiedział spokojnie Stawros. – Ale nigdy nie dochodzi między nami do bójk. Moja żona może to

potwierdzić. Lakis jest bardzo porywczy, ale to nieprawda, że bije swoich bliskich.

Po tym oświadczeniu zapadła krępująca cisza.

– Chciałbyś coś jeszcze dodać od siebie? – zapytał Kostas na koniec.

– Nie – wybrzmiała krótka, gniewna odpowiedź.

To była przykra rozmowa. Kiedy za Stawrosem zamknęły się drzwi, poczuliśmy ulgę. Odpoczywaliśmy, sącząc w narastającym upale wodę mineralną, podczas gdy posterunkowy Nikos znowu pojawił się przy nas jak dobra wróżka. Teraz wietrzył nam pokój.

– Cierpi – powiedziałam głośno, mając na myśli Stawrosa, a Tasos popatrzył na mnie, wykrzywił usta z powątpiewaniem i mruknął:

– Kłamie!

– Myślałam tak samo. Miałam wrażenie, że wszyscy coś ukrywają.

Kiwnęłam znacząco głową do młodszego rangą kolegi. Kostas powiedział natychmiast:

– Dobrze, Niko. Wystarczy. Idź już do swoich zajęć. Gdy wznowimy przesłuchanie, przyprowadzisz te dzieciaki z Polski.

– Czekają od rana – wtrącił posterunkowy z pretensją w głosie i wyszedł.

– Cierpliwości, niech jeszcze chwilę poczekają. – Tasos zamknął za nim drzwi i spojrzał na mnie przenikliwym wzrokiem.

Nasz młody inspektor wyraźnie zabiegał o to, żeby zasłużyć na sympatię miejscowych. Niektóre rozsądne działania, takie jak przekazanie prowadzenia przesłuchania Kostasowi, zostały uwiecznione sukcesem i wyraźnie docenione. Inne nie były aż tak efektywne. Wprawdzie kolega z Aten nie pojawił się dzisiaj w

garniturze i nieodłącznych lakierkach, ale i tak jego sportowy strój, a szczególnie kosztowne adidasy, wyglądały nad wyraz imponująco. Tylko naklejonej ceny stu funtów brakowało na ich masywnych czubach.

Jego wytworna powierzchowność była myląca. Sugerowała próżnego playboya, a skrywała profesjonalistę dobrze przygotowanego do swojej pracy. Błyskotliwe uwagi i trafne wnioski, którymi już nieraz mnie zaskoczył, nie pozwalały mieć wątpliwości co do jego kompetencji. Stał teraz przede mną. Oczekiwał skruchy, a przynajmniej szczerości.

– Dowiemy się wreszcie, co pani ukrywa? – zapytał. – Albo raczej, czego nam nie mówi? – poprawił się, przeszywając mnie na wylot badawczym spojrzeniem. Wyczuł, że się waham, i dodał: – Wzajemne zaufanie to podstawa współpracy.

Bez słowa wyciągnęłam z kieszeni znaną przed cerkwią złotą bransoletę i położyłam ją na stole.

– To zgubił i tego szukał.

– Kto? – wykrzyknęli obaj policjanci równocześnie.

– Nie mam pojęcia – odparłam. – Wygląda na to, że najpierw włamał się po nią do cerkwi, a potem do mojego domu.

– Gdzie pani to znalazła?

– Przed drzwiami kościółka. Tego dnia, gdy wydarzyła się tragedia.

– Fiu, fiu – gwizdnął Kostas. – Wreszcie mamy dowód rzeczowy.

– Jakież linie papilarne? – zapytał Tasos.

– Wątpię, biżuteria była wdeptana w piach i cała zakurzona.

– Ciężka, droga i niewątpliwie męska. Czyż nie? – zapytał Kostas, ważąc ją w dłoni.

– Musi mu na niej bardzo zależeć, jeśli zaryzykował dwukrotne włamanie – powiedziałam i zaraz dodałam: – Dziwne. Jest taka... nijaka.

– Na własne życzenie znalazła się pani w niebezpieczeństwie. Trzeba natychmiast rozgłosić, że to my ją mamy – denerwował się Tasos.

– Z tym nie będzie kłopotu. Pokażemy to cacko kilku świadkom, popytam w *kafenijo* i po południu wszyscy będą doinformowani – uspokajał Kostas.

– A, no pewnie, pewnie, że tak – westchnął z rezygnacją Tasos. – Macie jakiś pomysł? – Wskazał brodą na leżącą na stole błyskotkę. Zaprzeczyliśmy oboje. – Podrzucę ją chłopcom do laboratorium. Może jednak coś ustalą – mruknął i delikatnie wsadził bransoletę do foliowej osłony.

– To nie koniec niespodzianek – wyznałam nieśmiało. – Za chwilę będziemy przesłuchiwać dwoje młodych ludzi. Jestem przekonana, że nie zrobili nic złego, ale wiem, że kłamią.

– To znaczy? – Tasos zmarszczył brwi.

– Ewa i Adam całe dzieciństwo spędzili w Anglii, gdzie ich ojciec był konsulem. Studiują lingwistykę stosowaną języka angielskiego już od kilku lat. Kiedy mnie poprosiliście o tłumaczenie ich zeznań, byłam zaskoczona. Wątpię, żeby nie potrafili się porozumieć po angielsku. Z tego, co mi wiadomo, cała czwórka studentów z Polski mówi po angielsku nie gorzej niż pan. Wasze rozmowy na migi, w technice manualnej – uśmiechnęłam się mimo woli – to oczywisty unik przed przesłuchaniem. Nie podejrzewam ich o głupi żart. Przypuszczam, że się czegoś boją.

Rozległo się kolejne przeciągłe gwizdnięcie komendanta komisariatu, a Tasos osłupiał. Miał tak głupią minę, że oboje z Kostasem nie pohamowaliśmy się. Nasz wybuch śmiechu

spowodował, że drzwi się uchyliły i do biura na moment wsadziła głowę wiecznie rozczochrana ruda sekretarka Kostasa.

– Nie teraz, nie teraz – ofuknął ją.

– A to cwane szczeniaki – przyznał Tasos nie bez podziwu.

– Nie spodziewali się, że zastaną tutaj... Klarę. – Zerknął na mnie z ukosa i poczerwieniał.

Uśmiechnęłam się do niego przyzwalająco, zadowolona, że chociaż ten problem mamy za sobą. Na wyspie wszyscy zwracali się do siebie po imieniu. Nawet kelnerów przesadna grzeczność turystów wprawiała w zakłopotanie.

– Co robimy? – Widać było, że szuka w myśli najlepszego rozwiązania.

– Możemy ich zdemaskować i zmusić do szczerości tylko wtedy, gdy wszyscy razem będą do naszej dyspozycji – odezwał się Kostas. – A to znaczy, niestety, że nie dzisiaj. Skoro nie wiemy, że Klara uczestniczy w przesłuchaniach – uśmiechnął się złośliwie pod nosem – zagramy tak, jak oni. Odłożymy tę rozmowę, ale każę ich obserwować – zaproponował. – Jest szansa, że coś odkryjemy i przy tym zapewnimy im bezpieczeństwo. Nie mamy żadnych podstaw do tego, żeby ich zatrzymać, a jeśli się przestraszą jeszcze bardziej, mogą wyjechać.

Nie oponowaliśmy, bo pomysł był rozsądny. Śledztwo nabierało tempa, pojawiły się pierwsze materiały dowodowe. Poza tym zbliżało się południe. Nic dziwnego, że powoli zaczęło nas ogarniać lenistwo – zapowiedź zbliżającej się sjeisty.

Z błędnego przekonania, że zaczynamy panować nad sytuacją, jeszcze przed popołudniowym odpoczynkiem wybił nas dzwonek telefonu. Kostas podniósł słuchawkę, wyprężył się jak struna i natychmiast podał ją Tasosowi. Inspektor zameldował się prawidłowo, po czym przez dłuższą chwilę

słuchał relacji z drugiej strony. Nagle na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia, potem niedowierzania, a w końcu zapytał:

– Co? Kiedy? – Po chwili wykrzyknął: – Coś podobnego! – I dopowiedział jeszcze: – Tak, rozumiem. Dobrze. – Na koniec szczęknęła odkładana słuchawka. – Dzisiaj w nocy usiłowano pozbawić życia Lakisa Margaritisa. Ktoś się zakradł do szpitala na oddział intensywnej terapii i pod osłoną nocy próbował go odłączyć od respiratora. Ot co! – Tasos uderzył lekko otwartą dłoń w blat biurka. – Są informacje, że ta sprawa zatacza coraz szersze kręgi i ma korzenie daleko poza wyspą. Po każdym powrocie z Toros na konto syna Margaritisów wpływały pokaźne sumy od anonimowego ofiarodawcy. Wiadomo też, że choć Lakis nigdzie nie pracuje, mieszka na Pláce, w drogiej i eleganckiej dzielnicy Aten. Podejrzenie dobrze mu się powodzi. Podobno nawet przywiózł na wyspę własny komputer! Wiadomo coś na ten temat? – Pytanie było skierowane do Kostasa.

Komendant miejscowego komisariatu zaskoczony gwizdnął z podziwu.

– Pojęcia nie miałem, że ma aż taką kasę! Skąd o tym wiesz?

– Przyjmijmy, że po prostu wiem. Jak widzisz, markowe ciuchy i mieszkanie w Atenach nie są szczytem jego możliwości finansowych.

Tasos z jakiegoś powodu nie dopuścił do dyskusji. Zaskoczył nas swoją wiedzą na temat ofiary napadu, a zaraz potem wezwał posterunkowego i odłożył przesłuchanie pozostałych świadków.

– Mam się natychmiast zameldować w Atenach – powiedział do nas. – Pilnować mi tego rudego Greka i studentów z Polski jak żrenicy oka – wydał polecenie krzątającemu się po

biurze posterunkowemu, który natychmiast wymownie popatrzył na Kostasa.

– Ano tak, tak. Oczywiście, że tak zrobimy. – Kostas nadał poleceniu charakter służbowy, z powagą spoglądając na podwładnego, i mrugnął do mnie.

Nikos ostentacyjnie zasalutował mu, żeby nie było wątpliwości, kto tu, na Toros, jest szefem.

– Hm – mruknęłam pod nosem, rozbawiona widokiem zdumienia, które zagościło na twarzy Tasosa.

Kto chce, może za najważniejszą uważać władzę w Atenach, snułam w myślach filozoficzne rozważania, tymczasem sprawa nie jest taka prosta. Tutaj każda osada, a tym bardziej wyspa, ma władze, które faworyzuje. Świętości, które czi według własnego uznania. Skoro pod niebem Grecji, na Olimpie, urodziło się przed wiekami tak wielu bogów, można to zrozumieć. W dodatku miejscowa tradycja nakazuje pielęgnować więzi rodzinne i dobre stosunki z sąsiadami. Kiedy wspominałam przystojniaczkowi z Aten o tym, że mieszkańcy Toros swoje problemy najchętniej rozwiązują sami, tylko częściowo blefowałam. Byłam pewna, że jeszcze nieraz go zaskoczą.

Rozdział 6

Tasos wrócił na wyspę dopiero po kilku dniach, bo w Atenach wszczęto dodatkowe śledztwo po nieudanej próbie zamachu na życie Lakisa. Nie posuwało się szybko. I w tym przypadku nie było jasnych i zrozumiałych punktów zaczepienia. Nie udało się na razie ustalić, kto przesyłał pieniądze na konto Lakisa, gdy wracał z Toros, bo transfer środków odbywał się przez szwajcarski bank z zakodowanego rachunku. Pilnowanie ранego też nie przyniosło rezultatów, gdyż zamach już się nie powtórzył. Anna i Stawros Margaritisowie po kilku dniach spędzonych w Atenach przy łóżku syna też zapowiedzieli swój powrót na wyspę. W atmosferze sensacji wywołanej przez dziennikarzy czekały ich trudne chwile. Upublicznione szczegóły śledztwa obrosły w nieprawdopodobne domysły i zwykłe plotki. Toros, za przyczyną Madonny płaczącej w tak niezwykłych okolicznościach, a najbardziej z powodu poszukiwania sensacji, stała się dla wielu mediów głównym tematem dnia. Natłok przyjezdnych okazał się tak duży, że udostępniono wszystkie, również sezonowe hotele, by umożliwić przybyszom przenocowanie na wyspie. Sytuacja wymykała się spod kontroli i stawała udręką dla miejscowej ludności przyzwyczajonej do spokoju i jednodniowych turystów. Ojciec Teodor spędzał całe dnie w cerkwi. Pilnował kościółka, powściągając zapędy przyjezdnych, chętnych na własną rękę zgłębiać sekrety cudownej ikony. Wszyscy mieliśmy wrażenie, że prawie boski dotąd spokój na Toros to przeszłość.

Nakłoniona przez Kostasa i Tasosa, wybrałam się w promieniach jesiennego słońca na plażę, żeby porozmawiać z moimi przyjaciółmi z Polski.

– Oprócz ciebie nikt nie potrafi się z nimi porozumieć co do wszystkich szczegółów, a w zeznaniach każde słowo ma znaczenie. Szczera rozmowa poza komisariatem, w ojczystym języku, może dać lepszy rezultat niż przesłuchanie w biurze. Zrób to, a jeśli zajdzie potrzeba, przyciśnij ich solidnie i to jak najszybciej – radził Tasos.

Zbliżałam się teraz do plaży, obserwując z oddali ich obozowisko. Chłopcy rozłożyli koce na piaszczystych wydmach i opalali się w pobliżu namiotów. Nie było z nimi Ewy, która o tej porze pracowała w pobliskiej tawernie. Podbiegli do mnie natychmiast, gdy mnie zauważyli. Adam powiedział z powagą:

– Jak to dobrze, że przyszłaś, Klaro.

Na jego twarzy malowało się napięcie i chyba strach.

– Byliśmy parę razy u ciebie w domu, ale nikogo nie zastaliśmy. Podobno pracujesz przy tym śledztwie. Czy coś wiadomo? Czy masz dla nas jakieś wieści?

Więc już wiadomo o mojej roli na komisariacie, pomyślałam. Powtórzyłam im to, o czym huczały wszystkie media, bo nawet do takich źródeł nie mieli dostępu.

– Kto to zrobił? Kto jest podejrzany o to wszystko? – dopytywali jeden przez drugiego.

– Na razie nie wiadomo kto, a podejrzanych jest kilka osób.

Adam długo wahał słowa, zanim padło:

– Czy my... też? To dlatego nas wzywano?

– Byliście rozpatrywani raczej jako świadkowie, ale odkąd udajecie, że nie znacie angielskiego, wasza sytuacja się zmieniła. Oczywiście na gorsze. Po co te kłamstwa? Po co ta mistyfikacja? – naskoczyłam na nich.

– Jurek uważał, że tak będzie dla nas lepiej.

Popatrzyli po sobie.

– To była wspólna decyzja. Nie zwałajcie teraz wszystkiego na mnie – bronił się pomysłodawca. – Nikogo do niczego nie zmuszałem.

– Baliśmy się, bo nie mamy pieniędzy – wyrzucił z siebie Adam.

– Pieniądzy? – zdziwiłam się.

– Tak, to przede wszystkim.

– Więc? – zachęcałam ich do zwierzeń.

– Od kilku miesięcy mieszkamy na prywatnej plaży Margaritisów. Chyba wiesz, że ta część, na której jesteśmy, ta od strony przystani, należy do nich?

– No jasne, że tak – przytaknęłam.

– Stawros i Anna Margaritisowie sami nas tutaj zaprosili – kontynuował rozżalony Adam.

– Wszystko było w porządku, dopóki na wyspę nie zaczął przyjeżdżać ich syn.

– A konkretnie to o co chodzi i co z tymi pieniędzmi? – niecierpliwiłam się.

– Lakis nas straszył.

– Co? – zdziwiłam się.

– Przyszedł tu któregoś dnia i chociaż wcześniej nie było o tym mowy, zażądał pieniędzy za sześć miesięcy biwakowania. Odgrażał się, że pójdzie na policję i oskarży nas o koczowanie na dziko, jeśli nie zapłacimy mu tysiąca dolarów. Byliśmy zrozpaczeni, bo nie mamy takiej sumy. Uwierz mi, Klaro – przekonywał Adam – Lakis jest paskudnym facetem. Widziałem, jak parę dni temu kłócił się i szarpał na plaży z ojcem twojej przyjaciółki Jany. Z Dimitrisem Samarasem.

W jednej chwili zrobiło mi się gorąco. Jeszcze i to, pomyślałam rozgorączona.

– Nie wiemy, kto go napadł. Mieliśmy z nim konflikt, a że straszył nas policją, próbowaliśmy się trzymać od tej sprawy z daleka. – Adam poczerwieniał pod moim badawczym spojrzeniem. – Nie pobiliśmy drania i mamy alibi – podkreślił. – Ten dziwak, grecki turysta w okularach z grubymi szklami, przechodził tamtego ranka obok nas dwa razy. Najpierw, gdy szedł w kierunku źródła, potknął się o linki naszych namiotów. Obudzeni przepędziliśmy go, ale gdy wracał po spotkaniu z Anną, przez chwilę z nami rozmawiał. Wie, że byliśmy cały czas na plaży. Na pewno to potwierdzi, bo przecież to też jego alibi.

– Skoro tak, to rzeczywiście dobrze się składa. – Przyjęłam wyjaśnienia z prawdziwą ulgą. – Nie radzę wam jednak więcej kłamać. Mataczenie podczas śledztwa jest przestępstwem. Mam nadzieję, że rozumiecie, jaką poważną sprawą jest składanie zeznań dla policji. Będę waszym tłumaczem i, krótko mówiąc, liczę na wasz rozsądek. A dlaczego nie porozmawialiście ze Stawrosem?

– Uważaliśmy, że krytykowanie Lakisa w rozmowie z jego ojcem nie jest dobrym pomysłem i może się skończyć tak, że i on zażąda od nas pieniędzy.

Zaskoczyli mnie. Mieszkali na wyspie zaledwie od kilku miesięcy, a rozumieli mentalność wyspiarzy lepiej niż Grek, który wychował się w Anglii. Mieli sporo racji. Miejscowi byli bezkrytyczni wobec swoich dzieci, niezależnie od ich wieku i postępowania.

– Rozważaliśmy nawet możliwość – popatrzyli po sobie – żeby uciec.

– O Matko Boska, w żadnym razie! – wrzasnęłam tak głośno, że słychać mnie było w całej okolicy. Ciszej dodałam: – Zapłacę za was. Na mur. Zrozumiano? Kogo widzieliście tamtego ranka na drodze do cerkwi? – Przeszłam do konkretów.

– Z plaży nie widać drogi do kościółka – rozczarował mnie Adam. – Jej mały odcinek jest widoczny z morza, ale tylko ze sporej odległości od brzegu. Spójrz sama, wszystko zasłaniają krzaki. Jedynie Ewa może coś powiedzieć na ten temat, bo cały ranek pływała.

– O ile cokolwiek zauważyła – wtrącił rozsądnie jeden z kolegów Adama.

– A kogo widzieliście na plaży?

Chłopak przez chwilę zbierał myśli, po czym mruknął:

– Niewiele widzieliśmy. Obudził nas dziwaczny rudy Grek. Gdy wyskoczyliśmy z namiotów, stał przy pompie i rozmawiał z Anną Margaritis. Potem widzieliśmy przez moment Dimitrisa Samarasa, jak przeglądał sieci. – Po chwili wahania mój młody rozmówca dodał: – Na sąsiedniej plaży.

Przypomniałam sobie relację Anny i bezwiednie pokiwałam głową.

– No i najważniejsze! Ten grecki oryginał – podkreślił Adam – musiał przyjść do obozowiska dróżką od strony cerkwi.

– Musiał? – zdziwiłam się.

– Musiał, bo poprzedniego dnia zacumowano od strony przystani tak dużo łodzi, że nie było wzdłuż wybrzeża przejścia do nas. Wiemy, bo w noc poprzedzającą tragedię my też wracaliśmy do namiotów ścieżką koło cerkwi, choć to dłuższa trasa i, prawdę mówiąc, zupełnie naokoło.

Pozyskałam ważną informację. Niedowidzący Grek był na drodze do kościółka pomiędzy godziną szóstą a szóstą czterdzieści tamtego ranka.

Co z przesłuchaniem tego antypatycznego cudaka? Już dawno powinniśmy mieć jego zeznania, myślałam rozdrażniona. Tymczasem od kilku dni policja poszukiwała go bezskutecznie. Działano dyskretnie. Oficjalnie nie wszczęto poszukiwań, żeby

gościa nie spłoszyć. Czekaliśmy cierpliwie. Nawet jeśli zaszył się na peryferiach, z dala od miasteczka, to odnalezienie go było tylko kwestią czasu. Z wyspy trudno się było wydostać niepostrzeżenie.

– Wkrótce wezwiemy was na komisariat policji i spiszemy wasze zeznania – kończyłam rozmowę na plaży – a teraz zwijajcie się. Macie dwie godziny, żeby się spakować i przeprowadzić do mojego ogrodu. Jasne? Więcej wiary w ludzi. Trzeba było od razu przyjść do mnie z waszym kłopotem – zrzędziłam. – No, ale przede wszystkim pospieszcie się. Czekamy na was z kolacją – popędzałam ich. Błądziłam już myślami gdzie indziej, grzęznąc przy każdym kroku w rozgrzanym słońcem piasku. Na skraju plaży jeszcze raz odwróciłam się w stronę obozowiska. Młodzi stali bez ruchu tam, gdzie ich zostawiłam.

– Moja gosposia uwielbia gości. – Uśmiechałam się zachęcająco. – Nie wiadomo tylko, jak was przyjmą Klaudiusz i Tyberiusz – zamruczałam pod nosem, ale w ich kierunku krzyknęłam: – Moje psy na pewno dadzą wam szansę. Chociaż nie lubią obcych, wydaje się, że... są przekupne. – Żart wywołał na plaży wybuch radości. Czworonożni bohaterowie mojego podwórka byli znani w okolicy, a o ich przyjaźni z włamywaczem miejscowi układali już anegdoty. – Przy minimalnych nakładach i odrobinie sprytu macie szansę na dobre relacje ze wszystkimi w moim domu – zapewniłam.

Studenci zamieszkali w pustym domku ogrodnika wybudowanym na obrzeżach mojej posiadłości. Noce były już chłodne, a obecność lokatorów w ogrodzie, w namiotach, bezpośrednio przed moim tarasem, uznałam za obustronnie krępującą.

W rezultacie wszyscy byliśmy zadowoleni, chociaż moje psy niechętnie przyglądały się gościom. Powarkowały na nich. Nie powitały młodzieży przyjaźnie, za to ich obecność z dala od domu przyjęły z zadowoleniem. Choć byłam zakłopotana aspołeczną postawą swoich psów, potrafiłam im wiele wybaczyć. Fascynowało mnie to, że przebywając stale razem, Tyberiusz i Klaudiusz były samowystarczalne. Mało interesowały się otoczeniem, a ich wzajemne przyjacielskie relacje dla wielu ludzi mogły być wzorem.

Rozdział 7

Kolejny poranek w biurze komendanta policji na wyspie Toros zapowiadał się długi i ekscytujący. Na krześle przed Kostasem siedział tym razem Andreas Kotopulos – poszukiwany od kilku dni przez miejscową policję grecki historyk sztuki. Na komisariat zgłosił się sam wczesnym rankiem, powiadomiony po powrocie do hotelu o tym, że jest poszukiwany i że nie otrzyma bagaży, bo bez zgody policji nie wolno mu opuścić wyspy. Brzydka twarz naukowca pozbawiona okularów, które właśnie zdjął, wyglądała jeszcze gorzej niż zwykle. Zmrużone niedowidzące oczy stały się kurtyną, która oddzielała go skutecznie od zadających mu pytania policjantów. W miarę jak przesłuchanie nie przynosiło oczekiwanych wyników, atmosfera w biurze była coraz bardziej nerwowa.

Z danych personalnych ustaliliśmy fakty, które – mając na względzie mizerną fizjonomię i mało estetyczną postać – zaskoczyły nas. Andreas Kotopulos, wybitny grecki historyk nagrodzony wieloma znakomitymi nagrodami, w tym literacką, zajmował się gromadzeniem informacji na temat najcenniejszych zabytków sakralnych Dodekanezu. Ani jego zachowanie, ani sposób wyrażania się nie pasowały kompletnie do życiorysu, który podał, ale wszystko wskazywało na to, że mówił prawdę. Poirytowany zachowywał się jeszcze bardziej nieuprzejmie niż zwykle. Protestował i odgrażał się nam interwencjami na najwyższych szczeblach, co, biorąc pod uwagę jego życiorys, mogło nie być czczą pogrózką. Kostas był zestresowany, a Tasos z trudem panował nad sobą, ale nie wyglądał na zaskazanego.

– Dobrze, wysłuchaliśmy już pana pretensji, a teraz proszę się skupić na pytaniach! – grzmiał rozsierdzony. – Jestem pod

wrażeniem pana wkładu w archiwizowanie greckiej kultury, ale to, kim pan jest, w żaden sposób nie zmienia faktu, że mam przed sobą świadka, który był tragicznego ranka przed cerkwią. Dość tych pogroźek, bo na dalszy ciąg przesłuchania można też poczekać w areszcie. Ostrzegam! Proszę nie zapominać, że szukaliśmy pana przez kilka dni. Wyspa aż huczy od plotek. Osoby, która nie zgłosiła się na policję, żeby złożyć zeznania, nic nie usprawiedliwia. Prowadzę sprawę dwóch morderstw i co słyszę? Wybitny naukowiec zaszył się na wsi z dala od miasteczka tylko dlatego, że ma swój plan pracy, od którego nigdy nie odstępuje? To mało przekonujący argument. Dość tej dyskusji. To pan jest przesłuchiwany! – Tasos rzucił na biurko teczkę z dokumentami, która kompletnie się rozpadła.

Zrobiło się cicho i nieprzyjemnie. Nasz szacowny historyk zamilkł wreszcie i nieco wyciszony przecierał starannie grube szkła okularów.

Straszenie przesłuchiwanego w sprawie o pobicie aresztem bez żadnych dowodów jego udziału w zajściu to chyba przesada, pomyślałam. Impulsywne zachowanie naszego angielskiego kolegi złożyłam na karb jego wybujałej emocjonalnie natury. Jednak uwierają go te greckie korzenie. Oj, uwierają, podsumowałam w myślach niepotrzebny wybuch. Powinien lepiej nad sobą panować.

Obserwując z niepokojem rozwój wydarzeń na linii biurko – świadek, potraçałam stertę papierów leżących przede mną. Złapałam je dosłownie w ostatniej chwili, zanim spadły na podłogę, a gdy do nich zajrzałam – osłupiałam. Miałam bowiem w ręku angielską wersję naszego śledztwa. Aż podskoczyłam na krześle. Kto i dlaczego to tłumaczy? Co tu się dzieje? Czyżbym o czymś nie wiedziała? Zaczęłam podejrzliwie spoglądać na moich kolegów. Nie miałam jednak wiele czasu na

przemyslenia, bo po dłuższej chwili milczenia pytania zaczęły padać szybko, zadawane na przemian przez obu policjantów.

– Po co pan przybył na Toros?

– Prowadzę prace nad skatalogowaniem i opisaniem zabytków sakralnych tych stron – odparł dumnie Kotopulos.

– O której godzinie przyплыł pan tego dnia na wyspę?

– Wtedy, kiedy przyplywa prom. O piątej trzydzieści – padła niechętna odpowiedź.

– Dlaczego przyjechał pan na Toros właśnie teraz, w październiku?

– Bo takie badania przeprowadzam zwykle po sezonie, gdy jest mało turystów.

– Gdzie się pan skierował po opuszczeniu promu? – Tasos, zadając to pytanie, podniósł głowę znad dokumentów i uważnie patrzył na świadka.

– Do cerkwi – odparł naukowiec spokojnie i bez cienia skrępowania.

– Dlaczego nie do hotelu, tylko od razu do cerkwi?

– Jest po sezonie. Nie miałem rezerwacji i nie wiedziałem, który hotel jest czynny, a że pora była wczesna, postanowiłem najpierw obejrzeć cerkiew. Nietrudno do niej trafić, bo widać ją z każdego miejsca wyspy, a szczególnie dobrze z okolic przystani.

– Dlaczego nie zarezerwował pan hotelu? – zapytał niepotrzebnie i naiwnie Kostas.

– Bo Grecja jest krajem, w którym dwie trzecie budynków to hotele, pensjonaty i inne miejsca noclegowe – odpowiedział Andreas Kotopulos z ironią i nie bez złośliwości.

Bałam się, że kłótnia rozgorzeje na nowo, ale Tasos pominął zaczepkę milczeniem. Całe szczęście – ulżyło mi.

– Jak się pan znalazł na plaży? – zadał pytanie.

– Przypadkowo. Szedłem do cerkwi od strony przystani, gdy w pewnej chwili...

– Droga przez plażę jest krótsza – padło słuszne wtrącenie.

– Tak, chyba tak – przyznał Kotopulos. – Ale była zamknięta. Musiałem pójść naokoło.

– Rozumiem. Skierował się pan najpierw do cerkwi. I co pan tam zastał? – Wszyscy troje patrzyliśmy na Kotopulusa w napięciu.

– Nic, bo wcale tam nie dotarłem – odparł z satysfakcją.

– Jak to? – zdziwił się Tasos.

– Gdy byłem już całkiem blisko, przy tej wąskiej dróżce na plażę, gdzie biwakowali zagraniczni turyści, usłyszałem sprzeczkę w kościółku i zrezygnowałem z wejścia do środka. Zszedłem do obozowiska i – uśmiechnął się złośliwie – obudziłem tych młodych ludzi. Tylko dziewczyna już nie spała. Pływała daleko od brzegu. Jej kompani, gdy wyskoczyli z namiotów, byli na mnie wściekli. Dość nieparlamentarnie się wyrażali. Biegłe po angielsku – podkreślił z podziwem. – Posłali mnie do diabła. Rozmawiałem z nimi jeszcze przez chwilę później, gdy szukałem drogi do najbliższego hotelu.

Zastygłam, robiąc notatki. Wreszcie pojawił się wartościowy świadek. Czy nie zmarnują tej szansy? Obserwowałam z niepokojem moich kolegów i rozwój wydarzeń.

– Co pan dokładnie usłyszał, przechodząc w pobliżu cerkwi? – Kostas wrócił do tematu.

– Prawie nic. – Historyk wzruszył ramionami. – Jakiś mężczyzna krzyczał: „Nie masz prawa. Kim ty jesteś, żeby mnie pouczać?”. A potem zaległa cisza.

– Która to mogła być godzina?

– Dokładnie nie wiem, ale myślę, że parę minut po szóstej. Chwilę przedtem biły dzwony gdzieś po drugiej stronie wyspy. Chyba na poranne nabożeństwo o szóstej rano.

– Czy kłóciło się dwóch mężczyzn, czy mężczyzna i kobieta?

– Nie wiem, nie usłyszałem drugiej osoby. Widocznie mówiła cicho.

– Co było dalej?

– W zaistniałej sytuacji postanowiłem najpierw znaleźć hotel, a do cerkwi wybrać się później. Zszedłem na plażę, żeby uniknąć wmieszania się w awanturę. Znalezienie drogi do hotelu okazało się kolejnym problemem, bo nie znam wyspy i pogubiłem się. Drogę tłumaczyła mi długo i zawile jakaś Greczynka, która przyszła po wodę do źródła – potwierdził zeznania Anny. – Chaotycznie i nieprecyzyjnie – dodał i lekceważąco machnął ręką. – Młodzi... Polacy – zwrócił się do mnie z pytającym wyrazem twarzy – zrobili to lepiej, choć po angielsku. – Tak, tak. Inteligentna i wykształcona młodzież – dodał.

– Którędy pan wracał do miasteczka i o której godzinie zakwaterował się pan w hotelu? – wtrącił się Tasos. Niecierpliwie uciał kolejny komentarz.

– Dotarłem na przystań, idąc wzdłuż brzegu, tak jak mi poradzono. Wiele kutrów odpłynęło i plaża opustoszała, ale choć skorzystałem ze wskazanego skrótu, w pokoju hotelowym znalazłem się dopiero o szóstej pięćdziesiąt. Mam bardzo ciężki plecak – dodał skwaszony. – Byłem zły i zmęczony, więc położyłem się spać.

– No i? – Kostas zachęcał go do dalszej relacji.

– Następnego dnia nie udało mi się zrobić żadnych notatek. Nie wybrałem się też do cerkwi. W drodze na Toros dostałem

potężnej migreny i cały następny dzień przeleżałem w pokoju hotelowym. Od dziecka fatalnie reaguję na zmiany klimatu i podróże morskie – użalał się nad sobą. – O całej sprawie dowiedziałem się dwa dni później od tej cudzoziemki. – Pokazał na mnie palcem. – A że nic mnie to nie obchodzi, pojechałem popracować w okolice klasztoru bizantyjskiego na drugą stronę zatoki. Tam też nocowałem. Mnisi nie mają telewizji i nie wpuszczają do klasztoru policjantów. – Uśmiechnął się złośliwie. – Na szczęście – dodał, tryumfując. Po tym wystąpieniu sapnął zmęczony i włożył okulary. Jego okrągłe oczy stały się znowu wielkie i wyłupiaste.

– A czy widział pan mężczyznę przy sieciach rybackich na sąsiedniej plaży, kiedy rozmawiał pan ze studentami z Polski?

– Nie – odparł. – Nie zwróciłem uwagi – poprawił się. – Nawet jeśli tam był, to przy moim kiepskim wzroku nie mogłem go widzieć.

– Czy chciałby pan coś dodać? Może zauważył pan coś jeszcze? – zapytał Kostas rutynowo i bez przekonania.

– Nie, raczej nie – zastanawiał się Andreas Kotopulos. – Chyba że chodzi o samochód.

– Jaki samochód? – Poderwaliśmy się z krzesel.

– Mały kabriolet w jasnym kolorze. Był zaparkowany w miejscu, gdzie przed cerkwią krzyżują się główne drogi i ukryty w zaroślach. Mało go było widać. – Kotopulos znowu uśmiechał się złośliwie pod nosem, zadowolony z naszej reakcji.

– Czy ktoś w nim był?

– Tak, ale nie mam pojęcia, kto i jak wyglądał, bo auto stało daleko od skrzyżowania. W dodatku patrzyłem pod słońce. Nie miałbym szans, żeby dostrzec jakieś szczegóły, nawet gdybym miał lepszy wzrok.

– Czy zna pan Lakisa Margaritisa albo zetknął się z nim kiedykolwiek?

– Nie, nie znam nikogo o takim nazwisku.

W tym momencie Kostas wyciągnął z szuflady złotą bransoletę, którą znalazłam przed cerkwią, i położył ją na blacie biurka.

– Czy widział pan kiedykolwiek ten przedmiot? – zapytał.

Kotopulos obejrzał biżuterię z zainteresowaniem, po czym spojrzał na nas zaskoczony.

– Nie. No, nie! – Wybuchnął nagle grubiańskim śmiechem.

– Czy wyglądam na kogoś, kto chciałby coś takiego mieć? – szydził. – W moim środowisku noszenie przez mężczyznę na przegubie złotego kółka to kompletna degradacja.

– Proszę nie opuszczać wyspy bez powiadomienia nas o tym – przerwał komentarze Kostas, ze zrozumieniem przytakując głową ostatniej odpowiedzi, i podał Andreasowi Kotopulosowi do podpisania spisane przeze mnie zeznania.

– Czy jestem podejrzany? – Naburmuszył się znowu naukowiec.

– Nie. Jest pan świadkiem – padła uspokajająca odpowiedź.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, Tasos odwrócił się w moim kierunku i zapytał zachęcająco:

– Masz ochotę na kawę?

– Mam ochotę usłyszeć wreszcie, co tu się naprawdę dzieje!

– syknęłam jak zmija. – Przyjechałeś z Aten i prowadzisz śledztwo o pobicie na małej wyspie, gdzie bójki wśród Greków nie są niczym szczególnym. Straszysz świadków aresztem, choć dobrze wiesz, że ci nie wolno! – Zacerwieniłam się z gniewu. – Ktoś przetłumaczył spisane przeze mnie po grecku zeznania na język angielski. Czy czegoś przed nami – popatrzyłam na Kostasa, szukając u niego wsparcia – nie ukrywasz? Domyślamy

się, że współpracujesz z Anglikami. Powiesz wreszcie szczerze, o co chodzi?

Patrzył na mnie z udawaną albo prawdziwą fascynacją.

– Nie zasuwasz mi tu głodnych kawałków i nie przewracaj przepastnymi oczyskami, bo wszystkie wasze chwytły dobrze znam. Nie zapominaj, że mam męża Greka – podkreśliłam.

– Polki to fascynujące kobiety – powiedział, uśmiechając się pod nosem. Tym bardziej proponuję przerwę i, mimo wszystko, kawę. – Patrzył na nas pytająco. – Trzy *frappé metrio* i woda z lodem, Niko! – krzyknął przez uchylone drzwi do dyżurki. – Taaak – powiedział przeciągle do nas. – Spodziewałem się takiej sytuacji i jestem na nią przygotowany. A Polki rzeczywiście uwielbiam za urodę i podziwiam za temperament. – Uśmiechał się, choć piorunowałam go wzrokiem. – Nie znalazłem się tu przypadkowo – zaczął wreszcie mówić prawdę. – Od przeszło roku Interpol obserwuje Lakisa Margaritisa – dodał, a ja pomyślałam, że skoro pracuje w międzynarodowych strukturach policji, możemy się spodziewać poważnych kłopotów. – Rzecz w tym, że ofiara bójki w waszej cerkwi to podejrzany typ. – Tasos kontynuował relację. – Jest zamieszany w działalność przestępczą, a organizacja, z którą się związał, działa na terenie całej Europy. Trudno z nią walczyć, bo o jej członkach niewiele wiadomo. Nie figurują w rejestrach policyjnych. To ludzie zamożni, z najwyższych sfer. Nie wiemy, dlaczego weszli na drogę przestępczą, ale działają bezwzględnie i w wielu obszarach życia dokonują bulwersujących przestępstw. Narkotyki, hazard, włamania i kradzieże – niczego nie można wykluczyć. Czerpią satysfakcję z tego, że ciągle zmieniając styl działania i rodzaj przestępstw, są, jak dotąd, o krok przed organami ścigania. Tę niebezpieczną ekskluzywną zabawę trzeba skończyć.

Walka jest trudna, bo nasz przeciwnik pozostaje anonimowy. Od roku obiektem ich zainteresowania jest ta mała wysepka. Nie wiemy, co planują, ale wypadki w cerkwi uznaliśmy za sygnał do rozpoczęcia tutaj śledztwa. Resztę znacie. Moi zwierzchnicy proponują ci, Klaro, współpracę. Zrobiliśmy wywiad i znamy twoje kwalifikacje. Jesteś świetnym psychologiem policyjnym z dużym doświadczeniem i znasz dobrze trzy języki. To istotny argument dla moich zwierzchników, bo ostatnio śledztwo w Atenach przeniosło się w okolice placu Omonia, gdzie od lat wiedzie prym polska ośmiornica, jak ich nazywamy. Nawiązanie kontaktu z tym specyficznym środowiskiem przestępczym jest dla nas dużym problemem.

Umilkł na chwilę. W ciszy popijaliśmy kawę.

– Jeśli się zgodzisz, mamy tylko jeden warunek: żadnych działań w pojedynkę i na własną rękę. To niebezpieczni ludzie. Będziemy z Kostasem obowiązani opiekować się tobą, więc nie protestuj. – Nie dopuścił mnie do głosu. – Już jeden singiel w tej grze stracił życie. Parę miesięcy temu zamordowali w Atenach mojego przyjaciela. – Tasos zasępił się. – Był fantastyczny. Najlepszy. Rozwikłał wiele trudnych spraw, jednak tym razem popełnił błąd. Zlekceważył przeciwnika. Żartował, że tę żalną bandę inteligencików rozpracuje w pojedynkę.

Czekaliśmy na dokończenie opowieści. Obserwowaliśmy, jak Tasosowi drżą ręce, gdy zapala kolejnego papierosa. Po chwili opanował emocje i dokończył:

– Mój przyjaciel wypadł z okna swojego apartamentu i oczywiście wszystko wygląda na wypadek. Nic na nich nie mamy. Dlatego nie spiesz się, Klaro. Masz dużo czasu na podjęcie decyzji.

– Panie komisarzu – Nikos wsadził głowę do pokoju – świadkowie się niecierpliwią. Wołać?

Zerknęliśmy na Tasosa. Przymrużył oczy. Popatrzył w niebo za oknem i kiwnął głową.

– Tak, wołać – zdecydował Kostas.

Kolejnym świadkiem był przystojny jak Apollo i władczy jak sam Zeus Dimitris Samaras, ojciec mojej przyjaciółki Jany, jeden z najbogatszych i najważniejszych ludzi na Toros. Arystokracja wyspy. Lekko szpakowaty i bardzo przystojny, urodą i dystynkcją był w stanie olśnić niejedną kobietę, niezależnie od jej wieku. Pewny siebie, uprzejmy w obyciu, budził szacunek i sympatię. Gdy wszedł, pozdrowił nas z uśmiechem i od drzwi zapytał:

– Czy chodzi o tę okropną historię? To z powodu Lakisa jestem tutaj?

Na pytania odpowiadał wyczerpująco i zwięźle, ale jego zeznania nie wniosły do sprawy nic nowego. Nie ukrywał, że nie lubi ofiary i że podczas sprzeczki na plaży, dwa dni przed tragedią, zakazał mu się zbliżyć do Jany.

– Co pan sądzi o widocznej zmianie w zachowaniu poszkodowanego w ostatnim czasie? – wypytywał Tasos.

– Ten chłopak jest zepsuty do szpiku kości. Nie zwiódą mnie jego manipulacje, a w poprawę nie wierzę. Spowiedź co miesiąc i sprzątanie cerkwi – mówił, z niesmakiem wydymając usta – to jakiś kolejny wygłup. Żal mi Anny, bo wiele już przez niego przeszła. Tylko ona jedna, biedaczka, może wierzyć w jego nawrócenie.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– To, co powiedziałem! Lakis jest szemranym typem!

– Czy jest ktoś, kogo podejrzewa pan o to pobicie?

– Oczywiście, że nie. Choć wiadomo – uśmiechnął się – że ma wielu wrogów. Nie jestem zwolennikiem przemocy, ale muszę przyznać, że szukał kłopotów od dawna.

– Czy miał pan z nim częste zatargi? – zapytał Tasos czujnie. Było widać, że jest pod wrażeniem przesłuchiwanego.

– Nie miałem z nim żadnych zatargów, bo jak pan pewnie zauważył, nie żyjemy w tych samych kręgach towarzyskich. Nie życzyłem sobie, żeby zaczepiał moją córkę, bo to niepokoi jej męża. Tylko tyle do niego miałem.

– Zastosował się do zakazu?

– Nie miał wyjścia, bo Jana nie chce go znać.

– O której godzinie i dlaczego znalazł się pan fatalnego ranka na plaży?

– Na plaży? – Samaras powtórzył pytanie. – Ano tak – przyznał po chwili. – Rzeczywiście byłem wtedy na plaży. Może dziesięć, a może piętnaście minut. Pamiętam dokładnie, o której wyszedłem z domu, bo zawróciłem od drzwi i nakręciłem stary zegar, który wisi w holu. Była szósta pięć. Mieszkam nad samym morzem i często wychodzę przed dom o świcie, żeby przejrzeć sieci. Tego dnia też to zrobiłem. – Na pytające spojrzenie Tasosa milioner odpowiedział: – Nie zawsze byłem tak paskudnie bogaty. Ojciec i dziadek byli rybakami. Lubię łowić ryby. To moje hobby.

– Co pan widział?

– Był ładny słoneczny poranek. – Samaras uśmiechnął się do swoich myśli. – Młoda piękna Polka pływała kraulem. Styłowo – podkreślił. – A jej koledzy opędzali się od jakiegoś zabawnego jegomościa. Mężczyzna miał ogromny plecak i miotał się od dłuższego czasu po plaży. Obudził młodych ludzi, po czym zagadnął Annę, która przyszła po wodę do mojego wodociągu. Facet wyraźnie czegoś szukał. Potykał się o różne

przedmioty. Najpierw zaczepił o linki w namiocie, co wywołało alarm w całym obozowisku, a potem omal nie wpadł do jednego z wiader pełnych wody.

– Dokładnie pan to pamięta – zauważył Tasos.

– A tak, rzeczywiście, bo było na co popatrzeć. To uroczy człowiek, ale ma poważny problem ze wzrokiem. Przed chwilą na korytarzu pomylił drzwi i zamiast do dyżurki posterunkowego wszedł do toalety. I to w dodatku do damskiej.

Z trudem pohamowaliśmy napad wesołości, odwracając twarze w kierunku okna, bo Samaras mówił o tym z powagą i właściwym sobie taktem. Nie wypadało się śmiać, choć relacja była komiczna. Poza tym nic szczególnego nie zauważył. Potwierdził, że widział osoby, które i jego widziały. Chyba tylko złota bransoleta zachwiała na moment jego poczuciem pewności siebie. Dlaczego? Nie dowiedzieliśmy się, bo zeznał, że nigdy wcześniej jej nie widział. Czyżby kłamał?

W południe, w przerwie między zeznaniami, do pokoju wszedł Nikos. Bez słowa i nie patrząc na nikogo, podał Kostasowi kartkę.

– Czy coś się stało? – Zaniepokoiło mnie zachowanie posterunkowego, zazwyczaj uśmiechniętego i skorego do żartów.

Kostas przeczytał informację i z ponurą miną odpowiedział:

– Ano tak, stało się.

Podniósł słuchawkę telefonu, wystukał numer i po chwili zameldował się przepisowo. Rozmowa była krótka. Kostas słuchał, od czasu do czasu przytakiwał rozmówcy, a na koniec powiedział:

– Tak, rozumiem, zaraz to sprawdzimy. – I rozłączył się. Stał tyłem do nas, patrząc przez okno na morze. Jego stara kusa marynarka była wygnieciona i wytarta na łokciach. Watowane

ramiona podkreślały atletyczną budowę i sporą nadwagę. Głowa na krótkiej szyi schowana w skulonych ramionach wyglądała żałośnie. Cała postać Kostasa wyrażała przygnębienie. Nie spodziewaliśmy się dobrych wieści. Cisza przedłużała się nieznośnie.

– Nad ranem w szpitalu w Atenach – odezwał się wreszcie – zmarł Lakis Margaritis. Śmierć nastąpiła w wyniku obrażeń poniesionych podczas pobicia – uprzedził nasze pytania. – Właśnie trwa sekcja zwłok, na którą nie chcieli się zgodzić Anna i Stawros Margaritisowie. Oboje są już od kilku godzin w Atenach. Anna jest w szoku. Jej stan jest tak zły, że przerwano przesłuchanie i wezwano do niej lekarza.

– Na miłość boską, dlaczego męczą ich w takim momencie?
– oburzyłam się.

– To była wspólna decyzja – odpowiedział Kostas cicho. – Podobno wczoraj wieczorem stan Lakisa poprawił się na tyle, że udało się nawiązać z nim kontakt. Nagle o piątej nad ranem nastąpił kryzys. Usiłował coś powiedzieć pielęgniarce, która przy nim siedziała, ale nie zdążył. Centrala prosi o przekazanie informacji zgromadzonych w tej sprawie. Niewykluczone, że przydzielą nam kogoś do pomocy. W najlepszym razie – skrzywił się – dostaniemy konsultanta.

– To wiele zmienia – odezwał się Tasos. – Mamy pobicie ze skutkiem śmiertelnym albo zabójstwo. Dlaczego tak zbladłaś, Klaro? – zapytał.

– Zastanawiam się, co nam grozi, co się jeszcze zdarzy na Toros. Po doniesieniach medialnych o tajemniczych wydarzeniach w cerkwi wyspa jest pełna turystów. To komplikuje sprawę.

– Przybyło też patroli policyjnych. Może w tej sytuacji przestępcy odstąpią od swoich planów? – Wizja jak zawsze niefrasobliwego Kostasa zakładała uproszczony scenariusz.

– Jeśli zaplanowali kolejne przestępstwo, to wątpię, żeby zrezygnowali. – Tasos ostudził jego optymizm. – Igranie sobie z nami traktują jak ekscytującą grę. Ta śmierć ich nie powstrzyma, ale mogą być bardziej ostrożni. Wiele zrozumiemy, jeśli uda się nam odkryć, dlaczego zginął Lakis – snuł głośno rozważania.

Nikos wsunął głowę do pokoju i zapytał z przekąsem:

– Czy będzie dzisiaj sjesta, jeśli wolno spytać?

– Tak! – wykrzyknął Kostas. – Dość marudzenia. Dawaj tu tych młodych z Polski. Tylko bardzo proszę, Klaro, żadnych specjalnych względów. – Pogroził mi palcem. – Żadnych!

Wzruszyłam ramionami.

Przybycie Ewy poruszyło panów. Piękna blondynka o szaroniebieskich oczach była w stanie owinać sobie wokół małego palca każdego Greka. W obcisłych džinsach i w podkoszulku z dużym dekoltem wyglądała na tyle ładnie, by zdekoncentrować moich kolegów i spowodować zamieszanie. Nieświadoma, że swoim wejściem rzuciła na kolana miejscową policję, rozglądała się z ciekawością, roztaczając wokół siebie zniewalający wdzięk.

– Żadnych specjalnych względów – mruknęłam złośliwie. Patrzyłam z politowaniem, jak koło niej skaczą, jeden przez drugiego podsuwają wodę mineralną, choć nie zdążyła się nawet usadowić na krześle.

Szkoda, że Greczynki z natury nie są przedsiębiorcze, rozważałam. Grecka mafia składająca się z pięknych kobiet przewróciłaby ten kraj do góry nogami, rozmarzyłam się mściwie.

Ewa na widok Tasosa zaczerwieniła się po same uszy, a nasz as wywiadu – co nie uszło mojej uwadze – na chwilę kompletnie stracił głowę. Kiedy panowie ochłonęli z pierwszego wrażenia, przesłuchanie potoczyło się sprawnie.

– Powiedz, proszę, możliwie dokładnie, o której godzinie wyszłaś z namiotu tamtego dnia – czytałam po polsku przygotowane wcześniej pytania.

– Przed szóstą.

– Co robiłaś tak wcześnie na plaży? – zainteresowałam się.

– Jak zwykle pływałam. Zazwyczaj robię to wcześnie rano, gdy nie ma jeszcze upału, a woda jest ciepła.

– Czy obserwowałaś z morza drogę do cerkwi?

– Tak. Przede wszystkim dlatego, że miałam ją dokładnie na linii wzroku. Dodatkowo tego dnia moją uwagę zwrócił duży przepływ ludzi w tym zazwyczaj odludnym miejscu.

– Spodziewam się, że widziałaś też, kto był na plaży?

– No jasne.

Mój oficjalny ton nie deprimował jej.

– Świetnie – ucieszyłam się. – Wobec tego wymień osoby, które spostrzegłeś na drodze do kościółka, i te, które były na plaży w pobliżu waszego obozowiska.

Wyciągnęła przed siebie ręce i wyliczała na palcach:

– Lakis i jego rodzice Anna i Stawros Margaritisowie, zabójczo przystojny Dimitris Samaras, właściciel winiarni i fabryki oliwy, ojciec Teodor, zabawny niedowidzący Grek, no i oczywiście nas czworo. Chłopcy, chociaż też tam byli, niewiele widzieli. Sporo wypili poprzedniego dnia i z namiotów wyskoczyli dopiero wtedy, gdy ten niesforny Grek omal nie zwałił jednego, zaczepiając nogą o linkę. No, niby ludzi to tam było dużo, ale... – zachnęła się.

– Uhm – mruknęłam. – Kościółek zasłaniają zarośla. – Przymyślałam sobie wizytę w ich obozowisku.

– No właśnie. – Przytaknęła. – Wzgórze jest wysokie i obrośnięte krzakami. Im bliżej się stoi, tym mniej widać to, co jest na szczycie. Cerkiew jest najslabiej widoczna z plaży.

– Chcesz powiedzieć, że do tragedii mogło dojść w każdym momencie i nikt, kto był na brzegu morza, nie miał szans zobaczyć, co się tam dzieje.

– Dokładnie. Dokładnie tak. W dodatku przestępca kontrolował sytuację, bo podejście do cerkwi od strony obozowiska jest strome i czasochłonne. Nie byliśmy dla niego zagrożeniem.

Rozpaczliwe gesty moich kolegów przerwały naszą polskojęzyczną pogawędkę.

– Co zauważyłaś? Mówiłaś, że na wzgórzu było sporo ludzi. Potrafisz wymienić, w jakiej kolejności podchodziły do cerkwi osoby, które zapamiętałaś? – Wróciłam do opracowanych pytań.

– To będzie trudne, bo pływałam i nie obserwowałam wszystkiego dokładnie, ale spróbuję. – Zachowywała się spokojnie i zeznawała bardzo rzeczowo. – Najpierw zauważyłam Lakisa z matką. To pamiętam. Była szósta, bo usłyszałam bicie dzwonów w klasztorze. Gdy Anna Margaritis wyszła po wodę, do cerkwi kolejno podchodzili Stawros Margaritis, Dimitris Samaras, a na koniec jeszcze raz Stawros Margaritis i ojciec Teodor.

Teraz tłumaczenie stało się zbędne. Chociaż zeznawała po polsku, brzmienie nazwisk, które wymieniała, było zrozumiałe, a kolejność osób – oczywista. Osłupieliśmy. Kostas nie nadążał ocierać potu z czoła. Poluzował krawat i rozpiął koszulę pod szyją. Nikt jej nie przerywał.

– Jestem pewna, że ten grecki turysta też tam był – nieświadoma sensacji, którą wywołała, spokojnie opowiadała dalej. – Nie zauważyłam go, gdy pływałam, ale w środę rano tylko tą drogą można było dojść do naszej plaży z przystani. – Po zastanowieniu dodała: – Był tam ktoś jeszcze, ale nie wiem kto. Nie widziałam tej osoby dokładnie. Płynęłam na plecach i twarz miałam zalaną wodą. Wydaje mi się, że ten człowiek przemknął do cerkwi zaraz po tym, jak oddalił się stamtąd Dimitris Samaras. Nie wiem, kto to był, ale że biegł do kościółka, tego jestem pewna. Bardzo się spieszył. – Ewa na chwilę umilkła. Rozglądała się po biurze i obserwowała, jak wzburzeni komentujemy po grecku przebieg przesłuchania.

– To znaczy, że Stawros podchodził do cerkwi dwukrotnie?
– naprowadzałam ją na interesujący nas wątek.

– Tak. Najpierw sam niedługo po tym, jak z cerkwi wyszła Anna, a gdy kończyłam pływać, przyszedł jeszcze raz z ojcem Teodorem.

– Która to mogła być godzina?

– Nie wiem. Przypuszczam, że jakieś pół godziny później – dodała.

– Zapytaj, czy jest pewna, że widziała go dwa razy – nalegał podniesionym głosem Kostas.

– Tak – odpowiedziała przeciągle na przetłumaczone pytanie, odwracając się w jego kierunku. Przez chwilę ze ściągniętymi brwiami uważnie obserwowała jego twarz i nerwowe zachowanie.

– A czy potrafiłabyś podać jakieś szczegóły? Chociaż w przybliżeniu określić, jak długo ci ludzie zabawili w cerkwi, albo w którym momencie do kościółka wróciła Anna?

Ewa niespodziewanie parsknęła śmiechem.

– Przeceniasz mnie. Skąd miałabym to wiedzieć? Zamierzałam popływać przed śniadaniem. To wszystko. – Na widok naszych zawiedzionych min zastanawiała się jeszcze przez chwilę z zabawnie zmarszczonym nosem. – Pamiętam – zaczęła niezdecydowanie – że Stawros Margaritis za pierwszym razem wyszedł z cerkwi dość szybko. No, ale co do reszty, to naprawdę nie wiem.

Odeszłam od biurka i stanęłam w otwartym oknie. Potrzebowałam zaczerpnąć powietrza i zebrać myśli. Trudno przewidzieć konsekwencje ich wybryku, zastanawiałam się, zerkając z niepokojem na milczącego Tasosa. Opóźniając złożenie zeznań, utrudniali prowadzenie śledztwa.

Kostas usiadł przy maszynie do pisania i zastąpił mnie przy spisywaniu zeznań.

– Upewnij się, czy widziała na drodze do cerkwi Dimitrisa Samarasa.

– Tak – potwierdziła Ewa.

– Może się myli? Przecież on tam mieszka. Może po prostu zapamiętała go z plaży?

– Widziałam go na plaży, ale był też na drodze do kościółka – upierała się. – Jestem pewna. Takiego mężczyzny trudno nie zauważyć – zażartowała z szelmowskim uśmieszkiem.

– A co potrafi powiedzieć o osobie, którą, jak mówi, kiepsko widziała? Może rzucił się jej w oczy chociaż jakiś szczegół: postura, płeć, cokolwiek.

Przetłumaczyłam pytanie.

– Nie, nic konkretnego – skwitowała krótko. – Opowiedziałam wszystko, co pamiętam.

– Czy chciałabyś coś jeszcze dodać? – dopytywałam.

– Nie. To wszystko, co wiem.

– Zapytaj, czy jest możliwe, że był tam ktoś jeszcze, że kogoś przeoczyła. – Tasos wreszcie przemówił. Ewa wywarła na nim takie wrażenie, że prawie nie uczestniczył w przesłuchaniu.

Zagadnięta przeze mnie po polsku, zareagowała nieoczekiwanie:

– Mogło tak być – odpowiedziała. Odwróciła się niespodziewanie w jego kierunku i przeszła płynnie na angielski. – Pływałam wzdłuż brzegu i obserwowałam drogę, ale nie przez cały czas – dodała. – Nurkowałam. W tym czasie mogło się sporo wydarzyć. – Posłała mu spod rzęs przeciągłe spojrzenie szaroniebieskich oczu. Przez chwilę milczała, bawiąc się długopisem, który jej podałam, a na koniec wyraziła swoje emocje: – Ech, co za historia! – westchnęła. – Okolice cerkwi to pustkowie. Dom Dimitrisa Samarasa, jedyny, który jest w pobliżu, stoi tyłem do kościółka i w dodatku za wysokim murem. Przez zarośla widać z oddali tylko komin i kawałek dachu. Po sezonie trudno tam kogokolwiek spotkać, a tego ranka było zupełnie inaczej. W dodatku ta bójka w cerkwi Mateńki Płaczącej. Aż trudno w to uwierzyć. Dziwna sprawa – powiedziała cicho.

Nie zareagowała na widok złotej bransolety, którą znalazłam przed cerkwią.

– Ładna – skwitowała tylko. – To damska czy męska? Taka ciężka. – Obejrzała ją dokładnie. – No. To pewnie męska – stwierdziła w końcu. – Nie, nigdy wcześniej jej nie widziałam – odpowiedziała przecząco na rutynowe pytanie.

Gdy podpisała zeznanie i wyszła, mieliśmy w głowach kompletny zamęt. Pobieźnie przesłuchaliśmy kolegów Ewy. Powtórzyli to, co opowiedzieli mi wcześniej. Rzeczywiście spali. W dodatku plaża, choć położona blisko, nie była dobrym punktem obserwacyjnym. Za niezwykle uznali jedynie

zachowanie greckiego historyka – Andreasa Kotopulosa. Ich zdaniem zrobił na plaży „niezłą zadymę”.

Ta pozornie błaha sprawa rozwijała się w denerwujący pościg z czasem, pełen zagadek i zaskakujących zdarzeń. Nie czuliśmy się dobrze z oddechem zła na plecach, ale dochodzenie powoli nabierało tempa. Śledztwo utrudniał brak wartościowych dowodów z miejsca zajścia i analiz laboratoryjnych, jednak ostatnie zeznania świadków rzuciły nowe światło na zgromadzone wcześniej fakty. Odkryliśmy, że przynajmniej dwie osoby nas oszukały, i pojawił się nowy trop – tajemniczy ktoś, kogo nie potrafiliśmy zidentyfikować. Musiał mieć ważny powód, żeby tak wcześnie rano przyjechać do cerkwi samochodem i ukryć go w krzakach. Chociaż Kotopulos nie potrafił opisać kierowcy, jego obecność w pobliżu świątyni potwierdzały też zeznania Ewy. Od początku nie wierzyliśmy, że w miejscu, gdzie przewinęło się tyle osób i wydarzyła się tragedia, nikt niczego istotnego nie zauważył. Teraz, kiedy nasze podejrzenia się potwierdziły, Tasos zlecił stałą dyskretną obserwację Stawrosa i Dimitrisa – dwóch świadków podejrzanych o złożenie fałszywych zeznań.

Tymczasem wyspę powoli ogarniała atmosfera żałoby po zmarłym i zaczęły się przygotowania do pogrzebu.

Rozdział 8

Wiadomość o śmierci Lakisa wstrząsnęła naszą małą społecznością. Szczęśliwie ucichły już w mediach sensacyjne doniesienia z Toros i wyspa powoli pustoszała. Mieszkańcy potrzebowali spokoju, by po swojemu przeżyć ten dramat. Dystans do upływającego czasu i fanatyczne wręcz zamięłowanie do rozmów sprawiają, że Grecy, szczególnie na prowincji, spędzają wolny czas na spotkaniach w gronie przyjaciół i w kawiarniach. W takiej atmosferze rodzą się silne więzi solidarności społecznej, ale utrzymanie czegoś w tajemnicy graniczy z cudem. Tymczasem okoliczności śmiertelnego pobicia syna Margaritisów pozostawały niewyjaśnione, co burzyło ustalony od wieków porządek i niszczyło poczucie bezpieczeństwa wyspiarzy. Mieszkańcy radzili sobie z frustracją na swój sposób. Wspierali w żałobie rodziców zmarłego i uczestniczyli w organizowaniu uroczystości pogrzebowej. W miasteczku wyczuwało się atmosferę smutku i przygnębienia.

Przesłuchanie dwojga podejrzanych o złożenie fałszywych zeznań, Dimitrisa i Stawrosa, zawiesiliśmy na ten czas. Doprowadzenie ich na kolejne przesłuchanie przed ceremonią mogłoby być szokiem dla ich rodzin i reszty mieszkańców. Nie dysponowaliśmy żadnym materiałem dowodowym i dlatego obawialiśmy się takiej konfrontacji.

Spotkanie w moim salonie zapowiadało się nieciekawie. Popijając wino, omawialiśmy szczegóły śledztwa. Konstruowaliśmy nowe hipotezy przebiegu zdarzeń, ponosząc kolejne porażki.

– Przeanalizujmy jeszcze raz, Klaro, po kolei, co zauważyłaś w cerkwi, gdy tam weszłaś z ojcem Teodorem – zaproponował Kostas.

– Od razu się domyśliłam, że bójka miała miejsce przed ikonostasem, a nie na zapleczu kościółka. Zrozumiałam też, że ktoś dokładnie usunął jej ślady. Podłogę w nawie wytarto z niewielkiej ilości wody wychlapanej podczas szamotaniny z wiadra, o którym wspominała Anna. Zgodnie z jej relacją, na szczęście dla sprawcy, wody w naczyniu było niewiele. Mimo wszystko ścierka, której użyto przy sprzątaniu, wepchnięta pod szafę w zakrystii, była wilgotna jeszcze po południu, kiedy ją tam znalazłam.

– Co wskazywało na to, że właśnie przed ikonostasem doszło do szamotaniny?

– Moją uwagę zwróciło puste wiadro. Musiało uderzyć z dużą siłą o ścianę, bo zostały na nim ślady tynku, a w ścianie zauważyłam niewielkie wgłębienie, które ktoś zasłonił parawanem spowiedniczym. Czuję, że ważnym dowodem w sprawie może być krzesło, które znalazło się przed ikonostasem, choć powinno być w zakrystii, ale nie mam pomysłu, jak to wytłumaczyć. – Popatrzyłam pytająco na Kostasa i Tasosa. Jeden przyglądał mi się z uwagą, a drugi cały czas coś notował. – Sprawca się spieszył – kontynuowałam – dlatego wytarł tylko podłogę. Nie zauważył, że woda rozprysła się też po templonie i zachlapała cudowną ikonę Matki Boskiej. Tak oto pojawił się wątek łez słynnego obrazu. No niestety... Wszyscy, którzy tam po zajściu przyszli, ulegli złudzeniu, że Mateńka roni łzy. Czyż od miesięcy nie oczekiwano, że tak się stanie? – dodałam z westchnieniem.

Jest wiele niewiadomych. Nie rozumiem, jak to się stało, że Lakisa znaleziono w zakrystii, a nie przed ikonostasem, gdzie doszło do bójki. Czym go uderzono? Czy napastnik zabrał ten przedmiot, czy gdzieś go ukrył? Kolejne pytanie dotyczy złotej bransolety. Kto ją zgubił przed cerkwią i czy właściciel biżuterii

jest związany z tym śledztwem? Nie pojmuję, dlaczego w miejscu bijatyki nie było śladów krwi. Dlaczego na ścierce była tylko woda, skoro ranny tak obficie krwawił? No i czy to możliwe, że ktoś wyniósł nieprzytomnego Lakisa do zakrystii, by go ukryć, a następnie posprzątał cerkiew? Tylko na jedno z tych pytań odpowiedź jest prosta: nikt nie mógł samodzielnie w tak krótkim czasie przenieść Lakisa do zakrystii, posprzątać i uciec niezauważony.

– Jest jeszcze taka możliwość, że do szamotaniny doszło w nawie, a ostateczny cios zadano ofierze dopiero w zakrystii! – wykrzyknął Kostas odkrywco.

Tasos popatrzył na niego ze źle skrywanym politowaniem i skomentował z przekąsem:

– A potem sprawca stracił dziesięć minut na to, żeby zmyć podłogę przed ikonostasem, bo lubi porządek. Nie słuchasz. Klara właśnie wykluczyła tę możliwość. Przypuszczenie, że sprawca, zamiast uciec, wydłużył czas pobytu na miejscu przestępstwa o sprzątanie, i to w publicznym miejscu, można od razu odrzucić. Ale akurat na to pytanie odpowiedź przyszła po sekcji zwłok ofiary – oświadczył z satysfakcją nasz kolega z Aten. – Jest już raport na ten temat. Fragment opisu obdukcji obrażeń rannego Lakisa już ci kiedyś cytowałem – popatrzył na mnie znacząco – i dlatego wnioski patologów po sekcji zwłok mogą cię zdziwić. Zaniepokoiły ich nietypowe obrysy rozległej rany. Dokładne oględziny zmasakrowanej skroni zmarłego po ogoleniu włosów i badania tkankowe wykonane podczas i po sekcji przyniosły zaskakujące wyniki. Okazuje się, że było nie jedno, a dwa uderzenia – zadane dwukrotnie w tę samą okolice głowy przy lewej skroni, jednak w pewnym odstępie czasu – i że dopiero to drugie stało się przyczyną wylewu i objawów stłuczenia mózgu. Spowodowało śpiączkę, a potem śmierć.

Częściowo nałożone na siebie obrzeża ran nie pozwalają opisać ciosów z punktu widzenia ergonomii. W tej nietypowej sytuacji wnioskowanie czegokolwiek patolodzy uznali za ryzykowne. Zsumowane urazy sporo komplikują, ale jedną kwestię wyjaśniają: były dwa uderzenia zadane w krótkim odstępie czasu.

– Fiu, fiu – gwizdnął swoim zwyczajem Kostas, przerywając mu. – Dwa uderzenia. Możemy też wnioskować, że opis rozkłada akcję na dwa różne miejsca. Przynajmniej jedna tajemnica jest rozwikłana – dokończył za Tasosa.

– No właśnie. Teraz pozostaje nam już tylko odpowiedzieć na kilka łatwych pytań – zakpił Tasos. – Jak do tego doszło? Kto i dlaczego go pobił? Czy spotkanie sprawcy i ofiary było przypadkowe, czy umówione? Kto, kiedy i dlaczego posprzątał cerkiew? Jak zinterpretować następujące po sobie bójki? Czy to była próba zabójstwa, czy przypadkowa śmierć w wyniku pobicia? Czy Lakisa zaatakował dwukrotnie ten sam człowiek? Kim jest osoba, której nie zidentyfikowaliśmy i... dlaczego nasi świadkowie kłamią? – Kiedy skończył wyliczać, pokiwał głową z rezygnacją. – Zakładamy – patrzył na nas pytająco – że poza Kotopulosem nikogo obcego nie było na wyspie?

– Z raportu policyjnego wynika, że nie – odezwał się Kostas. – O tej porze roku trudno tu być niezauważonym. Każdy obcy rzuca się w oczy już wtedy, gdy opuszcza prom, a to jedyny sposób, żeby anonimowo dostać się na Toros. Przybycie prywatnej łodzi czy jachtu zawsze wzbudza sensację.

– Jest przynajmniej dziewięć osób, które były w cerkwi albo w pobliżu kościołka tego ranka – podjął temat Tasos. – Tak naprawdę żadnej z nich nie możemy wykluczyć z podejrzeń. Oprócz historyka Kotopulosa, o którym prawie nic nie wiemy, każda miała jakiś motyw. Żadna – podkreślił – żadna nie ma

alibi. Tożsamości jednej z nich nie znamy, lecz to tylko kwestia czasu. Nawet Anny Margaritis nie możemy wykluczyć z podejrzeń.

Wzdrygnęłam się, gdy to powiedział.

– To mało prawdopodobne, ale hipotetycznie i matka mogła się szarpać z synem. Konflikty rodzinne są czasem bardzo złożone. Znany jest, wiem – uspokajał, widząc nasze skwaszone miny – łagodny charakter Anny, ale wielkie emocje zmieniają typowe zachowania ludzi. Najbardziej podejrzani są oczywiście ci, którzy kłamali podczas przesłuchania, i ci, którzy się nie zgłosili na policję. Ukrywali, że byli tego dnia na miejscu przestępstwa. Nie są to jednak dowody ich winy, a wyłącznie powód, żeby snuć domysły.

Nie protestowaliśmy. Po dotychczasowych niepowodzeniach śledztwa Tasos był nieprzejednany i naładowany energią do granic. Wszyscy w komisariacie schodzili mu z drogi. Mówił teraz głośno i z taką pasją, że było go słychać nawet w kuchni na półpiętrze.

Zaniepokojona Tula wsunęła głowę do salonu.

– Czy coś się stało? – dopytywała, nieprzyzwyczajona do hałasu w tym wiecznie pustym domu.

Do pokoju wślizgnęły się cichaczem Klaudiusz i Tyberiusz. Psy, nieprzywykłe do przebywania w domu, rozglądały się zaciekawione po wnętrzu. Byłam zdziwiona, że weszły do salonu, bo nigdy tego nie robiły. Po kilku nieudanych próbach kąpieli nie zachęcałam ich do wizyt w domu. Teraz obserwowałam z zainteresowaniem zachowanie zwierząt.

Rosły i śmielszy Tyberiusz stanął na wprost zdenerwowanego Tasosa. Spuścił łeb i warknął cicho. Potem powąchał go i obszedł wokół. Nieco przyjaźniej, choć bez wylewności, potraktował Kostasa. Obwąchał mu buty, a na

koniec położył się spokojnie przed moimi nogami. Nie zaszczyił mnie wprawdzie ani jednym spojrzeniem, za to uważnie i w skupieniu obserwował naszego kolegę z Aten.

Bardziej lękliwy i łagodniejszy Klaudiusz usiadł niepewnie w progu otwartych drzwi na taras, pozostawiając sobie krótką drogę ucieczki. On też przyglądał się gniewnie Tasosowi. Gdy psy zaakcentowały wejściem swoją obecność w posiadłości i ułożyły się do drzemki, nasz as Interpolu powiedział bez przekonania:

– Ładne pieski.

– O tak. Są w porządku – wtrącił uprzejmie Kostas.

Przytaknęłam, ale bez entuzjazmu. Wiem, że Grecy przeważnie nie lubią psów.

– Jakiej są rasy? – zapytał Tasos.

– Jak widać – odpowiedziałam, usiłując ukryć uśmiech.

– Gryzą? – kontynuował wywiad, jak przystało na praktycznego mieszkańca Wysp Brytyjskich.

– Są szczepione. – Użyłam skrótu myślowego, bo nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Aha – skomentował moją odpowiedź.

Wyraźnie czekał na ciąg dalszy, więc dodałam:

– Jak dotąd, nikogo nie ugryzły. – Po tym stwierdzeniu, patrząc na perfekcyjne kanciki spodni Tasosa, rzuciłam: – Pchły nie są dla ludzi niebezpieczne. Chyba – poprawiłam się.

Posiedzieliśmy, pomilczeliśmy, a po chwili znowu rozgorzała dyskusja. W głośniejszych momentach Tyberiusz powarkiwał ostrzegawczo przez sen, a ze dwa razy podniósł łeb, żeby głośnym szczeknięciem dać znak, że jest, broni mnie i kontroluje sytuację. Byłam z niego dumna!

– Wyniki sekcji wskazują na dwukrotne uderzenie – zauważył słusznie Kostas. – Z oględzin miejsca zajścia

dokonanych przez Klarę wynika, że pierwsza awantura, po której starannie posprzątało, miała miejsce przed ikonostasem. Na ścierce nie ma śladów krwi, bo prawdopodobnie nie było krwawienia. Rozlało się trochę wody i obilo stare wiadro. Można prawie na pewno twierdzić, że druga bójka czy też zaplanowany napad odbył się w zakrystii. Trudno wyrokować, czy ten, kto zadał drugi cios, chciał zabić, ale skoro uciekł i nie udzielił rannemu pomocy, jest winien śmierci. Prawdopodobnie był pewien, że Lakis nie przeżyje.

– Czy żaden szczegół w raporcie z obdukcji jego obrażeń po pobiciu i w opisie sekcji zwłok nie zwrócił waszej uwagi? – zapytał Tasos. Wymieniliśmy z Kostasem spojrzenia. – W obu przypadkach – kontynuował – nie ma żadnej wzmianki o innej ranie na ciele ofiary prócz tej na głowie, podczas gdy on sam twierdził, że ma poważnie zranioną dłoń. Podobno doszło do tego podczas łowienia ryb. Rodzice też tak zeznali.

– A to może znaczyć – zerwałam się z krzesła – że udawał, by nie iść po wodę, bo był z kimś umówiony w cerkwi.

– Tak! – wykrzyknął triumfalnie Kostas. – Właśnie tak! Chciał, żeby matka poszła sama, bo czekał na kogoś!

– Z kim można się umówić w świątyni o tej porze? – zastanawiał się Tasos.

– Z popem. – Kostas postawił tezę.

– Z kimś, kto mieszka w pobliżu – dodał nasz kolega z Aten. Miał na myśli studentów z Polski i Dimitrisa Samarasa.

– Albo z obcą osobą, która łatwo trafi do dobrze widocznej cerkwi – podsunęłam przekornie.

– Poddaję się – jęknął Tasos. – Znowu zmierzamy donikąd. To może spróbujmy inaczej – zaproponował po chwili. – Po co to krzesło?

– Dla kobiety – wyrwało się Kostasowi. – Dla adorowanej kobiety – poprawił się.

– Dość naiwne, ale sprawdzisz, gdzie wtedy była Jana – padło krótkie polecenie skierowane do niezadowolonego z obrotu sprawy Kostasa.

– Nie wierzę, że to Jana – powiedziałam rozgoryczona.

– Ja też jakoś niezbyt w to wierzę – pocieszał mnie nasz szef. – To tylko hipoteza do sprawdzenia, nic więcej. – Poklepał mnie po ramieniu. – Sama wiesz, że Samarasowie mieli konflikty z Lakisem. Trzeba ich wszystkich sprawdzić dla świętego spokoju.

– Co z narzędziem zbrodni? – zapytałam.

– Żaden przedmiot w kościółku nie nosi widocznych śladów ani nawet mikrośladów krwi. Tak jak się spodziewałem – odpowiedział.

– Jutro kolejny raz przetrząśniemy cerkiew i całe wzgórze – wtrącił Kostas. – O ile nie zabrał tego ze sobą, może w końcu znajdziemy. Co to mogło być? – dodał.

– Nie mam pojęcia. Jak wszystko w tej sprawie, to też jest nietypowe – mruknął Tasos.

– A co sądzisz o ranie, którą odniósł poszkodowany? – zapytałam.

– Miałem już podobne śledztwo. – Londyńczyk się ożywił, sięgając po nieodłączne papierosy. – Rany tłuczone zadane w to samo miejsce, nałożone na siebie, akurat w przypadku Lakisa uniemożliwiają miarodajną ekspertyzę. Trudno określić, z jaką siłą zadano ciosy. Nie ma podstaw, żeby wyrokować, czy zadała je kobieta, czy zrobił to mężczyzna. W tej sprawie dodatkowym utrudnieniem dla ekspertów był fakt, że badania tkankowe nie zostały wykonane bezpośrednio po zajściu. Przecież Lakis zmarł po kilkunastu dniach pobytu w szpitalu, gdzie walczył o życie, a

jego organizm usiłował bez powodzenia naprawić szkody. Do kliniki przywieziono nie zwłoki, a żywego człowieka. Śledztwo w sprawie o morderstwo toczy się w zupełnie innych warunkach.

– W tej sytuacji nie możemy wykluczyć, że napastnikiem była kobieta – powiedziałam cicho.

– Nie, tym bardziej że uderzenia były dwa i to w pewnym odstępie czasu. Wszystko jest możliwe.

– A czas, w którym nastąpiło zabicie? – drążyłam temat.

– To znowu element decydujący, gdy jest możliwość zbadania zwłok bezpośrednio po zabójstwie. W tym wypadku nie ma zastosowania. Nasza wiedza w tym względzie – rozwijał Tasos – obejmuje łącznie aż czterdzieści minut. Jedyne, czym możemy się kierować, to kolejność podchodzenia do cerkwi świadków i nadzieja, że wreszcie zaczną mówić prawdę.

– Jeśli wierzyć historykowi Andreasowi Kotopulosowi, to około godziny szóstej pięć w cerkwi ktoś się kłócił – wtrącił Kostas.

– Wiele by się wyjaśniło, gdybyśmy ustalili, kto był wtedy w środku z Lakisem – dopowiedziałam. – Prawdopodobnie będziemy wiedzieli więcej po jego pogrzebie i ponownym przesłuchaniu Stawrosa i Dimitrisa. Zeznania Ewy wskazują na ojca ofiary.

– Nie zapominaj, że jej relacja nie jest dokładna – przerwał mi Kostas. – W wielu przypadkach nie była pewna swoich obserwacji. Musimy to mieć na względzie. No i jeszcze ta odległość od brzegu – westchnął ciężko. – Efekty przesłuchania uroczej Polki łatwo podważyć, skoro nie widziała, kto wchodził do cerkwi, a jedynie kto był na widocznym z morza kawałku drogi pośród pól. Na tej podstawie można co najwyżej żądać od podejrzanych wyjaśnień – tłumaczył mi.

– Wnioski w obecnym stanie śledztwa? – Patrzyłam wyczekująco na Tasosa.

– Rewelacyjne – powiedział z przekąsem. – Istna paranoja! Na tę chwilę powinniśmy uznać, że po wyjściu Anny z cerkwi Lakis spędził czterdzieści minut w samotności. Dwukrotnie się pobił, odbył sam ze sobą sprzeczkę, a potem w wyniku własnych poczynań po kilku dniach zmarł w szpitalu. Wokół kościółka kręciło się fatalnego poranka, nie wiedzieć po co, sporo ludzi. Ruch był jak na bazarze, ale nikt nikogo nie spotkał i nikt niczego dokładnie nie widział. Cholera! – Agent Interpolu walnął ręką w blat stołu, aż oba psiska, warcząc, zerwały się na równe nogi. – Dość tych żartów – dodał ciszej, zerkając na nie niepewnie. – To dobrze. Mimo wszystkich wątpliwości to bardzo dobrze, że mamy zeznania Ewy. Są jedynym punktem zaczepienia w tej sprawie. Jutro po pogrzebie porozmawiam sobie z naszymi świadkami inaczej. Dla was też szykuje się ciężki dzień – zapewnił bez uśmiechu. – Przesłuchasz wstępnie Stawrosa. Sprawdzisz Janę i przygotujesz raport o wszystkich niewielkich jasnych kabrioletach na wyspie: biały, srebrny, beż – wyliczył Kostasowi.

– Może ich być ponad setka – jęknął zagadnięty.

– Potem wezwiesz Janę i sprawdzisz kontakty właścicieli tych samochodów. – Nasz obecny szef wydawał polecenia, ignorując protesty Kostasa. – Wykonać – uciął dyskusję na widok jego niechętej miny. Teraz odwrócił się w moim kierunku: – Rozpuścisz plotkę, że policja przygotowała nagrodę dla osoby, która potrafi wskazać albo udzielić informacji na temat właściciela złotej bransolety ze znakiem wodnika. Kawiarnie, kosmetyczka, fryzjer, sklep mięsny. Sama rozumiesz, że kobiety są bardziej rozmowne i zwracają uwagę na biżuterię.

– To niedopuszczalne – protestował miejscowy stróż prawa.
– I... i nieformalne – dodał. – Takie manipulowanie jest nie do pomyślenia – upierał się.

– A to, że świadkowie nas okłamują, jest w porządku? – Tasos syczał przez zęby. – Coś ty taki formalista? Mam czekać na samosąd? Miejscowi są gotowi sami wymierzyć sprawiedliwość, zanim rozeznamy się w matni tych kłamstw. A jak powieszą któregoś dnia niewinnego człowieka, to co będzie?

O ho, ho! A to się zapędził! Zdumiałam się. Czyżby aż tak bardzo się przejął moimi fantazjami o samosądach, którymi go straszylam przy naszym pierwszym spotkaniu? Wyciągnął z moich słów tak dosłowne wnioski? Uhm... Spuściłam skromnie oczęta, a Kostas się zdziwił. Był zdezorientowany.

– Aaa... – Chyba zamierzał znowu protestować, ale Tasos tego nie zauważył.

– Już się z nimi zintegrowałem – rozsierdził się na dobre. – A teraz muszą i nam, i sobie pomóc. W najbliższych dniach oczekuję wizyty mojego zwierzchnika z Interpolu. Nie zapominajcie, że Lakis był członkiem organizacji przestępczej. Wolałbym, żeby ta sprawa miała podłoże lokalne, ale sądząc po zgromadzonych w śledztwie materiałach, spodziewam się czegoś innego. Jeśli się nie mylę, sprawy mogą wkrótce przybrać fatalny obrót. Mamy niewiele czasu. Wezwałem na jutro do komisariatu ojca zamordowanego, Stawrosa Margaritisa.

– Musimy pamiętać, że to jego dziecko dzisiaj chowają – przerwał mu wreszcie Kostas.

– Tak. Ależ tak. I dlatego zaczniesz przesłuchanie sam, w familiarnej atmosferze i po przyjacielsku – ustawiał go Tasos. – Oczywiście, że sprawa jest delikatna. Będą nam patrzeć na ręce i nasi zwierzchnicy, i mieszkańcy wyspy. Nie możemy sobie

pozwolić na żaden błąd. Jedno nierozważne posunięcie i utrata zaufania wyspiarzy to katastrofa wobec naszej wiedzy o zagrożeniu Toros przez struktury przestępcze. Ustawisz rozmowę ze Stawrosem po swojemu i zaczniesz przesłuchanie – powtórzył – a ja dołączę do was później. Zaraz potem porozmawiamy sobie, też szczerze, z Dimitrisem Samarasem. Jestem pewien, że coś się wreszcie wyjaśni.

Stało się inaczej.

Wieczorem nad wyspą po raz pierwszy długo i złowieszczo zabiły pogrzebowe dzwony.

Rozdział 9

Nad miasteczkiem wstawał świt. Było pochmurno. W salonie Margaritisów przed niewyłączonym na noc telewizorem spał pan domu. Na podłodze obok kanapy stała brudna szklanka i butelka metaxy opróżniona do połowy. W nieprzewietrzonym pokoju unosił się odór alkoholu i papierosów.

Stawros obudził się, zerwał na równe nogi i nerwowo popatrzył na wiszący nad kominkiem zegar. Był blady, nieogolony i kompletnie ubrany od wczorajszego pogrzebu – miał na sobie spodnie od garnituru, ciemną koszulę i ciemną marynarkę. Wychudły i poszarzały na twarzy wyglądał źle. Z niezamkniętej butelki nalał sobie potężną porcję koniaku. Wypił ciepły trunek jednym łykiem, skrzywił się z niesmakiem i wyłączył szumiący telewizor. Z szuflady w komodzie wyciągnął mały, krótki pistolet. Przeładował go i włożył do kieszeni.

Nie zapalając światła pomimo półmroku, skierował się na pierwsze piętro do sypialni Lakisa. Delikatnie zamknął za sobą drzwi i włączył komputer syna. Po chwili odszukał jakiś plik na ekranie, otworzył go i uruchomił drukarkę. Słuchał, jak maszyna miarowo drukuje kolejne strony dokumentu. Patrzył na porozrzucane w nieładzie rzeczy nieżyjącego jedynaka. Od dnia tragicznych zdarzeń w cerkwi pokój wyglądał tak, jakby Lakis za chwilę miał tutaj wrócić.

Trzeba będzie posprzątać, pomyślał i poczuł dotkliwe ukłucie w sercu. Muszę wyręczyć w tym Annę, ale to nie teraz, jeszcze nie.

Wyciągnął wydruk i przez moment jeszcze został przy komputerze. Wszedł w ustawienia, nacisnął funkcję „usuń wszystko” i spojrzął na zegarek. Trochę to potrwa, ale nie jestem tu niezbędny, mruknął do siebie i opuścił pokój. Na palcach

podkraść się do obszernej sypialni na końcu korytarza. W cedrowym, rzeźbionym łóżu, które dostali w dniu ślubu od jego ojca, spała Anna. Na jej twarzy nawet przez sen malowało się cierpienie. Popatrzył na nią oczyma pełnymi troski, po czym cicho i bezszelestnie zszedł na dół. W holu ze skrzynki z bezpiecznikami wyciągnął jakiś klucz. Włożył go do kieszeni marynarki i ukradkiem wymknął się z domu przez drzwi tarasowe. Podpatrywał zza węgła siedzącego w radiowozie policjanta, zanim przez ogrodzenie z tyłu domu przeskoczył na posesję sąsiada. Bez problemu wydostał się stąd na ulicę niewidoczną dla stróża prawa.

Miasteczko po wczorajszych uroczystościach pogrzebowych było otulone snem. Większość okien zasłaniały solidne drewniane okiennice, a w pozostałych panowała ciemność. Opustoszałe Toros o tej wczesnej porze wyglądało malowniczo i pięknie, jak na widokówkach, które turyści rozsyłali stąd do wszystkich zakątków świata: tarasowo ułożone wąskie ulice z wykutymi w skale schodami oraz śnieżnobiałe domostwa z niebieskimi drzwiami i okiennicami.

Był listopadowy poranek. Nad wyspą zawisły ciężkie jesienne chmury. Stawros przemykał pod ścianami domów w kierunku drogi wyjazdowej z osady. Na peryferiach miejscowości wielkimi susami dogoniły go psy Klary. Uznały jego skradanie się i pośpiech za pretekst do wspólnej zabawy. Plątały mu się przez chwilę pod nogami, radośnie wymachiwały ogonami, jednak na skrzyżowaniu głównych dróg rzuciły się w pogoń za kotem, który nieoczekiwanie pojawił się na drodze.

Stawros rozejrzał się z niepokojem wokoło i skrzył w kamienistą drogę wiodącą do cerkwi. Gdy mijał wąską ścieżkę prowadzącą w dół wzgórza, do swojej plaży, zauważył, że nie ma na niej obozowiska studentów z Polski. Przez chwilę

mocował się z potężną kłódką w drzwiach świątyni, a potem wszedł do środka, pozostawiając wrota uchylone. W kościele panował półmrok. Stawros potykał się o sprzęty, ale w końcu usiadł na jednej z ławek, na wprost wizerunku Madonny. Bliskość tego miejsca i wspomnienie tragedii, która wydarzyła się tutaj niedawno, były trudne do zniesienia. Miał zamęt w głowie, a jego serce waliło jak oszalałe. Wiedział, że policja obserwuje go bez przerwy i że za kilka godzin będzie musiał wyznać na komisariacie całą prawdę. Nie obawiał się składania zeznań, a jedynie reakcji Anny. Od lat robił wszystko, co potrafił, by ją uszczęśliwić. Żył tylko dla niej. Teraz bał się, że może ją stracić, i dlatego postanowił działać. Nie zamierzał czekać na nieudolne działania Kostasa ani poddać się biernie losowi. Musiał wziąć sprawy w swoje ręce.

Nagle drgnął. W klasztorze po drugiej stronie zatoki dzwony głośnym biciem oznajmiały godzinę szóstą. Gdy umilkły, drzwi cerkwi zaskrzypiały cicho. Co za punktualność, pomyślał ojciec Lakisa. Powoli wstał i odwrócił się przodem do wejścia. Był ciekaw tego człowieka.

*

Punktualność nie jest cnotą Greków, ale o godzinie dziewiętej trzydzieści Kostas patrzył na zegar wiszący na ścianie coraz bardziej zniecierpliwiony. Wstał zza biurka, wszedł do dyżurki i przez radio wywołał posterunkowego obserwującego dom Margaritisów.

– Co tam się dzieje, Niko?! – krzyczał zirytowany do mikrofonu. – Za chwilę przyjdzie Tasos. Już dawno powinienem mieć zeznania Stawrosa.

– Nie wiem, szefie. Nie wychodził z domu. Wygląda na to, że wszyscy w środku jeszcze śpią, bo okiennice są zamknięte.

Co robimy? – zapytał podwładny. – Może po pogrzebie zaspali. Stypa trwała prawie do rana – dodał.

– No dobrze, damy mu jeszcze piętnaście minut. Potem wchodzisz i od razu się meldujesz. Zrozumiano? Chcę go tu mieć najpóźniej o dziesiątej.

– Tak jest – padło z drugiej strony.

Kostas westchnął ciężko. Praca wśród ludzi, z którymi dorastał, w miejscu, gdzie się urodził, nie była łatwa. W relacjach zażyłości wyegzekwowanie prostych rzeczy, choćby mandatu, było trudne. Jeszcze trudniej było to wytłumaczyć przyjeżdżającym na Toros, na szczęście rzadko, zwierzchnikom.

Szef komisariatu był zmęczony, nieogolony i w kiepskim nastroju. Drzwi dyżurki gwałtownie się otworzyły i w progu stanął tryskający energią i oczywiście nienagannie ubrany Tasos.

Ten to mnie wkurza, pomyślał miejscowy stróż prawa i obrzucił przybysza niechętnym spojrzeniem. Gdy agent Interpolu usłyszał o prawie godzinnym opóźnieniu przesłuchania najważniejszego w sprawie świadka, pokiwał głową z ubolewaniem.

– To nie Ateny. My się tu wszyscy znamy, a człowiek wczoraj pochował dziecko! – wybuchnął Kostas, widząc ten gest, choć sam był wściekły, że tak długo czeka na spóźniającego się Stawrosa.

Od dnia przyjazdu Tasosa na wyspę w powietrzu wisiała pierwsza służbowa kłótnia. Na szczęście w tym momencie odezwało się radio. Podekscytowany Nikos meldował, krzycząc głośno do mikrofonu:

– Szefie! Szefie, cholera, mamy problem. Stawrosa nie ma w domu! Nie było go w sypialni przez całą noc. Anna nie wie, co się z nim stało. Zażyła środki nasenne i z trudem ją dobudziłem. Co robimy?

– Zostań tam i przeszukaj dom. Przyślę zaraz resztę chłopaków, i żeby mi tym razem nie spaprali roboty i nie przeoczyli czegoś. Bo zatłukę! – złościł się Kostas.

– Uciekł? – zapytał zaskoczony Tasos.

– Na to wygląda.

– Gdzie był zwiadowca?

– W samochodzie przed domem.

– To znaczy, że ten cwaniak to zaplanował – zasepił się as Interpolu. – Zarządzić przeszukanie całej wyspy! – Poderwał się z fotela. – O cholera, to katastrofa! Przyprowadzić mi tu zaraz Dimitrisa Samarasa, bo jeszcze i ten zniknie. Zrozumiano?! – wrzeszczał do zaskoczonego dyżurnego, który stanął właśnie w drzwiach.

– Co jeszcze możemy zrobić? – zastanawiał się Kostas.

– Przeszukać mieszkanie i porozmawiać z żoną Stawrosa. Może dowiemy się czegoś o okolicznościach tego zniknięcia – zarządził Tasos profesjonalnie. – Szukać, szukać – powtarzał. – I modlić się, żeby gość jeszcze był na wyspie – dodał z determinacją.

– Panie komendancie! – Do dyżurki weszła sekretarka Kostasa. – Dimitris Samaras czeka już w biurze.

– Kostas, przesłuchaj go i przyjedź do Margaritisów – rzucił Tasos, wybiegając z komendy.

Dimitris Samaras siedział spokojnie na krześle w pokoju przesłuchań. Ogolony, z zaczesanymi do tyłu lekko szpakowatymi włosami i pięknie opaloną twarzą wyglądał jak zwykle olśniewająco. Oparty o biurko komendanta bawił się kluczykami do samochodu. Głęboko osadzone szarozielone oczy patrzyły na rozmówcę z pewnością i spokojem. Zachowywał się i poruszał jak osoba, która ma świadomość swojej wartości i zawartości portfela.

Policjant pomyślał złośliwie i nie bez satysfakcji, że w markowych ciuchach nie wygląda tak niedorzecznie, jak jego partner z Aten. Bez żadnych wstępów zapytał świadka:

– Byłeś w dniu pobicia Lakisa na drodze do cerkwi między godziną szóstą a szóstą czterdzieści?

– Tak – odparł Samaras po prostu.

Kostas wyciągnął chusteczkę do nosa i przetarł pot z czoła.

– To dlaczego, do jasnej cholery – uderzył ręką w biurko – nie powiedziałaś nam tego podczas poprzedniego przesłuchania?!

– Masz gdzieś te zeznania? – zapytał Dimitris.

– Chyba ci się role pomyliły! To ja prowadzę przesłuchanie! – padł stanowczy komentarz.

– Tak, nie przeczę, ale nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Odpowiedziałem na wszystkie wasze pytania, a jeśli skłamałem, Klara na pewno to odnotowała.

Kostas zrobił się purpurowy na twarzy.

– Co mi chcesz wmówić?

– Nic, chłopcze – odpowiedział spokojnie świadek. – Po prostu jestem pewien, że interesował was mój pobyt na plaży i tylko o tym szczegółowo rozmawialiśmy. Dobrze to pamiętam.

– Wiedziałaś, że śledztwo dotyczy wszystkiego, co się działo tego dnia wokół cerkwi – wtrącił rozdrażniony Kostas, ale Samaras przerwał mu:

– Nie prowadzę tego śledztwa. To ty jesteś policjantem i uważam, że powinieneś bardziej nad sobą panować.

– Przepraszam. – Komendant komisariatu uspokajał się powoli. – Przed chwilą zaginął Stawros. Szukamy go wszędzie. Nie był z nami szczerzy podczas przesłuchania, a dzisiaj nie zgłosił się do mnie na kolejną rozmowę. Wiesz, gdzie może być?

– Nie – odpowiedział Dimitris widocznie zaskoczony i zaraz dodał: – Ale to bardzo dziwne, że się nie zgłosił na przesłuchanie. To porządny i uczciwy człowiek. Jeśli was okłamał, musiał mieć ważny powód. Zauważyłem ostatnio, że dzieje się z nim coś złego. Od wypadku Lakisa nie jest sobą.

Kostas przeglądał ostatnie zeznanie Dimitrisa Samarasa. Kiedy skończył i podniósł oczy na świadka, był znowu cały czerwony.

– Nic się nie stało. Masz po prostu zły dzień. – Milioner uśmiechał się pocieszająco.

– Więc co robiłeś przed cerkwią tego dnia i gdzie dokładnie byłeś?

– W drodze na plażę poszedłem na moment pod cerkiew, ale nie wchodziłem do środka.

– Po co tam poszedłeś?

– Chciałem sprawdzić, co się dzieje w okolicach kościółka. Gdy piłem kawę na tarasie swojego domu, na drodze z miasteczka mignął mi jakiś biały kabriolet. Myślałem, że to Jany, bo niedawno kupiła identyczny samochód. Obawiałem się, że moja córka jedzie do cerkwi, żeby się rozmówić z tym łobuzem – dodał milioner. – Przepraszam, nie powinienem tak mówić o Lakisie, szczególnie teraz, gdy nie żyje – zreflektował się.

– Skąd ci przyszło do głowy, że córka chciałaby z nim rozmawiać właśnie w tym miejscu i w tym momencie?

– Jana skarżyła się wielokrotnie, że Lakis ją zaczepia. Kilka dni wcześniej rozmawialiśmy o tym. Wizyta Anny i Lakisa w świątyni naszej Madonny była dobrą sposobnością, by w obecności matki przemówić mu do rozsądku. Anna była jedyną osobą, którą ten gałgan na swój sposób kochał. Jeśli miałby kogoś posłuchać, to tylko jej.

- Rozumiem. A po co ty tam poszedłeś?
- Nie zamierzałem zostawiać Jany samej w takim momencie. Lakis był nieobliczalnym typem.
- Znalazłeś się przed cerkwią i co?
- Jana się nie pojawiła. Chwilę poczekałem, a potem uspokojony zszedłem na plażę. Na wyspie jest wiele podobnych kabrioletów – dodał.
- Czy widziałeś kogoś lub słyszałeś coś, gdy tam byłeś?
- Niestety nie. W przeciwnym razie na pewno bym wam o tym opowiedział. Ta cała historia jest przykra, a nawet zawstydzająca dla mojej rodziny. Spróbuj mnie zrozumieć.
- Rozumiem – powiedział Kostas współczująco. – A o której godzinie się tam znalazłeś?
- Około szóstej dziesięć. Gdy wychodziłem z domu, na zegarze w salonie było pięć po.
- A jak długo czekałeś?
- Jakieś dwie albo trzy minuty, nie dłużej – odparł.
- Nie zrozum mnie źle, ale chciałbym wiedzieć, czy twoja córka i twój zięć mają na ten czas alibi.
- Jestem pewien, że byli oboje w domu i spali. Tak sędzę.
- Jasne – powiedział Kostas i podał świadkowi do podpisania zeznania. – Dziękuję ci, Dimitris, i przepraszam. To śledztwo dobija nas wszystkich – tłumaczył się niezdarne.
- Nie ma sprawy. Nic się nie stało – przytaknął uprzejmie Samaras.

Rozdział 10

Żałowałam, że nie mogłam uczestniczyć w powtórnych przesłuchaniach Stawrosa i Dimitrisa, ale tego dnia miałam przydzielone zadanie w terenie. Kończyłam misję zwiadowczą na fotelu miejscowego fryzjera, gdy miasteczko obiegła sensacyjna wieść, że policja rozpytuje o Margaritisa. Straciłam trzy godziny w pustej fryzjerni. W dodatku poddałam włosy zabiegom miejscowego stylisty, a ten z zapalem wypróbował na mnie wszystkie swoje talenty. Efekt był zdumiewający.

Co mi to przypomina? Rozmyślałam, obserwując w lustrze swoje odbicie w oczekiwaniu na resztę. Miałam dobijającą świadomość, że moje źle ostrzyżone włosy będą odrastać przez kilka miesięcy. Gdy płaciłam za usługę, olśniło mnie. Rany boskie! Wyglądałam jak Tula! Wreszcie odkryłam podobieństwo i odprowadzona do drzwi zachwyta sprawcy mojego nieszczęścia, od razu popędziłam do domu Anny i Stawrosa.

Przed tawerną Margaritisów roilo się od policjantów i gapiów, których bez powodzenia usiłował przepędzić Nikos. Na mój widok zasalutował i uśmiechnął się głupkowato.

– No, no. Co to? Nowa fryzura?

– Gdzie reszta? – burknęłam wściekle. Rozglądałam się w poszukiwaniu Tasosa i Kostasa.

– Obaj są w pokoju Lakisa. Robią przeszukanie, bo i tak mieliśmy na dzisiaj nakaz. Stawros zniknął – odpowiedział i na wszelki wypadek przestał się uśmiechać.

W holu natknęłam się na pobladłą i niewyspaną Annę.

– Witaj, Klaro. – Ucałowała mnie. – Nie wiesz, co tu się dzieje? Dopiero wczoraj pochowałam syna – dodała głosem pełnym wyrzutu.

– Usiłują znaleźć sprawcę pobicia Lakisa, a przy okazji chcą się zorientować, gdzie się podziewa Stawros – odpowiedziałam uspokajająco.

– Miał się dzisiaj znowu zgłosić na przesłuchanie? To prawda?

– Nie powiedział ci o tym? – odpowiedziałam pytaniem.

– Nie. Jest o coś oskarżony? – zapytała niespokojnie.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Od czasu tej tragedii zachowuje się dziwnie i unika mnie.

On coś ukrywa.

– Skąd możesz to wiedzieć? – zapytałam z powątpiewaniem.

– Jesteśmy małżeństwem od trzydziestu lat, Klaro. Stawros jest dla mnie jak otwarta księga. Czytam z jego twarzy wiele rzeczy, zanim mi o nich opowie. Od kilku dni nie wychodzi z pokoju naszego syna. Całymi dniami siedzi przy komputerze i usiłuje się do niego włamać, by coś odszukać... W Atenach mu się to udało.

– Skąd wiesz?

– Bo mi o tym powiedział. Wciąż przegląda dokumenty Lakisa. Zupełnie nie rozumiem, o co mu chodzi i czego w nich szuka.

– Stawros potrafi się posługiwać komputerem? – zdziwiłam się.

– Tak. Lakis od pewnego czasu uczył go obsługi tego wynalazku. Przekomarzali się, ale mój mąż w gruncie rzeczy był zafascynowany nowoczesnym sprzętem i robił duże postępy.

– Wiesz, dokąd mógł pójść?

– Nigdy nie wychodzi z domu bez uprzedzenia lub choćby zostawienia informacji, gdzie się wybiera i kiedy wróci. Musiał

mieć ważną sprawę, jeśli zachował się dzisiaj inaczej – powiedziała z powagą.

– Nie niepokoisz się? – zapytałam i zaraz ugryzłam się w język.

– Dlaczego? Stawros jest bardzo rozsądny.

Jakiś policjant schodził z góry, taszcząc komputer Lakisa.

– Pani Margaritis, zabieramy ten sprzęt tylko na kilka dni, do skontrolowania. Proszę podpisać. – Podsunął Annie jakiś druk.

U szczytu schodów tuż za nim pojawili się Kostas i Tasos.

– Witaj, Klaro – ucieszyli się na mój widok. – Sporo się wydarzyło dzisiaj rano. Jak działania operacyjne w mieście? No, jeszcze nigdy nie widzieliśmy cię w takiej formie. Co za fryzura!

– Wyraźnie mi dokuczali.

– Cześć. A jak tam wasze przesłuchania? Przełom w sprawie? – odcięłam się. – A może znaleźliście wreszcie narzędzie, którym zadano ofierze ciosy w głowę? – Pograżyłam ich.

Przestali się do mnie odzywać.

– Czy macie państwo w domu jakąś broń? – Tasos zwrócił się do Anny.

– Tak. Mały pistolet służący do obrony osobistej.

– Jest zarejestrowany?

– Oczywiście – odparła Anna.

– Czy może nam go pani pokazać?

– Proszę. – Gospodyni podeszła do okazałej komody w salonie i otworzyła jedną z szuflad. – Niestety nie mogę wam pomóc, bo zniknął! – powiedziała zaskoczona.

Błyskawicznie wymieniliśmy spojrzenia.

– Kiedy widziała pani tę broń ostatnio?

– Dwa dni temu, gdy wróciliśmy z Aten.

– Zabieraliście państwo pistolet do Aten?

– Tak. Sam pan wie, jaka była sytuacja w szpitalu. Stawros powiedział wtedy: „Dobrze, że mamy to żelastwo, może nam się teraz przydać. Będziemy się czuć bezpieczniej”. Dwa dni temu mąż odłożył pistolet na miejsce. Jestem pewna. Byłam przy tym, a teraz skrytka jest pusta. – Anna pobladła jeszcze bardziej.

– Proszę się nie martwić. To o niczym nie świadczy. – Tasos kłamał, widząc w jej oczach paniczny strach. – Czy wie pani, gdzie moglibyśmy znaleźć męża?

– Nic już nie wiem – odparła z rezygnacją w głosie.

– Nie uprzedził, że się gdzieś wybiera?

– Nie, już mówiłam o tym Klarze. Nic nie wiem – wyszeptała. – Czy jestem tu jeszcze potrzebna? – zapytała po chwili.

– Nie, już prawie skończyliśmy – odpowiedział Kostas.

– To może napijcie się kawy? – zwróciła się do nas. – Ja muszę się napić. I to natychmiast – powiedziała i zniknęła w drzwiach prowadzących na zaplecze tawerny, nie czekając na odpowiedź.

Gdy zostaliśmy sami, Tasos ukrył gestem znużenia twarz w dłoniach i powiedział: – Tego się właśnie najbardziej obawiałem. Dużo bym dał, żeby go nie użył.

Do pokoju wsadził głowę Nikos.

– Rozpytywaliśmy wszędzie. Nikt go nie widział. Co teraz?

– Wracajcie na komisariat. Wszyscy – padł rozkaz. Po chwili jednak Tasos zmienił zdanie: – Albo nie, niech jeden z was tu zostanie. Na wszelki wypadek.

Gdy zostaliśmy sami, zapytałam go:

– Co znaleźliście w pokoju Lakisa?

– Wysokiej klasy komputer, który spróbujemy rozpracować na komisariacie, metrykę chrztu, jakieś papierzyska, ale chyba

nic specjalnego, i dużo pięknych, kosztownych ubrań. Markowych – podkreślił. – Widać, że żył luksusowo.

– Co planujesz dalej robić?

– Niestawienie się świadka podejrzanego o składanie fałszywych zeznań to poważny powód do wszczęcia poszukiwań. Musimy zrobić wszystko, żeby odnaleźć Stawrosa. Jest kluczem do tej sprawy i nie mogę sobie darować, że go nie aresztowałem zaraz po przesłuchaniu Ewy.

– Obserwowaliśmy go – odparłam pocieszająco.

– Nawet nie poruszaj tego tematu. Choć nikomu na Toros – to słowo podkreślił dobitnie – nie mieści się to w głowie, będę musiał ukarać winnych jego zniknięcia. Sprawa jest poważna.

– I co będzie dalej? – zapytałam.

– Trzeba kontynuować poszukiwania i kontrolować przypuszczalne drogi ucieczki. Jeśli jednak zechce pod osłoną nocy odpłynąć z wyspy, to przy jego znajomości tutejszego wybrzeża nie mamy szans go powstrzymać – westchnął.

– Co zamierza zrobić, twoim zdaniem? – dopytywałam.

– Albo chce z jakiegoś powodu uciec, albo, co gorsze, wyręczyć nas. Co to za człowiek? Znasz go?

– Tak jak wszystkich tutaj – odparłam. – Spokojny i zrównoważony. Wzór uczciwości, a nawet autorytet moralny dla innych. Zupełne przeciwieństwo syna, którego niemiłosiernie rozpuściła Anna. Stawros miał niewiele do powiedzenia, gdy chodziło o jego wychowanie. Zakochany w żonie, pozwalał mu na wszystko, toteż chłopak już w szkole sprawiał wyłącznie kłopoty. Lakis miał podły charakter. Na swój sposób kochał rodziców, ale przysparzał im głównie zmartwień i wstydu. Był bezwzględny egocentrykiem ze skłonnościami do popisywania się i do przemocy. Jednym słowem: psychopatyczny typ.

– Jak rokujesz w tej sytuacji? – zapytał. – Mam na myśli ojca – dodał.

– Źle – powiedziałam krótko.

– To znaczy?

– Stawros nie jest człowiekiem skłonny do łamania zasad, a tym bardziej prawa. Możemy się spodziewać, że podjął śledztwo na własną rękę. O to go posądzam, mimo że nas okłamał.

– Czy potrafiłby zabić?

– Niestety niemal każdy potrafi to zrobić. Wszystko jest kwestią wystarczająco silnej presji. A czego dowiedzieliście się od Dimitrisa? – Spojrzałam na Kostasa.

– Poszedł rankiem pod cerkiew, bo przypuszczał, że Jana chce się rozmówić przy Annie z nękającym ją Lakisem. Zauważył na drodze do kościółka biały kabriolet i myślał, że to samochód córki.

Zrobiłam się czerwona. Rozmówca popatrzył na mnie i dodał: – Twierdzi, że się pomylił i że to nie był jej samochód. Do kościółka nie wchodził i nic szczególnego nie zauważył.

Tasos pokiwał głową i wymruczał:

– Alibi Jany to teraz priorytetowa sprawa. Musimy je sprawdzić.

Obaj nie patrzyli na mnie.

Rozdział 11

Od rana czekałam na telefon z komisariatu, gdzie Tasos i Kostas przesłuchiwali Janę. Tego dnia miałam zakaz wstępu do biura.

– Tak będzie lepiej dla was obu – postanowili.

Siedziałam w domu i umierałam z niecierpliwości w oczekiwaniu na wieści.

Dźwięk dzwonka poderwał mnie z kanapy. Pełna obaw podniosłam słuchawkę i po drugiej stronie usłyszałam głos Kostasa.

– Klara? – zabrzmiało jak zwykle bezceremonialnie. – Jana i Janis udzielili sobie wzajemnie małżeńskiego alibi. Podobno spędzili tamten ranek w domu, a o tragedii dowiedzieli się od gosposi, kiedy wróciła z zakupów. Wygląda na to, że wszystko jest w porządku, chociaż dużo faktów przemawia za ich udziałem w tej sprawie. Mieli najwięcej motywów. Coś tu śmierdzi, ale się nie martw, na razie nic na nich nie mamy. Halo! Jesteś tam?

– Tak, dziękuję – westchnęłam z ulgą. – Co z poszukiwaniami Stawrosa?

Po drugiej stronie zaległa cisza.

– Na razie kompletna kłapa – padło po chwili. – Każdy dzień zwłoki pogarsza sytuację.

– A jak badanie materiału dowodowego zebranego w domu Margaritisów?

– Dysk komputera dokładnie wyczyszczony, za to metryka chrztu jest ciekawa. Porównaliśmy ją z wpisem w księgach parafialnych. Nie zgadza się. Trzeba porozmawiać o tym z Anną. Może to po prostu pomyłka.

– Co się nie zgadza? – zapytałam zaintrygowana.

– Wszystko. Imiona ojca i dziadków są różne od tych, które znamy.

– Co to może znaczyć?

– Nie mamy pojęcia. No. To do zobaczenia jutro w biurze. Będziesz?

– Tak, dziękuję.

Szczęknięła słuchawka.

Zanim zdążyłam wyjść na taras, telefon znowu zadzwonił.

– Halo! Klaruniu, to ty? Halo! Halo! Tu Polska. Chcę mówić z panią Klarą. *Thelo kirija Klara!*

– Halo! Mamusiu, uspokój się. To ja – roześmiałam się. Moja sześćdziesięcioletnia matka była niesamowitą kobietą. Mówiła biegle w dwóch językach, po niemiecku i francusku. Język grecki jednak onieśmiał ją i odstraszał obcym kształtem liter. Z jakiegoś powodu większość jej nowogreckich konwersacji kończyła się permanentnym stresem i była, delikatnie mówiąc, nieefektywna. Jako psycholog chyba powinnam nad nią popracować.

– Och, to ty, dziecko. – Usłyszałam ulgę w jej głosie. – Co tam, Klaruniu? Co u was słyhać? Jak pogoda? – dodała, zanim się odezwałam.

– Słoneczna, czyli jak zwykle – zażartowałam.

– A jak tam Jorgos? – W przeciwieństwie do wielu teściowych matka uwielbiała swojego zięcia.

– Też chciałabym wiedzieć – odparłam. – Wyłynął w rejs trzy tygodnie temu i na razie nie mam od niego żadnych wieści. Pewnie jest gdzieś na pełnym morzu i nie ma skąd zadzwonić. – Jak zwykle to ja pocieszałam ją.

– No to się nudzisz, córeńko – stwierdziła współczująco.

– Taaak – powiedziałam przeciągle. – A co tam u ciebie słyhać, mamusiu? – zmieniłam prędko temat. W tym momencie

rozpoczął się długi monolog, który trwał godzinę, przerywany moimi okrzykami: – Tak? Coś podobnego! No nie wierzę! – Wreszcie gdy dotarliśmy do tematu ukochanego przeze mnie wuja Alfreda, udało mi się wtrącić pytanie: – Co u niego? Jak się czuje?

Po śmierci ojca wuj Alfred był uosobieniem autorytetu mężczyzny w rodzinie. Zastępował mi zmarłego tatę. Mimo protestów matki uczył mnie jeździć konno, strzelać i zabierał na polowania, bo od dziecka uwielbiałam typowo męskie zajęcia. Był moim sprzymierzeńcem zawsze, gdy matka wykazywała nadmierną opiekuńczość, ograniczała moją wolność wyborów i prawo do decydowania o sobie. Był mediatorem w wielu ważnych sprawach w moim życiu. Kochałam go jak ojca.

– Niedobrze, Klaruniu. Niedobrze – powiedziała cicho.

– Co się stało?! – zawołałam.

– No cóż, kochana, jest w szpitalu i trochę tam jeszcze pobędzie. Zasłabł i potłukł się kilka dni temu, ale mogło się skończyć gorzej. Nie zabrał swojego identyfikatora i gdyby pomoc nie nadeszła w porę, umarłby, biedaczek. Na szczęście lekarz pogotowia rozpoznał w nim swojego pacjenta chorego na cukrzycę i od razu podano mu glukozę. Tak to wygląda, Klaruniu. No, ale teraz czuje się już dobrze. Nie martw się, dziecko.

– Pozdrów go ode mnie. Jeszcze dzisiaj. Słyszysz? Najlepiej zaraz – nalegałam.

– Ależ dobrze, córciu, dobrze. No to pa, pa. Całuję cię. Pa, pa.

Kiedy skończyłyśmy rozmowę, poczułam niepokój i przeświadczenie, że usłyszałam coś istotnego. Rozmyślałam przez chwilę o wuju Alfredzie i nagle wspomnienia wypełniły w mojej pamięci lukę, która dotyczyła jednego z elementów

śledztwa. Odkryłam, tak jak wcześniej przeczuwałam, fakt, który prawdopodobnie wyjaśniał jedną z tajemnic tej sprawy. Musiałam sprawdzić swoje podejrzenia i Bóg mi świadkiem, że bardzo chciałam się mylić. Nerwowo przerzucałam dokumenty w pracowni męża w poszukiwaniu książki telefonicznej, a po wystukaniu numeru z bijącym sercem czekałam na zgłoszenie się osoby po drugiej stronie linii.

– Halo. Witam w firmie Vlakidis i Syn. Czym mogę służyć? – odezwał się uprzejmy głos profesjonalnego sprzedawcy.

– Dzień dobry. Czy mogę rozmawiać z szefem?

– A czy mogę wiedzieć, w jakiej sprawie – padło uprzejme pytanie.

– Oczywiście. Chcę złożyć reklamację.

– Proszę chwilę poczekać. Szef rozmawia z drugiego aparatu.

Po chwili ciszy w słuchawce zabrzmiał niski piękny głos:

– Vlakidis z tej strony. Czym mogę służyć?

– Telefonuję z Toros – podałam mu bez zająknięcia nie swoje nazwisko. – Mam problem ze złotą bransoletą, którą niedawno kupiłam w waszym sklepie.

– Co się stało? Czy chodzi o bransoletę z nadrukiem wodnika w lewym górnym rogu? – zapytał.

– Tak. Właśnie o nią chodzi! – Ucieszyłam się, że rozmowa przebiega po mojej myśli. – Ma wadliwe zapięcie, które odpina się samo przy potrząsaniu przegubem.

– Och! To rzeczywiście przykra sprawa. Proszę ją przywieźć albo przysłać przez kogoś, tak jak poprzednio. To drobiazg. Zmienimy zapięcie, a na razie radziłbym jej nie nosić. Czy zdecydowała pani ostatecznie, jaki tekst wygrawerujemy na blaszce?

- Tak, oczywiście.
- To świetnie. Zatem jesteśmy umówieni.
- Do widzenia panu.
- Do widzenia. Polecamy się na przyszłość.

Przypomniałam sobie nienaturalny widok bałaganu, który uderzył mnie po wejściu do splądrowanego salonu w dniu włamania. Pomyślałam wtedy, że to, co widzę, wygląda jak dekoracja i że ktoś rozmyślnie porzucił wszystko, żeby ukryć, że zna mój dom. Wiedział dokładnie, gdzie powinien znaleźć to, czego szuka. Bałagan miał przekonać wszystkich, że jest inaczej.

Podeszłam do barku i wyciągnęłam wielką butlę metaxy. Zbliżało się południe. O takiej porze, jak mawiała moja matka, piją wyłącznie alkoholicy albo ludzie zdesperowani. Zaliczałam się do drugiej kategorii.

Nalałam sobie kieliszek koniaku i dorzuciłam lód. W takiej chwili, rozmyślając nad swoim moralnym upadkiem, zastał mnie Tasos. Nie usłyszałam, kiedy wszedł do pokoju.

– Co tu się dzieje? Pijesz sama? Przed południem? – zdziwił się. – Nie wiedziałem, że masz tego typu problemy – ubolewał nade mną.

– Ja też nie wiedziałam, bo dotąd nie miałam. Ale teraz nie wiem, co robić, i mam – warknęłam rozdrażniona.

– W takim razie czuję, że zjawilem się we właściwym momencie i że uratuję cię przed nałogiem – zazartował. – Chcesz pogadać?

– Myślisz, że rozmowa z tobą mi pomoże? Że poczuję się lepiej? – napadłam na niego. – A może chcesz zostać moim psychologiem? – dopytywałam z ironią.

– No, nie – bronił się zaskoczony atakiem. – Ale zawsze warto pogadać. Niektórzy twierdzą – przez twarz znowu

przemknął mu cień rozbawienia – że to dobry pomysł w kryzysowych sytuacjach. Tym bardziej że pojawiła się realna szansa na wyjaśnienie paru spraw. – Spoważniał nagle.

Nie przerywałam mu. Byłam pewna, że zaraz się dowiem, po co przyszedł.

– Mam pewien problem, bo... – zawahał się.

– Tak? Skoro jest tak dobrze, to dlaczego masz taką kiepską minę i w dodatku pewien problem? – Przeczuwałam kłopoty.

– Bo widzisz, chodzi o to... – znowu zaczął bez powodzenia.

– Niech zgadnę. Nie możesz mi o czymś powiedzieć?

– Raczej nie wiem, mmm, jak ci o tym powiedzieć – wykrztusił wreszcie.

– Po prostu – poradziłam mu. – Czy wyglądam na kogoś, komu można jeszcze bardziej zepsuć humor?

– Przed chwilą, zanim twoi przyjaciele opuścili komisariat, dostaliśmy faks z Aten i aresztowaliśmy Janisa, męża Jany. Okazało się, że są powody, żeby go podejrzewać o kradzież w twoim domu – wygłosił jednym tchem. – Też byliśmy zaskoczeni – dodał, nie patrząc na mnie.

Poderwałam się z krzesła jak oparzona, a zaraz potem usiadłam z powrotem. Przez chwilę nerwowo poprawiałam rozłożoną na stole serwetę, rozprostowując nieistniejące zgrubienia materiału i strzepując pyłki, których nie było. Wypiłam jednym haustem kolejny kieliszek koniaku i poczułam się znacznie lepiej.

– Więc wy też macie dowody przeciwko niemu – stwierdziłam spokojnie.

– Nooo... – Usłyszałam przeciągłe mruknięcie. – Skoro tak mówisz, to chyba rzeczywiście musimy pogadać. I to poważnie.

Nalej i mnie, tylko nie mów nikomu, że piłem o tej porze – zaśmiał się.

Byłam zadowolona, że przyszedł, a najbardziej z tego, że nie miałam udziału w aresztowaniu Janisa. Poczulałam ulgę, jakby mi ktoś ściągnął z serca potężny głaz. Nalałam do szklanki, która była pod ręką, sporą porcję koniaku.

– Zaczynaj – niecierpliwiłam się, podając mu drinka.

– To krótka historia. Dosłownie przed chwilą przyszły z Aten wyniki badań laboratoryjnych materiału dowodowego pobranego po włamaniu. Zidentyfikowano linie papilarne Janisa. Okazało się, że był aresztowany wiele lat temu za jazdę samochodem w stanie nietrzeźwym i że w archiwach policyjnych mamy jego odciski palców. Bez trudu je zidentyfikowali. Ot co! Był jeszcze w biurze, bo jak wiesz, składał dzisiaj zeznania w sprawie alibi dla Jany... Zaraz po rozmowie z tobą Kostas go aresztował.

– Oszalałeś? – oburzyłam się. – To żaden dowód. Przyjaźnimy się. Jana i Janis często bywają w tym domu.

– Dowody pochodzą z wnętrza klatki psów i z ich miski.

Nic nie powiedziałam. Pasowało jak ulał do sprawdzonych przeze mnie faktów.

– Na razie to tylko podejrzenia, ale będzie musiał się wytłumaczyć. Czy przypominasz sobie, żeby w twojej obecności wchodził do kojca?

– Nie – powiedziałam zgodnie z prawdą.

– A czy psy dobrze go znają? Czy są z nim zżyte? – dopytywał.

– Tak. Nie pogryzłyby go. Jestem tego pewna.

Siedzieliśmy przez chwilę bez słowa. Tasos nie popędział mnie, jednak czułam, że czeka na moje zwierzenia.

– Przypuszczam, choć i to trzeba sprawdzić – powiedziałam wreszcie – że złota bransoleta z przygotowaną do grawerowania blaszką, znaleziona przed cerkwią, należy do Janisa.

– Dlaczego tak uważasz? To przesądzałoby sprawę.

– Przed chwilą telefonowała moja matka. Rozmawialiśmy o wuju Alfredzie, który jest chory na cukrzycę. Ma podobny identyfikator na wypadek zasłabnięcia. Taka informacja o chorobie wygrawerowana na płytce przyczepionej do bransolety może diabetykowi uratować życie. Wiele miesięcy temu słyszałam rozmowę Jany z miejscowym lekarzem o takim sposobie zabezpieczenia jej męża na wypadek zasłabnięcia i gdy zadzwoniła moja mama, przypomniałam sobie o tym.

– Janis jest chory na cukrzycę? – padło retoryczne pytanie.

– Tak. Rozumiem – uprzedził moją odpowiedź.

– Zatelefonowałam przed chwilą do firmy złotniczej, gdzie obie zamawiamy i kupujemy wyroby jubilerskie. Właściciel wie, że jedna z nas jest cudzoziemką, ale stale nas myli. Przedstawiłam się jako Jana i zareklamowałam bransoletę. Reklamacja została przyjęta. Jestem prawie pewna, że to mąż mojej przyjaciółki włamał się do mojego domu. – Westchnęłam żałośnie.

– Bądźże rozsądna, Klaro. Stawką w tej grze jest ludzkie życie i to być może niejedno. Nie wolno ci chronić Janisa. – Tasos próbował sprowadzić mnie na ziemię.

– Tak, tak... – odpowiedziałam. – Ale powiedz to Janie. Wątpię, żeby mi kiedykolwiek wybaczyła.

Rozdział 12

Aresztowany zięć miejscowego milionera początkowo odmówił składania zeznań, jednak po przedstawieniu mu dowodów zgromadzonych w śledztwie przyznał się do wszystkiego, co mu zarzucano. Wobec zaginięcia Stawrosa i obaw ewentualnego mataczenia w śledztwie sąd nie wyraził zgody na uwolnienie go za kaucją. Ku powszechnej dezaprobachie mieszkańców zatrzymaliśmy Janisa w miejscowym areszcie.

Szczęśliwie dla mnie podejmowanie decyzji w Grecji jest domeną i przywilejem mężczyzn. Można nawet powiedzieć, rzecz jasna w dużym uproszczeniu, że stosunek miejscowego macho do kobiet jest pobłażliwy. Moja sytuacja okazała się więc komfortowa, ale Kostasowi nie było czego zazdrościć. Miejscowi potrafili dokuczać i uprzykrzać życie.

Janis przyznał się do bójki z Lakisem i do tego, że włamał się do mojego domu, by odzyskać zgubioną przed cerkwią bransoletę. Przyznał też, że przyjechał fatalnego ranka pod kościółek białym kabrioletem. Odmówił jednak składania wyjaśnień i od dnia aresztowania nie usłyszeliśmy od niego ani jednego słowa. Dochodzenie znowu utknęło w martwym punkcie. Byłam wstrząśnięta ostatnimi wydarzeniami, tym bardziej że mojej przyjaciółce też groziło postawienie w stan oskarżenia. Złożyła fałszywe oświadczenie, gdy udzieliła mężowi alibi.

Czas płynął nieubłaganie. Zwierzchnicy wywierali na nas presję, a mieszkańcy mieli pretensje. W dodatku Stawros Margaritis zniknął, jakby się zapadł pod ziemię.

Tęskniłam za Janą. Siedziałam w ogrodzie mojego domu przed basenem i obserwowałam, jak Tula odkurzaczem wymiata

z niego pożółkłe jesienne liście. Moje psiska przycupnęły na brzegu i niechętnie spoglądały w błękitną taflę wody. Niektórzy właściciele psów mają problemy z utrzymaniem czystości basenu, bo ich zwierzęta uwielbiają do niego wskakiwać. Mnie to nie groziło. Moje nie przepadały za wodą, a zmuszenie ich od czasu do czasu do kąpieli było dla domowników prawdziwą sodomą i gomorą. Stały teraz obok mnie i nieufnie obserwowały, co się dzieje, gotowe w każdej chwili do ucieczki w razie próby podjęcia przeciw nim zabiegów kosmetycznych. W pewnym momencie zaskamlały radośnie i pognały w kierunku drzwi tarasowych, w których stanęła Jana.

Tula natychmiast zakończyła porządki, popatrzyła na nas dobrotliwie i podreptała do kuchni, mrucząc pod nosem:

– Zrobię wam kawki, kochane. Pogadajcie sobie. Dawno się nie widziałyście.

Jana była blada i niewyspana. Miała podkrążone oczy i włosy w nieładzie. Nie była sobą. W prostej białej sukni, która podkreślała jej figurę i olśniewającą urodę, wyglądała jak uosobienie nieszczęścia, jak Antygona z tragedii Sofoklesa. Usiadła na brzegu basenu i zanurzyła w nim bose stopy. Ściągnęłam buty i usiadłam obok niej.

– Wybaczysz nam kiedyś? – zapytała, nie patrząc na mnie.

– Tak. No pewnie, że tak – powiedziałam serdecznie. – Co to za problem darować wam trochę bałaganu, który Janis zrobił w moim salonie – zażartowałam. – I proszę cię, nie martw się – dodałam pocieszająco. – Rozumiem go. – Miałam na myśli bójkę w cerkwi. Wszyscy rozumieją waszą sytuację. Lakis był wredny. Nie zaprzeczaj – powstrzymałam jej komentarz. – O zmarłych nie mówi się źle, ale ja dobrze wiem, że on był podłym typem i wciąż prowokował Janisa. To powszechnie znana sprawa.

Tula bezszelestnie postawiła na stole kawę i odeszła do swoich zajęć. Jana wstała. Obciągnęła sukienkę, stanęła przede mną i powiedziała:

– Ja tam byłam. – Potem powoli podeszła do stołu i przyniosła na brzeg basenu kawę dla nas obu. – Nie pozwolę go skrzywdzić – dodała, kończąc rozpoczętą myśl, i usiadła obok mnie. – Mów, co mam robić. – Patrzyła na mnie hardo i wyczekująco. Skojarzenie ze zbuntowaną Antygoną było prorocze.

– Chryste! – wykrzyknęłam. – Opowiadaj!

– To prawda, że Janis pobił Lakisa za zaczepianie mnie – zaczęła natychmiast – ale to było dzień wcześniej. Pobili się przed cerkwią w dniu poprzedzającym tragedię i wtedy mój mąż zgubił bransoletę. Byłam przy tym i na szczęście udało mi się ich rozdzielić. Szarpali się w otwartych drzwiach kościółka, dlatego Janis nie był pewien, gdzie upadła biżuteria. W dniu tragedii zorientował się, jakim zagrożeniem będzie dla niego, jeśli ktoś odnajdzie ten przedmiot i przekaże go policji. Pobiegł więc na wzgórze. Nie udało mu się wejść do cerkwi, ale ukryty w zaroślach zobaczył, że spacerujesz w pobliżu ze swoimi psami i że coś znalazłaś. Nie zwierzył mi się ze swoich planów, ale po włamaniach do kościółka i do twojej posiadłości domyśliłam się, że to on jest sprawcą. Nie potrafiłam na niego donieść. Spodziewałam się jednak, że wkrótce sama się domyślisz. Taki prezent dla niego był pomysłem lekarza. Zresztą byłaś przy tej rozmowie. Omawialiśmy identyfikatory dla diabetyków w twojej obecności dość dawno, ale byłam pewna, że sobie o tym przypomnisz... Wszystko dodatkowo komplikuje fakt, że ja też mam swoją tajemnicę. Choć się do tego nie przyznałam, w dniu tragedii byłam rano w cerkwi. Zmartwiona, że po bójce, która skończyła się dla Lakisa przegraną, będzie się na mojej rodzinie

mścił, postanowiłam z nim porozmawiać. Uważałam, że jego wizyty w kościółku w towarzystwie Anny to dobra sposobność, by przemówić mu do rozsądku w obecności matki. Rozważaliśmy kiedyś taką możliwość z moim ojcem, jednak pomysł mu się nie spodobał. Był temu bardzo przeciwny.

Wieczorem wrzuciłam Janisowi tabletkę nasenną do kawy i rano, niepostrzeżenie dla nikogo, wymknęłam się z domu. Moi mężczyźni nie pozwoliliby mi na to spotkanie.

– Nie byłaś z Lakisem umówiona? – wtrąciłam.

– Nie, oczywiście, że nie. Zaparkowałam samochód na skrzyżowaniu dróg, w zaroślach, i czekałam na odpowiednią chwilę, by odbyć zaplanowane spotkanie – kontynuowała. – Przed szóstą przeszli koło mnie Lakis i Anna. Za nimi ostrożnie podążał Stawros. Wyglądało to tak, jakby ich śledził. Gdy zabrzmiały ostatnie uderzenia dzwonów w klasztorze, obwieszczające poranne nabożeństwo, z cerkwi wyszła matka, a zaraz potem wszedł tam ojciec Lakisa. Przez chwilę nic się nie działo, po czym zauważyłam, że w tym samym kierunku co wszyscy zmierza rudy niedowidzący Grek. Zachowywał się dziwnie. Sprawiał wrażenie, jakby się skradał. Byłam pewna, że wejdzie do środka, tymczasem nieoczekiwanie skręcił w wąską dróżkę prowadzącą na plażę, a z kościółka dosłownie wypadł Stawros. Wzburzony pobiegł w stronę miasteczka. Kiedy na koniec przed cerkwią pojawił się mój ojciec, miałam dość sensacyjnych widoków i byłam skłonna wrócić do domu. Zanim jednak podjęłam decyzję, plac przed świątynią opustoszał. A skoro mój ojciec nie zabawił tam długo, skorzystałam ze sposobności, by zrealizować swój plan. Ostrożnie wysiadłam z samochodu. Przymknęłam cicho drzwi i pobiegłam do cerkwi.

– Która to mogła być godzina? – wtrąciłam cicho.

– Była szósta piętnaście. Wiem dokładnie, bo niecierpliwiłam się i co chwilę spoglądałam na zegarek.

– Co było dalej?

– Wszystko potoczyło się zupełnie inaczej, niż planowałam.

– Wzruszyła ramionami.

– Czyli... – ponaglałam.

– Weszłam do cerkwi i stanęłam w drzwiach.

– Gdzie był Lakis? – niecierpliwiłam się.

– Siedział na wysokim rzeźbionym krześle przed ikonostasem. Jego zachowanie tak mnie zaniepokoiło, że nie weszłam dalej.

– Co przez to rozumiesz?

– Był bardzo wzburzony! Siedział wyprostowany i patrzył przed siebie jakoś tak... pusto. Gdy mnie zauważył, zapytał niegrzecznie: „A ty czego ode mnie chcesz? Nie! Nie teraz, nie teraz”, powtarzał. Ukrył twarz w dłoniach, jakby w geście znużenia. Zażądałam, by przestał niepokoić moją rodzinę, a on odparł: „Dobrze. Dobrze, a teraz idź już stąd”. Nawet na mnie nie spojrzał. Zdezorientowana takim obrotem sprawy i tym, że nie chce ze mną rozmawiać, nie weszłam do środka. Nie czekając na Annę, odwróciłam się na pięcie i pobiegłam do samochodu.

– Dlaczego mówisz, że był dziwny?

– Bo tak było. Zachowywał się jak ktoś w szoku, jak lunatyk albo – długo szukała porównania – jak narkoman.

– Co jeszcze zapamiętałaś?

– Był bałagan. Pod nogami Lakisa leżało przewrócone wiadro i jakaś ścierka. Chyba mokra.

– A gdzie stał drewniany parawan? Zauważyłaś?

– Wcale go nie widziałam.

– Co działo się dalej?

– Było wcześniej rano. Kiedy wróciłam do domu, wszyscy jeszcze spali. Nikt nie zauważył mojej nieobecności.

– Czy potrafisz powiedzieć, o której godzinie wyszłaś z cerkwi?

– Nie, ale w samochodzie znalazłam się o szóstej dwadzieścia pięć. Wiem, bo zanim ruszyłam, spojrzałam na zegarek. Spieszyłam się. Niepokoiliam się, co zastanę w domu.

Przez chwilę milczałyśmy, popijając kawę. Potem Jana wstała, skrzyżowała ręce na piersiach i patrząc mi w oczy jak człowiek pogodzony z losem i przygotowany na najgorsze, powiedziała poważnie:

– Nie pozwolę na to, żeby Janis przyznał się dla mnie do przestępstwa, którego nie popełnił. Jest pewien, że tam byłam, i nie myli się. Nie wie, co zrobiłam i co mi za to grozi, dlatego przyznał się do wszystkich waszych zarzutów. Postanowił mnie chronić.

– Szkoda, że nie był z nami szczery i odmówił składania zeznań – przerwałam jej z wyrzutem. – Kłamstwa wyspiarzy opóźniają śledztwo i tylko gmatwają wszystko. Ściągacie na Toros coraz większe zagrożenie.

– Janis nie chciał z wami rozmawiać, bo łatwo odkrylibyście, że kłamie – tłumaczyła Jana. – Nie ma pojęcia, co się wydarzyło w cerkwi. Nie potrafił wam udzielić wyjaśnień, dlatego milczał.

– Wiesz, gdzie był tego ranka pomiędzy godziną szóstą a szóstą czterdzieści?

– Tak. Spał w naszej sypialni aż do mojego powrotu. Wspominałam ci, że poprzedniego dnia wieczorem podałam mu środek usypiający.

– Czy ktoś jeszcze może potwierdzić, że był w sypialni?

– Można zapytać gosposię.

– To, co mówisz, brzmi logicznie. Wierzę ci – próbowałam ją pocieszyć – ale jeśli chcemy uwolnić Janisa, musimy do tej wersji wydarzeń przekonać prokuratora. Trzeba znaleźć dowód, który będzie potwierdzał twoje słowa, a najlepiej kogoś, kto zapewni mu wiarygodne alibi.

Rozdział 13

Wypiłyśmy jeszcze po jednej kawie i by dać sobie trochę czasu na przemyślenia, zmierzałyśmy pieszo do miasteczka.

Nie udało mi się zwabić psów do kojca. Próby pochwycenia i negocjacje przed klatką potraktowały jako zamach na swoją wolność. Ostatecznie przeskoczyły ogrodzenie i wyszarpując sobie wzajemnie jakiś brudny gałgan, kotłowały się na drodze przed nami. Malowniczy trakt, wijący się pośród gajów oliwnych i pojedynczych drzew cytrusowych rosnących na poboczu jezdni, był ulubioną trasą moich wędrówek po wyspie. Gdy w Polsce spada pierwszy śnieg, tutaj na połaciach okolicznych łąk zakwitają setki czerwonych maków.

Chłonąc z przyjemnością te widoki, dotarłyśmy do pierwszych zabudowań miasteczka. Na skrzyżowaniu dróg, gdzie Jana kilka dni temu ukryła w zaroślach swój samochód, usłyszałyśmy, że moje psy, które pobiegły w kierunku cerkwi, dosłownie oszalały. Przerażone, że napadły na kogoś, rzuciłyśmy się w pogoń za nimi, jednak na placyku przed kościółkiem stwierdziłyśmy zdumione, że szczekają bez powodu. Gdy próbowałam położyć kres tym hałasom i uspokoić Tyberiusza, pies nagle zaatakował przednimi łapami drzwi świątyni.

Coś stuknęło. Pod moje nogi upadła ogromna kłódka, a stare wrota zaskrzypiały i powoli same się uchyliły. Tyberiusz się uspokoił. Usiadł obok mnie, podniósł łeb do góry i patrzył mi wyczekująco w oczy.

– Mądry pies. – Poklepałam go po pysku. Weszłam ostrożnie do środka przekonana, że to Teodor zostawił niezamkniętą kłódkę przez zapomnienie. – Ojczy Teodorze! – zawołałam.

Gdy moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, zauważyłam poprzewracane ławki i poczułam wstrętny słodkawy odór, który cofnął mnie z powrotem do drzwi. Znałam ten zapach. W środku były rozkładające się zwłoki. Wyszłam na zewnątrz, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie bałam się. Kłódka wisiała od zewnątrz, co znaczyło, że nic nam nie grozi. Poza tym obrzydliwy fetor sugerował, że od zbrodni upłynęło sporo czasu. Usiadłam na ogromnych kamiennych głazach przed cerkwią, a Jana pobiegła po pomoc. Psy nie odstępowały mnie na krok. Uważnie, z groźnymi błyskami w oczach, wpatrywały się we wrota świątyni. Z trudem opanowałam ciekawość i chęć, by wejść do środka. Kiedy przyjechała ekipa dochodzeniowa, zostałam z przestraszoną przyjaciółką przed cerkwią.

– Są jakieś ślady? – dopytywałam Tasosa niecierpliwie, gdy wreszcie do nas wyszedł.

– Nic, co można od razu zauważyć, oprócz narzędzia zbrodni. Potrzebujemy wsparcia specjalistów.

– Mogę zobaczyć?

– Odradzam. Widok jest potworny – powiedział i dopiero wtedy spostrzegłam, że jest bardzo blady.

– Znalazłyśmy Stawrosa – stwierdziłam.

– Tak. Ktoś go zamordował kilka dni temu. To z tego powodu nie zgłosił się na przesłuchanie – skomentował.

– Oglądałam już ofiary zbrodni – upierałam się.

– Ja też – odradzał mi cierpliwie – i dlatego nie posyłam cię tam. Ciało leży tu od kilku dni, a wciąż jest bardzo ciepło, więc sama rozumiesz... – nie dokończył.

Twarz Jany, która przysłuchiwała się naszej rozmowie, zrobiła się kredowobiała. Na ten widok Tasos zmienił temat:

– Potrzebujemy wsparcia i specjalistycznego sprzętu. Wezwałem już ekipę dochodzeniową z Aten – opisywał

niezbędne procedury. – Przylecą do nas helikopterem za jakieś dwie, może trzy godziny. Wątpię, żeby dokładnie ustalili czas zabójstwa, ale reszta śladów, jeśli jakieś są, jest do odzyskania.

– Trzeba zawiadomić Annę – wtrąciła Jana ochryplym, nieswoim głosem.

Tasos niechętnie przytaknął.

– No tak. Zaraz do niej pojedę. Ktoś to musi zrobić – westchnął.

– Zabierz nas po drodze do komisariatu – poprosiłam. – Jana chce zeznawać.

Mój obecny szef się zdziwił. Otworzył drzwi samochodu, przyjrzał się idącej obok mnie kobiecie badawczo ponad dachem radiowozu i zapytał:

– Dlaczego tak późno? Dzisiaj odwiedził nas pani ojciec, Dimitris Samaras. Winowajcy mnożą się jak grzyby po deszczu. Tylko piękna Helena narobiła w naszej historii więcej zamieszania niż pani – roześmiał się niespodziewanie. – Ach, te kobiety! – utyskiwał. – W dodatku wszyscy myślą, że Lakis jest ofiarą swojej miłości. Wszyscy oprócz mnie, i dlatego – przekręcił kluczyk w stacyjce – jeszcze dotąd pani nie aresztowałam. Lakis kochał wyłącznie samego siebie. Z materiałów, które zgromadziliśmy, wynika, że był z niego wyjątkowy łotr.

Ruszyliśmy.

*

W biurze Kostasa było sino od dymu z papierosów. Telefon dzwonił bez przerwy, a na biurku i na podłodze, dosłownie wszędzie, leżało mnóstwo porzrzucanych dokumentów.

– Co po podsumowaniu materiałów zgromadzonych w śledztwie wiemy na temat zabójstwa Stawrosa? – zapytał Kostas znad filiżanki z kawą.

Tasos wyciągnął z teczki kolejny plik papierów i rozglądając się bezradnie za kawałkiem wolnego miejsca, zaczął referować.

– Śmierć Stawrosa nastąpiła w wyniku ciosu zadanego w plecy, pomiędzy łopatkami, włócznią, która przebiła lewą komorę serca i przeszła ciało na wylot. Tak silny cios mógł zadać wyłącznie mężczyzna.

– Włócznią? – zapytałam trochę oszołomiona.

– Tak. W zakrystii pod ścianą leżą rekwizyty wykorzystywane w procesjach wielkanocnych. Pop przechowuje je w szafie, ale ostatnio są odnawiane i dlatego jest do nich łatwy dostęp. To zabytkowe przedmioty o sporej wartości.

– Włócznia jako narzędzie zbrodni? To brzmi upiornie. – Przeszył mnie dreszcz.

– I tak też wyglądało – powiedział Kostas cicho.

– Nasuwa się istotne pytanie, dlaczego zabójca użył włóczni, a nie klasycznej, współczesnej broni, i dlaczego Stawros odwrócił się do niego tyłem – myślałam na głos. – Chyba obaj nie spodziewali się takiego rozwoju wydarzeń?

– Sprawca był mniej więcej tego samego wzrostu co Stawros i był praworęczny. – Tasos nie przerywał swojej relacji.

– Nie znaleziono żadnych odcisków palców, a jedynie kawałek papieru. Małeńki skrawek wydruku komputerowego, który morderca wyszarpnął ofierze z ręki po zabójstwie. Mamy fart, bo fragment kartki zaczepił się na metalowym guziku od marynarki ofiary.

– Skąd pomysł, że to wydruk komputerowy? – Byłam zaskoczona.

– Stąd, że to nie jest maszynopis. Nie widać śladów mechanicznego przenoszenia farby drukarskiej na kartkę. Tak zawyrokowali technicy ponad wszelką wątpliwość.

– Coś można odczytać? Wiadomo, co to za dokument?

– Nie.

– A jak wypadło badanie komputera Lakisa, który zabraliście z domu Margaritisów? – wtrąciłam.

– Wszystko zostało sformatowane – rzucił cicho Kostas.

– No proszę. Zabezpieczył się przed nami – skonstatowałam.

– Uważamy, że Stawros zginął rano, niedługo po tym, jak wyszedł z domu, około godziny szóstej. – Tasos nie przerywał sobie. – Drzwi cerkwi otworzył kluczem, który prawdopodobnie dorobił, kopiując kilka dni wcześniej klucz Anny. Wszedł do środka i czekał na zabójcę, z którym był umówiony. Zdawał sobie sprawę z zagrożenia, bo w kieszeni marynarki miał mały pistolet, którego nie zdążył użyć. Znaleziony przy ofercie skrawek kartki pozwala przypuszczać, że był w posiadaniu dokumentów, które obciążały zabójcę. Być może to one były powodem zabójstwa. Ciało Stawrosa leżało w zakrystii dokładnie w tym samym miejscu, w którym znaleziono wcześniej pobitego Lakisa.

– Nieprawdopodobne! – wykrzyknęłam.

Tasos zganił mnie spojrzeniem, zniecierpliwiony tym, że wciąż mu przeszkadzam czytać sprawozdanie.

– Przypuszczamy, że zbrodni dokonano około godziny szóstej, bo sprawca, uciekając prawdopodobnie w ciemności, potknął się i przewrócił kilka ławek. O tej porze roku o szóstej trzydzieści dnieje i jest już dość jasno. Ślady wskazują na działanie z dużą premedytacją, ale też i na nagłą panikę, z czego wnioskuję, że mordercę coś spłoszyło. Cerkiew jest

udostępniana wiernym tylko dwa razy w tygodniu, w sobotę i w niedzielę. Jeśli Stawros zaginął w poniedziałek rano i wtedy, jak przypuszczamy, go zamordowano, to zwłoki leżały w kościółku pięć dni. Wcześniej niż w sobotę i tak nikt by ich nie odkrył.

– Jakież wnioski? – zapytałam.

– Znowu jesteśmy na miejscu zbrodni zbyt późno i znowu morderca jest o krok przed nami. – Tasos pokiwał głową z ubolewaniem. – Mamy jeszcze kilka faktów, które rzucają zupełnie nowe światło na całą sprawę – dorzucił z zagadkową miną. Spodziewałam się sensacji i nie zawiódł mnie. – Anna Margaritis twierdzi, że jej mąż zachowywał się dziwnie na długo przed śmiercią syna. Uważa, że śledził Lakisa, przeglądał jego rzeczy, a po jego śmierci włamał się do komputera. Twierdzi, że jej mężczyźni, wbrew obiegowym opiniom, byli w dobrych stosunkach, a nietypowe zachowanie męża było przejawem niepokoju o syna, który od dziecka stwarzał problemy wychowawcze. Opowiedziała nam też, że gdy po śmierci ich chłopca użyła takiego sformułowania, Stawros kompletnie się załamał i odizolował od otoczenia. Zamknął się we własnym świecie, jednak w dalszym ciągu skrupulatnie badał każdy szczegół z życia zmarłego jedynaka. Unikał rozmów na jego temat, a ostatnio unikał też żony. Zapytana o wpisy w metryce chrztu Lakisa, które nas zaintrygowały, zdenerwowała się. Gdy pokazaliśmy jej odpis pełnego aktu urodzenia syna znaleziony w jego pokoju, oświadczyła, że to nie ma związku ze sprawą. Dodała niechętnie, że biologiczny ojciec Lakisa opuścił ją wiele lat temu, zaraz po porodzie, i nic o nim nie wie. Na koniec oznajmiła, że nie zamierza odpowiadać na dalsze pytania i nie życzy sobie, żeby wobec zaistniałej tragedii rozgrzebywano całe jej życie. Była tak wzburzona, że nie drążyliśmy tematu.

– To naprawdę zdumiewający wątek tej historii – wtrąciłam.

– I bardzo ciekawy. Posłuchaj dalej – upomniał mnie Tasos.
– Zwróciliśmy się z prośbą o szczegóły w tej sprawie do urzędu statystyki urodzin w Atenach i otrzymaliśmy informację, że Lakis Margaritis urodził się na Toros w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku z matki Anny i ojca Lakisa Tsantakisa! Wynika z tego, że niesforny jedynak twojej przyjaciółki nie był biologicznym synem Stawrosa Margaritisa, a jakiegoś Lakisa Tsantakisa. W powojennych realiach procedury sądowe nabywania praw rodzicielskich były często tylko formalnością. Tak było i w tym wypadku.

– Fiu, fiu... – Kostas pogwizdywał swoim zwyczajem zadowolony z mojej oszołomionej miny.

– Wiadomo, co się stało z tym Lakisem Tsantakisem? – dopytywałam zaintrygowana.

– Poszukujemy go i doprawdy nie wiem, dlaczego czuję, że jest gdzieś blisko.

– A prawdziwi dziadkowie syna Anny?

– Nie mieszkali nigdy na wyspie. Lakis Tsantakis był sierotą. W Kanadzie zmarł niedawno jedyny żyjący członek tej rodziny, jego stryj. Wiemy, że wyemigrował z Grecji po wojnie i dorobił się fortuny, ale nic nie wskazuje na to, że mężczyźni utrzymywali kontakty.

– Jak więc zamierzacie odnaleźć prawdziwego ojca naszej pierwszej ofiary?

– Dotarliśmy do jego kumpla, z którym opuścił Toros na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

– Brawo! To znaczy, że macie ślad – ucieszyłam się.

– No... niezupełnie. Ale wiemy – kontynuował Tasos – że przed nami, jakieś pół roku wcześniej, był u tego człowieka syn

Anny i też pytał o losy Lakisa Tsantakisa, swojego biologicznego ojca.

– Fantastyczne! I co dalej?! – ekscytowałam się.

– Gość skierował nas, tak jak wcześniej Lakisa, do Pireusu, do hotelu Paw, gdzie Tsantakis pracował po wojnie.

– Niestety tutaj ślad się urywa. – Kostas nie wytrzymał, żeby się nie wtrącić.

– Przestań! Nie wcinaj się – zdenerwował się Tasos.

– Co ty dzisiaj jesteś taki wściekły? – odciął się miejscowy policjant.

– Nie spałem. Pisałem to przez całą noc. – Tasos wskazał z odrazą na swoje perfekcyjne sprawozdanie. – Jestem wykończony.

– Przestańcie się kłócić – przerwałam sprzeczkę. – Co z tym Tsantakisem? Czego dowiedzieliście się w hotelu?

– Kostas już powiedział, że tutaj ślad się urywa. Właściciel hotelu zmarł dwa miesiące temu. Od niego się już nie dowiemy, co się stało z Tsantakisem i o czym rozmawiał z synem Anny. No niestety! – Zniechęcony Tasos rzucił papiery na biurko.

– Co dalej? – zastanawiałam się głośno, patrząc na jego żalospną minę.

– Musimy być cierpliwi. Uruchomiliśmy wszystkie możliwe kanały pozyskiwania informacji o osobach zaginionych w latach powojennych i nie pozostaje nam nic innego, jak czekać na rozwój wydarzeń. – Kostas wykazywał więcej optymizmu.

Po burzliwej dyskusji potrzebowaliśmy chwili spokoju i odprężenia, a że namiętne zabijanie czasu to w Grecji najpopularniejsza z męskich rozrywek, zatopiliśmy się w rozmyślaniach. Zwykle Grecy nie dopuszczają kobiet do tak

ważnych momentów w swoim życiu, jak przesiadywanie w gronie kolegów, ale skoro tam już byłam, pomilczeliśmy razem.

– Co na to wszystko nasz psycholog? – Kostas przerwał leniuchowanie i obaj odwrócili się w moim kierunku.

Rozmyślałam, przeglądając zeznania.

– Uważam, że to może być przełomowe odkrycie. Mamy wyjaśnienie słów, które Lakis wykrzyczał do ojca w cerkwi. – Zacytowałam fragment zeznań Kotopulosa: „Nie masz prawa. Kim ty jesteś, żeby mnie pouczać?”. – Dodatkowo skomplikowane ojcostwo Stawrosa tłumaczy błędy Margaritisów w wychowaniu syna i wadliwy rozwój jego osobowości. Chociaż jego wredny charakter może być dziełem przypadkowego zestawienia genów – zażartowałam. – Jedno uderza w jego zachowaniu. – Konstruowałam portret psychologiczny pierwszej ofiary. – Brak jakichkolwiek skrupułów w wykorzystywaniu innych. Terroryzował i szantażował Janę, usiłował zastraszyć studentów z Warszawy. Można przypuszczać, że w tym samym celu zbierał informacje o swym biologicznym ojcu. Jeśli postępował nierozważnie i usiłował grać nie fair z grupą przestępczą, do której należał, to odnalezienie jego zabójcy, a po tym tropie zabójcy Stawrosa, nie będzie łatwe. W dodatku ta cerkiew ciągle przewijająca się jako sceneria tragicznych wydarzeń... To też, prawdę mówiąc, zastanawia.

– Musimy koniecznie porozmawiać z Teodorem.

– Nie ma go – odburknął naburmuszony Kostas.

– Jak to nie ma? – Tasos zainteresował się nieobecnością popa.

– No, nie ma – odparł Kostas. – Ostatnio nikt go nie widział.

– Zwierzył się komuś, dokąd wyjeżdża i na jak długo?

– Nikt nic nie wie.

– Czy to możliwe? – ironizował nasz as Interpolu. – Na Toros nikt nic nie wie? Może w takiej sytuacji powinniśmy już zacząć poszukiwania?

Kostas aż sapnął ze złości. Burza pomiędzy nimi od rana wisiała w powietrzu.

– Trzeba przesłuchać Teodora natychmiast po powrocie na wyspę – wtrąciłam szybko, żeby nie dopuścić do kolejnej awantury. – Niepokoi mnie to, że oba przestępstwa wydarzyły się w cerkwi – drążyłam temat. – Zastanawiam się, dlaczego i syn, i ojciec załatwiali swoje ciemne sprawy właśnie tam.

– To peryferie miasteczka i miejsce, gdzie rzadko po sezonie spotyka się ludzi – zauważył słusznie Kostas. – Dom Samarasów, otoczony wysokim murem i odwrócony tarasem w stronę morza, przeważnie stoi pusty. Dimitris nie wychodzi z kawiarni, chyba że na sjęstę, a jego piękna młoda żona jest na wyspie rzadkim gościem.

Tasos słuchał uważnie argumentów kolegi i o dziwo potakiwał.

– Choć wolałbym tego nie robić bez zgody popa – wtrącił – dobrze byłoby cerkiew opieczętować i całkowicie wykluczyć z użytku – zaproponował rozsądnie.

– Rany boskie! Wykluczone! Nie możemy tego zrobić bez jego wiedzy! Będzie wściekły – zaprotestował szczerze przejęty Kostas.

Znając nieopanowaną skłonność duchownego do strofowania komendanta miejscowej policji, patrzyliśmy z Tasosem na siebie porozumiewawczo.

– Spokojnie, przyjacielu, biorę to na siebie. Nie uczyłem się na Toros religii i nie spowiadałem się u niego (W 2006 roku wydano zakaz zapraszania spowiedników do greckich szkół.

Zniesienie obowiązkowej spowiedzi przedświątecznej uczniów było przyczyną protestów greckich władz kościelnych.) – roześmiał się hałaśliwie Grek z Londynu.

– Ty to się chyba w ogóle nigdy nie spowiadałeś – burknął Kostas.

– No, rzeczywiście nie – przyznał nasz kolega z Interpolu po namyśle. – A jak się przedstawia alibi świadków pobicia Lakisa na czas morderstwa w cerkwi? – Na szczęście zmienił temat.

– Więc łączysz te sprawy – stwierdziłam.

– Tak. To oczywisty trop. Wszystko wskazuje na to, że kolejne nieszczęśliwe zajście spowodował sam Stawros. Podjął samodzielnie negocjacje z bandytami i prawdopodobnie posunął się o krok za daleko. Może coś na nich znalazł w komputerze Lakisa i za dużo wiedział, a może po prostu odkrył, kim jest morderca, i dlatego musiał zginąć. Prawdę mówiąc, uważam, że wspólny mianownik tych dwóch zbrodni jest pewny tak jak to, że Stawros szukał zemsty po śmierci syna. Podejrzewam też, że mordercą Stawrosa może być jeden ze świadków w poprzedniej sprawie, a co więcej, że choć nie musi, może nim być sprawca pierwszej zbrodni.

– Ustaliliśmy, że oprócz Janisa, męża Jany, żaden z nich nie ma alibi na czas zabójstwa Stawrosa – ogłosiłam z nieskrywaną satysfakcją.

– Janis nie uczestniczył w pogrzebie Lakisa, bo w tym czasie był w Atenach. Dwa dni spędził na zjeździe greckich winiarzy. Widziało go tam w różnych okolicznościach przynajmniej kilkadziesiąt osób.

– Uhm... – mruknął Tasos. – A to znaczy, że wobec zeznań jego żony, której oprócz rozmowy z ofiarą pobicia też nie potrafimy nic zarzucić, musimy go wypuścić. To go całkowicie

eliminuje z naszego śledztwa. Domyślam się, że wycofujesz zgłoszenie o włamaniu.

– To, które sam napisałeś? Wycofuję.

– W dalszym ciągu nic nie mamy. Mnie też jego wina w tej sprawie wydawała się zbyt oczywista. Tak samo, jak wina Jany, choć jej kłamstwa opóźniły śledztwo. – Patrzył na mnie jak oskarżyciel.

– Ale za to jej zeznania, wobec znanych nam faktów, praktycznie oczyszczają ją z podejrzeń – rozkręcałam się.

– Dzięki opisaniu przedmiotów, które zobaczyła przed ikonostasem, i rysowi ich położenia, dowiodła, że po prawdopodobnej bójce z ojcem Lakis sam posprzątał w cerkwi. Zadbał o to, by Anna niczego się nie domyśliła. Można przypuszczać, że pierwszy cios w głowę otrzymał w czasie szamotaniny od Stawrosa. Ten zostawił jednak syna w kościele w pełni sił i dlatego zszokowany powtarzał potem wielokrotnie, gdy go znaleźli bliskiego śmierci, że nie jest winien zaistniałej sytuacji, że to niemożliwe. Gdyby to Jana, która przyszła do cerkwi po nim, zadała Lakisowi śmiertelny cios, nie wspominałaby o bałaganie. Ktoś przyszedł tam później. Ktoś, na kogo ofiara czekała, kto prawdopodobnie jest winien tej śmierci – dopowiedziałam cicho.

Jana była ostatnią osobą, która widziała Lakisa przytomnego około godziny szóstej dwadzieścia. Wyjaśnienia, które złożyła, pozwoliły określić przypuszczalny czas zadania mu drugiego, śmiertelnego ciosu pomiędzy szóstą dwadzieścia a szóstą trzydzieści pięć. Te decydujące piętnaście minut, a także okoliczności i motywy głównie pierwszej zbrodni, mimo ogromu naszej pracy, wciąż były niejasne. Tymczasem czekała nas wizytacja szefa komórki Interpolu z Aten, więc atmosfera w biurze stawała się nieznośna.

Rozdział 14

Od kilku dni prześladowała mnie myśl, że przeoczyliśmy coś ważnego, co łączy obie sprawy, i że śledztwo od początku zmierza w złym kierunku. Może należało się skupić wyłącznie na mafijnej przeszłości Lakisa, tak jak to zrobił Stawros? Moje myśli krążyły wokół szczegółów śledztwa. Według informacji Tasosa po śmierci Lakisa na wyspie wciąż przebywał ktoś, kto pracował dla przestępców i był z nimi w stałym kontakcie. Toros była w dalszym ciągu obiektem zainteresowania tych ludzi.

Wyspa miała atrakcyjne położenie. Przecinały się tutaj liczne szlaki morskie. Mogła stanowić drogę przerzutu i punkt kontaktowy dla handlarzy narkotyków i innych gangsterów. Gdy uświadamiałam sobie, że ta mała społeczność może wkrótce zostać uwikłana w najcięższe zbrodnie, a wyspa stracić swój niepowtarzalny klimat i spokój, o którym kiedyś napisałam znudzona – prawie boski – to ogarniał mnie lęk.

Jednak wątek mafijny jako jedyna słuszna opcja nie przekonywał nas, bo brakowało w nim ważnego elementu, jakim jest motyw przestępstwa. Naszym zdaniem też mafijne porachunki bandyci załatwiliby raczej na swoim terenie, w Atenach. Przenoszenie takich spraw aż na Toros wydawało się mało prawdopodobne. Tymczasem podczas śledztwa powychodziły z mroku, jak upiory, starannie strzeżone pikantne szczegóły z życia mieszkańców. Choć miejscowi niechętnie powierzali nam swoje tajemnice, odgrzebywaliśmy zdumiewające sekrety i łagodzone przez lata lokalne konflikty. Fakty, które odkrywaliśmy, były na co dzień, jak w dobrej rodzinie, częścią życia wyspiarzy utajoną przed obcymi.

Niestety prowadzenie śledztwa bez ich wsparcia i zaufania było coraz trudniejsze.

Nadinspektor z Interpolu okazał się sympatycznym, ale ku mojemu rozczarowaniu małym i korpulentnym człowieczkiem. Nie wyglądał na asa wywiadu. Miał za to bystre i przenikliwe oczy. Wychowany na Rodos, wykazał dużo zrozumienia dla naszych problemów. Uśmiechał się pod nosem, gdy przeglądał raporty z przesłuchań, a przy niektórych opisach świadków z trudem powstrzymywał wybuchy wesołości, komentując:

– Brawo, Klara, brawo! Co za realistyczny opis. Znam taki typ. To zatwardziały Grek!

Zdawał sobie sprawę z tego, że prowadzenie dochodzenia w miasteczku, gdzie wszyscy dobrze się znają, jest trudne. Pomimo tragicznego rozwoju wydarzeń nie stwierdził nieprawidłowości w procedurach policyjnych. Odbyliśmy z nim kilka długich porad. Zreferował nam szczegóły dochodzenia, które po śmierci Lakisa toczyło się w Atenach. Dużą wagę przywiązywał do wszystkich wątków sprawy, w których pojawiały się elementy związane z technikami informatycznymi. Za sensacyjny uznał fakt, że przy zwłokach Stawrosa odkryto kawałek wydruku komputerowego. Uczulał nas na wszystkie osoby obce na wyspie i na mieszkańców, którzy często wyjeżdżają. Wątek przestępczości zorganizowanej i ewentualne porachunki mafijne uważał, wbrew naszym przekonaniom, za jedyną słuszną drogę prowadzenia śledztwa. Radził, żeby integrować się z mieszkańcami wyspy, pracować w terenie i unikać niepotrzebnych zatrzymań w areszcie. Kiedy wreszcie zniknął na pokładzie promu, odetchnęliśmy z ulgą.

*

Siedziałam już pół godziny w kawiarni i czekałam na Tasosa. Z każdym dniem pobytu na wyspie upodabniał się do swoich rodaków. Wciąż powtarzam, że punktualność nie jest

cnotą Greków, ale żeby aż tak długo kazać mi czekać... Nagle usłyszałam zza pleców:

– Cześć, chyba się trochę spóźniłem.

– Nie trochę, a pół godziny – rzuciłam kąśliwie, bo spieszyłam się na spotkanie z Janą. – Coś się stało? Dlaczego mnie tak pilnie wezwałeś? – dopytywałam.

– Dostaliśmy faks z Aten. Lakis Tsantakis zapadł się pod ziemię. – Tasos usiadł i rozglądał się za kelnerem. – Jeśli nie oprzemy naszych poszukiwań na pamięci ludzi, nie mamy szans odkryć, co się z nim stało. Nie przetrwały żadne dokumenty na jego temat. Po tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku nigdzie się nie meldował i nigdzie nie pracował. To niemożliwe, chyba że nie żyje – powiedział Tasos sam do siebie. – Ale to też powinno być w ewidencji – dokończył.

– Może wyjechał z kraju?

– Nie, bo nie ubiegał się nigdy o paszport. Masz jakiś inny pomysł? – Mój towarzysz kiwnął na kelnera.

– To może zmiana tożsamości? – podsunęłam bez przekonania.

– Po co?

– Może był poszukiwany.

– No, kto wie, może. Przede wszystkim trzeba jednak rozmawiać z miejscowymi. – Tasos zniecierpliwiony gniewnie potrząsał głową i patrzył wyczekująco na kelnera. – Cholera, nie zjadłem śniadania – irytował się coraz bardziej.

Na szczęście kelner wreszcie się ruszył. Powoli i bez pośpiechu podszedł do naszego stolika. Przez dłuższą chwilę z gracją strzepywał z obrusu nieistniejące zabrudzenia. Drugie tyle celebrował założenie jednorazowej osłony z papieru, tak że poczuliśmy ulgę, kiedy wreszcie wyciągnął bloczek. Wysłuchał uważnie zamówienia Tasosa, a potem popatrzył na niego

poważnie i bez pośpiechu ruszył w stronę baru. Z grającej szafy jakiś głęboki męski głos zawodził w asyście baglamasów, że kocha na zabój.

Przy barze rozgorzała dyskusja. Rozgniewany kelner rzucił ścierkę na blat i zniknął na zapleczu. Zza baru tanecznym krokiem, w takt muzyki, podążał w naszym kierunku Sotiris. Zatrzymał się na środku kawiarni i z rękoma w górze odtańczył wdzięcznie spory kawałek refrenu.

– Czyś ty, Tasos, oszalał? Wiesz ty, która jest godzina? Dziewiąta rano! – Sotiris odpowiedział sobie sam. – Porządni ludzie o tej porze po wczorajszej kolacji z przyjaciółmi śpią, a innym podajemy najwyżej grecką kawę i wodę z lodem. Jeśli już musisz teraz jeść, to możemy przyrządzić ci tosta. Jajka na bekonie i kawa z mlekiem... O tej porze? – wymruczał zdegustowany, kończąc przemówienie.

Byłam zaskoczona przyjacielską relacją panów. Do niedawna Tasos nie znał nikogo na wyspie, a tu proszę, co za odmiana.

– Myślałem, że w Grecji są europejskie standardy – rozjuszył się Tasos.

– Daj spokój, stary! Grecja to Grecja. Chcesz ten tost czy nie?

– No dobrze, dobrze. Dawaj, bo głodny jestem. – Mój towarzysz kręcił głową z dezaprobatą.

Przy stoliku obok nas drzemał dziadek Waggielis. Zaskoczony hałasem wydobywającym się z szafy grającej obudził się i rozglądał zaciekawiony. Gdy mnie spostrzegł, zawołał jak zwykle:

– Witaj, Klaro, dawno cię nie widziałem! Pogadamy sobie?

– Opowiesz mi o tym niemieckim generale, który przyjechał na Toros? W którym to było roku? – prowokowałam go.

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim, dziecino – odpowiedział rezolutnie staruszek i od razu zaczął snuć ulubioną opowieść.

Pięknie opowiadał. Szafa grająca zawodziła żałośnie, a przed naszymi oczyma przetaczały się całe niemieckie szwadrony, rozbijały samoloty i odbywały krwawe egzekucje na miejscowej ludności. Gdy umilkł na chwilę, skorzystałam z okazji, żeby się wtrącić.

– A ludzie, którzy tu wtedy żyli. Pamiętasz ich?

– O kogo ci chodzi, kwiatuszku? – zapytał.

– Po śmierci Lakisa i Stawrosa często rozmyślałam o Annie. Pamiętasz ją z lat młodości?

– O tak. Była piękna. Szkoda, że nie ma córki. Kiedy ojciec Stawrosa przywiózł ją na wyspę, prawie wcale nie wychodziła z domu. Bała się. Miała takie ogromne przestraszone oczy. Unikała ludzi, chociaż wszyscy chcieli się z nią zaprzyjaźnić. Nie pamiętam, czy przez całą wojnę zamieniła z kimś choć jedno słowo.

– A gdy urodził się Lakis, to Anna i Stawros byli już po ślubie? – wtrąciłam pytanie.

– Nie, córeńko, Stawros był wtedy na froncie, ale pobrali się zaraz po jego powrocie na Toros, po wyjściu Niemców z Grecji. To były trudne czasy. Młody Margaritis zobaczył syna, gdy ten miał już półtora roku. Jak on się wtedy cieszył! Tańczył na weselu z Anną i z małym w objęciach. Tak to było. – Waggielis zmęczył się i umilkł.

– A pamiętasz może, dziadku, Lakisa Tsantakisa?

– Tego parobka od Margaritisów? A jakżeby nie? Pamiętam. Wyjechał z Toros jakoś tak w czterdziestym czwartym albo czterdziestym piątym. – Waggielis mówił coraz wolniej, zapadając w sen, znużony rozmową.

Zdażyłam jeszcze zapytać:

– Widziałeś go kiedyś później na wyspie?

– Tak – wymamrotał staruszek. – Nie dalej jak tydzień temu w kawiarni... – Starszy pan zaczął snuć opowieść, ale szybko zamilkł.

– O cholera. Co za pech. On zasnął – stwierdził Tasos.

– Chciałabym, żeby dziadek dokończył odpowiedź na moje pytanie. Można go jakoś dobudzić? – dopytywałam Sotirisa.

– Nie warto – odradził mi. – Nawet jeśli ci się uda, nie będzie pamiętał rozmowy i znowu zacznie opowiadać swoją ulubioną historię od początku. Tę samą co zawsze – zaśmiał się wnuk Waggielisa. – Poza tym – dodał – nie wierzyłbym mu. Jest już taki stary, że sam nie wie, co mówi.

Przez chwilę siedzieliśmy obok pochrapującego staruszka i patrzyliśmy na morze.

– Albo sensacja, albo kompletna bzdura – powiedział w końcu Tasos.

– Lakis i Stawros nie żyją, od Anny niczego się teraz nie dowiemy. Co nas właściwie obchodzi ten Lakis Tsantakis? Czy warto go szukać? – Ogarnęło mnie zniechęcenie.

– Warto. Moim zdaniem jego związki z Toros mogą być jednym z kluczowych wątków sprawy. – Tasos uciął dyskusję.

Do kawiarni podjechali śmieciarze. Zapach, który przywieźli ze sobą, był nie do zniesienia, ale nie dla nich. Rozsiedli się przy stoliku i zamówili *frappé* z wodą i lodem.

– O Chryste, jak dobrze, że już zjadłem śniadanie! – jęknął mój towarzysz i kiwnął na kelnera.

Miejscowym zwyczajem pracownicy oczyszczania miasta z upodobaniem celebrowali pracę. Nie spieszyli się i nie opuszczali żadnej sposobności, by odpocząć i pogadać. Nikt nie miał im tego za złe. Należało się spodziewać, że trochę tu zabawią.

Kiedy płaciliśmy rachunek, do lokalu wszedł Andreas Kotopulos. Taszczył jakieś urządzenia pomiarowe i aparat fotograficzny. Co on tu jeszcze robi? Zdziwiłam się, bo historyk miał na wyspie spędzić tylko kilka dni. Teoretycznie nie powinno go tu być, pomyślałam. Naukowiec też poczuł zniewalający zapach. Z powodu smrodu, a może na nasz widok, odwrócił się na pięcie i szybko się oddalił, z trudem dźwigając swoje instrumenty naukowe.

– Koniecznie musimy tego cudaka jeszcze raz przesłuchać i sprawdzić jego alibi na czas zabójstwa Stawrosa Margaritisa – powiedział Tasos, wsiadając do radiowozu zaparkowanego przed kawiarnią. – Dobrze, że go spotkaliśmy.

– Cholera, ale dlaczego założyliśmy, że nie ma go na Toros? Dlaczego nikt go nie sprawdził? – irytowałam się.

– Bo go nie było. Wyjechał. I jak widać, wrócił. Podwieźć cię gdzieś? – zapytał jeszcze przez otwarte okno samochodu.

– Nie. Wybieram się do Jany. Wątpię, żeby cię chciała oglądać – zażartowałam. – Jak go będziesz miał w biurze – miałam na myśli Kotopulosa – nie zapomnij, że chcę być przy przesłuchaniu. Ten gość pasuje jak ulał do większości naszych koncepcji – dodałam. – Nie strąćcie go z oczu! To wymarzony czarny charakter. – Uśmiechnęłam się, przymrużając żartobliwie jedno oko. – Myślisz, że uciekł przed nami czy przed smrodem śmieciarki?

– Nie wiem, ale spójrz, kto tu jeszcze jest. No, no – powiedział przeciągle Tasos. – Co za zbieg okoliczności. W

miasteczku poza sezonem funkcjonuje kilka pubów i innych miejsc rozrywki, tymczasem wszyscy nasi podejrzani spotykają się właśnie tutaj.

Rzeczywiście z drugiej strony ulicy, jak zwykle dostojnym krokiem, w kierunku kawiarni Sotirisa zmierzał Dimitris Samaras. Przed lokalem zauważyłam też Jurka i Janka, moich lokatorów. Zanim Tasos odjechał, rzuciło mi się w oczy, że weszli do *kafenijo*, przywitali się z Sotirisem i zajęli miejsca w pobliżu baru. Wyraźnie na kogoś czekali.

Rozdział 15

Mijały dni. Na wyspie znowu trwały smutne przygotowania do ceremonii pogrzebowej. Złożenie zwłok Stawrosa Margaritisa w rodzinnym grobowcu było opóźnione, bo Anna życzyła sobie, by uroczystości żałobne poprowadził Teodor. Tymczasem szum medialny wokół cerkwi spowodował, że popa wezwano przed oblicze władz kościelnych, do Aten. Wszyscy oczekiwali na jego powrót.

Było zimno, pochmurno i trwały zbiory oliwek. Z całej Grecji przybyli na wyspę najemni robotnicy i rodziny właścicieli gajów oliwnych. Już niebawem, gdy po zbiorach znowu opustoszeją ulice miasteczka, zaczną się przygotowania do Bożego Narodzenia.

Policja nie uzyskała zgody władz kościelnych na zamknięcie kościółka na dłużej, niż to będzie niezbędne dla śledztwa. Polecono świątynię Mateńki Płaczącej opiece boskiej i jak się zgryźliwie wyraził jeden z biskupów, staranniejszej ochronie policji. Odpowiedź patriarchy Anatola na wniosek Kostasa o tymczasowe zamknięcie cerkwi była krótka: „Podczas Bożego Narodzenia, w tym uroczystym okresie roku, cerkiew na wyspie Toros będzie udostępniona wiernym tak, jak zwykle, jako główne miejsce celebrowania narodzin Pana”.

Tymczasem atmosfera była nieciekawa, bo czas płynął nieubłaganie, a śledztwo się nie posuwało. Oczekiwano przełomu.

Rozpalałyśmy z Tulą w kominku, gdy przez okno salonu zauważyłam Ewę i Adama otulonych w ciepłe swetry i obutych w gumowce. Domyśliłam się, że wychodzą do pracy przy oliwkach.

– Co słyhać? – Wybiegłam za nimi na ganek. – Gdzie wasi znajomi?

– Pojechali do klasztoru. Mnisi zatrudnili ich do porządkowania starej winiarni. Przychodzą po codziennych degustacjach wina rozgrzani i w tak dobrym humorze, że aż zazdrość bierze – odkrzyknął wesoło Adam. – Podobno retsina z klasztoru jest najlepsza w okolicy – żartował.

– Rzadko ich ostatnio widzujemy – dodała Ewa.

– Wychodzą o świcie, a wracają często wtedy, kiedy już śpimy. Przesiadują nocami w knajpie u Sotirisa. Na szczęście my też znaleźliśmy pracę.

Moi polscy lokatorzy postanowili spędzić święta na wyspie. Dorabiali sobie na różne sposoby i dlatego rzadko się widywaliśmy. Chociaż mieszkali u mnie już jakiś czas, nie było sposobności, żeby się lepiej poznać.

– No to się cieszę, że dajecie sobie radę. Nie zapominajcie o mnie. Zapraszam na kolację! Dzisiaj po pracy, okej? Koniecznie! – krzyczałam za nimi.

Nie byłam pewna, czy usłyszeli. Pomachali mi i zniknęli za zakrętem.

*

Późnym wieczorem, gdy zobaczyłam, że w domku ogrodnika pali się światło, udałam się tam, żeby przypomnieć o zaproszeniu. Wiał przejmujący wiatr. W miarę zbliżania się do budynku, w którym mieszkali goście, docierały do mnie coraz wyraźniej fragmenty rozmowy albo raczej kłótni dwóch mężczyzn. Zdenerwowane głosy nie słabły i gdy byłam już dość blisko, potrafiłam rozróżnić pojedyncze słowa. Nie zamierzałam podsłuchiwać i by uniknąć niezręcznej sytuacji, postanowiłam zapukać. Już miałam zwrócić na siebie uwagę, gdy nagle

wyraźnie usłyszałam, że w letnim domku ktoś poprawnie i z nienagannym akcentem mówi po grecku. Nie było wątpliwości, że to rodowity Grek. Przyciszany przez rozmówcę, dopytywał natarczywie:

– O co mu chodzi tym razem? Facet przesadza! Tego nie da się zrobić tak szybko i to po tym, jak...

Nie usłyszałam końca wypowiedzi, bo wycie wiatru na moment zagłuszyło głosy, które do mnie dobiegały. Było mi wstyd, że sterczę pod drzwiami. Serce waliło mi jak oszalałe, a nie był to jeszcze koniec niespodzianek, bo nagle za plecami usłyszałam:

– Klara?!

Odwracając się, przewróciłam donicę z fioletowymi astrami, która stała przy wejściu. Rozległ się potężny łoskot.

Za mną stali Ewa i Adam.

– Ach, to wy! – wykrzyknęłam z ulgą.

Byli zaskoczeni, że podsłuchuję rozmowę ich kolegów. Patrzyli na mnie zdumieni. Zanim wymieniliśmy powitania i wytłumaczyłam swoją obecność pod drzwiami, oznajmianie pukaniem naszego nadejścia było zbyteczne. Adam zawołał:

– Hej, już jesteśmy!

Weszliśmy do środka.

To było typowe greckie wnętrze. W pomieszczeniu zwracały uwagę solidne drewniane meble i krzesła z wiklinowymi siedziskami. Przy stole siedziało dwóch młodych mężczyzn, których nie zdążyłam jeszcze dobrze poznać. Uśmiechałam się nienaturalnie i przyglądałam im podejrzliwie.

Głośno grało radio. Z małego głośnika słychać było muzykę. Gwiazda greckiej piosenki – Eleni Wamwakis – śpiewała najnowszy przebój. Tęskne tony buzuki i dym z papierosów wypełniały pokój skąpo oświetlony żarówką wiszącą

nad stołem na drucie. Nie mogłam sobie przypomnieć, kto i kiedy stłukł klosz powieszony tu przed laty lampy. Patrzyłam na moich lokatorów i zastanawiałam się, czy mogłam audycję pomylić z rzeczywistą kłótnią i czy przed chwilą też słyszałam radio.

Mężczyźni wstali i uścisnęli wyciągniętą do nich dłoń.

– Zupełnie nie pamiętam, jak się nazywacie. Przepraszam. – Patrzyłam na nich pytająco.

– Janek Kostkowski – przedstawił się wyższy, szczuplejszy, z ciemnymi oczyma i kręconymi włosami do ramion.

Piękny chłopak. Czy mógłby być Grekiem? Zastanawiałam się.

– Jurek – powiedział drugi gardłowym, niskim głosem, który, dałabym głowę sobie uciąć, słyszałam, stojąc pod drzwiami.

– Co porabiacie? – zapytałam i rozejrzałam się po pokoju.

– Słuchaliśmy audycji radiowej – odparł spokojnie niski i korpulentny Jurek, patrząc mi w oczy. – Wieje i jest tak zimno, że nie chce się wychodzić z domu.

– Pracowaliście dzisiaj znowu w klasztorze – stwierdziłam bardziej, niż zapytałam, żeby podtrzymać rozmowę. Zauważyłam, że to, co powiedziałam, zaskoczyło ich, a Janka wytrąciło z równowagi.

Nie lubią, żeby się interesować tym, co robią, zanotowałam w pamięci.

– Taaak – powiedział Jurek, przeciągając samogłoskę, jakby zamierzał rozwinąć temat, ale w końcu nie dodał nic więcej.

Choć się uśmiechałam do moich gości, byłam nie na żarty zaniepokojona. Musiałam natychmiast coś zrobić, żeby sprawdzić, kogo przyjełam pod swój dach. – Αύγουστε, καλέ

μου μήνα, να'σουν δυο φορές το χρόνο! – powiedziałam nagle po grecku. Próbowałam sprowokować przez zaskoczenie jakąś reakcję.

– No super, Klaro. Super zabrzmiało. A teraz przetłumacz, co to znaczy! – zachichotała Ewa.

Moje wystąpienie istotnie spowodowało reakcję, ale nie taką, jakiej oczekiwałam. Żadnemu z panów nie drgnęła nawet powieka. Nie zareagowali na wygłoszony tekst. W dodatku było widać, że są moim zachowaniem zdziwieni.

– Nasz dobry sierpniu, obyś był dwa razy do roku – przetłumaczyłam bez entuzjazmu greckie przysłowie i dodałam: – Rzeczywiście, pogoda jest paskudna.

Byłam zawiedziona i niezadowolona ze swojej nieprofesjonalnej wpadki. Jeśli mieli coś do ukrycia, dostali oczywisty sygnał, że im nie ufam, a przecież nie zamierzałam ich spłoszyć.

Kolację zjedliśmy w pozornie miłej, rodzinnej atmosferze, ale moje pozytywne nastawienie do lokatorów prysło jak bańka mydlana. Żałowałam, że tak niewiele uwagi poświęciliśmy im podczas przesłuchania w sprawie o pobicie Lakisa, i postanowiłam przy najbliższej sposobności wypytać o nich Ewę.

Rozdział 16

Obudził mnie telefon. Zaspana usłyszałam w słuchawce podekscytowany głos Kostasa:

– Wysyłam po ciebie samochód! Przyjeżdżaj jak najprędzej, bo wreszcie mamy przełom. Przed chwilą aresztowaliśmy podejrzanego... – nie dokończył.

Po drugiej stronie rozległ się hałas i dzwonek kolejnego telefonu.

– Kogoś aresztowaliście? – zdziwiłam się, ale zanim zdążyłam zapytać o szczegóły, usłyszałam szcęk odkładanej słuchawki. Mój rozmówca się rozłączył.

Wyskoczyłam z łóżka i trzęsąc się z zimna jak w febrze, narzuciłam szlafrok. W biegu z łazienki do garderoby połknęłam ciastko i popiłam smolistym espresso. Bez zbędnych celebracji naciągnęłam dzinsy i gdy pod dom podjechał przysłany po mnie radiowóz, byłam gotowa. Jeszcze tylko mgielka markowych perfum dla dobrego samopoczucia i zdziwienie w oczach Tuli rozpalającej ogień w kominku.

– A ty dokąd się wybierasz o tej porze? Jest dopiero siódma rano!

Błyskawicznie zatrzasnęłam za sobą drzwi, żeby uniknąć niewygodnych pytań, i po chwili siedziałam już za biurkiem w komisariacie.

Do pomieszczenia weszli od razu wszyscy trzej: Kostas i Tasos, a pomiędzy nimi bez entuzjazmu i jak zwykle z wredną miną wkroczył Andreas Kotopulos. Błady i niewyspany stanął na środku biura, niezdecydowany, gdzie usiąść.

– Zapraszam. – Tasos wskazał mu miejsce na wprost siebie.
– I proszę podać dokładnie swoje dane.

Byłam zaskoczona tak samo jak Kotopulos, ale posłusznie przygotowałam się do notowania.

– Podawałam wam już moje dane, macie je – powiedział, a raczej wyburczał niegrzecznie nasz poranny gość.

– Proszę powtórzyć jeszcze raz. Radzę nie komentować moich poleceń, bo to tylko niepotrzebnie przedłuży czas pana pobytu tutaj. Jak się pan nazywa? Imię i nazwisko poproszę.

– Andreas Kotopulos – odpowiedział historyk z wyraźną irytacją w głosie.

Spisywałam personalia, obserwując spod oka nieprzeniknioną twarz naszego kolegi.

– Czy był pan już kiedyś na Toros? – Natychmiast zadał świadkowi kolejne pytanie.

– Nie – odparł historyk. – Nie przypominam sobie – poprawił się.

– Na pewno? Proszę się spokojnie zastanowić. Mamy czas. – Tasos nie patrzył na niego, tylko w papiery na biurku.

– Wydaje mi się, że nigdy wcześniej tu nie byłem – oświadczył Kotopulos po chwili.

– A mnie się wydaje, że przeciwnie i że pan tu nawet przez pewien czas mieszkał. Tak twierdzi jeden z mnichów, choć nie potrafi dokładnie powiedzieć, kiedy to było. Podobno wiele lat temu.

Zaległa kłopotliwa cisza.

– Nawet jeśli tu wcześniej przebywałem, to co z tego? Prowadzę badania na całym świecie. Mieszkałem w tylu miejscach, że sam nie potrafię spamiętać gdzie. To jakaś zbrodnia? – Zaśmiał się szyderczo.

– Nie, oczywiście że nie – odpowiedział Tasos przyjaźnie.

Przeczuwałam podstęp. Ugodowa postawa naszego specja od mafii i ujmująca uprzejmość o siódmej rano nie wróżyły nic dobrego.

– Po spędzeniu na Toros kilku godzin zgubienie się jest prawie niemożliwe – snuł rozważania. – Jeśli pan tu wcześniej mieszkał i zna wyspę – mówił dalej – to czego pan szukał na plaży, bo chyba nie drogi do hotelu? – Oparty o biurko i przechylony w stronę przesłuchiwanego, nasz szef uśmiechał się ironicznie. – Poprzednio zeznał pan przecież, że zgubił się na plaży. Czyż nie?

– Zgubiłem się, bo słabo widzę – odpowiedział historyk z satysfakcją.

– Taaak. – Tasos i tym razem okazał wyrozumiałość. – Twierdził pan też, że nie zna nawet z widzenia Lakisa Margaritisa. Czy pan to oświadczenie podtrzymuje? – Pytania spadały na przesłuchiwanego jedno po drugim.

Historyk był blady. Na czole pojawiły mu się kropelki potu.

– Tak, podtrzymuję swoje oświadczenie. – Naukowiec na pozór zachowywał się pewnie, ale jego rozbiegane oczy świadczyły o tym, że jest kompletnie wytracony z równowagi.

Przez chwilę Tasos milczał i z uwagą patrzył na niego.

– To dlaczego ze szwajcarskiego konta, na którym zgromadził pan trzy miliony dolarów – w tym momencie Kostas nie opanował się i oczywiście gwizdnął z wrażenia – od pół roku przelewano pieniądze na rachunek Lakisa Margaritisa? Dwa tysiące dolarów po każdym powrocie zamordowanego z Toros do Aten.

Kotopulos zrobił się czerwony, ale nie odpowiedział. Tasos z kolei obserwował go uważnie przez chwilę, a potem wygłosił komentarz:

– Mamy do czynienia z morderstwem, i to nie jednym. Interpol otrzymał specjalne pełnomocnictwa i ma wgląd do wszystkich, również ściśle tajnych informacji bankowych. Tego się pan nie spodziewał?

Zaległa cisza.

– Odmawiam odpowiedzi na to pytanie – wykrztusił wreszcie Kotopulos.

– Za co pan tak hojnie płacił Lakisowi? Czyżby pana szantażował ten zbir? – dopytywał inspektor, ignorując oświadczenie rozmówcy, ale podejrzany nie reagował. – Czy zawsze nazywał się pan Kotopulos?

– Tak, to jest moje nazwisko – obruszył się.

– A ja mam zdjęcie z Hamburga, z miejscowej gazety, gdzie mieszkał pan przed trzydziestoma laty, z podpisem „Lakis Andreas Müller”. Zdjęcie przedstawia trzech wyróżniających się w nauce absolwentów hamburskiego uniwersytetu. Skoro nazywa się pan Andreas Kotopulos, a nazywał Lakis Müller, to może nazywał się pan też Lakis Tsantakis?

Byłam pod wrażeniem. Obydwoje z Kostasem osłupieliśmy, gdy padło to pytanie. Tymczasem nasz as Interpolu wyciągnął z szuflady jakieś stare czasopismo i położył je na biurku. Pochylił się i przez chwilę oglądał dowód przez szkło powiększające.

– To prawda – dodał – że na tym zdjęciu wygląda pan inaczej, ale przecież minęło wiele lat. Zmiana wyglądu jest naturalna. Nawet Anna pana nie rozpoznała, chociaż przypuszczam, że zgolenie obfitego zarostu może to zmienić. – Posłał historykowi uroczy uśmiech.

Kotopulos patrzył na niego zaskoczony, z szeroko otwartymi oczyma, które karykaturalnie powiększone przez grube szkła okularów wyglądały teraz jak oczy ryby.

– Czy jest pan ojcem Lakisa Margaritisa? Czy ta sensacyjna dla świata nauki wiadomość była warta opłacania się szantażystą? Czy pokłóciliście się o kolejną ratę i to był wypadek podczas bójki, czy chciał go pan zabić? – Nasz młody szef nie odpuszczał.

Oszołomiony badacz greckiej kultury milczał.

– Którędy wracał pan do miasteczka? Mam na myśli tragiczny poranek w dniu, w którym pobito Lakisa.

– Drogą wzdłuż wybrzeża. Odpłynęło kilka kutrów i można było przejść plażą, na skróty – bronił się niesympatyczny naukowiec.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Ktoś to widział?

– Wasza rzecz, żeby to sprawdzić.

– A czy był pan na wyspie podczas pogrzebu Lakisa Margaritisa?

– Nie – padła kolejna krótka odpowiedź.

– Po poprzednim przesłuchaniu wyjechał pan do Aten. Kiedy pan wrócił na Toros? Czy może w dniu pogrzebu ofiary?

– Tak, ale po tych uroczystościach. Późną nocą.

– Wie pan oczywiście, że następnego dnia nad ranem zamordowano ojca Lakisa, Stawrosa Margaritisa? Znał go pan? – dodał.

Kotopulos drgnął na krześle.

– Co mi próbujecie wmówić?! Nie będę od tej chwili odpowiadał na żadne pytania bez adwokata.

– Ma pan coś do ukrycia? – zdziwił się Tasos.

Indagowany nie odpowiedział i tylko po nerwowym tiku w kąciku oka było widać, że jest bardzo wzburzony. Zaległa

kolejna, długa chwila ciszy. Nagle Tasos zaproponował prawie serdecznie:

– Może jednak zdobędzie się pan na szczerą współpracę? Współpraca z policją jest zawsze rozpatrywana na korzyść oskarżonego.

Kotopulos nie zareagował na tę propozycję. Patrzył w okno. Nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w horyzont ponad naszymi głowami.

– Jest pan zatrzymany w charakterze podejrzanego w sprawie o dwa zabójstwa, oskarżony o składanie fałszywych zeznań i świadome wprowadzenie w błąd policji. – Tasos zdecydował się skończyć przesłuchanie i przycisnął dzwonek, by wezwać dyżurnego. Zanim w biurze pojawił się Nikos, podejrzanym usłyszał jeszcze jedno, ostatnie pytanie: – Czy chce pan coś dodać? Wszystko, co usłyszymy od tej chwili, może być użyte przeciwko panu.

– Nie, nic już więcej nie powiem. – Historyk odparł ochryłym głosem.

Rozdział 17

Po zatrzymaniu zasłużonego dla greckiej nauki historyka rozpętało się piekło. Urywały się faksy i telefony z Aten. Tasos upierał się, żeby wobec licznych zarzutów osadzony pozostał w areszcie, ale nigdy niekarany i znany w świecie naukowym ulubieniec elit znajdował wciąż nowych potężnych obrońców.

Nasz kolega był przekonany o swojej racji, a my wspieraliśmy go solidarnie, z trudem odpierając coraz ostrzejsze ataki mediów i naciski zwierzchników. Ostatecznie sąd na wniosek adwokata oskarżonego podjął decyzję o wypuszczeniu Andreasa Kotopulosa za kaucją w wysokości stu tysięcy dolarów, z zakazem opuszczania wyspy i kontaktowania się z osobami trzecimi. Dodatkowo zarządził stały nadzór policji. Faktycznie naukowiec skazano na areszt domowy, który odbywał tam, gdzie dotychczas mieszkał, czyli w klasztorze, pod dyskretną obserwacją miejscowych funkcjonariuszy i mnichów. Tasos nie był zadowolony z decyzji sądu. Niewątpliwym plusem tego rozwiązania było uspokojenie protestów opinii publicznej i zyskanie czasu na spokojne kontynuowanie śledztwa.

Posiadanie przez historyka aż tak dużej sumy na koncie w szwajcarskim banku, nawet biorąc pod uwagę jego działalność naukową i liczne publikacje, było jedną z większych zagadek w tej sprawie. Oskarżony jednak milczał, a prokurator ostrzegał nas, że możemy mieć poważne problemy, jeśli materiał dowodowy nie okaże się wystarczający, żeby go skazać.

Tasos miał logiczną i przekonującą koncepcję dotyczącą obu zbrodni. Dowodził, że aresztowany historyk to Andreas Kotopulos *vel* Lakis Andreas Müller *vel* Lakis Tsantakis. Uważał, że jest tylko kwestią czasu, kiedy podejrzany zacznie mówić i wytłumaczy swoje kolejne tożsamości. Przypuszczał, że

historyk, odnaleziony przez Lakisa, płacił mu za milczenie na temat swojej przeszłości aż do momentu bójki, podczas której cios, który zadał w głowę szantażysty, okazał się śmiertelny. Zamachy na szantażystów wcale nie należą do rzadkości, ale w tym przypadku Tasos rozważał raczej opcję, że bójka była aktem wybuchu emocjonalnego, a zbrodnia czynem w afekcie.

Po śmierci Lakisa morderca umknął uwadze policji, ale prawdopodobnie dzięki dokumentom pochodzącym z komputera syna na jego ślad wpadł Stawros. Dlaczego umówił się z historykiem w cerkwi i co zamierzał osiągnąć, tego nie dowiemy się nigdy, chyba że Kotopulos przyzna się do zabójstwa i zechce zeznawać. Tasos uważał, że nie musiało dojść do tej tragedii i że przebieg spotkania mógł być zupełnie inny, ale komiczna i niebudząca respektu fizjonomia naukowca zaskoczyła Stawrosa. Niezdarne zachowanie niedowidzącego dziwaka uspiło jego czujność do tego stopnia, że widząc przed sobą ofiarę potykającą się o wszystko, nie tylko nie wyjął broni, ale nierozważnie odwrócił się do niego tyłem. Wtedy otrzymał śmiertelny cios włócznią w plecy. Grot narzędzia przebił mu serce.

Tak pokrótce przedstawiała się koncepcja naszego kolegi. Wiarygodnie łączyła i uzasadniała wszystkie zgromadzone w śledztwie fakty. Kłopot z Kotopulosem polegał na tym, że nasze przekonanie o jego winie i logiczne argumentacje wystarczały co najwyżej na długi i nieefektywny proces poszlakowy. Niepodważalnych dowodów winy nie było. Pomimo przetrząśnięcia całego wzgórza i wszystkich zakamarków cerkwi nie znaleziono narzędzia, którym zadano cios w głowę pierwszej ofierze. Patolodzy nie potrafili nawet w przybliżeniu określić, co by to mogło być, dlatego poszukiwaliśmy przysłowiowej igły w stogu siana. Nic nie przyniosło też przeszukanie osobistych rzeczy historyka ani klasztoru, w którym mieszkał.

Posiadanie dużej sumy na koncie w szwajcarskim banku nie jest przestępstwem, tak samo jak przelewanie z niego pieniędzy na czyjkolwiek rachunek. Naukowiec nie złożył żadnych wyjaśnień i było wielką niewiadomą, co zezna na ten temat przed sądem. Żaden z obecnych na plaży świadków w sprawie o pobicie Lakisa nie zauważył, którą drogą wracał na przystań poszukujący hotelu historyk. Nie było też dowodów na to, że Kotopulos w dniu śmierci Stawrosa przebywał w pobliżu cerkwi. Przeciwnie, mnisi twierdzili, że przyjechał do klasztoru tego dnia późną nocą i całe kolejne przedpołudnie prawdopodobnie spał, bo nie wychodził ze swojej celi. Jakby tych porażek było mało, potrafiliśmy udowodnić, że Andreas Kotopulos był Lakisem Andreasem Müllerem, ale nie zdobyliśmy dowodów na to, że był też Lakisem Tsantakisem, a na tym opierała się koncepcja oskarżenia. Mnich z klasztoru, nasz informator i dziadek Waggielis rozpoznali w nim wprawdzie mieszkańca Toros, ale nie potrafili sobie przypomnieć, kiedy mieszkał na wyspie i pod jakim nazwiskiem. Waggielis kompletnie mieszał fakty i osoby, o które go pytano. Chociaż z entuzjazmem poddawał się długotrwałym przesłuchaniom, jego zeznania były niewiarygodne. Wszystkie nadzieje pokładaliśmy w konfrontacji oskarżonego z Anną Margaritis, ale na to trzeba było poczekać. Wdowa po kolejnym pogrzebie schroniła się w prywatnym sanatorium, gdzie poddano ją terapii antydepresyjnej. Warunkiem jej ponownego przesłuchania były powrót na Toros i zgoda lekarzy.

Niektóre szczegóły śledztwa nie dawały mi spokoju. Wciąż myślałam o krześle, które prawdopodobnie Lakis przyniósł z zakrystii i postawił przed ikonostasem. Niedorzecznością było przypuszczenie, że zaplanował rozmowę z Janą i chciał zrobić na niej wrażenie. Do czego więc mogło być potrzebne, skoro w

cerkiewnej nawie stoi cały rząd ławek? Nic nie wskazywało na to, że krzesło miało odegrać zwykłą rolę, czyli posłużyć podczas spowiedzi. Teodor, który przyszedł tam jako ostatni, był zdziwiony jego ustawieniem. Dodatkowo wyznawanie grzechów w Grecji ma swój stały, ściśle określony rytuał. Najczęściej odbywa się w zakrystii i niezbędne są dwa miejsca siedzące. Wierny nigdy nie klęczy przed spowiednikiem. Tak nakazuje tradycja. Jedno krzesło ustawione w nawie przed cudowną ikoną nie pasuje. Przyniesienie go z zakrystii miało więc inny cel.

Kolejna zagadka to zachowanie historyka Andreeasa Kotopulosa, gdy spotkałyśmy go z Janą przed kościółkiem. Czego tam szukał? Dlaczego mierzył i obmacywał ściany i fundament budynku? Czy w ten sposób pozyskiwał wiedzę dla redakcji przewodników turystycznych, z którymi współpracował? Tak mogło być i dlatego nie jego obecność w tym miejscu, ale reakcja na nasz widok i paniczna ucieczka wydawały się podejrzane.

Kolejne wątpliwości dotyczyły obdukcji lekarskiej i przedmiotu, którym zadano cios w głowę Lakisa. Założyliśmy, że to nie ta sama osoba pobiła go dwukrotnie. Czy w tej sytuacji nie powinniśmy się zastanowić, w jaki sposób zadano oba ciosy, a nie tylko ten decydujący? Może należało szukać dwóch różnych, a nie jednego narzędzia przestępstwa?

Moje wątpliwości dotyczyły też związków między tragicznymi zdarzeniami w świątyni a planowaną przestępczą działalnością mafii na wyspie. Uznaliśmy, że pierwsza śmierć była powiązana z drugą, a nawet że pierwsza stała się przyczyną drugiej. Zgromadzone dowody wyraźnie wskazywały na zależność tych dwóch spraw. Ofiary były spokrewnione, zginęły w tym samym miejscu i w podobnych okolicznościach. Motyw zemsty nasuwał się od początku śledztwa. Inną kwestią, trudną

do przewidzenia, był domniemany związek osób zamordowanych, a więc obu tragedii, z planami przestępców, którzy interesowali się wyspą od dłuższego czasu.

Wieczorami z niepokojem obserwowałam przez okno cerkiew Madonny z Toros. Usiłowałam przeniknąć jej tajemnicę i odgadnąć przyszłość. Tymczasem wciąż badaliśmy wiele wątków sprawy i rozpaczliwie poszukiwaliśmy dowodów przeciw oskarżonemu Andreasowi Kotopulosowi.

*

Od tragicznych wydarzeń mijały kolejne tygodnie. Dni stawały się coraz krótsze i deszczowe, a noce chłodne i wietrzne. Wyjący po nocach wiatr i wzburzone morze nie wpływały dobrze na samopoczucie. Tula zarządziła porządki przedświąteczne, rozpoczynając od przewrócenia wszystkiego w domu do góry nogami. Z kuchni, do której nikogo nie wpuszczała, dochodziły kuszące zapachy.

W tym gorącym przedświątecznym okresie codziennym gościem w moim domu był Tasos. Polubiłam młodego Greka, ale częstotliwość jego wizyt stawała się krępująca. Ciągła obecność Tuli, studentów, psów i jego nieoczekiwane wizyty wprowadzały w moje życie zamieszanie i niepokój. W otoczeniu pełnym ludzi byłam bezpieczna, ale nie czułam się dobrze. W dodatku Tula od niedawna zadawała liczne pytania. Nagabywała mnie o relacje rodzinne i o to, jak poznałam Jorgosa. Wypytywała, czym się różnią święta w Polsce od miejscowych tradycji bożonarodzeniowych i czy to prawda, że mężczyźni w moim kraju sprzątaj.

– To u was nie ma kawiarni dla mężczyzn? – Stała ze ścierką w ręku, oparta o framugę drzwi prowadzących do mojej pracowni, i sondowała mnie krytycznym spojrzeniem.

Niestarannie spięte siwe włosy, ślady niewątpliwej urody, opadały kosmykami na kołnierz czarnej bluzki.

Pomyślałam, że nigdy nie widziałam jej w innym stroju. Dostojna czerń była na wyspie powszechnym kolorem kobiet, które owdowiały. Tradycja nakazywała niezameżnym wdowom nosić żałobę do końca życia. Ten smutny ubiór uzupełniała przeważnie czarna chusta zakrywająca włosy, co czyniło go jeszcze bardziej ascetycznym. Zimą chroniła przed chłodem, a latem była skuteczną ochroną przed słońcem.

– To dokąd wasi mężowie wychodzą z domu, żeby było trochę spokoju? Czym się zajmują? – Gospoia z uporem drażyła temat damsko-męskich relacji w Polsce.

– Oglądają mecze w towarzystwie kolegów... Bo ja wiem? – plątałam się zirytowana. – Są przecież stadiony i imprezy sportowe – dodałam.

– A! No tak, to rozumiem – przytaknęła z powagą.

– Spędzają z rodziną więcej czasu niż Grecy – kontynuowałam zniecierpliwiona sondażem.

– Ooo, to ciężko z nimi macie, jak wciąż na głowie wam siedzą – komentowała współczująco. – Co za pożytek z mężczyzny w domu? Najwyżej z nudów na dzieci pokrzyczy albo, co gorsza, w kuchni coś popsuje. Ech! – Machnęła ścierką i podreptała otworzyć drzwi, do których niestety znowu ktoś zapukał.

Po chwili stała przede mną Ewa. Dyskretna opalenizna podkreślała jej słowiańską urodę – blond włosy i szaroniebieskie oczy. Krótka spódniczka odkrywała długie i kształtne nogi.

– Dobry wieczór! – zawołała po grecku i wcisnęła mi do rąk jakiś pakunek.

– Jak się masz? – Ucieszyłam się, że przerwała przesłuchanie, którym od rana dręczyła mnie Tula.

– Klaro – Ewa ściszyła konfidencjonalnie głos – może byśmy upiekły żeberka wieprzowe z zasmażoną kapustą, z gotowanymi kartofelkami i popiły gorącą herbatką? Co? – zapytała rozmarzona i pokazała na paczuszkę, którą przyniosła.

– O tak. Tak! – podchwyciłam ochoczo. –Tego i mnie trzeba.

Zerwałam się z za biurka i pognałam do kuchni, żeby wyprawić Tulę do kościoła. Gdy po burzliwej dyskusji za moją wścibską gosposią zamknęły się drzwi, rzuciłam Ewie fartuch.

– No, to teraz mamy dwie godziny spokoju. A może dłużej? Może po drodze spotka koleżanki? – Mrugnęłam do niej.

Podziwiałyśmy przez okna cerkiew Madonny z Toros. Na kominku trzaskały wesoło polana z drzewek oliwnych, a pod ścianą, w ogromnych koszach, stały dopiero co zerwane z drzew pomarańcze i mandarynki.

Pod niebem Grecji, w samym sercu Dodekanezu, objadałyśmy się żeberkami wieprzowymi z duszoną kapustą, zagłuszając zdrowy rozsądek i nie licząc kalorii. Podzieliłyśmy się miłosiernie naszym dziełem kulinarnym z Tyberiuszem i Klaudiuszem, które skamlały żałośnie pod drzwiami tarasu zaraz po tym, jak dotarł do nich zapach polskich przysmaków.

– Klaro! – Ewa przerwała milczące obżarstwo. – Jak to jest mieć męża Greka?

Omal nie udusiłam się ostatnim kęsem kolacji.

– Czy ja znowu czegoś nie wiem? – Obserwowałam ją spod oka. – A tak dokładnie, to co masz na myśli?

– Nic. Ja tylko tak ogólnie pytam – odpowiedziała i zaczerwieniła się aż po dekolt.

Przez moją głowę przemknęły wszystkie naiwne pytania Tuli, troska agenta Interpolu o zamieszkujących plażę studentów i jego wzmożona fascynacja wszystkim, co polskie.

– Ach, więc to tak! – Zaczynałam rozumieć.

Dociekliwość gospośki, rumieńce Ewy i ciągłe wizyty Tasosa, to wszystko ułożyło się wreszcie w mojej głowie w logiczny ciąg faktów, z którego już dawno powinnam była wyciągnąć wnioski.

– Bo przypuścimy, że jakiś Grek urodził się i wychował na obczyźnie. – Ewa snuła marzenia, nie dopuszczając mnie do głosu. – Jak na przykład twój mąż, Jorgos – dodała prędko i znowu poczerwieniała. – Jego poglądy na małżeństwo i rodzinę mogą być bardziej nowoczesne niż jego kolegów z Grecji – dowodziła z przekonaniem.

– Wątpię – skwitowałam krótko, strzepując z kolan okruchy po kolacji. – Grek to Grek, tak jak Polak to Polak. – Pokazałam palcem wymownie na talerze z resztkami żeberek wieprzowych duszonych w kapuście. Na widok jej zawiedzionej miny dodałam: – Czasem warto pójść na niewielkie ustępstwa, żeby nie ominęło nas w życiu coś naprawdę pięknego. Tak ogólnie – podkreśliłam, nawiązując do jej pytania i starając się ukryć rozbawienie – to nie jest źle, ale musisz wiedzieć, że chociaż Jorgos wychował się w Polsce, tak jak ja, sprząta podwórko tylko nocą, gdy jest ciemno, żeby go nikt przy tej pracy nie widział. Mężczyźni są tutaj bardzo rodzinni, ale ich wyobrażenie o podziale ról w małżeństwie jest mało nowoczesne, szczególnie w małych miejscowościach i na wyspach – skomentowałam bezlitośnie i zgodnie z prawdą.

Po uroczej biesiadzie słuchałyśmy przez chwilę wyjącego za oknem wiatru. Ewa karmiła zwierzaki. Gdy kolejną obgryzioną kostką zamachała w kierunku wylegującego się przy kominku Klaudiusza, najedzony pies ruszył leniwie, by odebrać smakołyk. Nie dotarł jednak do stołu, bo przed drzwiami

tarasowymi nagle zatrzymał się i zaczął warczeć. Ewa zbladła. Wykrztusiła przestraszona:

– Klaro, tam ktoś jest. Chyba kogoś widziałam.

Tyberiusz, który leżał u moich stóp, uważnie obserwował skradającego się w stronę wyjścia do ogrodu Klaudiusza, ale nie wstał i nie warczał. W pewnym momencie szczechnął krótko i popatrzył na mnie wyczekująco.

– Nie bój się – uspokajałam mojego gościa. – Psy znają osobę, która jest na zewnątrz. W przeciwnym razie ich reakcja byłaby inna, a ja nie chciałabym być w skórze intruza. Są niespokojne, bo ktoś, kto jest na tarasie, nietypowo się zachowuje. Zaraz się przekonasz.

Wstałam, szybko podeszłam do oszklonych drzwi i gwałtownie je otworzyłam. Psy rzuciły się przodem, by mnie ochronić. Wskoczyły pierwsze w chłód i ciemność. W rogu przy tralkach balustrady dopadły i obszczekiwały zdezorientowanych współlokatorów Ewy – Jurka i Janka.

– Brawo, Klaro! – zażartował Jurek. – Co za akcja.

– To nie było zabawne – powiedziała Ewa gniewnie.

– Ani rozsądne – dodałam. – Mam duże psy i nie zawsze potrafię przewidzieć ich zachowanie.

– Zapomnieliśmy klucza – tłumaczył się sympatyczniejszy Janek. – Przepraszamy. Powinniśmy po prostu wejść od frontu, ale wtedy było bliżej.

*

– Co to za jedni? – zapytałam Ewę, gdy zostałyśmy same.

– Bracia.

– Skąd są?

– Mieszkają we Wrocławiu. Od kilku lat studiują historię sztuki i język angielski.

- Od jak dawna mieszkanie z nimi?
- Od pół roku. Przyjechaliśmy tutaj razem.
- A jak długo się znacie? – zapytałam mimochodem w drodze do kuchni, obładowana brudnymi talerzami.
- Też od pół roku.
- Jak to? Nie rozumiem. – Zawróciłam zaskoczona.
- Poznaliśmy ich sześć miesięcy temu w Atenach, w kawiarni. Przyjechaliśmy z Warszawy i nie wiedzieliśmy, jak się dostać do portu w Pireusie. Mieliśmy szczęście, że ich spotkaliśmy, bo dobrze znają miasto. Pomogli nam kupić bilety na prom i doradzili zakwaterowanie w schronisku turystycznym przy placu Omonia. To były tanie noclegi, akurat na studencką kieszeń. Zdziwiliśmy się, kiedy po kilku dniach spotkaliśmy ich znowu podczas podróży na Toros. Na wyspie nie ma wielu Polaków, więc postanowiliśmy zamieszkać razem. Są dość sympatyczni, szczególnie Janek, ale nie powiedziałabym, że udało nam się z nimi zaprzyjaźnić. Niewiele mówią o sobie i ciągle gdzieś znikają.
- Jak to się stało, że pracują w klasztorze? Mnisi są bardzo nieufni. – Naprowadzałam Ewę na interesujący mnie temat.
- Chłopcy przesiadywali w kawiarni u Sotirisa. Lubią wypić, a on też nie jest abstynentem. Odwdzieczył się im za sowite rachunki. Polecili ich w klasztorze do prac przy remoncie winiarni. Dużo pracują, starają się być mili, ale prawdę mówiąc, są trochę dziwni.
- Dziwni? Dlaczego?
- Parę dni temu na przykład miałam wrażenie, że Jurek grzebał w naszych rzeczach. – Ewa spochmurniała. – Ale Adam uważa, że przesadzam i że mam jakieś fobie – dokończyła zakłopotana.

– Znają grecki? – Przypomniałam sobie moją przygodę pod drzwiami letniego domku.

– Nie. Skąd ci to przyszło do głowy? – roześmiała się. – Nie znają greckiego, ale mówią, że pracują nad tym. – Cały czas się uśmiechała. – Bez przerwy słuchają greckiego radia – tłumaczyła, widząc moją zdezorientowaną minę. – Ten sposób może być mało skuteczny jako jedyna metoda nauki języka – dodała z ironią.

– Tak – skomentowałam. – To rzeczywiście nietypowa metoda poznawania języka obcego.

Zamyśliłam się. Nie wierzyłam im.

Rozdział 18

Dla Tasosa to był sądny dzień. Zaczęło się wcześnie rano, kiedy na komisariacie pojawił się adwokat oskarżonego Kotopulosa, przedstawiciel znanej kancelarii z Aten. W dobrze skrojonym garniturze, z połyskującym na lewym nadgarstku złotym rolexem, rozglądał się wokoło z ironią i niesmakiem. Oglądał wszystko krytycznie i dotykał sprzętów jak ktoś, kto się obawia co najmniej zarazy. Pod jego czujnym okiem zestresowany personel gubił się w najzwyklejszych codziennych czynnościach.

Że też Kotopulos zatrudnił takiego samego antypatycznego typu, jak on sam, pomyślałam, obserwując konsternację, jaką przybyły wywołał swoim zachowaniem. Wszyscy marzyli, żeby ktoś wybawił ich od jego towarzystwa. Wreszcie, jak zwykle spóźniony, w pracy pojawił się Kostas. Zmęczony i nieogolony zaskoczył gościa swoim dość niechlujnym wyglądem.

– Proszę. – Niespeszony, w przeciwieństwie do reszty pracowników, otworzył szeroko drzwi i zaprosił interesanta do swojego biura. – Adwokat oskarżonego – zidentyfikował przybysza, pokiwał głową i obejrzał go od stóp do głowy. – Co pan dla nas ma?

– Oświadczenie mojego klienta – odpowiedział prawnik, uśmiechając się garniturem idealnych implantów i z zaciekawieniem oglądając zakurzone buty szefa komisariatu.

– Jakiś komentarz? – rzucił Kostas.

– Żądamy oddalenia wszystkich zarzutów. Nie macie nic na niego. To skandal, że dostaliście nakaz aresztowania. Jakie macie dowody? – wysyczał z irytacją pełnomocnik Kotopulosa.

Odpowiedź na te zarzuty opóźniło wejście Tasosa. Kostas kiwnął mu głową na powitanie i pokazał wymownie na niesympatycznego klienta.

– Taak – powiedział przeciągle przedstawiciel Interpolu. – Sekretarka mnie uprzedziła o pana wizycie. Już coś słyszałem – dodał.

Wejście przystojnego Tasosa, z jego światowym image'em i manierami angielskiego arystokraty, na moment zachwiało poczuciem wyższości, a nawet zaniepokoiło prawnika. Przez jego wąską lisią twarz przebiegł skurcz.

Tasos od razu włączył się do rozmowy.

– Pana klient przelewał anonimowo i systematycznie duże sumy pieniędzy na konto zmarłego Lakisa Margaritisa. Potrafi pan to wytłumaczyć?

– Tak. Mój klient go zatrudniał. Ten człowiek robił dla niego wstępne zestawienia atrakcji turystycznych w różnych regionach kraju. W tym również na Toros. – Elegancik rozejrzał się prawie z odrazą po biurze i na moment zatrzymał na mnie spojrzenie swoich lisich oczek. Na jego twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu. – Mój klient jest znaną i popularną w kraju postacią świata nauki – kontynuował z afektacją. – Swoim nazwiskiem podnosi prestiż wielu wydawnictw turystycznych. To dochodowe zajęcie, na które brakuje mu czasu. Wynajmował więc i opłacał pracownika. To wszystko.

Kostas i Tasos wymienili błyskawicznie spojrzenia.

– Oczywiście są na to dowody, dokumenty... – bardziej stwierdził, niż zapytał Tasos. – Umowy i zlecenia na pracę – zawiesił wymownie głos, oczekując potwierdzenia.

Zaległa kłopotliwa cisza.

– Hm – chrząknął prawnik mniej pewny swoich racji. – No nie, nie ma.

– To jak panowie tego dowiodą w sądzie?

– Kotopulos się do tego przyzna – sapnął adwokat. – To nie jest zagadnienie z dziedziny prawa karnego. Popełnił tylko wykroczenie gospodarcze. To sprawa dla izby handlowej i urzędu podatkowego – rozwinął. – A jak pan dowiedzie, że Andreasa Kotopulosa szantażowano? – zapytał z ironią pełnomocnik historyka. – O ile wiem, wciąż nie ma na to dowodów.

– Proszę się zająć kłopotami swojego klienta, bo ma ich dość, i nie komentować śledztwa. – Tasos z trudem zapanował nad sobą. – Wersja o zatrudnieniu ofiary pobicia to sprytny wykręt – dodał. – Jednak Lakis był znany z tego, że nigdzie nie pracował.

– Czy zaprzeczy temu, co twierdzę? – zapytał obrońca bezczelnie i skrzekliwie się roześmiał.

Swoim ohydny komentarzem spowodował konsternację. Patrzyliśmy na niego z niesmakiem. Facet kłamał i wcale tego nie ukrywał. Tasos napisał na kartce „Sprawdź tego drania” i podał ją Kostasowi. Rzucił też w kierunku wrednej osoby lodowatym tonem:

– Po co pan tu przyszedł? Niech pan składa odwołanie w prokuraturze, nie tutaj. Chyba pan zna procedury? A zmarły faktycznie nie może zaprzeczyć.

Po tym stwierdzeniu nie spojrzał już więcej na zdezorientowanego prawnika. Dał do zrozumienia, że rozmowę i jego wizytę w biurze uważa za skończoną.

Nasz szacowny gość otworzył usta, ale nie widząc z niczyjej strony zachęty do kolejnej wypowiedzi, rozglądał się bezradnie. W końcu wstał i powiedział:

– To był żart...

Nikt z nas nie podjął rozmowy i nikt go nie pożegnał.

Po chwili Nikos przyniósł kartkę z danymi z tajnych policyjnych archiwów. Wsunął głowę do pokoju, położył dokument na najbliższym biurku i na widok naszych ponurych min zapytał:

– No co jest, szefie? Coś się stało?

Nikt mu nie odpowiedział. Tasos przeglądał w skupieniu dostarczone materiały.

– Kotopulos ma potężnych przyjaciół – wymruczał. – Kancelaria adwokacka braci Juwanudis – czytał – składa się z czterech prawników blisko ze sobą spokrewnionych, którzy współpracują i specjalizują się w różnych typach przestępstw. Statystyka, taaak – przeciągnął swoim zwyczajem – osiemdziesiąt procent spraw wygranych. Przestępstwa gospodarcze, korupcja w świecie polityki, pospolite zbrodnie i sprawy rodzinne. Nie cofną się przed niczym, żeby zgarnąć honorarium. Wielokrotnie sami balansowali na granicy prawa. Bronią polityków, milionerów i szefów wielkich gangów. Godzina pracy Juwanudisa juniora, którego mieliśmy wątpliwą przyjemność poznać, kosztuje w przeliczeniu na twardą walutę prawie dwieście dolarów. Skąd on, do cholery, ma takie koneksje i tyle pieniędzy? – padło pytanie pod adresem Kotopulosa. – To mnie tylko utwierdza w podejrzeniach. Dałbym sobie głowę uciąć, że jest mordercą. Mam rację, a udowodnienie tego jest tylko kwestią czasu.

Jednak czas nie okazał się łaskawy dla agenta Interpolu. I ogólnie to nie był dobry dzień Tasosa. Nad nim, tak jak nad wyspą, zawisło chyba jakieś fatum, bo dosłownie po chwili, po zapewnieniach o słuszności jego teorii, okazało się, że jest w błędzie.

Grobową ciszę panującą po opuszczeniu biura przez adwokata Kotopulosa przerwał dzwonek telefonu.

– Tak. Tak?! – zawołał Kostas po odebraniu połączenia. – To świetnie, czekamy!

Szef komisariatu na Toros odłożył słuchawkę i stanął przed drzwiami prawie na baczność. Byliśmy zaciekawieni. Patrzyliśmy wyczekująco, obserwując szczególne zachowanie zazwyczaj powolnego i beztroskiego szefa miejscowej policji. Wszystko szybko się wyjaśniło, gdy w drzwiach stanął ojciec Teodor. Ta sytuacja w normalnych okolicznościach byłaby zabawna, ale wyraz twarzy duchownego nas zaskoczył. Teodor wyglądał jak ciężko chory. My też wstaliśmy na jego widok.

– Proszę, ojcze. – Skory do żartów z popa Tasos podsunął mu krzesło.

Duszpasterz usiadł i oparł ręce o biurko jak o mównicę.

– Czy to prawda, że zamierzacie znowu przesłuchiwać Annę? – zapytał z cierpieniem w oczach, sondując nasze twarze.

– Ona tego nie zniesie. Może ja potrafię wam pomóc?

– Skąd ojciec wie, jakie mamy plany? – zapytał nasz kolega z Aten, zamiast odpowiedzieć.

– A co ty sobie myślisz, synu? – zdenerwował się Teodor. – Że po tych nieszczęściach na wyspie ludzie przestali ze sobą rozmawiać?

– Ach tak, już rozumiem. – Jego rozmówca przytaknął ugodowo, zamykając temat. – Faktycznie wieści szybko się tu rozchodzą. – Posłał mi znaczące spojrzenie. – Musimy przesłuchać Annę, bo jest jedynym świadkiem oskarżenia – zaczął tłumaczyć. – Tylko ona zna i potrafi rozpoznać Lakisa Tsantakisa, podwójnego mordercę. Nikt inny nie może nam pomóc, ojcze. Na rozpoznaniu Andreasa Kotopulosa jako Tsantakisa oparliśmy wszystkie zarzuty i całą koncepcję śledztwa.

Duchowny przez chwilę milczał, a potem ociągając się, powiedział:

– Pomogę wam, jeśli dacie jej spokój. Ja też znam Tsantakisa.

– Świetnie! W takim razie skonfrontujemy Kotopulosa z ojcem. Sprowadzimy go tutaj najdalej w ciągu godziny. Dobrze ojciec pamięta Tsantakisa?

Teodor patrzył na Tasosa z dziwnym wyrazem twarzy.

– Dobrze. I nie musicie nikogo sprowadzać. Widziałem już Kotopulosa. To nie on.

– Przypuszczam – zaczął nerwowo – że jeśli ojciec tak twierdzi, to może po prostu nie pamięta dokładnie. Z całym szacunkiem – perswadował, bo twarz duchownego spochmurniała jeszcze bardziej.

– Ależ ja jestem pewien – upierał się Teodor.

– Uważam, że tylko Anna potrafi rozpoznać Tsantakisa – oponował Tasos coraz bardziej zdenerwowany.

– Nieprawda. Nikt nie zna go lepiej niż ja, synu.

– Jest na Toros? – zapytał zdruzgotany policjant.

– Jest. To ja.

– O Boże! – wyrwało mi się, a Kostas zapomniał się i oczywiście przeciągle gwizdnął.

Teodor jak zwykle popatrzył na niego karcąco, po czym sięgnął do przepastnej kieszeni sutanny, w której prawdopodobnie nosił wszystko, co potrafił tam zmieścić, i wyjął jakiś stary dokument.

– Co to jest? – zapytał Kostas.

– Akt nadania mi zakonnego imienia Teodor z tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku. Te dane są ściśle tajne – dodał. – Od chwili wystawienia tego dokumentu Lakis

Tsantakis dla greckich władz nie istnieje. – Pokazał palcem leżący na biurku formularz.

Kłopotliwa cisza trwała dobrych kilka minut. Rozpadła się nasza perfekcyjna koncepcja oskarżenia Kotopulosa. W dodatku pojawił się nowy fakt, który mieszał wszystkie wątki sprawy. Nic dziwnego, że oczekiwaliśmy wyjaśnień.

– Nie – zapewnił nas, przerywając milczenie. – Nie zabiłem go. Nie był też moim synem, za co Bogu dziękuję.

– Szantażował ojca? – zapytałam cicho.

– Próbował. Był nastawiony na wyzyskiwanie innych. Comiesięczne wizyty w cerkwi i pozorowane spowiedzi miały mnie złamać i zmusić do uległości.

– Płacił mu ojciec?

– Nie. Za to, jak każdy kaznodzieja, próbowałem nawrócić go na dobrą drogę. Rozmawialiśmy często i usiłowałem na niego wpływać.

– Jakież wyniki? – zapytał Tasos ironicznie.

– Nie kpij, synu. Nie takim złoczyńcom Pan Bóg wybaczał.

Policjant zaczerwienił się, bo czuł, że powoli ulega dominacji Teodora.

– Oboje próbowaliśmy coś zyskać. Ja chciałem nawrócenia jego duszy. Po kilku spotkaniach uświadomiłem sobie, że pragnie mnie poznać, bo wierzy, że jest moim synem. Jego złe spojrzenia i groźby pod moim adresem miały zagłuszyć wzbierające w nim cierpienie. Czuł się zraniony, bo uważał, że opuściłem jego i Annę. Nie był takim niewrażliwym typem, na jakiego wyglądał. Obsesyjne uczucie, które żywił do Jany, zdradzało jego pragnienie miłości idealnej, mimo wypaczonego charakteru. Żałuję, że nie powiedziałem mu prawdy, zanim zmarł – zasępił się duchowny.

– Kto więc jest jego ojcem? – zapytałam.

– Jak to kto?

– Stawros – domyśliłam się.

– Oczywiście, że tak. To typowa wojenna historia. Anna jest Żydówką. Ukrywała się przed prześladowaniami faszystów na Toros w rodzinie Margaritisów. Cudem ocalała po spaleniu jej rodzinnego domu w Salonikach w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku. Przestraszona i niepewna swojej przyszłości unikała ludzi. Prawie nie opuszczała domu swych wybawców. Pod koniec wojny, w najcięższym okresie prześladowań antysemitycznych, pod pretekstem wyjazdu za granicę Margaritisowie ukrywali ją w cerkwi na wzgórzu, za ikonostasem z wizerunkiem Matki Boskiej Płaczącej. To też jest jedna z tajemnic świątyni. Kościółek prowadził wtedy nieżyjący od wielu lat ojciec Barnaba. Faszyci rzadko tam zaglądali. Zła sława Madonny karzącej za krzywdy skutecznie trzymała ich z daleka od cerkwi. Anna ślubowała Matce Boskiej dozgonną służbę za ocalenie, a mieszkańcom wyspy wdzięczność do końca życia, choć – prawdę mówiąc – większość z nich do dzisiaj nie ma pojęcia, że jest Żydówką. Bóg jeden wie, ile istnień ludzkich uratowali wtedy Grecy, ukrywając prześladowanych, szczególnie na wyspach, i jaką cenę zapłacili za partyzancką wojnę z okupantem – zadumał się Teodor. – Anna też przeżyła wojnę dzięki ludzkiej dobroci i ofiarności – podsumował swój wywód. – No i pod czujnym okiem naszej Mateńki – przeżegnał się. Zamilkł na chwilę wpatrzony w okno, przypominając sobie tamte czasy. Kąciki ust drgały mu z emocji, a w oczach pojawił się błysk wzruszenia, którego nigdy wcześniej u niego nie widziałam.

Kochał ją, przemknęło mi przez głowę.

– Piękna z niej była dziewczyna. – Wzruszony duchowny po chwili podjął opowiadanie na nowo. – Delikatna i krucha jak

mimoza. Pokochaliśmy ją wszyscy, a ona wybrała Stawrosa, który kompletnie stracił dla niej głowę. Kiedy uciekł z Toros przed przymusowym poborem do niemieckiej policji, okazało się, że Anna jest z nim w ciąży. Margaritisowie byli zrozpaczeni. Annie i ich wnukowi groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Władze niemieckie żądały rejestrowania narodzin najpóźniej do trzydziestu dni po urodzeniu dziecka. Spis odbywał się w ratuszu na podstawie dokumentów jednego z rodziców. Tymczasem Stawros był uciekinierem ściganym przez władze niemieckie, a Anna Żydówką. Nie miała dobrze podrobionych dokumentów. Rejestrowanie na ich podstawie noworodka byłoby szaleństwem. Z kolei ukrywanie na wyspie do końca wojny i matki, i niemowlęcia uznaliśmy za niemożliwe. Nie – odpowiedział na niezadane pytanie. – Nie prosili mnie, żebym to zrobił. To była moja decyzja. Pracowałem wtedy u Margaritisów. Ich syn był moim przyjacielem. Zarejestrowałem maleństwo jako swoje, a zaraz po wojnie, żeby nie komplikować sobie i im życia, wyjechałem z Toros. Wtedy myślałem, że opuszczam wyspę na zawsze. Kiedy wróciłem tu po dwudziestu latach jako duchowny, obrośnięty w długą brodę, w sutannie i postarzały, nikt oprócz Anny i Stawrosa mnie nie rozpoznał. – Teodor zamilkł zmęczony, a my nie mieliśmy odwagi się odezwać. – Nie dręczcie jej już – powiedział po chwili, wstając z krzesła. – Była wojenną sierotą, a teraz znowu straciła wszystkich, których kochała. – Wychodząc, dodał: – Jeśli będę wam potrzebny, wiecie, gdzie mnie szukać.

Opowiadanie popa poruszyło nas. Kiedy wyszedł, trwaliśmy przez chwilę w ciszy i zadumie. Nawet skory do żartów z popa Tasos milczał przybity relacją.

Tego dnia spotykały nas wyłącznie rozczarowania. Po sjeście na biurku Kostasa zastaliśmy faks z Hamburga.

Tamtejszy komisariat policji odpisał na naszą prośbę o zbadanie okoliczności i powodów zmiany nazwiska przez Andreeasa Kotopulosa. Nadesłany raport nie wniósł do sprawy nic nowego. Przeciwnie, potwierdził zeznania Teodora i w dodatku przyszedł z opóźnieniem w stosunku do nadesłanych wcześniej wycinków prasowych i archiwalnych zdjęć z podobizną historyka.

Tasos przeglądał ten dokument, gdy ponownie wchodziłam do biura. Na jego pociągłej twarzy malowało się rozdrażnienie, które przeszło w nieopanowaną wściekłość. Zmiał kartkę i z rozmachem wrzucił ją do kosza, klnąc niewybrednie pod nosem.

– Co jest, szefie? Co się dzieje? – dopytywał Kostas. – Mów, przecież nas to też dotyczy.

Tasos z zaciętą miną patrzył w okno i długo milczał.

– Mimo wszystko jestem pewien, że jest mordercą – powiedział w końcu. – Jestem tego pewien! – powtórzył i pobieżnie zreferował wyrzucone pismo. – Piszą, że Müller i Kotopulos to ta sama osoba i że oba nazwiska są prawdziwe. Pierwsze po ojcu, który był Niemcem, drugie po matce Greczynce. Ponoć Kotopulos zaprzestał posługiwania się nazwiskiem Müller, gdy postanowił osiedlić się w Grecji i zamieszkać w Atenach. Niemiecko brzmiące nazwisko i wojenna przeszłość jego ojca, hitlerowskiego oficera, z którym podczas wojny mieszkał na Toros, przeszkadzały mu w karierze naukowej. Przyjmując nazwisko nieżyjącej matki, Greczynki, historyk zrezygnował też z jednego z imion. W ten sposób raz na zawsze rozstał się z kontrowersyjną historią swojej rodziny.

– To pewnie stąd maskarada z zarostem na twarzy i gburowate zachowanie. Bał się, że ktoś go rozpozna i skojarzy z ojcem – zaczął snuć rozważania podekscytowany Kostas, ale pod wściekłym spojrzeniem Tasosa urwał w pół zdania i zamilkł.

Rozdział 19

Stałam w oknie sypialni i patrzyłam na wzburzone morze. Wiatr. Wciąż tylko ten wiatr, myślałam z niechęcią. Silne podmuchy szarpały okiennicami. Łamały osłabione letnimi upałami konary drzew. Błyskawice, które przecinały niebo, podświetlały szarogranatowe grudniowe chmury. Nie lubiłam takiej pogody. Co chwilę z ciemności wynurzała się złota kopuła cerkwi oświetlona na przemian błyskawicami i światłem latarni morskiej. Otulona poświatą księżycy wyglądała upiornie i groźnie. Nie potrafiłam już kojarzyć jej inaczej niż z ponurym miejscem zbrodni. Obchody świąt Bożego Narodzenia w takim miejscu to niedorzeczność, pomyślałam ze zgrozą. Trzeba będzie jutro porozmawiać o tym z Teodorem. Od kilku godzin powinien być na wyspie, o ile przy tej pogodzie dotarł wieczorny prom.

Ostatnio popa często wzywano do Aten, jakby konsultacje z biskupem mogły uzdrowić sytuację i odsunąć od cerkwi widmo zbrodni. Patriarcha Grecji upierał się przy ratowaniu prestiżu cudownego obrazu poprzez ignorowanie „incydentalnych wydarzeń, które miały miejsce w cerkwi”. Teodor bez przekonania wypełniał nakazy swoich zwierzchników, ale trudno było się oprzeć wrażeniu, że przybity ostatnimi zdarzeniami, coraz bardziej izoluje się od swoich wiernych. Dla nich, tak jak dla Teodora, morderstwa w świątyni były bolesnym wstrząsem. Dla turystów i mediów – przeciwnie – impulsem, żeby przyjechać na wyspę i sfotografować sensacyjne miejsce jako ciekawostkę.

– Nasz świat stanął na głowie – westchnęłam z goryczą.

W świetle błyskawicy na ułamki sekund za furtką mignęła mi jakaś postać. Twarz mężczyzny wpatrzona w moje okno nieruchomym spojrzeniem wyglądała w tej scenerii potwornie.

Odskoczyłam odruchowo w głąb sypialni. Wpadłam w popłoch, bo Tula spędzała noc poza domem, u przyjaciół w miasteczku.

Dlaczego psy nie szczekają? Przyszedł czas na rozsądną refleksję. Po przytomniejszym rozważeniu sytuacji ostrożnie podkrađłam się do okna i spojrzałam jeszcze raz w kierunku bramy wejściowej. Nikogo tam nie było. Klaudiusz spał smacznie, a Tyberiusz kręcił się po kojcu niespokojnie, ale nie szczekał.

Coś mi się przywidziało. Na pewno! Uspokajałam emocje. Taka pogoda dokucza wszystkim. Nic dziwnego, że nawet zwierzęta czują się nieswojo, tłumaczyłam sobie. Jeszcze raz niespokojnie zerknęłam w kierunku bramy i upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, weszłam niechętnie do lodowatego łóżka.

Od kilku dni żyłam przeświadczeniem, że cerkiew jest ogniwem nieprzypadkowo łączącym obie zbrodnie, i ogarniał mnie coraz większy niepokój. Obserwowałam ją wieczorami z okien salonu, rozmyślając o faktach, które znałam. Nękało mnie przeczucie, że znowu zdarzy się tam coś strasznego.

Te wszystkie moje przeczucia i przewidzenia... Zanim zasnęłam, pomyślałam, że chyba jestem przemęczona.

*

Tymczasem do cerkwi z dwóch odległych punktów wyspy zmierzało dwóch mężczyzn. Skradali się ostrożnie pod oknami domów i przemykali z dala od głównych dróg. Gdy obaj dotarli przed kościółek, byli zziębnięci i poirytowani. Jeden z nich trzymał w ręku brezentową torbę, w której dzwoniły jakieś narzędzia.

– Cześć. Chociaż raz jesteśmy przed czasem – powiedział niski i drobny mężczyzna, patrząc na zegarek.

– To dobrze. – Jego towarzysz kiwnął głową na powitanie.
– Odebrałem sygnał z kutra, że już czekają. Musimy się spieszyć, bo wieje i zarzuca ich na skały. Trafimy po akcji w tych ciemnościach do miejsca, gdzie przycumowali?

– Bez problemu – mruknął pod nosem właściciel torby z narzędziami. Patrzył na drzwi cerkwi z obawą, bo ogarnęły go wątpliwości. – Zastanawiam się, czy warto tak ryzykować – wyraził swoje obawy.

Chuchając w zmarznięte ręce, jego kompan roześmiał się prawie głośno, jakby zapomniał o przestępczym celu nocnej wizyty.

– Za późno na takie pytania – powiedział z ironią.

– Ciii – obruszył się wątpiący w sens akcji towarzysz. – Zwariowałaś? Żeby tak rechotać prawie na głos. Jeszcze ktoś usłyszy.

– A kto? – zakpił osiłek. – Madonna z Toros? Ta, co zapłakała, jak umierał Lakis? Wierzysz w te brednie? Bo ja nie.

– Nie bluźnij – rozgniewał się bardziej lękliwy z mężczyzn. Zadarł głowę do góry i przestraszonym spojrzeniem ogarnął złotą kopułę z krzyżem. Potem zapytał, lekko blednąc: – To co? Wchodzimy?

– Głupie pytanie. Sam wiesz, że to nasza ostatnia szansa. Chcesz skończyć jak inni, którzy zawiedli? – Zdenerwowanie powoli udzielało się też wielbicielowi siłowni. – Chociaż i ja mam obawy, że może tu ostatnio coś założyli. Że może policja się czegoś domyśla – przyznał.

– Nie zawracaj głowy. Mieli za mało czasu. Nie przypuszczam, żeby się zorientowali, jakie są nasze zamiary – uspokajał go kompan. – Wchodzimy! – podjął decyzję i przeżegnał się.

Osilek spojrział na kumpla zdziwiony i wybuchnął śmiechem.

– Przeżegnałeś się? Wierzysz w te gusła? Ty to masz problem.

Skoro decyzja zapadła, szczęknął przecinak do stali i kłódka zabezpieczająca drzwi kościółka z hukiem upadła na kamienny próg. Przerażeni hałasem spiskowcy przez chwilę nasłuchiwali, ale wokół panowała cisza. Tylko wiatr zawodził coraz głośniej i padały pierwsze krople deszczu.

– No widzisz. Wszystko jest tak, jak zaplanowaliśmy. Nawet pogoda nam sprzyja – padł pocieszający komentarz.

– A w środku? – Osilek coraz wyraźniej tracił rezon.

– Przestań. Przed chwilą mnie wyśmiewałeś, a teraz co? Mam cię pocieszać? Nie pękaj. Osobiście przeciąłem przewody alarmu. Jestem pewien, że nic nam nie grozi. W przeciwnym razie bym nie ryzykował. – Po przekonującej perswazji najwyraźniej bardziej kompetentny z rzezimieszków delikatnie popchnął kompana w kierunku drzwi świątyni. Ciężkie wrota niespodziewanie zaskrzypiały i same się uchyliły pod naporem wiatru. Wyglądało to jak zaproszenie do środka.

Na wyspie burza rozpętała się na dobre. Zewsząd rozlegały się grzmoty, a gdzieś na horyzoncie morze rozświetlały błyskawice. Wokoło szeleściły zarośla. Nagle rozległ się huk i niebo z ziemią połączyła sina spirala piorunu. Po ogłuszającym hałasie zrobiło się cicho, a całą wyspę spowiła kompletna ciemność. Słychać było tylko dudniący o kopułę cerkwi deszcz. Z góry dosłownie lunęły strumienie wody. Całe wzgórze przysłoniła ściana deszczu. Woda rzeźbiła miękkie podłoże i strumykami spływała w dół zbocza na plażę. Wyglądało to groźnie, ale tylko przez chwilę, bo ulewa ustała tak samo niespodziewanie, jak się zaczęła.

Po dwudziestu, może trzydziestu minutach mężczyźni wyszli z cerkwi. Na zewnątrz zaskoczył ich zupełny mrok. W ciemnościach rozległ się nerwowy okrzyk jednego z włamywaczy:

– Nic nie widać! Co się stało?

– Nic takiego. To pewnie piorun trafił w główny transformator. Na wyspie nie ma prądu – padła uspokajająca odpowiedź.

Nieproszeni goście pospiesznie zamknęli za sobą drzwi cerkwi i założyli kłódkę bardzo podobną do zniszczonej.

– To dobrze, że padało. Zatrze większość śladów – powiedział z ulgą w głosie jeden z nich.

Oszołomieni ciemnością w pierwszej chwili skierowali się w złym kierunku. Wpadli na ścianę cerkwi i w okoliczne zarośla, ale po chwili zawrócili na właściwą drogę. Obrosnięta z dwóch stron ciernistymi krzewami dróżka na plażę Margaritisów była wąska i stroma. Nieuwaga jednego z obwiesiów skończyła się upadkiem w zarośla i głośnym skowytom bólu.

– Ciii, ciii – syknął towarzysz i pomógł się podnieść nieszczęśnikowi.

Potem już wszystko poszło łatwo. Zbiegli na plażę, ślizgając się po rozmiękłym podłożu, i oddali brezentowy pakunek mężczyźnie, który czekał przy kutrze. Nie rozmawiali z nim. Nie patrzyli na niego, on też im się nie przyglądał. Kiedy statek odpływał, złoczyńcy pospiesznie oddalili się z plaży. Każdy udał się w innym kierunku, zgodnie z instrukcją, która zakładała, że nikt nie powinien zobaczyć ich razem.

Rozdział 20

– Okropna noc. Źle spałaś? To może dobrze, że cię wreszcie obudził ten jazgot. – Od drzwi sypialni obserwowała mnie zatroskana Tula. W rękę trzymała tacę z filiżanką gorącej kawy i szklanką wody.

Dopiero teraz usłyszałam, a raczej uświadomiłam sobie hałas, który dolatywał zza okna.

– Co to, do pioruna? Przecież nie procesja wielkanocna? – zażartowałam, gorsząc tym gospozię. W klasztorze po drugiej stronie wyspy biły wszystkie dzwony. Wtórował im niewielki dzwon w cerkwi na wzgórzu. – Niech zgadnę. Na pogrzeb za wcześnie i za dużo hałasu, aaa... na ślub? – zastanowiłam się przez chwilę, mobilizując swoje szare komórki. – Na ślub też za wcześnie. Zresztą o żadnym nie słyszałam – roześmiałam się, zdziwiona ponurą miną gospozi. Tula nie była błyskotliwa, ale poczucie humoru, jak dotąd, zawsze jej dopisywało.

– Nie kpij – zgañła mnie. – Biją na alarm już od pół godziny.

– Co się stało? – Teraz i mnie zrzędła mina.

– Ostatnio się tłukli latem, kiedy wielki pożar trawił domostwa na obrzeżach wyspy. To było tak straszne jak wojna – mówiła, nasłuchując z nadzieją, że przestaną. – Dobrze wiesz, że dźwięk wszystkich dzwonów o tak wczesnej godzinie to zły znak.

Wyskoczyłam z łóżka i marznąc od lodowatej marmurowej podłogi, rozglądałam się za pantoflami. Chłód kamiennej posadzki, który latem łagodził niedogodności upałów, był o tej porze roku uciążliwy. Powinnam chyba posłuchać Jany i kupić dywany na zimę, pomyślałam. Nie zdążyłam nawet spróbować mojej porannej kawy, gdy usłyszałyśmy sygnał telefonu.

Tula podreptała niespiesznie do salonu.

– To pewnie znowu on – zamruczała pod nosem i zniknęła za drzwiami, zanim zdążyłam zapytać, kogo ma na myśli. Po chwili wróciła i powiedziała: – Dzwonią z policji. Posterunkowy Nikos. Prosi o rozmowę z tobą już chyba trzeci raz. – Wzruszyła ramionami.

W jednym pantoflu podbiegłam do aparatu.

– Z tej strony Klara – powiedziałam. – Cześć, Niko. Słucham.

– Dzień dobry. Witaj, Klaro – ucieszył się posterunkowy. – To dobrze, że się wreszcie obudziłaś. Szef prosił, żebyś przyszła do cerkwi.

Nie miałam pojęcia, o kim mówi, bo ostatnio coraz częściej nazywał szefem Tasosa. Nie to było jednak istotne. Byłam ciekawa, co się dzieje. Niestety z drugiej strony padła słuszna uwaga. Nikos powiedział:

– Powinnaś pojechać do kościółka. To nie jest rozmowa na telefon.

– Rozumiem, a co się znowu stało? – zapytałam mimo wszystko, ale połączenie się zawiesiło i zamiast odpowiedzi usłyszałam tylko wielokrotnie powtarzany sygnał zajętej linii.

Z telefonami na wyspie ciągle były problemy. Na szczęście niewielkie odległości pozwalały przemieszczać się błyskawicznie z miejsca na miejsce i załatwiać większość spraw osobiście. Tak też zrobiłam.

Po listopadowych burzach nadeszła ładna, słoneczna pogoda, która zazwyczaj towarzyszyła grudniowym świętom. Biegłam w kierunku przystani. Ze wzgórza widać było tłum ludzi zgromadzony wokół komisariatu w miasteczku i grupki gapowiczów wystające na drodze do cerkwi. Miałam wrażenie, że wszyscy mieszkańcy Toros wylegli na ulice. W kierunku

kościółka powoli i z trudem przedzierał się policyjny radiowóz. Za kierownicą siedział nasz posterunkowy. Zatrzymał samochód, funkcjonariusze rozpędzili gapiów i utorowali mi drogę do auta. Zabrałam się z nimi.

– Co się stało tym razem? – Gdy usiadłam obok kierowcy, skorzystałam ze sposobności, by dokończyć przerwana rozmowę.

Mijaliśmy ludzi stojących wzdłuż drogi. Mężczyźni mieli gniewne i zacięte twarze, kobiety smutne oczy, a staruszki, wprawione na pogrzebach, głośno zawodziły.

– Skradziono ikonę Madonny – odparł Nikos, z trudem manewrując pomiędzy ludźmi, których wciąż przybywało.

– O Boże! – krzyknęłam. – Jak się o tym dowiedzieliście? – dopytywałam.

– Dzisiaj rano zatelefonował do komisariatu Teodor. Poprosił o klucz do nowej kłódki, którą, jego zdaniem, założyliśmy w drzwiach do cerkwi. Dodał, że zupełnie niepotrzebnie, bo poprzednia była jeszcze dobra. Wiedział, że po zabójstwie Stawrosa policja długo badała ślady, dlatego to nas posądził o tę zamianę. Po nerwowej wymianie zdań udało się ustalić, że do świątyni nie można się dostać, bo faktycznie ktoś do drzwi założył nową kłódkę. Jak się domyślasz, nie policja, niestety. Po kilkunastu minutach byliśmy na miejscu. Ustaliliśmy, że złodzieje wynieśli obraz i w miejsce uszkodzonej podczas włamania kłódki beczelnie założyli nową. Gdyby Teodor nie wrócił wczoraj z Aten i nie wybrał się rano do cerkwi, kradzieży nie odkrylibyśmy jeszcze długo.

– Jak na to wszystko reagują ludzie? – zapytałam naiwnie.

– Jak widać. Są wzburzeni, a Tasos obawia się o bezpieczeństwo Kotopulosa. Uważa, że możemy mu zagwarantować skuteczną ochronę tylko w areszcie. Trudno

przewidzieć, jak się zachowają wyspiarze. Sama widzisz, co się dzieje. Nawet Kostasowi, który dobrze zna mieszkańców i potrafi przewidzieć ich wybryki, zrzęda mina.

– Rozmawialiście z historykiem?

„Taaak”, które usłyszałam, powstrzymało mnie od dalszych pytań.

– Po raz kolejny nie mamy żadnych dowodów jego winy. Przyszliśmy o świcie, żeby go uprzejmie poprosić o dobrowolną zamianę celi klasztornej na więzienną. Masz pojęcie, jak się wściekł? Szkoda gadać – westchnął Nikos. – Argument, że to dla jego dobra, nie poskutkowało. Na Tasosa posypały się inwektywy i oskarżenia. Nie wspomnę o groźbach. Nasz szef wysłuchał pretensji nadzwyczaj spokojnie, bo rzeczywiście to wszystko jego wina. Nadszarpnął człowiekowi autorytet i zepsuł opinię. Oskarżył go o zbrodnię w cerkwi, choć nie miał żadnych dowodów, i uczynił podejrzanym typem.

– W dodatku wciąż się upiera, że miał rację – wtrąciłam.

Do celu było zaledwie kilka metrów, ale samochód utknął na dobre w tłumie. Z pomocą kolegom uwięzionym w radiowozie pospieszyli policjanci z ekipy śledczej. Pomogli nam przebić się na otoczony kordonem policji plac przed kościółkiem.

– Historyk oczywiście nie zgodził się na dobrowolny areszt – Nikos kontynuował przerwany temat, z trudem manewrując samochodem w niesprzyjających warunkach – ale jest przestraszony i obiecał nie opuszczać klasztoru pod żadnym pozorem. Ma alibi, które potwierdzili mnisi – dokończył, gdy wreszcie znalazł miejsce, by zaparkować.

Plac przed cerkwią był otoczony kordonem ochroniarzy. Kostas i Tasos klęczeli przy czymś i nie zważając na stłoczonych wokół ludzi, prowadzili głośną sprzeczkę. Nie

ruszyli się z miejsca. Na powitanie unieśli tylko na chwilę głowy.

– Jestem pewien, że to fragment spodni albo marynarki – dowodził Kostas.

– A mnie się wydaje, że to z jakiegoś worka albo z torby. – Tasos trzymał w niewielkich szczypczykach strzęp materiału ściągniętego z ciernistego krzewu rosnącego nieopodal drzwi świątyni.

– Dlaczego zaczepił o krzaki właśnie tutaj? Przecież nie można tędy uciec. To nie jest droga ucieczki – zastanawiał się Kostas.

– To może sugerować porę kradzieży. – Tasos rozważał coś przez chwilę. – Pomiędzy godziną trzecią a czwartą rano na całej wyspie nie było światła. Jeśli złodzieje wychodzili wtedy z cerkwi, mogli mieć problemy z określeniem kierunków. Po uderzeniu pioruna w główny transformator było kompletnie ciemno przez prawie godzinę. Brak prądu może też wyjaśniać, dlaczego nie zadziałał alarm – dodał rezolutnie.

– Obie koncepcje są niezłe, ale to tylko hipotezy. Po rozmowie ze specem od systemu alarmowego będziemy wiedzieli więcej. – Kostas nie wdawał się w dyskusję.

– Systemu alarmowego? – wtrąciłam się. – Chcecie powiedzieć, że tutaj jest założony alarm?

Kostas przyglądał mi się rozbawiony.

– No, nie myślałaś chyba, że miejscowy zbiór zabytkowych ikon jest zabezpieczony tylko kłódką? Sama wartość skradzionej Madonny z Toros to kilka milionów dolarów.

Byłam zaskoczona i gdybym potrafiła, gwizdnęłabym, tak jak on.

– Dlaczego nie miałabym tak myśleć? – odpowiedziałam po zastanowieniu. – W większości galerii na świecie kradzieże dzieł

sztuki są możliwe dlatego, że zabezpieczenie zbiorów jest kiepskie. Toros to nie Luwr. Jak działa alarm? – zapytałam.

– Zaraz się dowiemy, czy w ogóle działa. – Tasos obserwował zbliżającego się do nas wysokiego mężczyznę w szarym uniformie ze złotymi guzikami.

– Dzień dobry – odezwał się do nas umundurowany nieestetyczny grubas.

Tasos wstał i przywitał się z nim.

– Co potrafisz powiedzieć o tej kradzieży? – zaczął bez wstępu.

– Niestety nic.

– Jak mamy rozumieć to, co mówisz? Żartujesz sobie z nas? – zapytał gniewnie Kostas i poderwał się z klęczek, otrzepując spodnie.

Grubasa oblał pas aż po kark.

– Aparatura w ogóle nie zadziałała. W przeciwnym razie wiedzielibyśmy o kradzieży wcześniej – tłumaczył zestresowany. – Przecież cokolwiek tu było założone – pokazał na dziurę w ikonostasie – miało ostrzegać. To stary alarm, chyba jakaś syrena czy coś takiego. Żenada. – Pokręcił głową.

– Potrafisz wytłumaczyć, jak go unieszkodlili?

– Albo złodzieje skorzystali z warunków burzy, bo jak wiecie, po uderzeniu pioruna wszędzie zgasło światło – Tasos zerknął wymownie na Kostasa – albo wcześniej poznali instalację i rozłączyli ją. Albo i jedno, i drugie. Można to ewentualnie sprawdzić.

– Mało prawdopodobne, żeby liczyli na burzę i wyładowania atmosferyczne, choć na Toros często w takich wypadkach są problemy ze światłem. Skłaniam się raczej ku temu, że dobrze znali teren i miejsce przestępstwa – skwitował naburmuszony Kostas.

– Jak można teraz sprawdzić, czy faktycznie zrobili coś z instalacją i którądy przebiega? – dopytywał Tasos.

Grubas rozglądał się po cerkwi bez entuzjazmu.

– Czujnik musiał być pod ikoną i wyrwali go razem z nią, a co do instalacji, to można by skorzystać z planów. Jeśli Teodor je ma. Jeżeli nie, to trzeba szukać. Kuć ściany i podłogi. Bo ja wiem? – westchnął ciężko.

– Kucie ścian? Wykluczone! Nikt nam nie wyda pozwolenia na niszczenie najpiękniejszego zabytku wyspy – skwitował krótko Kostas.

– No jasne, że nie – podchwycił wyjątkowo entuzjastycznie grubas. Wyraźnie nie palił się do takiej roboty. – Alarm był w cerkwi od dawna. Mój dziadek opowiadał, że to wynalazek poprzedniego proboszcza Barnaby. Ciężko będzie, jeśli nie ma planów. Kto to teraz pamięta? – narzekał bezładnie.

– Może chociaż wiesz, jak działał? – przerwał mu rozdrażniony Kostas.

– Teoretycznie powinien się uruchomić sygnał dźwiękowy przy próbie zdjęcia ikony, ale to tylko moje przypuszczenia – zastrzegł spec. – Nie mam doświadczenia z takim przestarzałym sprzętem. W praktyce – rozłożył bezradnie ręce – nikt nie wie, jak to działało, bo i skąd? Przecież nie było tu nigdy kradzieży.

Tasos dość niezyczliwie przyglądał się umundurowanemu mężczyźnie.

– Fachowa robota – wymruczał pod nosem rozczarowany jego sensacjami. – I prawdopodobnie na zamówienie – dodał głośno. – Złodzieje wszystko wiedzieli o cerkwi. Przygotowali kradzież w najdrobniejszych szczegółach.

– Czego się teraz spodziewacie? – Nasz rozmówca odważył się wtrącić pytanie.

– Jeśli obiekt był zamówiony, nigdy nie wypłynie. Nie mamy szans. Jeśli nie – zastanawiał się Tasos – to trzeba cierpliwie poczekać, a ikona w końcu gdzieś się pojawi.

– Panie komendancie, na plaży w glonach znaleźliśmy świeże odciski obuwia! – Naszą dyskusję przerwał nagle jeden z członków ekipy dochodzeniowej.

Już od dłuższej chwili dwaj młodzi policjanci kombinowali coś przy zaroślach po drugiej stronie cerkwi. Teraz jeden z nich podbiegł do nas, a drugi wciąż coś oglądał. Niecierpliwie zerkał w naszym kierunku. Było wyraźnie widać, że na nas czeka.

– Ślady przetrwały tylko dlatego, że wyrzucone przez morze glony częściowo usztywniły podłoże – tłumaczył chłopak prowadzący nas do zejścia na plażę.

– Ekstra! – wykrzyknął Tasos. – Można to jakoś zabezpieczyć?

– Nie. To znaczy nie warto, bo wszystko jest mało czytelne. Można tylko stwierdzić, że to byli mężczyźni. Ślady zostawiło męskie obuwie w rozmiarze czterdzieści pięć i czterdzieści sześć.

– Dokąd prowadzą?

– W dwóch przeciwnych kierunkach.

– To znaczy, że się rozdzielili? – zdziwił się Kostas.

– Tak, po wykonaniu zadania. Obaj udali się z plaży kamienistymi drózkami do gajów oliwnych, ale po przeciwnych stronach wzgórza. Wszystko po to, żeby utrudnić ewentualny pościg. No i niestety, w pewnym momencie, gdy dotarli do bitej drogi, ślady się urywają.

– Może spróbowalibyśmy wykorzystać psy tropiące? – wtrącił się Kostas.

– Nie warto. Na podmokłym terenie to nie ma sensu. W dodatku pełno tu silnych bodźców zapachowych: muszle, zgniłe

glony, meduzy, które wyrzuciło morze. Psy się pogubią. – Nasi spece byli zgodni.

– To znaczy, że było ich dwóch?

– Nie, raczej trzech. – Technicy na podstawie śladów relacjonowali swoją wersję wydarzeń. – Do wybrzeża przybił kuter albo łódka. Ślady jednego z mężczyzn pojawiają się na plaży nagle, jakby spadły z nieba, i tak samo znikają. Pozostałe dwie osoby odeszły, jak już mówiliśmy, w kierunku pól, a na plażę zeszły tędy. – Chłopak, który nas prowadził, wskazał na wąskie i strome zejście na brzeg morza.

– Włamywacze mieli problem z utrzymaniem się na nogach, bo było ślisko, i jeden z nich upadł. Połamał kolczaste gałązki i pokaleczył się. Tutaj mamy drogę poślizgu. – Młody policjant pokazywał ślady na grząskiej glinie, bo właśnie zaczęliśmy schodzić w dół. – A tutaj została odrobina krwi na kolcu krzewu. – Patrzył na nas tryumfalnie.

– I w dodatku mamy jak na dłoni drogę ich ucieczki. – Twarz Tasosa rozjaśnił uśmiech. Był bardzo zadowolony z pracy młodych ludzi.

Dopiero teraz zauważyłam, że jest nieogolony i niestarannie ubrany w zwykłe dzinsy, pogniecioną flanelową koszulę i kurtkę niedbale zasuniętą do połowy suwaka. Wyglądał fantastycznie seksownie i oczywiście nie miał o tym pojęcia. Grecy nie są stworzeni na salonowych playboyów. Wdzięku dodaje im otoczenie przyrody i ogorzały, a czasem nawet niedbały wygląd.

– Chłopaki, kocham was! – Gestem wylewnej serdeczności, czego dotąd u niego nie widziałam, rozłożył szeroko ręce.

– Dobrze zachowana krew na kolcach krzaków to ważna wskazówka. – Nasz specjalista od zabezpieczania śladów po pochwale pokraśniał z zadowolenia. – Jeśli zakładamy, że kradzieży dokonano podczas burzy.

– Zakładamy – potwierdził Tasos. – A to oznacza... – zachęcał rozmówcę do kontynuacji wypowiedzi.

– To oznacza, że złodzieje wyszli z cerkwi co najmniej dziesięć albo piętnaście minut po burzy. Nie padało już, dodatkowo krzewy podsuszył wiatr. Tylko tak to można wytłumaczyć. – Pokazywał czerwony, oblepiony krwią kolec.

– Potem, po przekazaniu ikony, które odbyło się na plaży i nie trwało długo, bo byłoby więcej śladów i byłyby wyraźniejsze, oddalili się szybko z miejsca przestępstwa – dopowiedział drugi z techników, który dotąd stał z boku i tylko przysłuchiwał się rozmowie.

– A co znaleźliście w cerkwi? – Tasos oglądał uważnie pokrwawione kolce krzewu.

– Prawie nic, ale brak odcisków ubłoconego obuwia w miejscu kradzieży i równocześnie dobrze widoczne, choć nieczytelne ślady ucieczki, to w tym przypadku kolejna cenna wskazówka. Potwierdza przybycie złodziei do cerkwi przed burzą.

Nierozważnie zeszliśmy na plażę Margaritisów, prowadzeni przez naszych techników po tropach przestępców, i teraz nas też czekała niełatwa wspinaczka z powrotem przed cerkiew. Na zboczu wzgórza było wciąż mokro i bardzo ślisko.

Kostas, który przezornie został na górze, usiłował pomóc jednemu z członków ekipy wspiąć się z powrotem przed cerkiew. Skutek był taki, że po chwili obaj znaleźli się na dole.

– Cholera – przeklął miejscowy komendant. – Po przekazaniu ikony złodzieje z pewnością tędy nie odeszli. Musieli uciekać wzdłuż plaży – przyznał.

– Brak śladów w cerkwi oznacza z kolei, że złodzieje weszli do środka przed godziną trzecią. – Technik podjął przerwany wątek. – Wtedy jeszcze nie padało, dlatego w

kościółku nie ma błota. W ogóle nie ma żadnych śladów. Skoro nawałnica trwała najwyżej kwadrans, a zaczęła się około trzeciej, można przypuszczać, że włamywacze przyszli tuż przed burzą i spędzili w środku jakieś dwadzieścia pięć, może trzydzieści minut.

– Na pewno opuścili miejsce kradzieży kilkanaście minut po ulewie, skoro na kolcu krzewu przetrwała zaschnięta krew – przypomniał młody policjant. – W przeciwnym razie spłukałby ją deszcz – tłumaczył.

– To brzmi sensownie. Co jeszcze? – Tasos oczekiwał rozwinięcia tematu.

– Wiemy też, że o czwartej rano zapaliła się reperowana nocą latarnia morska i oświetliła morze w promieniu kilku kilometrów. Składając te wszystkie fakty, można dość dokładnie określić czas dokonania przestępstwa, a sytuację złodziei nazwać trudną. Mieli niewiele czasu. Dodatkowo kradzież komplikowały obiektywne warunki, a najbardziej panująca w cerkwi ciemność. Kościółek jest dobrze widoczny z wielu miejsc na wyspie, dlatego o zapaleniu światła nie mogło być mowy. To byłoby zbyt ryzykowne. Na tonącym w mroku ikonostasie nie sposób się rozeznać. Jeden z bandytów przez cały czas musiał zapewniać dyskretne, niewidoczne z zewnątrz oświetlenie. Na pewno przewidzieli tę sytuację. Byli bardzo dobrze przygotowani. Wszystko mieli w szczegółach dopracowane. Kłódkę przy drzwiach przecięli przecinakiem do metalu i po uszkodzeniu zabrali ze sobą. Nie obawiali się alarmu. Weszli, ściągnęli obraz, a potem natychmiast się ulotnili.

– Dobrze to zaplanowali – przyznał jeden z członków naszej ekipy. – W warunkach, które panują w cerkwi, tylko dwie osoby mogły sprostać temu zadaniu. Nawet i to nie uszło ich uwadze – zasepił się.

Po kilku spektakularnych próbach pokonania stromej i śliskiej dróżki łączącej plażę z cerkwią, ubłoceni i pokłuci jak diabli, po chwili wszyscy znowu byliśmy przed kościółkiem. Tutaj, jako że atmosfera była nerwowa, doszło do kolejnego spięcia pomiędzy naszymi dwoma szefami.

– Wyliczenie czasu przestępstwa jest nieprecyzyjne i dotyczy samej kradzieży. Co z resztą? – Kostas skrytykował sprawozdanie techników. – Nie potraficie powiedzieć dokładnie, kiedy złodzieje weszli do cerkwi i skąd przyszedli. Przecież mogli zjawić się tu wcześniej, a nie przed samym włamaniem. To odludne miejsce. O, cholera! Rozerwałem sobie na tej ślizgawce nową kurtkę – jęknął.

– Moim zdaniem czepiasz się – przerwał mu Tasos, a jego jak zwykle odmienna opinia nikogo nie zaskoczyła. – Na razie nie mamy pojęcia, kiedy złodzieje weszli do cerkwi i skąd przyszedli, ale za to wiemy dokładnie, jak uciekli i o której godzinie musieli opuścić kościółek. A to już coś. Nawet jeśli się mylimy co do czasu samej grabieży, to nie jest istotne. Kradzieże, jak wiesz, cechuje pośpiech. Wątpię, żeby rabusie ryzykowali oczekiwanie na przybycie kutra w świątyni, a to potwierdza naszą teorię, że zjawili się tu tuż przed deszczem. Naprawdę dużo wskazuje – agent Interpolu nie dawał sobie przerwać – na dokonanie włamania podczas, a ucieczkę z miejsca przestępstwa po burzy. Można przyjąć za bardzo prawdopodobne, że cała akcja na wzgórzu odbyła się pomiędzy trzecią a trzecią trzydzieści nad ranem.

– Taaak – sapnął Kostas z wisielczym wyrazem twarzy. – W dodatku wygląda na to, że szczęście sprzyjało im przez cały czas. Wczoraj wieczorem znowu doszło do zwarcia instalacji elektrycznej i zgasła latarnia morska – zasępił się.

– Prawdopodobnie nie przez przypadek – wtrąciłam.

– Prawdopodobnie nie – przytaknął Tasos. – Na szczęście wiemy – w dalszym ciągu bronił teorii młodych policjantów – że o czwartej rano elektrycy skończyli naprawę uszkodzonej latarni. Gdyby jakaś łódź była wtedy w pobliżu wyspy, rzeczywiście musieliby ją z góry zauważyć. Z kolei żeby odplłynąć daleko i skutecznie się ukryć przed penetrującym morze światłem, trzeba około dwudziestu, trzydziestu minut. Jest więc bardzo prawdopodobne, że wszystko razem zajęło złodziejom około godziny pomiędzy trzecią a czwartą nad ranem i że połowę tego czasu spędzili w cerkwi. Stworzyliście niezłą koncepcję przestępstwa, a bandyci mieli dobry plan i cholernie dużo szczęścia. Macie coś jeszcze? – zwrócił się znowu do naszych speców.

– Tak. Włamywacze chcieli opóźnić pościg i utrzymać jak najdłużej pozory, że nic się tu nie zdarzyło. Dlatego wychodząc, założyli w drzwiach kościółka nową kłódkę, łudząco podobną do poprzedniej. Ich pomyłki w określeniu kierunku ucieczki i ślizganie się po zboczu ewidentnie świadczą o pośpiechu oraz o tym, że było ciemno – podkreślił na koniec swojej relacji policyjny technik.

– Kolec zabezpieczyć i posłać do laboratorium. – Tasos wydał dyspozycje. – Dobra robota – mruknął z uznaniem pod adresem ekipy. – Wydaje się, że wstępną koncepcję przebiegu kradzieży mamy prawie gotową. Czy tak? – zwrócił się do nas z zapytaniem.

– Uhm – mruknął Kostas niechętnie.

– Trzeba sprawdzić dotychczasowych świadków i wszystkich przyjezdnych na wyspie – wyliczał Tasos.

– Z turystami ciężka sprawa. Na Toros jest kilka wycieczek – wtrącił Kostas bez entuzjazmu – ale z powodu rozdzielających się śladów ucieczki z miejsca przestępstwa warto rozważyć ich

udział w rabunku. – O dziwo, chociaż raz nie negował pomysłu Tasosa. – Jestem skłonny przypuszczać, że ktoś z zewnątrz uczestniczył w wyniesieniu z cerkwi obrazu. Przyszło mi to do głowy natychmiast, kiedy usłyszałem, że złodziei było dwóch. To bardzo prawdopodobne.

– Moim zdaniem przeciwnie – skrzywił się Tasos. – To bardzo mało prawdopodobne i zbyt oczywiste. Dałbym głowę, że sprawcy są wśród nas, ale nie zaszkodzi sprawdzić turystów, którzy spędzili ostatnią noc na Toros.

Kostas wzruszył ramionami. Obserwował tłum milczących ludzi przed cerkwią i najwidoczniej nawet na kłótnię nie miał już ochoty.

– Chodzić, szukać i sprawdzać – złościł się Tasos. – Co z tobą? No, coś ty taki marudny? Jeśli chcemy ich złapać, to musimy przede wszystkim uwierzyć, że nam się uda – naskoczył z pasją na markotnego Kostasa. – Stary, i tak mamy dużo szczęścia – przekonywał go. – Złodzieje mieli spore szanse na to, że włamania długo nikt nie odkryje. Prawdopodobnie wiedzieli, że Teodor wyjechał, i liczyli na to, że nieprędko wróci. Poza nim i Anną nikt nie przychodzi codziennie do cerkwi. Wykorzystali tę okoliczność. Wszystko mogło się odbyć tak, jak zaplanowali, ale los chciał inaczej. Teodor wrócił wcześniej. Są ślady, więc mamy dowody. Nie jest źle. Uszy do góry – pocieszał Kostasa.

*

– Nie spodziewałem się, że celem mafii będzie ikona Madonny z Toros – powiedział zgaszony Tasos, gdy zostaliśmy we własnym gronie. – Rozważałem wiele różnych wariantów – mówił z goryczą – nie dopuszczając do siebie, że plany

przestępców mogą być takie prozaiczne, w tak oczywisty sposób związane z cerkwią.

– W Polsce mówimy, że najciemniej jest pod latarnią – wtrąciłam, żeby go pocieszyć. – Jesteś pewien, że mamy do czynienia z tym przestępstwem, nad którym bandyci pracowali od wielu miesięcy? Że chodziło im o kradzież? – dopytywałam z niedowierzaniem.

– Na to wygląda.

– A jaki związek z tym rabunkiem mają oba morderstwa? Może po prostu nie mają? – myślałam na głos, gdy zmierzaliśmy w kierunku kościołka.

– Nie mam zielonego pojęcia. – Usłyszałam stłumione mruknięcie Tasosa. Głośno dodał: – To właśnie musimy ustalić. – I szeroko otworzył drzwi.

Weszliśmy do cerkwi. Myśl o jej wnętrzu po tragicznych zdarzeniach napawała mnie grozą. Tymczasem w środku panowała cisza i obojętny spokój. Na ławce ustawionej przed ikonostasem siedział Teodor, przygarbiony i posepny. Nawet nie odwrócił głowy w naszym kierunku. W miejscu cudownej ikony straszyla czarna dziura, z której wystawały druty. Złodzieje bez szacunku dla świętego miejsca i bez strachu wydarli legendarny obraz z templonu i wynieśli go. Gdzieś w pobliżu błąkały się dusze ofiar zbrodni, a cerkiew bez Płaczącej Madonny wydawała się bardziej nierzeczywista niż senne mary.

Zabobonni Grecy wierzą, że przed Bożym Narodzeniem świat opanowują demony, które muszą opuścić ziemię szóstego stycznia przy święcie Objawienia. Po styczniowym poświęceniu wód dobro zwycięża zło, ale zapobiegliwi Grecy dużo wcześniej, już w grudniu, odczyniają uroki. Na różne sposoby zabezpieczają siebie i swoich bliskich przed demonami. To bardzo stary zwyczaj. Nie byłam zabobonna, jednak

odczuwałam dyskomfort i niepokój. Rozglądałam się czujnie po sprofanowanej świątyni.

Skoro bandyci terroryzują wyspę i obudzili uśpione zło tuż przed Bożym Narodzeniem, to co nas czeka? Co z tego wyniknie? Rozmyślałam. Jeśli ich kolejny występki w tym szczególnym czasie spowoduje wreszcie odwet, to czego powinniśmy się spodziewać?

Tasos usiadł na ławce obok Teodora, ale nie śmiał się odezwać. Duchowny milczał i lekko się kołysał zapatrzony przed siebie. Nie wiedzieliśmy, czy się modli, czy tylko rozmyśla.

– Ta ikona jest podobno warta majątek – odezwał się w końcu Kostas, jak zwykle niefortunnie.

– Ta ikona, synu – zagrzemiał Teodor podniesionym głosem i poderwał się z ławki – jest częścią historii tej wyspy i całego Dodekanezu. – Przygarbiony, jakby nagle postarzały pop stanął przed ołtarzem z nisko opuszczoną głową. – To nasza duma. Grecki symbol chrześcijaństwa, znieawidzony przez Turków. Wiąza się z nią piękne wspomnienia z czasów powstań greckich. Posiada wartość, której nie można i nie da się przeliczyć na pieniądze. Sam nie wiem, jak się pogodzić z jej stratą, i nie umiem sobie wyobrazić, jak zareagują wierni.

– Już zareagowali – powiedziałam cicho. – Większość mieszkańców wyszła na ulice. Mamy wrażenie, że sytuacja może się w każdej chwili wymknąć spod kontroli. Liczymy na to, że ich uspokoisz. – Patrzyliśmy na niego z obawą. Wizja dramatycznego rozwoju wydarzeń nikomu z nas nie wydawała się już fantazją.

– Oczywiście, że będzie spokój – obruszył się Teodor. – Mieszkańcy wyspy są wstrząśnięci. Potrzebują się wesprzeć

wzajemnie w nieszczęściu. To dlatego tak gromadnie wylegli na ulice. Jesteśmy krajem filozofów i myślicieli, a nie rozbójników.

Obyś miał rację, pomyślałam, przypominając sobie zaciśnięte pięści i wzburzone twarze mężczyzn stojących na zewnątrz.

– Nie potrafiliście uchronić Toros przed kolejnym nieszczęściem – pop obrzucił nas niechętnym spojrzeniem, kierując się do drzwi – to spróbujcie coś wyjaśnić, zanim Mateńka sama ukarze winnych – wygłosił ponure proroctwo i z pochmurnym obliczem wyszedł przed cerkiew.

Gdy po chwili gapowicze zaczęli się rozchodzić, poczułam ulgę. Ufali mu. Jemu tak.

Z nami nikt nie chciał rozmawiać.

Rozdział 21

Po oczyszczeniu z zarzutów Kotopulosa stan zaawansowania śledztwa wrócił do punktu wyjścia. Dodatkowo przybyło nam jeszcze jedno niewyjaśnione przestępstwo – kradzież Madonny z Toros. Mieszkańcy nie mówili o niczym innym, a atmosferę na wyspie cechowało przygnębienie. Greckie media podawały tę informację we wszystkich wydaniach wiadomości. Migawki telewizyjne z cerkwi, z pustym miejscem w ikonostasie, obiegały całą Europę. Sprawa była szczególnie nieprzyjemna, bo z wizerunkiem Mateńki, jak ją pieśczośliwie nazywali wyspiarze, łączono wiele faktów historycznych i wspomnień związanych z greckim powstaniem narodowyzwoleniczym. O cudownych właściwościach obrazu krążyły niesamowite opowieści. Płacz Madonny z Toros miał zapowiadać dramatyczne wydarzenia, których nie można było uniknąć. Był jak głos przeznaczenia.

Wiedzieliśmy, że Madonna tym razem nie ronila łez, ale wobec ogólnego rozgoryczenia panującego na wyspie z powodu kradzieży nie dementowaliśmy przekonania na ten temat. Teodor na szczęście nie podejmował drażliwego tematu i unikał miejsc publicznych. Świątyni wprawdzie nie zamknięto, ale uroczystości świąt Bożego Narodzenia przeniesiono do kaplicy w klasztorze bizantyjskim położonym na północnym cyplu Toros. Opuszczona przez wiernych i turystów cerkiew górowała nad miasteczkiem ze skalistego wzgórza jak widmo i niemy wyrzut sumienia niepozwalający zapomnieć o niewyjaśnionych tragediach, które się tam rozegrały. Wykorzystując swoich informatorów, policja penetrowała środowiska przestępcze, żeby dotrzeć do wiadomości o miejscu przechowywania skradzionej ikony.

Siedzieliśmy w biurze, wlewając w siebie kolejne filiżanki smolistej kawy. Z powodu nadzwyczajnej narady wszyscy w dyżurce chodzili na palcach, a w komisariacie było cicho jak makiem zasiał. Brakowało pokrzykiwań Nikosa, ciętych dowcipów rudej sekretarki Kostasa i wybuchów śmiechu, które po ich nieprzyzwoitych opowiastkach dochodziły do nas zza drzwi. Spotkanie prowadził kolejny konsultant z Aten przysłany z centrali po kradzieży.

*

Serdeczny uścisk ręki i koleżeńskie poklepywanie po ramieniu przyjęliśmy z uprzejmą rezerwą. Grubiutki, z krótkimi nogami i tłustym karkiem, jak poprzedni gość z centrali, nie wyglądał na asa wywiadu. Wizytację na wyspie traktował jak dopust boży i nawet nie udawał, że jest inaczej. Na tablicy rozwieszanej obok okna napisał trochę koślawo grubym flamastrem „Lakis Margaritis” i postawił potężny znak zapytania. Stukał teraz grubym paluchem w tablicę i marszcząc czoło, wielokrotnie powtarzał sam do siebie:

– Co o nim wiemy? Co o nim wiemy? Lakis? – zwrócił się w końcu z zapytaniem do Tasosa.

Nasz zagadnięty kolega spochmurniał. Nie miał powodów do zadowolenia. Od kilku dni obserwowaliśmy, jak narasta w nim frustracja spowodowana niepowodzeniami w prowadzeniu śledztwa. Po kolejnych porażkach nikt już nie wierzył w jego logiczną koncepcję obu zbrodni. Nie wytrzymała konfrontacji z materiałem dowodowym, ale Tasos wciąż się przy niej upierał. Wywołany teraz do odpowiedzi, zajmował się przekładaniem pomiędzy palcami *komboloi*. Nieustanne obracanie w palcach ozdobnych koralików, które przypominają różaniec, nie jest przejawem religijności. Tasos podpatrzył zwyczaj w kawiarni i

od kilku dni nieustannie doskonalił się w sztuce manipulowania paciorkami. Stuk drewnianych kulek prześladował cały komisariat. Syn greckiej emigrantki szukał ukojenia nerwów w tym popularnym zajęciu, ale nie odnosił sukcesów, bo jego ruchy na razie były nieprecyzyjne.

Koraliki poplątały się właśnie i runęły z hukiem przed biurko, powodując tłumioną wesołość Kostasa. Speszony Tasos rzucił się na podłogę, żeby podnieść swój gadżet, a potem położył go na blacie i zaczął mówić:

– Po zawodzie miłośnym Lakis zamieszkał w Atenach. Choć nie wróżono mu w stolicy wielkiej kariery, gdy przyjeżdżał na Toros, chwalił się standardem życia w ekskluzywnej dzielnicy Aten i wypchanym portfelem, o czym plotkowano w kawiarni. Nie pracował, a jednak żył wygodnie, nawet luksusowo. Wiemy o jego przynależności do mafii i o czerpaniu zysków z licznych pospolitych przestępstw. Tylko na wyspie usiłował szantażować ojca Teodora i wymusić pieniądze od polskich turystów. Był porywczy i miał wielu wrogów. Klótnie z ojcem, konflikty i bójki z Dimitrisem Samarasem i z Janisem, mężem Jany – wyliczył – to tylko nieliczne przykłady. Znał Kotopulosa. – W oczach Tasosa pojawiły się gniewne błyski. – Oczywiście nie wierzę, że dla niego pracował. Wciąż badamy szczegóły z życia wpływowego historyka. Jego konto bankowe i kontakty z Lakisem spędzają mi sen z powiek. Odkrycie prawdy jest tylko kwestią czasu. – Tasos zacietrzewił się, zbaczając z tematu, jak zawsze gdy była mowa o jego pupilu.

– Lakis – przypomniał mu o temacie dyskusji nasz gość, stukając łyżeczką o brzeg filiżanki.

– Nie przepuścił żadnej okazji do łatwego zgarnięcia pieniędzy – wtrącił się Kostas. – Szantaże, wymuszenia, drobne

oszustwa. Pozbawiony skrupułów skrzywdził wielu ludzi, dlatego prawdopodobnych motywów jego śmiertelnego pobicia jest co najmniej kilka. Próba zamordowania go w szpitalu wskazuje na porachunki mafijne. Jego śmierci nie łączymy z kradzieżą ikony, choć sugeruje to wspólne miejsce przestępstwa. Odległość pomiędzy tymi zdarzeniami jest zbyt duża. Lakis wdał się w śmiertelną bójkę prawie na dwa miesiące przed kradzieżą, dziesiątego października, pomiędzy godziną szóstą dwadzieścia a szóstą trzydzieści pięć. Jeśli dowiemy się, kto był z nim o tej porze w cerkwi, prawdopodobnie schwytemy mordercę i wyjaśnimy przynajmniej jedno przestępstwo. Na razie nie mamy żadnych informacji na ten temat. Wiemy jedynie, że Lakis bił się dwa razy. Pierwszy raz podczas kłótni z ojcem, a drugi z mordercą, na którego czekał. Mimo naszych wysiłków, by tę sprawę wyjaśnić, pytania bez odpowiedzi się mnożą. O co Lakis pokłócił się z ojcem, że aż doszło do bójki? – Kostas rozpoczął wyliczanie. – Po co przyniósł z zakrystii rzeźbione krzesło, na którym siedział przed ikonostasem, gdy do cerkwi weszła Jana? Na kogo czekał i jakie były powody morderstwa? Kto usiłował pozbawić go życia, gdy leżał nieprzytomny w szpitalu w Atenach? Jaki jest związek pomiędzy śmiercią Lakisa a morderstwem jego ojca Stawrosa Margaritisa? Jakie kompromitujące bandytów informacje zawierał komputer Lakisa, do którego włamał się po jego śmierci Stawros? No, to by było z mojej strony tyle. – Po obszernym wywodzie Kostas stracił wątek. Rozglądał się rozpaczliwie w nadziei, że któreś z nas podejmie temat.

Nadinspektor odczekał chwilę i po zanotowaniu szczegółów z obu relacji, nie widząc entuzjazmu do rozwijania dyskusji, spokojnie poprosił o kawę.

Grecy zawsze znajdują sposobność na chwilę relaksu. W tym przejawia się ich filozoficzny stosunek do życia i przemijania. Potrzebują dystansu do otaczającej ich rzeczywistości jak powietrza. Nigdy i niczego nie robią pośpiesznie.

Po charakterystyce pierwszej ofiary zagłębiliśmy się w porannej prasie. Wyłapywaliśmy informacje z Toros i popijaliśmy kawę. Po chwili przerwy znowu rozgorzała dyskusja.

– Opinia psychologa na temat pierwszej ofiary? – Pytanie tym razem było skierowane do mnie.

– Psychopata z niskim progiem wyzwalania agresji. Niebezpieczny typ – skwitowałam krótko.

– Przeanalizujmy jego zachowanie poprzedzające śmiertelne pobicie. Przyjeżdżał na Toros systematycznie i częściej niż zwykle. Dlaczego?

Na tablicy pojawiło się nabazgrane krzywo przez naszego gościa pytanie z numerem jeden.

Wymiana poglądów była błyskawiczna.

– Szantaż Teodora i ciekawość swojej przeszłości. Pozorowane spowiedzi stwarzały możliwość rozmowy z domniemanym biologicznym ojcem. To go wciągało. – Kostas był skłonny opierać swoją koncepcję śledztwa o miejscowe konflikty.

– Prawdopodobne – ocenił rzeczowo nasz zwierzchnik z centrali.

– Jakież interesy mafii, o których nie wiemy. – Tasos nie zrezygnował ze swojej koncepcji, w której główną rolę odgrywała zorganizowana grupa przestępcza i oczywiście Kotopulos.

– Bardzo prawdopodobne – padła optymistyczna ocena jego hipotezy.

– Wyłudzenie pieniędzy od młodych Polaków, zanim opuszczą wyspę.

– Możliwe – zabrzmiało bez przekonania.

– Chęć zemsty na rodzinie Samarasów po ślubie Jany i Janisa.

– Hm – mruknął nasz konsultant bez entuzjazmu.

– Jakież inne powody, których nie znamy – dorzuciłam wnioski z własnych przemyśleń.

– Nie możemy tego wykluczyć – przyznał gość ze stolicy. – Po co Lakis przyszedł tego dnia rano do cerkwi?

Na planszy pojawił się kolejny punkt.

– Umówił się z kimś. – Byliśmy zgodni.

– Niestety to może znaczyć albo bardzo wiele, albo nic. – Tasos zniecierpliwiony rzucił na stół *komboloi* i zaczął się rozglądać za popielniczką.

Nadinspektor podał mu ją, patrząc na nas wyczekująco, ale nie mieliśmy nic do dodania. Swoją krótką wypowiedzią nasz kolega wyczerpał temat.

Po chwili wymownej ciszy prowadzący naradę napisał na tablicy koślawą trójkę, obok której pojawiło się słowo klucz: przyczyny.

– Zrozumiałem, że Lakis był osobą nielubianą i konfliktową, ale nie wszystkie z wymienionych przyczyn antypatii uważam za wystarczające do popełnienia zbrodni. – Spec z centrali zachęcał nas do podjęcia dyskusji. – Spróbujmy w tej sytuacji wyselekcjonować ze zgromadzonych informacji te, które są najbardziej prawdopodobne jako przyczyny zabójstwa.

– Jak ustaliliśmy już przed chwilą, miał wielu wrogów – podjęłam się zreferowania problemu. – Szantażowani, zastraszeni, oszukiwani, praktycznie każdy z pokrzywdzonych przez niego ludzi mógł go pobić ze skutkiem śmiertelnym.

– Toksyczność tego faceta daje tyle możliwości rozwiązań, że chyba szkoda czasu na bezowocne rozważania – przerwał mi rozdrażniony Tasos. – Zresztą przerabialiśmy to już dziesiątki razy bez efektów. Spróbujmy inaczej.

Podszedł do tablicy i pięknym charakterem pisma wykaligrafował „Stawros Margaritis”. Z przodu postawił czwórkę, a obok zgrabny znak zapytania. Nadinspektor poczerwieniał. Widać, że kaligrafia nie była jego mocną stroną. Obok jego niezgrabnych kulfonów pojawiło się kształtne pismo Tasosa.

– Stawros Margaritis, ojciec pierwszej ofiary, to całkowite przeciwieństwo syna. Wzór moralny. Uroczy człowiek, dobry mąż i kochający ojciec – pospieszyłam z charakterystyką drugiej ofiary, żeby zatuszować występki Tasosa.

Nasz as wywiadu, zgromiony wzrokiem przez Kostasa, wzruszył niefrasobliwie ramionami. Obszedł swoje biurko, wrzucił do szuflady z hukiem *komboloi* i usiadł na krześle, wyciągając nogi do połowy biura.

– Coś takiego – westchnął nagle rozbijając dobrodusznie nasz kolega z centrali. – Dwie tak blisko spokrewnione ofiary morderstw. I te okoliczności zbrodni jak w scenariuszu do kiepskiego melodramatu.

– Tak – potwierdziłam. – A skoro już jesteśmy przy Stawrosie, to trzeba podkreślić, że jego zachowanie po śmierci syna i okoliczności, w jakich sam zginął, wiele nam wyjaśniły. Chociaż prowadząc własne dochodzenie, ukrył przed nami niektóre fakty, między innymi kłótnię i bójkę z synem – podkreśliłam.

Nasz konsultant przytakiwał uprzejmie głową, obserwując spod oka z zainteresowaniem wyczyny Tasosa.

– Na podstawie zeznań żony Stawrosa, Anny – kontynuowałam – uważamy, że ojciec podjął samodzielne śledztwo, bo grzebiąc w komputerze syna, wpadł na trop jego zabójcy. Niestety przed nami i niestety postanowił sam wymierzyć sprawiedliwość. Nie ufał nam albo nie zapanował nad emocjami. Zapłacił za to cenę życia, bo przeciwnik był bezwzględny i zdecydowany na wszystko.

– Rozumiem, że łączycie oba zabójstwa? – wtrącił nadinspektor.

– Tak – przytaknęłam. – Uważamy, że zabójstwo Stawrosa jest kluczem do rozwiązania zagadki śmierci obu ofiar: i ojca, i syna.

– Kogo podejrzewacie o te zbrodnie? – zapytał nasz konsultant, spoglądając niespokojnie na zachmurzone niebo za oknem. Za kilka godzin czekał go rejs powrotny do Aten, tymczasem pogoda pogarszała się z minuty na minutę.

– Kotopulosa! – Tasos oczywiście nie powstrzymał się, by nie zaproponować swojego pupila.

– Czy to ten, którego kilka dni temu zwolniliście za kaucją? – skojarzył nasz gość.

– Idealnie pasuje do koncepcji obu zbrodni i kradzieży – ożywił się Tasos. – Ale nie mamy dowodów jego winy. Logiczne przemyślenia i poszlaki nie wystarczą prokuratorowi, tym bardziej że całkiem niedawno jego adwokat zmusił nas do wycofania większości zarzutów. Pracujemy nad tym – dokończył.

– Tak – powiedział nadinspektor pod nosem. – Przypuszczalny udział w przestępstwie wybitnego historyka wcale mnie nie bulwersuje. Przeciwnie, pasuje do charakteru sprawy. Organizacja przestępcza zamieszana w działalność kryminalną na Toros – tłumaczył – jest pełna ludzi dobrze

ustawionych życiowo, których poziom intelektualny zdumiewa. Taaak – zamruczał pod nosem. – Są wykształceni i bogaci, jednak wykorzystują swoją wiedzę i majątek do zbrodniczych czynów. Dysponują przy tym najnowszymi osiągnięciami techniki. Mają awionetki, helikoptery, radiotelefony, a nawet komputery. Są bogaci, zdeprawowani i ostrożni. Nazywamy ich nietykalnymi. Prowadzimy dochodzenie w środowisku osobistości z najwyższej półki i nie chodzi wyłącznie o zasobność ich portfeli. Natrafiliśmy, prowadząc śledztwo, na opór ważnych postaci świata nauki i polityki, a nawet na nieprzychylną zmanipulowaną opinię publiczną. Co robił w momencie kradzieży obrazu?

Domyśliliśmy się, że spec od struktur mafijnych zakończył swój wywód pytaniem o alibi Andreasa Kotopulosa. Rozmówca uśmiechnął się zachęcająco do Tasosa.

– Mieszka w klasztorze na wzgórzu. – Wskazany z zapalem podjął temat. – Po zwolnieniu z aresztu nasi ludzie i mnisi cały czas go obserwują. Zaklinają się, że nie opuszczał tamtej nocy klasztoru.

– To znaczy, że ma alibi.

Tasos wymownym gestem podniósł z rezygnacją ręce w kierunku sufitu.

– Przywiozłem wam informacje, które rzucą pewne światło na sprawę kradzieży. – Prowadzący szkolenie policjant, sprowokowany naszym zniechęceniem, ujawnił wreszcie cel przyjazdu na Toros. Sięgnął do skarbnicy swojej wiedzy o szczegółach śledztwa i jak magik wyciągnął asa z rękawa. – Wiemy, że ikona z waszej wyspy została skradziona na zamówienie przez organizację przestępczą, którą rozpracowujemy od roku. Wiemy też, że to dzieło sztuki miało być dostarczone kolekcjonerowi w Rosji. Ikona jak dotąd

nigdzie nie wypłynęła, ale w Atenach pojawił się łącznik rosyjskiej mafii paliwowej, który jej poszukuje. Zaufany człowiek doniósł nam, że przy realizacji zamówienia wystąpiły jakieś problemy. Przekazanie obrazu wstrzymano, a pomiędzy bossami gangów doszło z tego powodu do konfliktu. Nasz człowiek niestety nie wie dlaczego. Zalecamy wam czujność, bo krążą słuchy, że coś się ma w tej sprawie wyjaśnić i że coś może się wydarzyć w najbliższych dniach. Nie wiemy, gdzie, kiedy i co. – Rozłożył bezradnie ręce. – Powracając do naszych rozważań na temat tragicznych wydarzeń w cerkwi, nie lekceważyłbym żadnego z wątków sprawy i nie oddzielałbym pochośnie zabójstw od kradzieży. Tym bardziej że Lakis był członkiem mafii. Kotopulos... – zastanawiał się nasz konsultant, pocierając nerwowo czoło – może być jednym z nietykalnych, choć jak dotąd na żadnym z nich nie ciążyły tak poważne zarzuty jak zabójstwo. Mokłą robotę zlecali pionkom swojej organizacji, a jednak... – nie dokończył wypowiedzi. Zamyślił się. – Kto wie? – Widząc nasze wyczekujące spojrzenia, dodał: – Mamy wiele niewyjaśnionych morderstw, choćby śmierć naszego człowieka w Atenach. Wyrzucili go z okna prywatnego apartamentu. – Zerknął na pobladłego Tasosa. Pociągnął łyk zimnej, niedopitej kawy i skrzywił się, wybiegając myślami w stronę czekającej go podróży. – Czy wpadliście na trop złodziei, którzy wynieśli z cerkwi ikonę? – Z uwagą obserwował nasze twarze.

– Jesteśmy w trakcie przesłuchań – odparł Tasos.

– Jakież przemyślenia? – zapytał.

– Podejrzewam mimo wszystko Kotopulosa! – Tasos swoim oświadczeniem nie zaskoczył chyba nikogo z obecnych.

Kostas za jego plecami w geście krańcowej irytacji złapał się za głowę, ale przezornie milczał. Awantura w obecności zwierzchnika mogła być fatalna w skutkach.

– Wobec tego, że złodziejami było dwóch mężczyzn, na co wskazują ślady – Tasos kontynuował spokojnie, nieświadomy rozpaczliwych gestów Kostasa – rozważamy też inne koncepcje.

Po tym stwierdzeniu ulżyło nam.

– Słyszałem pochlebne opinie o pana kwalifikacjach i intuicji śledczej. – Nasz gość znowu z uwagą przyglądał się młodszemu koledze z Interpolu. – Sprawa jest trudna, więc radzę panować nad emocjami. W starciu z tymi ludźmi trzeba kalkulować na zimno, tak jak oni. Inni podejrzani? – Teraz prowadzący szkolenie patrzył wyczekująco na Kostasa.

– Wszyscy zamieszani w poprzednie śledztwa mają alibi.

– Obcy na wyspie? – dopytywał cicho.

– Mieliśmy kilka wycieczek – przyznał Kostas. – Jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt osób. Dla nielicznych całorocznych hoteli czas przed świętami to ostatnia chwila, żeby coś zarobić. Hotelarze w tych dniach zapraszają turystów na suto zakrapiane spotkania z prezentacją miejscowych kulinariów świątecznych. Jak zwykle biesiady trwały do białego rana, a kłopoty z prądem podobno dodały im blasku. Domorośli kucharze byli w czasie tych przyjęć tak pijani – sapnął ze złością Kostas – że niektórzy od północy prawie nic nie zapamiętali. Idealna sytuacja, żeby sobie stworzyć trudne do obalenia alibi. Może przedświąteczne biesiady i rabunek ikony to tylko zbieg okoliczności, a może gangsterzy wykorzystali tę okoliczność, żeby ukryć się pośród turystów. Wykonaliśmy kolosalną pracę, by dojść do prawdy. Przesłuchaliśmy wszystkich, ale w wielu przypadkach nie udało się ustalić, kto, gdzie i z kim był w chwili kradzieży. Fatum. Fatum... – wyszeptał Kostas.

– Żadne fatum. Co za bzdura! – obruszył się przedstawiciel centrali. – Podstawą walki z mafią jest racjonalne myślenie i spokój. Nie dajmy się zwariować. Ze względu na obiekt i miejsce przestępstwa sprawa naturalnie ma nieco mistyczny charakter. Przyznaję to i dlatego tym bardziej zalecam opanowanie emocji i zdrowy rozsądek. Jeszcze tego brakuje, żeby się wam przyplątało jakieś, nie przymierzając, magiczne myślenie! Moja racjonalna rada – podkreślił – na czas tego śledztwa brzmi: nie faworyzujcie osób wysoko postawionych w hierarchii społecznej i ogólnie szanowanych, a o odzyskanie ikony – pokazał w szerokim uśmiechu piękne białe zęby i wstał, pospiesznie szykując się do wyjścia – możecie być spokojni. To już nasze zmartwienie – dokończył.

– Odzyskamy ikonę? Czy to możliwe? – nie dowierzałam obietnicy.

– To pewne. Przedarliśmy się głęboko w ich struktury – odpowiedział. – To pewne – powtórzył, stojąc w drzwiach, a pożegnał nas nietypowo: – Mamy *Dhodhekaimero* (Dwunastodniowy okres od dwudziestego piątego grudnia, czyli od świąt Bożego Narodzenia, do szóstego stycznia – święta Objawienia Pańskiego.). – Mrugnął do mnie i uśmiechnął się, pokazując głową naburmuszonego Kostasa. – To magiczny czas. Uwalniamy świat od demonów, od *kalikantzari* (Grecki przesąd związany z tradycją Bożego Narodzenia nakazuje, by ogień na kominku odstraszaający demony utrzymywać przez dwanaście dni i nocy, czyli przez całe *Dhodhekaimero*. Złe duchy znikają po poświęceniu wód (symbol oczyszczenia).). Kto wie, może Mateńka z Toros sama wymierzy łotrom sprawiedliwość? Na miejscu złodziei nie odważyłbym się na tę kradzież, jeśli w legendach o cudownej ikonie jest choć odrobina prawdy. Taki postępek przed szóstym stycznia to jak wyzwanie losu. – Spec

do walki z przestępczością zorganizowaną uśmiechnął się przy swoim komentarzu na temat rabunku świętego obrazu jak ktoś, kto nie mówi poważnie.

W ciągu kilku dni, które minęły od kradzieży, już drugi raz z ust Greka padło złowróżbne stwierdzenie. Są bardzo zabobonni, pomyślałam, gdy nadinspektor zniknął za drzwiami. Wmawiałam sobie, że wiara w przepowiednie i strach przed fatum to wyłącznie wytwór bogatej greckiej wyobraźni. Beztrosko spychałam własne przemyślenia i złe przeczucia w zakamarki świadomości. Wiele razy zastanawiałam się później, czy mogliśmy zapobiec nadchodzącym zdarzeniom.

Rozdział 22

Kiedy wróciłam do domu, Tula pokazała mi męską koszulę z pokrzwawionym i postrzępionym rękawem.

– Odebrałam to dzisiaj twoim psom. Naraziłam się szczególnie Tyberiuszowi. Straszyl mnie, warcząc groźnie. To jednak ostry pies – powiedziała trochę z niedowierzaniem, a trochę z dumą.

– Skąd to wzięły? – Oglądałam poszarpany przez psy rękaw zupełnie nowej koszuli.

– Z kubła na śmieci. Przewróciły go i wywlokły koszulę na środek podwórka, bo pachniała krwią. Szalały, wyrywając ją sobie. Biegały po całym podjeździe. Tratowały kwiaty i przewracały wszystko, co stało im na drodze. Odebrałam im tę makabryczną zdobycz, ale nie udało mi się zamknąć ich w kojcu.

– O tak. Nie jest łatwo je uwięzić. Nie posłuchały cię. – Kiwałam głową ze zrozumieniem.

– Szczękały na mnie całe przedpołudnie, a potem wyniosły się nagle, wykorzystując wizytę mojej córki. Nie mogłam temu zapobiec – tłumaczyła się. – Rzuciły się na furtkę, kiedy ją uchyliłam, z taką siłą, że omal nas nie przewróciły – opowiadała z przejęciem, obrazowo wymachując rękoma.

– Tak, tak. Nic nowego – mruzczałam z dezaprobatą.

– Na drodze dopadły listonosza.

– O Jezu – jęknęłam. – Przecież one go nienawidzą. Miał pecha.

– Nie odpuściły mu – rozzaliła się Tula. – Obszczekiwały go aż do samego miasteczka. Taki wstyd! – W połowie drogi do kuchni gospośia zawróciła i szczerze zmartwiona zapytała: – I co my mu teraz powiemy, jak do nas przyjdzie?

– Komu? – zapytałam nieprzytomnie, bo błędziłam myślami zupełnie gdzie indziej.

– Listonoszowi – odparła zirytowana, że nie słucham.

– Nic. Nic, bo teraz prędko do nas nie zawita. – Parsknęłam śmiechem.

Zniesmaczona komentarzem trzepnęła mnie ścierką.

– Jest jeszcze coś ważnego. Powinnaś wiedzieć, że twoi lokatorzy, Jurek i Janek, byli tu, żeby się pożegnać. Jutro rano wyjeżdżają.

Ta wiadomość mnie zszokowała. Przez moją głowę w piorunującym tempie przemknęły skojarzenia dotyczące kradzieży ikony i natychmiast podjęłam decyzję. Zwinęłam koszulę i schowałam ją do plastikowej torby, a potem podniosłam słuchawkę telefonu. Po wykręceniu numeru długo czekałam, aż ktoś odbierze.

– Słucham. – Usłyszałam niechętny głos Tasosa po drugiej stronie linii.

– Witaj! Z tej strony Klara – powiedziałam.

– Ach, to ty. A już myślałem, że to telefon z komisariatu. Że znowu mi zepsują popołudnie – rozpromienił się.

– Zepsują – jęknęłam. – Musisz zaraz do mnie przyjechać. Moi lokatorzy, o których rozmawialiśmy, Janek i Jurek, zamierzają rano opuścić Toros. Trzeba ich przesłuchać natychmiast, bo jeśli zechcą wyjechać do Polski, nie będziemy mieli prawa ich zatrzymać. To nie może czekać. Wydają mi się coraz bardziej podejrzani.

– Coś się wydarzyło? – Wyczuł zdenerwowanie w moim głosie.

– Tak. Psy znalazły w pojemniku na śmieci zakrwawioną koszulę. Stawiam dziesięć do jednego, że należy do któregoś z nich.

– Taaak. Jasne. Zaraz będę. – Szczęknęła słuchawka.

*

Do kolacji zasiedliśmy we czworo. To nie było dla Tasosa nieudane popołudnie. Już w progu rozpromienił się na widok Ewy, a widoczny stan jego uczuć zaskoczył wyłącznie Adama. Brat uroczej Polki, jak większość przedstawicieli swego gatunku – mało spostrzegawczy – dopiero podczas wspólnej kolacji zauważył, co się święci. Był zaskoczony i niezadowolony. Sytuacja była krępująca. Adam siedział obok siostry i niechętnie spoglądał na Tasosa, a Ewa czerwieniła się z byle powodu. Obserwowałam zakochanych, głowiąc się, jak w takich warunkach poprowadzić rozmowę. Janek i Jurek Kostkowscy ostatni wieczór spędzali na szczęście poza domem.

Z opresji wyratowała mnie Tula. Wniosła gorącą pieczeń z jagnięciny i zarządziła posiłek. Na stole pojawiły się opiekane ziemniaki, biały chleb, pyszne mięso, typowa dla zimowej pory sałata z posiekanej kapusty z oliwą i doskonałe domowe wino. Na kominku wesoło buzował ogień z polan migdałowych drzewek.

Nie rozmawialiśmy podczas posiłku. Przez oszkloną ścianę salonu uwagę przyciągał widok cerkwi na wzgórzu. Jak zwykle, gdy podejmowałam gości, piękny kościółek stał się po kolacji tematem rozmowy.

– Ludzie plotkują, że ikonę ukradł Kotopulos. Czy to prawda? – zapytał Adam.

– Badamy tę sprawę – odpowiedział Tasos wymijająco. – Krąg podejrzanych jest większy.

– Aresztowaliście go jakiś czas temu. Dlaczego jest na wolności?

– Winę trzeba udowodnić – odpowiedział policjant ponuro.
– Sprawdzamy różne warianty tej sprawy. – Podtrzymał rozmowę, przygotowując grunt pod pytania.

– Jest wielu podejrzanych? – W głosie Adama słyhać było niepokój.

– Za wcześnie na wnioski. Na razie staramy się ustalić, gdzie tamtej nocy byli podejrzani i świadkowie zaangażowani w poprzednie śledztwa. Zbieranie informacji to długi proces – padła wymijająca odpowiedź.

– My spędziliśmy tamtą noc u siebie – przerwał mu w pół słowa Adam. Widać było, że chce to natychmiast wyjaśnić. – Po wizycie Klary długo graliśmy z Jankiem w *tavli* (Popularna w Grecji gra planszowa, wersja tryktraka, kombinacja kości i warcabów.). Męczył nas, aż przegrał wszystkie pieniądze. Parę razy dawaliśmy mu szansę na przerwanie gry, ale tak go wzięło, że nie odpuścił aż do rana. Prawdziwy hazardzista z niego. Ktoś go powinien skierować na terapię – zażartował Adam. – Kompletnie nas wykończył. Zasnęliśmy na siedząco.

– Położyliśmy się, kiedy dniało – dopowiedziała Ewa, czerwieniąc się i omijając spojrzeniem Tasosa.

– Dużo przegrał? – Głos wielbiciela pięknej Polki przybrał żartobliwy ton.

– Czy to prywatne pytanie? – z przekorą sondował go Adam. Widać było, że między panami nawiązuje się nie sympatii.

– Jasne, że tak.

Brat Ewy wziął głęboki wdech i po chwili zastanowienia padło:

– No, równowartość dwustu dolarów.

– O cholera! Nie spodziewałem się. To sporo.

– Tak. W dodatku jego gra była żenująca. Przegrywał na własne życzenie. Gubił się, bo co chwilę zapominał, jaki ruch już zrobił i ile zebrał punktów. Powinien sobie znaleźć inną rozrywkę.

– A gdzie był w tym czasie Jurek? – zainteresowałam się lokatorem, który zawsze budził we mnie mieszane uczucia.

– Leżał w sypialni i słuchał radia, czyli jak zwykle – wtrąciła Ewa. Po tonie jej głosu nietrudno się było domyślić, że go nie lubi.

– I tak przez całą noc? – Tasos posłał jej uważne spojrzenie. Zauważył, że kiedy mówi o Jurku, denerwuje się.

– Tak. Był przeziębiony. Kilka razy w nocy parzyłam dla niego herbatę, którą zanosił Janek. Nie wchodzi do ich pokoju – podkreśliła z zaciętą miną. – Jakiś czas temu, kiedy pod ich nieobecność posprzątałam sypialnię, Jurek zamiast podziękować, zrobił mi awanturę. Jest coraz mniej sympatyczny. Tamtej nocy też było słychać, jak podniesionym głosem burczał na brata, który próbował ściszyć radio. Albo hałasował odbiornik, albo on wrzeszczał na Janka. To beznadziejny przypadek – mówiła o jednym z braci z wyraźną niechęcią.

– Dorobili klucz do swojej sypialni – wtrącił Adam i zerknął niepewnie w moim kierunku. – Było nam trochę głupio, bo to tak, jakby zabezpieczali się przed nami.

– Przykro o tym mówić, ale nie jesteśmy zmartwieni, że wyjeżdżają – wtrąciła Ewa i na widok wchodzącej do salonu Tuli zaczęła zbierać ze stołu talerze.

Gosposia uwielbiała plotki. Często podsłuchiwała moje rozmowy z przyjaciółmi. Zapominała się potem niekiedy i włączała do naszych dyskusji podsłuchane informacje. Ten wieczór był dla niej pasmem rozczarowań. Rozmowę

prowadziliśmy w jedynym języku znanym wszystkim obecnym oprócz niej – po angielsku.

Teraz stanęła w progu salonu z zakrwawioną i postrzępioną przez psy koszulą, którą schowałam w pralni w plastikowej torbie. Z kwaśną miną zapytała:

– Co mam z tym zrobić, Klaro? Wyprać? Wyrzucić?

– No gdzież wyrzucić?! Broń Boże! Nie! – Poderwałam się z krzesła i wyrwałam jej pakunek z rąk. Od razu skorzystałam ze sposobności, by zawęzić krąg podejrzanych. – Czy to twoja koszula? – zapytałam Adama wprost.

Pokręcił przecząco głową, a Ewa odpowiedziała:

– To koszula Jurka. Podobno skaleczył się wczoraj. Też się zdziwiłam, że zamiast ją wyprać, wrzucił do pojemnika na śmieci. To całkiem nowy ciuch.

Zwariować można, przemknęło mi przez głowę. Jeśli był w swojej sypialni tamtej nocy i w dodatku skaleczył się na podwórzu, a nie przed cerkwią, to kompletna klapa. Czyżby nie wypaliła moja kolejna fenomenalna koncepcja? Byłam zawiedziona.

Potem rozmawialiśmy już tylko o pogodzie i planach na najbliższy weekend, a Tula wróciła do swoich zajęć. Dopiero po północy zostaliśmy sami i mogliśmy w spokoju porozmawiać. Tasos odebrał ode mnie pakunek z koszulą i schował do przygotowanego pojemnika, po czym ukląkł przy kominku i dorzucił do ognia kilka polan. Pochylony nad paleniskiem zerkał na mnie z ukosa. Na widok mojej zawiedzionej miny pospieszył z aktem lojalności. Wygłosił istną tyradę:

– Tamtej nocy przed domem widziałaś w błysku pioruna zarys mężczyzny. Twoja relacja i badanie porównawcze krwi z koszuli Jurka i tej zabezpieczonej na miejscu kradzieży są dla nas ważniejsze niż zeznania twoich podopiecznych. Pamiętam,

jak opowiadałaś, że to Jurek wpadł na pomysł zatajenia znajomości języka angielskiego, żeby uniknąć przesłuchania po śmierci Lakisa. Bracia są pomysłowici. Opowiadanie Ewy i Adama nie jest przekonującym alibi.

Nie odzywałam się. Czułam, jak narasta we mnie rozdrażnienie z powodu kolejnej porażki. Co on sobie myśli, do cholery – podkreślała mnie złość na siebie – i kto tu jest psychologiem? Proponuje kolejną koncepcję przestępstwa, na którą nie mamy żadnych dowodów?

– Przez całą noc nikt oprócz Janka, który zanosił do sypialni herbatę, nie widział Jurka. Jeśli to prawda, że on tam był – niezrażony moim milczeniem Tasos konstruował swoją wersję wydarzeń – wszyscy słyszeli głośno grające radio i chwilami głos Jurka, ale tylko przez drzwi – podkreślił mój rozmówca, a zaraz potem dopowiedział: – Może był nagrany? Warto sprawdzić, czy radio braci ma wbudowany magnetofon. Ewa opowiadała, że kiedy cichła audycja, dobiegał do nich zirytowany głos Jurka. Głos to nie musi być człowiek. Z obu sypialni w domku można bez trudu niepostrzeżenie wyjść i wrócić przez okno. Głowa do góry. Dobrze kombinowałaś. Tym bardziej że panowie są mistrzami mistyfikacji. O tak... – Uśmiechał się zagadkowo, zapatrzony w buzujący ogień. – O tak, tak – powtarzał.

Trudno było przeczuć, co ma na myśli. Tymczasem dotarło do mnie, że potrzebujemy przełomu w śledztwie. Ciągłe niepowodzenia odbierają nam motywację do działania. Naukowe dogmaty? A jednak...

W pokoju powoli rozchodził się zapach drogiego tytoniu i smród mocnego ouzo. Poczulałam, że ktoś za mną stoi. Odwróciłam się gwałtownie i krzyknęłam przestraszona.

– Czy wy nie możecie wchodzić głównym wejściem, a przedtem zapukać, tak jak wszyscy?

Za moimi plecami stał Jurek, a w pobliżu drzwi tarasowych – Janek. Obaj byli nieźle podpici, ubrani w jednakowe dżinsy, kurtki i zabłocone buty. Nie zamierzali wchodzić dalej. Pomyślałam nagle, patrząc na nich, że wcale nie są do siebie podobni. Po ustach Jurka błąkał się głupi uśmiezek, a twarz Janka przeciwnie, była ponura i nieruchoma jak maska. Przez chwilę miałam nawet wrażenie, że coś mu dolega.

Tasos obserwował moje zachowanie ze zdumieniem, ale nie wtrącał się. Było widać, że nie panuję nad sobą.

– Przepraszamy, zapomnieliśmy, że jesteś taka nerwowa – mruknął Jurek z ironią.

– Nie jestem nerwowa, dziecino. Nie nerwowa – powiedziałam dobitnie – tylko dobrze wychowana.

– Przyszliśmy się pożegnać – odezwał się Janek jak zwykle sympatycznie i serdecznie. – Jutro rano wyjeżdżamy.

– A można wiedzieć dokąd? – zapytał Tasos, wstając sprzed kominka i otrzepując spodnie z resztek drewnianych drzazg.

– Do Aten – odpowiedział Janek naturalnie.

– Zamierzacie wrócić na Toros? – zapytałam.

– Tak. Całkiem nieźle się tu urządziliśmy. – Jankowi plątał się język.

– Dlaczego nie zgłosiliście policji, że zamierzacie wyjechać? – Głos Tasosa przybrał urzędowy ton.

– Nie wiedzieliśmy, że to trzeba zgłosić. Jesteśmy o coś podejrzani? Nikt nas o tym nie uprzedził – poprawił się Jurek. – A jesteśmy? – padło drwiące pytanie.

Dopiero teraz zauważyłam, że są nie tyle pijani, co porządnie wstawieni. Janek z trudem utrzymywał się na nogach. Ewa mówiła prawdę o ich pijackich biesiadach z Sotirisem.

Tasos po kolejnym bezczelnym komentarzu popatrzył na Jurka z nieprzyjemnym błyskiem w oczach, a zaraz potem uśmiechnął się rozbrajająco i zrobił coś zdumiewającego. Patrząc mu prosto w oczy, płynnie przeszedł na grecki:

– Czy podejrzani są ludzie uczciwi i prawdomówni? – zadał pytanie, po czym odpowiedział sam sobie: – Nie. Czy podejrzani są ludzie, którzy nic nie ukrywają? Też nie – rozmawiał w dalszym ciągu ze sobą. – Czy byliście z nami szczerzy? Czy byliście szczerzy ze swoimi współlokatorami? W domu Klary, gdzie jesteście gośćmi, bez wiedzy gospodyni dorobiliście klucz do jednej z sypialni. Co macie do ukrycia? Czy przez radio uczyliście się języka greckiego? Nie, wy znacie ten język.

Oślupiałam nie bardziej niż bracia.

Zaskoczeni nie odzywali się, zresztą Tasos nie dopuścił ich do głosu. Odwrócił się do nich plecami i poszedł w głąb salonu.

– Nie twierdzę, że jesteście winni zbrodni – mówił, patrząc na ogień w kominku – ale to, że od wielu miesięcy oszukujecie swoich przyjaciół i wszystkich wokół, nie przemawia na waszą korzyść. Taka manipulacja musi mieć cel. Tak, jesteście podejrzani. Ludzie, którzy kłamią na taką skalę jak wy, zawsze są. Dlatego nie wolno wam opuścić Grecji, dopóki wszystkie prowadzone przez nas sprawy nie zostaną zamknięte. Zrozumiano? Jakież wątpliwości? – dorzucił od niechcienia. – Może wyjaśnienia? Chętnie posłuchamy.

Janek pobladł i wyprostował się gwałtownie. Jurek uśmiechał się głupio i rozglądał bezradnie w rozpaczliwym poszukiwaniu wyjścia z sytuacji. Uśmieszki, które błąkały mu się po ustach, były coraz bardziej żałosne, ale oczy miał już prawie przytomne.

– Nasza matka jest Greczynką. No cóż, znamy trochę ten język – przemówił jak rodowity Grek. – Łatwiej znaleźć pracę i

zakwaterowanie jako cudzoziemiec. Nad takim wszyscy się litują – tłumaczył, jak na swój stan, bardzo przytomnie. – Klucz, który dorobiliśmy do naszej sypialni, to znaczy do twojej sypialni – bełkotał, zerkając na mnie – właśnie zamierzaliśmy oddać. Tak się składa, że nie lubimy, żeby ruszano nasze rzeczy. To wszystko.

Stali na rozchwianych nogach w kącie pokoju, niezdecydowani, jak się zachować, a ja obserwowałam ich zakłopotanie i zastanawiałam się, w którym momencie weszli do salonu i co usłyszeli.

Tasos już się nimi nie zajmował. Jak zawsze kiedy przesłuchał świadka, do którego czuł niechęć, po wymianie informacji natychmiast stracił dla nich zainteresowanie. Pochylony nad paleniskiem znowu z upodobaniem grzebał w kominku.

Pożegnałam lokatorów opuszczających mój dom z cierpkim uśmiechem i wymuszoną uprzejmością. Byłam zadowolona, że ich pożegnanie zbiegło się z wizytą Tasosa, a jeszcze bardziej cieszyłam się z tego, że opuszczali moją posiadłość na zawsze. Nie zachęcałam ich do ponownych odwiedzin.

Rozdział 23

Ze snu wybił mnie hałas, który dochodził od strony ogrodu. Oprzytomniałam i gwałtownie usiadłam na łóżku. Było południe. W okno sypialni stukał Tasos. Wymachiwał dużą szarą kopertą. Pokazywał, że coś dla mnie ma. Wyszłam do niego w szlafroku i narzuconym na wierzch ogromnym swetrze Jorgosa.

– Jest rozkaz z centrali – powiedział z nieprzeniknioną miną i podał mi przesyłkę. – Pojutrze o dziesiątej rano w Atenach, w kawiarni Neon przy placu Omonia, masz spotkanie z naszym informatorem.

Otworzyłam szeroko drzwi i rozglądając się niespokojnie, wpuściłam go do środka. Obiegłam błyskawicznie cały dom, żeby się upewnić, że jesteśmy sami, i wprowadziłam go do salonu. Tuli nie było, ale na stole, jak zwykle, stał tygiel z gorącą kawą. W kominku płonął ogień.

Usiadłam na kanapie, złamałam pieczęć i wyciągnęłam z koperty kilka dużych kolorowych zdjęć. Tasos stał tyłem do mnie i jak zwykle patrzył w ogień.

Z fotografii pogodnie spoglądał na mnie mężczyzna w średnim wieku, z ostrzyżonymi na krótko jasnymi włosami. Nad lewym okiem miał niewielką bliznę, co było widoczne szczególnie w ujęciach twarzy z bliska. Wysoki i muskularny, sprawiał wrażenie sportowca, najpewniej kulturysty.

– Nie jest Grekiem? – spytałam i schowałam zdjęcia.

– Nie. Jest Polakiem – odpowiedział Tasos i odwrócił się twarzą do mnie. – Jest Polakiem i dlatego jesteś tam niezbędna. – Oboje znaleźliśmy zasady, więc w dalszym ciągu patrzyłam na niego pytająco. – Jego grecki partner nie żyje – tłumaczył, widząc moje wątpliwości.

– Kiedy to się stało? – zapytałam odruchowo.

– Wczoraj w nocy.

– Mafia?

– A nie, cholera, właśnie że nie. Proza życia. Serce miał chore. Masz pojęcie? – Tasos zrobił taki gest, jakby zawał był niedorzeczną przyczyną śmierci. – Tylko ty możesz zmarłego natychmiast zastąpić. Spotkania odbywają się w kawiarni. Kobieta, która oczekuje w takim miejscu na spotkanie z mężczyzną, nie wzbudzi podejrzeń.

– Wie, jak wyglądam?

– Nie. Procedury są rygorystyczne. Nikt nie ma z nim osobistego kontaktu. Nikt nie wie, jak wygląda i jak się nazywa. Ta sytuacja nas zaskoczyła. Nie mieliśmy sposobności przekazać mu twojego zdjęcia, ale warunki spotkania są takie same, jak zawsze. Data, godzina i miejsce też. Znak rozpoznawczy, czyli dziennik „Katimerini” z pierwszego dnia poprzedniego miesiąca otwarty na głównej stronie, upewni go, że to ty na niego czekasz. Nie powinno być problemów. Wie, że jego partner nie żyje, bo pisały o tym wszystkie gazety, więc spodziewa się, że na spotkanie przyjdzie ktoś inny. To będzie trudna próba dla was obojga. – Patrzył na mnie z obawą. – Możesz się wycofać w każdej chwili. Będę cię ubezpieczał.

– Odbiło ci?! Znasz procedury. Wiesz, że ci nie wolno! Twoja obecność w pobliżu łamie podstawowe zasady – zachnęłam się. – Jeśli go zobaczysz i zapamiętasz, będzie zdekonspirowany.

– O nie! Nie puszcze cię samej – zareagował gwałtownie na moje słowa i sięgnął nerwowo do kieszeni bluzy po papierosa. Przez chwilę palił zachłannie grecką karelię, głęboko się zaciągając. – Wiem, że to wbrew zasadom i że dla wszystkich będzie lepiej, jeśli go nie zobaczę. Usiądę w sąsiednim bistro. Będziecie poza zasięgiem mojego wzroku. Może być?

– Masz na to zgodę? – zapytałam z niedowierzaniem.

Nie odezwał się. Stał tyłem do mnie i palił papierosa. Potem podszedł do kominka i rzucił niedopałek na palenisko.

– Oszalałeś? Dobrze wiesz, że nie wolno ci zrobić czegoś takiego bez akceptacji centrali.

W odpowiedzi usłyszałam:

– Kilka dni temu nasz agent przysłał alarmujący sygnał z żądaniem nawiązania kontaktu. Napisał, że sytuacja jest dramatyczna. Nie wiemy, co miał na myśli. Może być bardzo niebezpiecznie. Nie puszczę cię samej.

– Możesz mi o nim coś opowiedzieć? – zmieniłam temat bezcelowej dyskusji.

– Same ogólniki. Nic konkretnego. Pracuje dla nas od dwóch lat. Ma ujmującą osobowość i oprócz bicepsów uniwersyteckie wykształcenie. Mówi biegle po angielsku i francusku, ale bardzo słabo zna grecki. W Polsce był komandosem. Kilka lat, z przyczyn, których nie znamy, walczył w legii cudzoziemskiej. Jak wiesz, organizacja przestępcza, którą obserwujemy, ma charakter międzynarodowy i dlatego znajomość języka angielskiego na dobrym poziomie to atuty dla naszego agenta. Jego grecki, delikatnie rzecz ujmując, jest problemem i barierą w kontaktach, dlatego centrala zabiega o twoją współpracę.

– Jakaś przeszłość kryminalna? – pytałam.

– Nie.

– Zabijał już ludzi?

Tasos się zawahał.

– No, tak. Chyba tak. Dlaczego cię to interesuje?

– Jestem psychologiem. Lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Jakie to ma znaczenie? – zapytał z błyskiem zainteresowania w oczach. – To gorzej dla jego partnera czy lepiej?

Zamyśliłam się.

– Zabójcy są bezwzględni, ale rzadko kłamią. Imperatyw, który popycha ludzi do zbrodni, świadczy o małych możliwościach rozwiązywania problemów na drodze intelektualnej. Rozumiesz, co mam na myśli? Jeśli wasz agent ukończył uniwersytet i mimo to był najemnikiem, to sytuacja jest inna. Może mieć powody, dla których obrał taką drogę w życiu, a których nie znacie. Wygląda na porządnego gościa – podsumowałam.

Wyjęłam z koperty zdjęcia i jeszcze raz je obejrzałam. Z fotografii bezosobowo uśmiechał się do mnie młody, przystojny mężczyzna.

– Są jakieś nowe fakty w śledztwie tu, na miejscu? – zapytałam.

– Nic specjalnego – odrzekł, a ja od razu wyczułam, że kłamie. – Analiza porównawcza materiału morfologicznego pozyskanego z koszuli Jurka Kostkowskiego i tego zabezpieczonego przed cerkwią wypadła negatywnie.

– Negatywnie? – powtórzyłam po nim. – O, jasna cholera! – jęknęłam. – To znaczy, że pomówiłam dzieciaka, bo go nie lubię? – Poczułam się podle. – Znowu się nabraliśmy? To jakaś przeklęta sprawa! – złorzeczyłam z pasją.

– Ta ekspertyza niczego nie przesądza i znaczy tylko tyle, że on się nie zranił przed cerkwią. Jak zwykle przesadzasz – uciał moje lamenty i ruszył w kierunku wyjścia.

– Ty to potrafisz człowieka pocieszyć – rzuciłam za nim z wyrzutem.

– Ja? Nie potrafię. To ty jesteś psychologiem. – Usłyszałam od drzwi.

*

Potrącana przez przechodniów przedzierałam się w godzinach południowych zatłoczoną ulicą Eolou w kierunku placu Omonia. Dla większości Ateńczyków to serce miasta, choć trudno mu przypisać urodę. Część stolicy, którą upodobali sobie mężczyźni głośno rozprawiający o polityce i namiętnie zabijający wolny czas w okolicznych kawiarniach. Plac handlowy otoczony licznymi domami towarowymi, wypełniony restauracjami i barami szybkiej obsługi, a także niedrogimi hotelami. To miejsce chętnie odwiedzane przez Azjatów, przez co wciąż nieco egzotyczne. Wielokulturowość Aten właśnie tutaj, w tej części miasta, jest najbardziej widoczna.

Weszłam do kawiarni Neon i ścigana zaciekawionym spojrzeniem barmana, zajęłam stolik obok wielkiej doniczkowej palmy. W lokalu, mimo tłoku na ulicy, było niewielu klientów. Przy barze siedziały trzy Greczynki obwieszane złotą biżuterią i głośno rozprawały o swoich problemach rodzinnych.

– Coś podać? – padło z lewej strony.

– Tak. Poproszę *frappé metrio* i wodę. Aha, potrzebuję jeszcze popielniczkę – dodałam, gdy kelner już odchodził. Odwrócił się i w szerokim uśmiechu odsłonił białe zadbane zęby.

No jasne, domyśliłam się. W przydługim zdaniu usłyszałam mój cudzoziemski akcent.

– Tak, proszę pani. Proszę bardzo! – W biegu do kuchni zakręcił się jak baletnica i położył przede mną popielnicę z sąsiedniego stolika.

Nic nie zjednuje Greków tak skutecznie, jak znajomość ich języka. Są bezpośredni i nie lubią przesadnej grzeczności, a już takie określenia, jak „proszę pani”, zachowują na szczególne okazje. Doceniłam gest i uśmiechnęłam się.

Patrzyłam bezmyślnie przed siebie na ludzi mijających witrynę kawiarni. Starłam się wyłowić spośród przechodniów postać mężczyzny zapamiętaną z fotografii. Po głowie plątał mi się refren jakiejś znanej polskiej piosenki. Nerwy miałam napięte do granic.

Gdy znowu padło pytanie o to, co jeszcze podać, aż podskoczyłam na krześle, napotykaając zdziwione spojrzenie kelnera.

– Nie. Dziękuję. Nic więcej – odpowiedziałam speszona swoją reakcją.

Muszę się natychmiast opanować, pomyślałam. Wielkimi łykami zaczęłam wlewać w siebie lodowatą wodę. Czułam, jak szok termiczny przywraca mi przytomność umysłu.

W drzwiach kawiarni pojawiła się duża grupa Azjatów. Popychali się i pokrzykiwali gardłowo, co chwilę wybuchając hałaśliwym śmiechem. Gdy usadowili się wreszcie przy kilku stolikach w rogu sali, do lokalu spokojnie i bez pośpiechu wszedł nasz agent.

Był wyższy i szczuplejszy, niż się spodziewałam. Obrzucił salę błyskawicznym spojrzeniem i chociaż zauważył, że na niego czekam, najpierw podszedł do baru. Wyglądało na to, że był tu stałym bywalcem.

– Daj mi paczkę marlboro i whisky z lodem do tamtego stolika.

Kiwnął mi głową. Uśmiechaliśmy się do siebie przez całą salę jak starzy znajomi.

Rozerwał opakowanie z celofanu i jeszcze przez chwilę stał przy barze. Marną greką, ale zrozumiałe, żartował z barmanem. W końcu ruszył bez pośpiechu, przez środek sali, w moim kierunku.

– Znowu się spóźniłeś – przywitałam go z wyrzutem.

Ogarnął mnie badawczym spojrzeniem, które prześlizgnęło się po moim ubraniu i zatrzymało na stoliku, na nieaktualnym wydaniu dziennika „Katimerini”.

– Przepraszam – powiedział naturalnie i pochylił się, żeby pocałować mnie w rękę.

Greczynki przy stoliku obok baru, chichocząc, komentowały półgłosem jego zachowanie, a barman, sprowokowany ich szeptami, wychylił się i zaciekawiony gapił się natarczywie w naszym kierunku.

– Spokojnie. Zaraz przestaną się nami interesować – powiedział mój partner. Bez cienia zdenerwowania, ale i bez uśmiechu patrzył mi w oczy.

Przez chwilę siedzieliśmy bez słowa, cierpliwie czekając, aż gapie się zniechęcą. Kelner przyniósł zamówionego drinka. Gdy się oddalił, zapytałam wreszcie:

– Co się dzieje?

– Gina ludzie – odpowiedział krótko.

– Co można zrobić?

Roześmiał się. Śmiał się tak długo, że zrobiło mi się nieswojo.

– Odnaleźć ikonę i oddać im.

– Jaką ikonę?

– Matki Boskiej Płaczącej z Toros. W drodze do Aten ktoś im to cacko podprowadził.

– Jak to? Kto? – Osłupiałam.

– Tego właśnie usiłują się dowiedzieć, a delikatni nie są. Jeśli kończą wywiad na torturach i okaleczeniu, to klient ma dużo... dużo szczęścia. – Wyciągnął papierosa i popatrzył na mnie pytająco.

– Tak. Daj i mnie – powiedziałam. – Więc o co chodzi z tą ikoną? – dopytywałam.

– Zamówienie na to cacko – zaciągnął się potężnie – mieli już od wielu miesięcy. Ikona z trzynastego wieku pokryta szczerym dwudziestodwukaratowym złotem i ozdobiona drogimi kamieniami to rzadkość, nawet na światowym rynku sztuki. W dodatku te legendy, które o niej krążą. Sama rozumiesz. Nie każdy może mieć na własność cudowną ikonę i dlatego otrzymali wyjątkową ofertę. Madonna z Toros za pięć milionów dolarów. Nawet jeśli się wahali, zaproponowana kwota przesądziła o ich decyzji. Wszystko przebiegło gładko i zgodnie z planem, bo przygotowali tę kradzież odpowiednio wcześniej, ale podczas wyceny u marszanda okazało się, że chcą sprzedać bardzo dobrą kopię. Nie wiedzą, kto i w którym momencie podmienił oryginał. Obraz w drodze do Aten przeszedł przez wiele rąk. Wychodzi na to, że po drodze zniknął. To z nim rozmawiali w sprawie ekspertyzy. – Napisał coś na skrawku serwetki i posunął po blacie stolika przed moją filiżankę.

– Jezu Chryste, to nieprawdopodobne! – jęknęłam głośno, chowając natychmiast serwetkę do torebki. Poczułam rozczarowanie i gniew. Przypominałam sobie zapewnienia centrali, że ikona wkrótce wróci na Toros.

– A jednak to prawda.

Po moim wybuchu zdumienia i przejęciu kartki rozglądał się niespokojnie.

– Wczoraj wykonali wyrok na łączniku, który przekazał podobiznę cudownej Madonny marszandowi, ale niczego się nie dowiedzieli. Poobcinali mu ręce i nogi bez znieczulenia – powiedział sarkastycznie. Patrząc, jak blednę, dodał: – Kiedy jeszcze żył.

– Rany boskie... – Nie mogłam się powstrzymać od reakcji.
– Kto to był?

– Nie wiem, bo go tak przed śmiercią zmasakrowali, że nie można było rozpoznać. Nigdy w życiu nie widziałem podobnego bestialstwa. Mają do tego Azjatów. – Pokazał głową na kąt lokalu i wrzeszczących skośnookich facetów. – Oni się lubują w takich zadaniach. Gnoje – mruknął i jednym haustem wypił całego drinka.

– Co możemy zrobić? – Zaszło mi w gardle i szukałam wzrokiem kelnera.

– Tu, w Atenach, nic, ale na Toros trzeba otoczyć ochroną wszystkich ludzi, którzy znaleźli się w pobliżu cerkwi przed kradzieżą.

Poczułam, że oblewa mnie zimny pot. Całe plecy miałam mokre.

– Nie wiadomo, co jeszcze wymyślą. Jeden z nietykalnych – patrzył na mnie, jakby zastanawiając się, czy wiem, o czym mówi – wziął od klienta z rosyjskiej mafii zaliczkę na poczet sprzedaży legendarnej ikony. Trzy miliony dolarów. Wydali te pieniądze na zakup partii narkotyków, które na Morzu Egejskim kilka dni temu zatopiła policja. Nie mają teraz ani narkotyków, ani pieniędzy, ani obrazu. W dodatku są niewypłacalni, a już dawno przekroczyli ustalone z kontrahentami terminy płatności. Popadli w długi i konflikt z dwoma potęgami świata przestępczego – z rosyjską i włoską mafią. Oto dlaczego ich reakcje są nieobliczalne. Rosjanie i Włosi nie zadowolą się

śmiercią płotki. Wraz z zaistniałą kradzieżą otworzyło się przed nimi piekło. Nie ma znaczenia, kogo nietykalni jeszcze zgładzą. Na końcu w kolejce po śmierć stoją oni sami. Ich długi sięgają milionów dolarów.

– Czego od nas oczekujesz?

– Że uprzędziecie ich posunięcia. Przecież tego przekrętu nie zrobiły duchy, tylko żywi ludzie – tłumaczył spokojnie. – Gdyby udało się złapać złodziei, którzy okradli cerkiew, może udałoby się pozyskać świadków koronnych, posadzić całe towarzystwo i powstrzymać fałsz zbrodni. Odzyskanie ikony to w obecnej sytuacji sprawa drugorzędna.

– Co jeszcze wiesz o wątku sprawy, który rozgrywa się na Toros? – wtrąciłam wreszcie pytanie, które od początku chciałam zadać.

– Na wyspie od dawna jest zaufany człowiek mafii. – Od razu rozwinął temat. – Ważna postać. Przeprowadził dla nich już kilka udanych akcji. Spróbujcie go zdemaskować. Może sporo wiedzieć. Ufają mu i chyba tylko dlatego nie przeszukują jeszcze wyspy, a tymczasem jest możliwe, że to on... – nie dokończył i zamyślił się.

– Chcesz powiedzieć, że to on może ukrywać ikonę? – Byłam zaskoczona.

– Być może tak i być może manipuluje wszystkimi dla siebie tylko znanych celów.

– Jakich? Co miałyby zyskać? Przecież próba sprzedaży oryginału ikony w tej sytuacji to pewna śmierć. – To, co mówił polskojęzyczny agent, wydawało mi się niedorzeczne.

– Nie znam jego motywacji, ale pamiętaj, że w organizacji działają ludzie, których do przestępstwa nie popycha brak pieniędzy ani żądza władzy, bo to wszystko jest w ich zasięgu.

– Mają zwyrodniałą, patologiczną psychikę – powiedziałam cicho sama do siebie. – Co o nim wiesz? – Liczyłam na jakąkolwiek wskazówkę.

W odpowiedzi rozłożył bezradnie ręce.

W kawiarni przybywało klientów. Zrobiło się tłoczno i tak hałaśliwie, że prowadzenie rozmowy było coraz trudniejsze. Stoliki wokół nas się zapełniły.

– Jedno jest pewne – rozglądał się bezskutecznie po zatłoczonym lokalu za kelnerem – musicie być czujni i otoczyć ochroną ludzi, którzy mogą się im wydawać podejrzani. Bandyci wcześniej czy później, jeśli nie odzyskają ikony, zwrócą swoją uwagę na wyspę. Pomóżcie nam ich powstrzymać.

Przez chwilę siedzieliśmy, wsłuchując się w otaczający nas wielojęzyczny gwar. Z poczuciem klęski delectowałam się gorzkawym, piekącym smakiem papierosa. Jeszcze kilka tygodni temu wydawało mi się, że rzuciłam palenie.

– Opowiedz mi o Madonnie Płaczącej z Toros. – Po raz pierwszy w tej rozmowie jego ładną, ale ponurą twarz rozjaśnił uśmiech. Przechylił się do mnie przez stół, tak że poczułam jego ciepły oddech i zobaczyłam z bliska bliznę nad lewym okiem. Wreszcie przypominał mi pogodnego faceta ze zdjęcia.

– Jeśli wierzyć we wszystko, co o niej opowiadają... – zamilkłam niezdecydowana, od czego zacząć.

– Czy to prawda, że roni łzy?

– Hm... – Uśmiechnęłam się na wspomnienie spływających po starym drewnie kropel wody rozchlapanej na ikonę podczas bójki w cerkwi. – No, nie wiem. Nie wiem – wystękałam bez przekonania.

Rozsiadł się teraz wygodnie i patrzył na mnie w skupieniu. Oczekiwał, że rozwinę temat.

– Grecy są bardzo zabobonni – zaczęłam swoją opowieść bez przekonania – a o tym obrazie krążą niesamowite historie. Większość z nich mieszkańcy wyspy chyba sami wymyślili. Podobno podczas okupacji tureckiej, choć cerkiew na wzgórzu doszczętnie spalono, w zgliszczach kościółka znaleziono po pożarze nietkniętą ogniem ikonę Matki Boskiej z Toros. Oczywiście nikt nie potrafi tego fenomenu wytłumaczyć. Płacz Mateńki, jak pieśczośliwie mówią o niej wyspiarze, pojawiał się zawsze, gdy do wyspy zbliżały się klęski i nieszczęścia lub choćby krzywdzono któregoś z mieszkańców. Madonna ronila łzy, a krzywda nie obydwała się bez kary. Nawet faszyci wystrzegali się przemocy na Toros, zestresowani legendami, które krążyły na ten temat po basenie Morza Egejskiego. Sposób, w jaki mieszkańcy Toros wielbią ikonę do dzisiaj, przypomina nieco obrzędy na cześć helleńskich bogów. No cóż, może po prostu w każdym Greku drzemie nadal trochę poganina? – Po raz pierwszy podczas tego spotkania roześmiałam się. – Nigdy nie oglądałam cudów na własne oczy – podkreśliłam, żeby odciąć się od nieprawdopodobnych przekazów – ale wiele o nich słyszałam. Ikona jest piękna, jednak sensacje na jej temat przypisywałabym raczej nie faktom, a wielkiej wyobraźni zdolnych do wybijanej retoryki Greków – skwitowałam.

Kiedy skończyłam mówić, uświadomiłam sobie, że patrzy na mnie w dalszym ciągu, ale przestał się uśmiechać. Czyżby mój pragmatyzm aż tak go rozczarował? Dopiero teraz zauważyłam, że w ciągu godziny wypaliliśmy paczkę papierosów.

Przez chwilę obserwował kobietę, która siedziała w rogu sali z małym, może pięcioletnim chłopcem. Dzieciak jeździł po stole plastikową ciężarówką, robiąc potężny hałas. Gdy

przewrócił stojącego przed swoją opiekunką drinka, kelner rzucił się jej na ratunek, a chłopiec spokojnie przeniósł zabawę na podłogę. Mój rozmówca roześmiał się.

– Masz męża? – zapytał prawie niesympatycznie.

– O co ci chodzi? – zdenerwowałam się.

Nie odpowiedział. Wyciągnął z portfela dwa tysiące drachm i położył pieniądze na stoliku, rezygnując z reszty i z pogoni za kelnerem, któremu w drzwiach na zaplecze głośno wymyślał chudy Anglik.

– Nigdy więcej tutaj nie przychodź. Nie chcę, żebyś była moim kontaktem – rzucił oschle. – Jesteś młoda, piękna i mądra, ale boisz się – skończył wyliczankę. – A to przynosi pecha. – Patrzył na rękę, w której trzymałam papierosa. Dopiero teraz zauważyłam, że drżą mi palce.

Zanim się zorientowałam, co zamierza, wstał, dotknął delikatnie mojego ramienia, pochylił się i musnął mnie ustami w policzek. Poczulałam zapach dobrej wody kolońskiej i papierosów.

– Uważaj na siebie – rzucił.

Wmieszał się w grupę opuszczających lokal Niemców i zniknął na zatłoczonej ulicy, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć. Nigdy więcej go nie spotkałam.

Barman patrzył na mnie i uśmiechał się głupio. Idiota. Pewnie mu się wydaje, że się pokłóciliśmy, domyśliłam się i wydełam usta, lekceważąc jego współczujące gesty.

Rozdział 24

Taksówka z trudem przedzierała się do głównej, łączącej rubieże miasta, efektownej Tsaldari. Wieczorem ulice Aten uderzały feerią kolorowych świateł. Teraz, gdy zza okna samochodu kusily dodatkowo świąteczne dekoracje, miasto wyglądało piękniej niż kiedykolwiek.

Tasos przechylił się do mnie, obserwując rozświetlone ulice, i cicho powiedział:

– Szkoda, że mamy tak mało czasu.

Nie odezwałam się. Trapiły mnie wątpliwości, czy bez zgody centrali powinniśmy odbywać rozmowę z marszandem, do którego przestępcy zwrócili się o wycenę ikony. Posunięcie było ryzykowne. Mogło zwrócić uwagę mafii na wyspę. Przy braku przekonania, że dowiemy się czegoś istotnego, uważałam ryzykowanie za bezcelowe. Tasos jednak się uparł.

Po piętnastu, może dwudziestu minutach podróży taksówka osiągnęła cel. Powoli podjechała do zaniedbanej, dawno nieremontowanej willi i zatrzymała się przed zamkniętą bramą.

– Proszę bardzo. Jesteśmy na miejscu. Numer dziesięć to tutaj. Należy się tysiąc pięćset drachm. – Zadowolony taksówkarz obdarzył nas uśmiechem.

– Poczekasz na nas za rogiem – powiedział Tasos, wciskając mu w rękę wyliczone pieniądze. – Jakiś kwadrans – dodał z chodnika w kierunku uchylonej szyby auta.

Na ulicy ogarnął mnie chłód. Z garażu sąsiedniej willi wytoczyła się na jezdnię czarna limuzyna. Kierowca wyszedł i otworzył z dwóch stron drzwi do auta. Czekał na swoich pasażerów i przyglądał się nam z zainteresowaniem. Po chwili przed dom wyszła kłócąca się głośno para. Piękna wysoka

kobieta, niespeszona naszą obecnością, wymyślała niewybrednie swojemu podstarzałemu partnerowi.

W kilku okolicznych budynkach hałas na ulicy wywołał zainteresowanie. Zza firanek dyskretnie obserwowano, co się dzieje. Willa z numerem dziesięć wyglądała jednak jak wymarła. We wszystkich oknach było ciemno i tylko z poddasza przez nieszczelną okiennicę wydostawała się na zewnątrz wąska strużka światła.

Gdy samochód pokłóconej pary odjechał, zrobiło się pusto i cicho. Naciskaliśmy cierpliwie guzik domofonu. Ostry dźwięk dzwonka słyhać było aż na ulicy, ale wewnątrz nikt nie reagował na dobijanie się do drzwi. Wreszcie Tasos oparł się o dzwonek ramieniem. Po kilku minutach takiego alarmu w holu zapaliło się światło i na podjazd wyszła chuda służąca w białym fartuchu.

– Państwa nie ma w dom – powiedziała bełkotliwą greką, zatrzymując się w połowie drogi do furtki. Stała niezdecydowana, czy podejść. Przyglądała się nam podejrzliwie.

Gdy Tasos pokazał jej przez przesłania kutego ogrodzenia legitymację policyjną, bez słowa zawróciła na pięcie i pobiegła w głąb posesji. Po chwili na parterze zapaliło się światło i dziewczyna pojawiła się znowu za ogrodzeniem. Tym razem jednak podeszła do furty i wpuściła nas na dziedziniec.

– Domofon jest zepsuty – zasapała.

Willa, która z zewnątrz wyglądała jak rudera, zaskoczyła nas elegancją, a nawet przepychem obszernego salonu. Po sposobie urządzenia można się było domyślić, że gospodarz tego domu często podejmuje gości. Dyskretne boczne oświetlenie muskało dzieła sztuki umiejętnie eksponowane pośród ekstrawaganckich nowoczesnych mebli.

– Państwo poczekać tutaj – powiedziała dziewczyna i pokazała zachęcająco na skórzane sofy.

– Domyśliłabyś się, że to rumowisko tak w środku wygląda? – mruknął Tasos, gdy wyszła.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, w kącie pokoju jak duch wyłonił się z mroku gospodarz. W starym szlafroku i podniszczonych kapciach nie pasował do wytwornego wnętrza. Kiedy zbliżył się do nas, zauważyłam, że jest nieogolony, ma rozciętą wargę i granatową obwódkę wokół podbitego oka. Obrzydliwie cuchnął alkoholem i papierosami.

– Nooo – powiedział Tasos przeciągle swoim zwyczajem. – To nieźle cię urządzili.

– Czego chcecie? Obiecaliście, że dacie mi spokój. – Gospodarz od razu się zdenerwował. – Wszystko, co wiem, już wam dzisiaj powiedziałem. Przesłuchiwaliście mnie na komendzie całe popołudnie. Rany boskie! Rany boskie! – biadolił. – Po co tu przychodzicie? Chcecie, żeby mnie zabili? – Trzęsły mu się ręce i z trudem panował nad sobą. Podszedł do lustrzanej ściany za wysokim barem i gwałtownym ruchem rozsunał ją, ukazując wnętrze zawieszane półkami z luksusowym alkoholem. Popatrzył na nas pytająco. – Ja się muszę napić. Muszę – szeptał histerycznie.

– Spokojnie. Potrzebujemy jeszcze kilku szczegółów do protokołu. – Tasos kłamał jak z nut. – Nasza obecność nie może ci zaszkodzić. Jeśli, jak zeznałeś, nic o nich nie wiesz, będą się wystrzegać kontaktów z tobą. Po co miałbyś ich lepiej zapamiętać i sypanąć? Zresztą ci, którzy tu byli, już nie żyją.

Teraz mężczyzna rozkleił się na dobre. Pił drinka, dzwoniąc zębami o brzeg szklanki.

– No, opanujże się wreszcie. Przecież mówię, że nic ci nie grozi. – Tasos perfidnie wpędzał go w coraz większą panikę. –

Chyba że nie byłeś z nami do końca szczery podczas przesłuchania w biurze. – Patrzył spod oka na marszanda.

– Wszystko opowiedziałem. Wszystko – zarzekał się przerażony gospodarz.

– Zastanawiamy się wciąż, dlaczego przyszli właśnie do ciebie. Znają cię?

– Nie, już mówiłem. Chcieli się upewnić, czy poprzednia ekspertyza była dobra. Jestem autorytetem w dziedzinie handlu takim towarem. Skończyłem historię sztuki i tylko tym się od lat zajmuję. Z tego żyję. Wszyscy w Atenach o tym wiedzą.

– Zapowiedzieli się?

– Tak. Zadzwonili do mnie. Numer telefonu można znaleźć w każdej książce telefonicznej – tłumaczył, nalewając sobie kolejny kieliszek wódki. – Przyjąłem ich, bo jeden z klientów odwołał wizytę. Na początku zachowywali się uprzejmie. Chyba liczyli na to, że nie potwierdzę poprzedniej ekspertyzy. Przy oględzinach ikony denerwowali się coraz bardziej, w miarę jak pokazywałem im i tłumaczyłem, co jest z nią nie tak.

– To z tego powodu tak cię urządzili? – wypytywał Tasos.

– Nie. Oczywiście, że nie. Na koniec chcieli, żebym im wydał na firmowym druku pisemne oświadczenie, że ikona jest kopią i że osobiście dokonałem ekspertyzy. Nie wolno mi prowadzić transakcji z ludźmi, którzy nie potrafią udowodnić, że przedmiot, który przynieśli, jest ich własnością, a oni nie chcieli wskazać nawet źródła pochodzenia obrazu. Na moje pytania reagowali śmiechem. Oczywiście zorientowałem się wtedy, kim są, i odmówiłem wydania ekspertyzy. Nie wiedziałem, po co im takie zaświadczenie. Obawiałem się, że mogą je wykorzystać do oszustwa. Wtedy jeden z nich zaczął mnie bić. – Czoło marszanda w jednej chwili pokrył rześisty pot. – Na szczęście przyszedł kolejny klient. Spłoszył ich i wezwał lekarza.

– W takiej sytuacji masz obowiązek natychmiast powiadamiać policję. Zrobiłeś to? – zapytał Tasos surowo.

– Nie, bo się bałem. – Nasz rozmówca rozbieganymi oczyma błędził po pokoju.

– Co było z tą ikoną nie tak? – wtrąciłam się wreszcie. – Po czym poznałeś fałszerstwo?

– To była kopia, ale fenomenalnie wykonana. Wielu moich kolegów przy pobieżnych oględzinach mogło się pomylić, a nawet nabrać. – Po dwóch potężnych drinkach plątał mu się język, ale trochę się uspokoił. – Falsyfikat wykonał artysta posiadający głęboką wiedzę i doskonale znający przedmiot. Do fałszerstwa wykorzystano bardzo starą deskę. – Ekspert mówił teraz prawie z zachwytem. – Mieliśmy więc stare drewno – podkreślił. – Złota farba też była prawdziwa i dobrze spatynowana. Podczas oględzin przez lupę moje podejrzenia wzbudziły jednak kamyczki w koronie Madonny.

– Były sztuczne! – wyrwało mi się naiwnie, a gospodarz obrzucił mnie ironicznym spojrzeniem.

– Oczywiście, że nie. Przecież mówię, że kopia była prawie doskonała!

– Więc? – ponaglałam go.

– Zaskoczył mnie ich kolor. Z tego, co wiem, Madonna z Toros ma w koronie rubiny zwane gołębia krew. To najpiękniejsze i najdroższe kamienie. Mają głęboką barwę czerwieni o lekkim, niebieskim odcieniu, zwanym gołębim. Wydobywa się je głównie w Birmie albo na Cejlonie. Tymczasem kamyczki w koronie kopii, bez wątplenia oryginalne, przy sporym powiększeniu miały, w moim odczuciu, inny odcień. Były intensywnej czerwonej barwy, ale z domieszką koloru malinowego. Tak wygląda spinel rubinowy. Półszlachetny klejnot uważany przez starożytnych za rubin i

przez wieki z nim mylony. O ile wiem, dopiero poznanie składu chemicznego kamieni pozwoliło obalić tę fałszywą tezę. Choć nie jestem jubilerem, nabrałem co do ikony podejrzeń, które niestety się potwierdziły – sapnął dumnie.

– Co z tego? – Byłam zawiedziona jego wywodem. – Co za różnica, jakich kamieni użył artysta sześćset lat temu, skoro, jak sam mówisz, uważano je w przeszłości za prawdziwe rubiny? Może właśnie takie miały być?

– Nie miały i nie są – rozzłościł się marszand. – A różnica jest zasadnicza. Tak moja... piękna – warknął prawie obraźliwie. – Zasadnicza! – Był tak oburzony, że zapomniał o strachu. W brudnym szlafroku, z podbitym okiem i cuchnący jak gorzelnia, zrobił mi wykład: – Spinele, choć efektowne, jakością nie dorównują najdroższym kamieniom. Wartość nawet najcenniejszych okazów stosowanych w jubilerstwie nie jest porównywalna z rubinami. Obecnie, ze względu na trwałość, najczęściej są używane do produkcji łożysk ruchomych części kosztownych zegarków. Przyznaję, że dobrze oszlifowane i umiejętnie oprawione przez jubilera nawet dzisiaj łatwo pomylić z rubinami. Na pierwszy rzut oka wyglądają naprawdę pięknie. Nie mogłyby jednak i nie znalazły się w koronie Madonny Płaczącej. To znane dzieło sztuki doczekało się szczegółowego opisu na początku naszego wieku. W koronie są rubiny z Birmy i kropka.

– Dużo wiesz na ten temat – mruknął Tasos z błyskiem zainteresowania w oczach.

– Pasjonuję się tym, ale brak mi, rzecz jasna, praktyki i nie mam prawa wydawać ekspertyz. Ponieważ nie jestem autorytetem akurat w tej dziedzinie, poszukałem innych dowodów – wrócił do tematu.

– Po czym ostatecznie poznałeś mistyfikację? – Byłam coraz bardziej zaintrygowana, a atmosfera w pokoju zrobiła się prawie przyjacielska, bo wszyscy byliśmy zainteresowani tym samym tematem.

– No cóż – chełpił się marszand – oglądałem setki starych ikon. Znam dobrze technikę ich wytwarzania i potrafię rozpoznać średniowieczne barwniki. Wiem, jak wyglądają. Te, z bliskiej odległości i odpowiednio podświetlone, też wydały mi się podejrzane. Uważałem, że powinny wyglądać inaczej.

– Jak?

– Inaczej, kochanieńka, inaczej – cmokał zde gustowany. – Oczywiście zrobiłem nakłucie, żeby się upewnić. Odsłoniłem bardzo starą deskę – upajał się swoją relacją – i pobrałem barwniki, jakimi nie dysponowali artyści w średniowieczu. Były zbyt grube i zbyt oleiste. W dodatku te podejrzane kamyki w koronie – cmoknął znowu, rozkładając ręce w geście rozczarowania – to bez wątpienia była podróbka. Mistrzowska i naprawdę piękna, ale kopia! Tak. Tak – mrucał pod nosem. – Komuś bardzo zależało na tym, żeby wszystkich oszukać. Włożył w swoje dzieło dużo czasu i jeszcze więcej serca. Stworzył falsyfikat o dużej wartości, ale co oryginał, to oryginał – wybuchnął głośnym pijackim śmiechem i zaczął się nerwowo rozglądać za butelką, którą odłożył na zabytkowy stolik przy drzwiach tarasu. Gdy napelniał kolejny kieliszek, zalał wódką cały inkrustowany srebrem blat. Był już nieźle pijany.

Tasos tymczasem chodził po pokoju i oglądał dzieła sztuki.

– To wszystko oryginały? – zapytał. W jego głosie słychać było powątpiewanie.

– Oczywiście – oburzył się marszand, któremu dykcja sprawiała coraz większy problem.

Policjant podszedł i wyjął mu z rąk butelkę.

– Zanim się kompletnie schlejesz, mów, ilu ich było i jak wyglądali.

– Dwóch. Jeden miał jakieś czterdzieści lat i wygląd boksera, a drugi był całkiem młody. Wysoki, szczupły, z włosami do ramion spiętymi z tyłu gumką. Ten starszy bandzior był chamowaty i brutalny. Młodszy przez cały czas stał w drzwiach i się nie odzywał. Dopiero kiedy zrobiło się nerwowo i jego kumpel zaczął mnie bić, próbował go powstrzymać. Powiedział wtedy kilka słów.

– Byli Grekami?

Patrzyłam z narastającą odrazą w pijackie oczka gospodarza. Moje pytanie zaskoczyło go. Przez chwilę wpatrywał się we mnie mętym wzrokiem i usiłował zrozumieć, o co mi chodzi.

– Tak, oczywiście, że byli Grekami – odparł w końcu. – Obiecali, odchodząc, że wrócą tu i zabiją mnie, jeśli ich sypnę. – Po tym komentarzu nasz rozmówca skulił ramiona i się skurczył. Wyglądał, jakby ogarnął go totalny kolaps.

Staliśmy już w drzwiach. Tasos patrzył na niego z politowaniem i odrazą. W końcu przełamał niechęć, którą ten szemrany facet budził w nim od początku rozmowy, i powiedział:

– Raczej już ci nie grozi, że ich sypniesz. Możesz ich rozpoznać... w kostnicy. Obaj twoi goście nie żyją i dlatego jesteś bezpieczny. Przestępcy nie powinni się tobą więcej interesować, bo twoja znajomość nieboszczyków im nie zagraża. Nie będziesz miał więc kłopotów, chyba że jacyś złodzieje znowu zwrócą się do ciebie o pomoc, a ty znowu ukryjesz to przed policją.

Rozdział 25

W drodze powrotnej potężnie bujało. Stary wysłużony prom kołysał się, trzeszczał i przechylał niebezpiecznie na boki. Pomyślałam o Jorgosie i jego wielomiesięcznych rejsach. Wyobraziłam sobie trudy marynarskiego życia mojego męża i ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Zateśniłam za nim.

Ledwo utrzymywałam się na nogach. Marzyłam, żeby wreszcie przestało kołysać. Powoli, bardzo powoli po kilku godzinach morze się uspokoiło i zza chmur wyjrzało słońce. Jako szczęśliwi posiadacze biletów pierwszej klasy, obdarzeni przywilejem korzystania z niewielkiej restauracji promowej, natychmiast przystąpiliśmy do leczenia choroby morskiej mocną kawą i papierosami. Na promie było niewielu pasażerów. Nasi współtowarzysze niedoli sadowili się przy sąsiednich stolikach z podkrążonymi oczyma i ze szczególną szarozieloną karnacją. W przeciwieństwie do nas ich menu ujawniało rozsądek i wiedzę, jak się zachować w takiej sytuacji.

– Poproszę herbatę, najlepiej zieloną – zgłaszał nierealne życzenie jakiś Anglik.

– Nie smakuje mi ten cholerny papieros – skarżył się Tasos.
– Coś jest z tą paczką nie tak – dowodził z przekonaniem. Oglądał napoczętą karelię z odrazą. – Jakie są twoje wrażenia?

Nie miałam żadnych.

Zaciągnęłam się tylko raz, za to z piorunującym skutkiem. Gdy poczułam, że zaraz zwymiotuję, wrzuciłam papierosa do popielnicy i pobiełam do toalety. Przerazona zobaczyłam swoje wymęczone, pobladłe oblicze.

– O Jezusie, jak ja wyglądam – jęknęłam i ochlapałam twarz lodowatą wodą. Ktoś otworzył drzwi i w lustrze, przed którym stałam, mignęła mi z tyłu postać Jurka Kostkowskiego. Dałabym

głowę, że to był on! Musiałam to sprawdzić. Rzuciłam się do drzwi. Potykając się o chudą blondynę w kompletnie zarzyganej różowej bluzce, wyskoczyłam na pusty pokład. Musnął mnie przyjemny chłód morskiej bryzy.

Mijaliśmy klifowe wybrzeże małej skalistej wysepki. O złym samopoczuciu podróżnych najlepiej świadczył brak zainteresowania okolicznymi atrakcjami turystycznymi. Mimo pięknych widoków po przedpołudniowych sensacjach nikt nie ryzykował spaceru po pokładzie. Coś mi się przywidziało, pomyślałam.

– Zresztą to nie moja sprawa, co zrobią ze swoim życiem – mruknęłam.

Dręczona nudnościami wybrałam pragmatyczną postawę i czym prędzej zeszałam z pokładu.

W barze, pod moją nieobecność, do Tasosa dosiadła się anglojęzyczna cudzoziemka w skórzanej krótkiej spódniczce. Rozczarowana moim powrotem, opuściła miejsce przy stoliku.

Odchodząc, powiedziała do niego „See you later” i uśmiechnęła się obiecująco.

– Co za nogi! Angielka? – zapytałam.

– Nie. Szwedka – odpowiedział.

– No to masz fart – podsumowałam.

– Dlaczego? – zapytał rozbawiony.

– Szwedki są bardzo słowne. Taka obietnica w jej ustach to prawie propozycja – kpiłam. – Jak się czujesz? – zapytałam na widok jego poszarzałej ze zmęczenia twarzy.

– Skoro znowu podobają mi się dziewczyny, to znaczy, że dobrze.

– Widziałam Jurka Kostkowskiego albo tak mi się przywidziało. – Zdarzenie w toalecie nie dawało mi spokoju.

– Nie przywidziało ci się. Był tu przed chwilą. Kupował dwie wody mineralne i dwie pizze na wynos. Kiepsko wyglądał.
– Tasos zasępił się.

– A to ci nowina – skomentowałam, obserwując twarze pasażerów. – To tak, jak wszyscy po tym sztormie.

– Nie. Nie tak, jak wszyscy. Jest bardzo chudy. Miał pogniecione i brudne ubranie. Wyglądał, jakby od kilku dni nie spał. Z jego pewności siebie też niewiele zostało. Warto by z nimi pomówić. – Tasos rozglądał się po restauracji. – Chyba mają kłopoty.

– Myślisz, że tym razem będą chcieli z tobą szczerze porozmawiać? – W moim głosie było tyle niechęci, że od razu zaczął mnie przekonywać.

– Myślę, że nie, ale skoro są w kłopotach, to można spróbować. Taki moment jest najlepszy. Są jeszcze bardzo młodzi. Jeśli wplątali się w interesy z mafią, sami z tego nie wybrną. W obecnej sytuacji to droga donikąd albo po śmierć – dodał cicho.

– Jako słabsze ogniwo typowałabym do tej rozmowy Janka. Jest bardzo delikatny. – Miałam słabość do tego smarkacza.

– Jest rzeczywiście łagodniejszy i mniej uparty od Jurka, ale nie zapominaj, że znajduje się pod wpływem brata. Uważam... – Tasos nie dokończył zdania, bo nagle odezwał się jego radiotelefon. – No nareszcie! – ucieszył się. – Może tym razem złapię zasięg! – krzyknął i mijając w drzwiach lokalu Sotirisa, wybiegł na pokład. W lustrze nad barem obserwowałam, jak rozstawia sprzęt, a potem rozmawia, usiłując wolną ręką zapalić papierosa.

Jest uzależniony, stwierdziłam. Chyba powinnam z nim porozmawiać.

Skoro zostałam sama, zapraszającym gestem wskazałam miejsce przy naszym stoliku plątającemu się po pokładzie Sotirisowi. Uśmiechał się do mnie przez szybę, ale zamiast mojego towarzystwa wołał chyba obejrzeć policyjny radiotelefon. Do baru panowie weszli obaj dopiero wtedy, gdy Tasos skończył rozmowę.

– Witaj, Klaro! – Sotiris pokazał mi w uśmiechu brzydkie żółte zęby. – Kiepska pogoda na wycieczkę. Nie sądziłem, że spotkam znajomych w drodze na Toros.

– No właśnie. Też się nie spodziewaliśmy – powiedział mój kolega i znowu zaczął szukać po kieszeniach papierosów. – Tymczasem jest nas tu sporo. Przed chwilą widzieliśmy nawet twoich przyjaciół, Jurka i Janka – zagadnął restauratora.

Sotiris osłupiał.

– I co się tak dziwisz? Bracia wracają na Toros. – Zirytowany Tasos nie mógł znaleźć paczki papierosów.

– Dziwię się, bo spotkałem ich dwa dni temu w Atenach i mówili o powrocie do Polski, a nie na Toros. – Sotiris wyciągnął swoje karelie i podsunął je po blacie stołu w kierunku Tasosa.

– Czy ktoś ci już mówił, że za dużo palisz? – Patrzyłam z dezaprobatą, jak Tasos zapala podarowanego mu papierosa.

Roześmiał się.

– Wiem o tym, ale dziękuje, że mi przypomniałaś. Poprawię się już wkrótce. Myślę nad tym – powiedział, zaciągając się z rozkoszą. Wydmuchiwał wokół siebie z upodobaniem błękitne obłoki dymu i kształtne niebieskie kółka.

– Marnie to widzę. A zamiast rozmyślań zalecam ci do tego papierosa kolację w miejsce kolejnej kawy.

Okazało się, że w promowym barze, oprócz kawy i coca-coli, jest tylko pizza. Wobec tak obszernego menu pozostaliśmy przy herbatnikach, które znalazłam w torebce.

– Znowu sprawdzacie Kotopulosa? – Pytanie towarzyszące nam Sotirisa padło jak grom z jasnego nieba.

Tasos aż podskoczył na krześle. Uświadomił sobie, że jego rozmowa na pokładzie była bardzo głośna.

– Ostatnio w kawiarni przyjmowałem zakłady. Typowaliśmy złodzieja ikony. – Sotiris ironizował niezrażony brakiem naszej reakcji. – On bije rekordy popularności. Obstawiali na niego nawet jeden do dziesięciu.

– Poszaleliście? – wściekłam się. – Jak można się tak ohydnie zabawiać?

– Można, ale to nie jest zabawa dla kobiet. – Zainkasowałam lekceważące spojrzenie.

W oczach Tasosa pojawiły się niepokojące błyski. Jeśli Sotiris chciał sobie takim zachowaniem wobec mnie zjednać jego przychylność, popełnił błąd.

– Nie lubisz Kotopulosa? – zapytał agent Interpolu, przyglądając się rozmówcy bez uśmiechu. – To tak jak ja – dodał zaraz pojednawczo i zgodnie z prawdą.

– Trudno go polubić. Nie zdążyłem go nawet poznać. Pan profesor nie zadaje się z pospółstwem. – Złośliwy grymas wykrzywił twarz Sotirisa. – Mieszkał u mnie w hotelu przez pewien czas, ale prawie go nie widywałem. Nie jada śniadań jak Grecy, a kolację kazał sobie przynosić do pokoju. Znikał na całe dni. Wychodził wcześniej rano, a kiedy wracał, od razu zamykał się w pokoju. W końcu zniknął na dłużej i wrócił tylko po to, żeby zabrać bagaże i przenieść się do klasztoru. Wtedy poznałem Janka i Jurka. – Restaurator uzupełnił swoją opowieść. – Przenosili bagaże wielmożnego pana. Cały czas ich strofował i pouczał, a na koniec zapłacił za przeprowadzkę całe pięć dolców. – Sotiris wybuchnął tak głośnym i prostackim śmiechem, że staliśmy się obiektem zainteresowania pozostałych

gości baru. – Jest pedantem. – Wnuk Waggielisa klepał się po kolanach z uciechy. – Podobno jego pokój wyglądał tak, jakby nikt w nim nie mieszkał – kpił bezlitośnie z historyka. – Sam sprzątał łazienkę i ścielił łóżko na kancik. Na nocnej szafce miał budzik nastawiony stale na czwartą pięćdziesiąt. Nawet moje sprzątaczkę sypiają dłużej.

– Domyślasz się, co on robił o tak wczesnej porze? – dopytywał Tasos. Byliśmy zakłopotani zachowaniem Sotirisa, ale słuchaliśmy tego, co mówi, z wielkim zainteresowaniem.

– Trudno powiedzieć, bo o świcie wszyscy w hotelu jeszcze spali. Było po sezonie. Żeby dobudzić recepcjonistę jesienią, trzeba mieć ważną sprawę i dużo cierpliwości.

– To znaczy, że nie wychodził z hotelu? Że pracował w pokoju?

– Nie, wcale nie. – Sotiris bawił się, łamiąc na drobniutkie kawałeczki wykałaczkę, którą wyciągnął z kieszeni.

Jest bardziej nerwowy, niż można by sądzić, myślałam, obserwując go.

Czekaliśmy na dalszy ciąg opowieści o Kotopulosie, ale wyglądało na to, że Sotiris stracił zainteresowanie tematem. Gdy na pokładzie pojawili się pierwsi pasażerowie objuczeni bagażami, nie spuszczał oczu z trapu. Nasza podróż dobiegła końca. Nikt znajomy nie schodził na ląd, jeśli nie liczyć długonogiej Szwedki ślącej Tasosowi zachęcające uśmiechy. Przystojny pan inspektor udawał, że nie widzi zaczepki rozpalonej skandynawskiej piękności, i unikał mojego wzroku. Gdzieś tam, na Toros, czekała na niego Ewa. No pewnie, że jej nie powiem, uśmiechnęłam się do swoich myśli.

Gdy straciliśmy już nadzieję na dokończenie rozmowy o historyku, Sotiris nagle znowu się odezwał:

– Kotopulos mógł pracować o każdej porze poza hotelem – wyjaśnił nam. – Nasze drzwi wejściowe mają zatrzask, więc w każdym momencie można wyjść. Dokumenty gości przechowujemy w recepcji. Tylko wrócić się nie da niepostrzeżenie. Chyba że o szóstej rano, bo wtedy zmieniają się portierzy – dokończył swoją opowieść.

Prom powoli pustoszał. Znaczące spojrzenia obsługi baru zmusiły w końcu i nas do opuszczenia lokalu i wyniesienia z kajuty naprędce spakowanych bagaży. Pożegnaliśmy się przedtem z Sotiridem, a na ląd zesliśmy ostatni, odprowadzani ciekawskimi spojrzeniami marynarzy.

Na nabrzeżu, tuż obok trapu, czekał na nas roześmiany, wsparty o radiowóz Kostas. Wykazał się niezwykłą zapobiegliwością i troską o nas, jeśli wziąć pod uwagę to, że komisariat na wyspie był tuż za rogiem.

– A niech go! Dobrze, że nie wjechał na pokład – mruknął niezadowolony Tasos.

Na widok naszego kolegi moje myśli zaczęły znowu krążyć wokół Kotopulosa. Rozmowa przez radiotelefon i ostentacyjne powitanie na przystani obiecywały nowe informacje. Zastanawiałam się, czy Kostas ma powody do triumfu. Jeszcze jedna rzecz nie dawała mi spokoju. Na ląd jak dotąd nie zesli bracia Kostkowscy. Nigdzie nie było ich widać. Jakby się rozpułnili w powietrzu. Sotiris twierdził, że wyjechali do Polski. Czy to znaczy, że ich podróż promem była wytworem naszej wyobraźni? Czyżbyśmy się oboje z Tasosem aż tak pomylili?

Rozdział 26

– Wszystko już wam opowiedziałem, panie komendancie. Nie znam gościa. Gdybym wiedział, że będziecie mnie nachodzić, nie zgłosiłbym się, żeby zeznawać. Po co było przysyłać po mnie radiowóz? No po co? – rozżalił się chłopak. – Taki wstyd! Cała wieś wyszła na drogę, żeby oglądać, jak mnie wiozą. Pewnie teraz ludzie myślą, że jestem złodziejem – denerwował się nasz młody gość. – Po co mi te kłopoty?

W pokoju czuć było świeże siano i zapach koziej fety.

– Zapalisz papierosa? – zapytał Kostas pojednawczo i wyciągnął paczkę kareli. – Widzisz, Sarantis, szukaliśmy cię od kilku dni – tłumaczył mu cierpliwie – bo trzeba spisać twoje zeznanie, a w sylwestrowy poranek nikt nie miał do tego głowy. Wyszedłem na chwilę. Tylko pół godziny nie było mnie w biurze – wyburczał szef komisariatu, patrząc na nas znacząco – i wypuścili mi bez spisania zeznań takiego ważnego świadka. – Zgromił spojrzeniem stojącego w drzwiach Nikosa. – Jak człowiek czegoś sam nie zrobi, to... ech... – westchnął i pokręcił głową z dezaprobatą. – To, co opowiedziałeś dyżurnemu, chłopie, jest bardzo ważne – zwrócił się znowu serdecznie do siedzącego w biurze chłopca. – Ale potrzebujemy jeszcze kilku szczegółów, żeby aresztować gościa. A przede wszystkim musimy spisać twoje zeznanie. Pojechaliśmy za tobą w góry, to prawda, bo sprawa jest pilna. No, może z tą syreną to chłopcy trochę przesadzili. – Znowu łypnął znacząco w stronę drzwi, gdzie wciąż stał Nikos. – Fakt. Głupio wyszło – tłumaczył się. – A może ty byś się, dzieciaku, kawy napił? – Kostas wyraźnie zabiegał o przychyłność młodzieńca.

Chłopak siedział na brzeżku krzesła i ścisnął oburącz wełnianą podniszczoną czapkę.

– Czego teraz ode mnie chcecie? – przerwał Kostasowi. Spod długich i pięknych jak u dziewczyny rzes posyłał mu nieufne spojrzenia.

– Opowiedz nam jeszcze raz, co widziałeś tamtej nocy. Tylko dokładnie, a my to zanotujemy. Podpiszesz zeznanie i nie będziemy cię więcej niepokoić. – Kostas był bardzo przekonujący.

Tasos, po powrocie z Aten, znowu pojawił się w pracy pod krawatem i w wyglansowanych lakierkach. Lekka mgiełka jego wody kolońskiej Adidasa i zapach kóz, który mimowolnie roztaczał wokół siebie siedzący w biurze pasterz, były zapowiedzią trudności we wzajemnej komunikacji. Dzieciak patrzył na niego nieufnie i z niechęcią.

– Kiedy to było? Przypomnij nam jeszcze raz. – Kostas przyniósł krzesło i usiadł obok świadka.

– Wcześniej rano, pierwszego listopada – zaczął zeznawać naburmuszony chłopak.

– Skąd wiesz tak dokładnie? Nie szkodzi, że już o tym opowiadałeś – uprzedził jego wątpliwości. – Jeszcze raz. Powtórz wszystko jeszcze raz – zachęcał, starając się skupić na sobie jego uwagę.

– Dzień wcześniej byłem na pogrzebie tego mężczyzny, którego śmiertelnie pobito w cerkwi na wzgórzu. To było następnego dnia o świcie. – Sarantis przestał wreszcie oglądać lakierki Tasosa. Uspokoił się i skoncentrował na pytaniach.

– Która mogła być godzina? – Rozmówca nie spuszczał z niego oczu.

– Około szóstej dwadzieścia, bo powoli dniało. Co dzień wstaję wcześniej. Po wysokości słońca mniej więcej wiem, która jest godzina.

– Co robiłeś? Po co tam poszedłeś o świcie?

– Szukałem owcy, którą zgubiłem wieczorem. Wróciłem z pogrzebu późno i kiedy zapędzałem zwierzęta do zagrody, było już ciemno. Kozy były wszystkie, ale po przeliczeniu owieczek okazało się, że jednej sztuki brakuje.

– Zdarzało się tak już wcześniej?

– Tak. Zazwyczaj udaje się odnaleźć zgubione zwierzę i dlatego poszedłem następnego dnia o świcie przeszukać tereny wypasu. Owca zaplątała się w kable, które ktoś porzucił koło cerkwi w niskich ciernistych krzakach. Była poraniona. Kiedy ją uwalniałem z drucianych zwojów, w których o mało się nie udusiła, zaczęła przeraźliwie beczeć. Zaraz potem go zobaczyłem. To wszystko.

– Co wszystko? – zdenerwował się policjant. – Co wszystko? Opowiedz nam, jak wyglądał.

– Taki starszy. Mały, chudy, rudy i w ogromnych żabich okularach. No, jak... – Sarantis szukał porównania – jak denka butelek.

Kostas posłał Tasosowi piękny uśmiech.

– I co powiesz? Czy to może być pomyłka? No, przyjacielu! Jesteś mi dłużny metaxę! – rzekł do londyńczyka.

– Świetnie, że do nas przyszedłeś! Koniecznie nam powiedz, co ten gość tam robił. – Tasos w dwóch susach przesadził pokój. Poklepał chłopca po ramieniu, wyciągnął paczkę marlboro w jego kierunku i pokonując tym przyjaznym, męskim gestem wzajemne uprzedzenia, usiadł na dostawionym krześle. Siedzieli teraz obok siebie. Światowiec w lakierkach i pastuch pachnący trawą i owcami. Obaj byli Grekami. Co za widok! Mały poczuł się doceniony. Zadowolony zaczął się przykladać do zeznań.

– Zastanów się dobrze. Co on tam robił? – Tasos powtórzył swoje pytanie, a Sarantis bez zastanowienia odpowiedział:

– Nic. Wydawało mi się, że uciekał.

To była odpowiedź, na którą inspektor z Londynu czekał. Nic dziwnego, że promieniał. Oczy mu błyszczały. Po raz pierwszy od kilku dni na jego twarzy zagościł uśmiech.

– Ale dlaczego uciekał? Przed czym albo przed kim?

– Z cerkwi. Zakładał kłódkę, a ona spadała mu pod nogi. Nie miał klucza, a chciał ją koniecznie założyć tak, żeby nie było widać, że ktoś był w kościółku. W końcu mu się udało i utykając – popatrzyliśmy na siebie – oddalił się szybko w kierunku klasztoru.

– Wszedłeś tam, kiedy... kiedy już uciekł? Do cerkwi? – Patrzyliśmy na niego w napięciu.

– Nie. Bałem się, bo nie wiedziałem, co on tam zmalował. Nie chciałem, żeby mnie posądzono potem o coś, czego nie zrobiłem. Poza tym miałem własne kłopoty. Gdybym nie miał na rękach owcy i gdybym się nie bał, to może bym wszedł do kościółka – mówił bez przekonania.

– Zauważył cię? – dopytywaliśmy z niepokojem.

– Nie.

– Na pewno nie?

– Na pewno. Nie spodziewał się, że ktoś może tam być o świcie. Nie rozglądał się. Nawet jeśli usłyszał kwik owieczki i to go zdenerwowało, nie miał powodu przypuszczać, że obserwuję go z ukrycia. Tak jak już mówiłem, on nie uciekał przed kimś. On uciekał z cerkwi.

– Dlaczego nie zgłosiłeś się do nas wcześniej?

– Nie wiedziałem, co robić. Mam trudną sytuację, bo nie chcę, żeby mój pracodawca się dowiedział, że znowu zgubiłem owcę. – Chłopak patrzył na nas szczerze zmartwiony.

– Nie ma sprawy. O niczym nie wiemy. – Kostas poklepał go po ramieniu. – A co cię ostatecznie skłoniło, żeby tu przyjść? – zainteresował się.

– Nie co, tylko kto. Moja babcia.

Po tym oświadczeniu atmosfera w biurze zrobiła się bardzo miła. Młodzieniec rozbroił nas kompletnie. Tym prostym, prawie dziecięcym wyznaniem, okazując szacunek dla więzi rodzinnych, zdobył szturmem naszą sympatię. Wy tłumaczył też swoje postępowanie.

– Kiedy rozniosła się wieść, że w kościółku znowu zamordowano człowieka, zaraz po tamtym pogrzebie, byłem pewien, że to on jest mordercą – dopowiedział po chwili. – Bardzo się bałem. Pojechałem w góry do moich dziadków. To była trudna decyzja, ale rozważyliśmy wszystko po kolei, no... i jestem. – Patrzył na nas poważnie.

– Czy potrafisz rozpoznać i wskażesz pośród innych mężczyzn tego właściwego, jeśli zajdzie taka potrzeba?

Sarantis się skulił.

– Boisz się? – zapytałam ze zrozumieniem.

– Tak – odpowiedział szczerze. – Boję się go, ale zrobię to, tylko nie przyjeżdżajcie już po mnie więcej radiowozem w góry. – Jego głos przybrał na chwilę piskliwy, dziecinny ton.

Ile może mieć lat? Zastanawiałam się. Siedemnaście, może osiemnaście.

– Dobrze. Jasne.

Z trudem zachowaliśmy powagę. Kiedy skończyliśmy przesłuchanie, Tasos podszedł do niego i podał mu rękę.

– Nie musisz się bać. Tylko nikomu więcej nie opowiadaj o tym zdarzeniu. Podczas identyfikacji ten mężczyzna nie będzie cię widział.

– Tak jak w amerykańskich filmach? – Sarantis był podekscytowany obietnicą jak dziecko.

– Tak. Właśnie tak – zapewnił go agent Interpolu. – Świetnie się spisałeś. Ty fajny facet jesteś, Sarantis. – Mrugnął do niego.

– Panie komendancie! Mamy kłopot! – Do biura wtargnął nagle bez pukania zdenerwowany Nikos, który podczas przesłuchania dzieciaka, by uniknąć zasłużonych przytyków Kostasa, przezornie wymknął się z gabinetu.

Zza jego okazałych ramion spoglądała roznegliżowana Szwedka, którą spotkaliśmy na promie. Wpychała się do biura tak zawzięcie, że wyglądało, jakby siedziała posterunkowemu na plecach. Ostatecznie ominęła barczystą przeszkodę i nie czekając na naszą reakcję, podeszła do Tasosa. Uśmiechnięta wyciągnęła rękę na powitanie.

– *Hello! Hello!* Spotykamy się wcześniej, niż myślałam. Hellen Ottosson. Jestem dziennikarką ze Sztokholmu – przedstawiła się. – Robię reportaż o waszej wyspie i cudownej Madonnie z Toros na zamówienie „Newsweeka”. To teraz elektryzujący temat. Jak egipskie mumie faraonów. – Hellen lubiła się ubierać nietuzinkowo. Znowu miała krótką spódniczkę. Albo raczej w ogóle nie miała spódniczki. Jej kształtne biodra opinał wąski pasek białego materiału. Warto nadmienić, że był styczeń i nie byliśmy na plaży. Biuro wypełnił perlisty śmiech Szwedki i jej wyborny angielski akcent. – Przed chwilą przed cerkwią straciłam moją licencję, chociaż nigdzie nie było napisane, że nie wolno fotografować – paplała jak najęta. Rozglądała się w poszukiwaniu zwierchnika i oczywiście strój Tasosa upewnił ją, że dobrze wybrała.

– Proszę, niech pani siada.

Zaproszenie do biurka Kostasa rozczarowało zalotnicę. Siedząc przed nim, oczywiście nie spuszczała oczu z naszego przystojnego Anglika. Słyszałam, że Szwedki bywają nachalne, a mimo to byłam pod wrażeniem jej tupetu. Miałam przeczucie, że ten niezwykle dzień, jeden z ostatnich *Dhodhekaimero*, skończy się niespodzianką.

W biurze był tłok. Nasz młody świadek podpisywał zeznania, a Kostas rozmawiał ze Szwedką i pomagał jej wypełniać formularze. Nikos też jeszcze nie wyszedł. Zbierał brudne naczynia po popołudniowej kawie. Gdy Tasos usiłował mu podać szklankę z resztkami *frappé* ponad głową dziennikarki, naczynie, które potrąciła, zatoczyło w powietrzu efektowny łuk i wylądowało jej na kolanach. Resztki brunatnego płynu rozlewały się po jędrnych, muskularnych udach i kusej spódnicy seksownej Hellen. Panowie skoczyli na ratunek.

Nikos rzucił Tasosowi papierowe ręczniki, a ten padł na kolana przed Szwedką i układał na jej udach zwoje papieru, które miały pochłonąć kawę. Dziennikarka nieskrępowana śmiała się głośno, kiedy wycierał jej nogi, i żartowała zalotnie, że wypiorą wspólnie poplamioną spódnicę w jej hotelowym pokoju.

Wtedy w drzwiach stanęła Ewa. Czerwona od czubka głowy po sam dekolt czekała spokojnie, aż Tasos wytrze uda skandynawskiej piękności i stanie do niej przodem. Po skończonej akcji ratunkowej spojrzała mu przeciągle w oczy, a potem bez słowa wyszła. Nasz as wywiadu postął chwilę na środku biura z opuszczonymi rękami i z żalną miną, budząc powszechną wesołość, po czym ruszył do drzwi. Zanim wybiegł, krzyknął do Kostasa:

– Będziemy w kontakcie! Zdejmiemy Kotopulosa, zaraz gdy przyjdzie nakaz aresztowania! – I zniknął nam z oczu.

Rozdział 27

Historyk obudził się z krótkiej drzemki, gdy w okno jego celi uderzyła niedomknięta okiennica. Zimowy czas na Toros to deszcze i bezustannie wyjący po nocach wiatr. Kotopulos popatrzył w szybę i pomyślał, że to dobra pogoda, bo nie powinien nikogo spotkać. Wskoczył z łóżka i ubrany od stóp do głów stanął na podłodze. Przez moment nasłuchiwał, ale za drzwiami było cicho. Ułożył więc na pryczy zwinięty w rulon koc i przykrył wszystko wełnianą narzutą. Jeśli ktoś zajrzy do celi, będzie wyglądało, że śpię otulony po uszy, pomyślał. Przy takiej paskudnej pogodzie – wzdrygnął się – nikogo to nie zdziwi. Ojczulkowie są naiwni, choć w hotelu, u tego prostaka Sotirisa, było jeszcze lepiej, uśmiechnął się pod nosem. Każdy mógł wyjść niezauważony o świcie i wrócić po zmianie recepcjonisty. Kiedy po śmierci Lakisa rozpoznawał dla swoich mocodawców tereny wokół cerkwi, był w komfortowej sytuacji.

Swoją drogą, mnisi mogliby tu założyć jakieś ogrzewanie! Skostniały z zimna rozglądał się z niechęcią po skromnym wyposażeniu klasztornej celi. Chwała Bogu, że wyniosłem stąd wczoraj wszystkie moje rzeczy, myślał, rozcierając zmarznięte dłonie. Zmiana lokum jest konieczna. Jak można mieszkać zimą w takich fatalnych warunkach?

Na zewnątrz rozległ się grzmot.

– Cholera – przeklął pod nosem. Tym razem popatrzył z niepokojem w okno. – Tylko tego brakuje, żeby zaczęło padać. – Nerwowo zerknął na zegarek.

W porządku. Najważniejsze, że powinienem zdążyć, pomyślał z ulgą.

Zdecydowanym ruchem odchylił materac na swojej pryczy i wyciągnął ukryty pomiędzy deskami łóżka pistolet. Kupił go

zaledwie kilka dni temu. Teraz, oglądając niewielkie magnum, uświadomił sobie, że jeszcze nigdy nie strzelał do człowieka. Nie lubił broni, ale wyprawa w środku nocy do cerkwi napawała go niechęcią i lękiem. Przez chwilę ważył w ręku ciężki, groźnie połyskujący przedmiot, a potem schował go do kieszeni i ostrożnie wyszedł na korytarz.

Kotopulos był zmęczony i niewyspany. Ostatnio na ulicach miasteczka było tłoczno, gwarno i kolorowo. Atmosfera kończącego się okresu świąt ogarnęła całą wyspę. Dopiero przed północą zrobiło się cicho i spokojnie. Był szósty stycznia. Dzisiaj Fota, święto Objawienia Pańskiego, kończyła *Dhodhekaimero*, tradycyjny okres świąt Bożego Narodzenia. Duchowni poświęcili wody. Na kolejny rok demony zła miały zniknąć z powierzchni ziemi.

W protestanckiej Bawarii, gdzie się wychował, takiej tradycji nie było. Matka opowiadała mu o greckich zwyczajach, ale dopiero tutaj zetknął się z nimi po raz pierwszy. W duszy Kotopulosa odżyły jakieś dawno stłamszone uczucia i tęsknota za nią, choć nie pamiętał jej zbyt dobrze. Zmarła, gdy miał zaledwie kilka lat. Swojego ojca, który kojarzył mu się z generalskim mundurem i ochrypłym żołdackim wrzaskiem, szczerze nienawidził. To dlatego w dorosłym życiu, gdy tylko nadarzyła się sposobność, zamknął herr Müllera w domu starców i pod nazwiskiem matki wrócił do Grecji. Połączenie niemieckiego sposobu myślenia i greckiej wyobraźni przynosiło zadziwiające rezultaty w jego pracy naukowej i twórczości literackiej. Byłby szczęśliwym człowiekiem sukcesu, gdyby nie chorobliwa słabość do imponowania wszystkim i gromadzenia pieniędzy. Dawały mu złudne poczucie siły i pchnęły w związki z niebezpiecznymi ludźmi, którzy wykorzystali jego wiedzę i talent, a w końcu posłużyli się nim do przestępstw. Nie potrafił

się od nich uwolnić. Zawarł pakt do końca życia. Dla nielojalnych ten koniec, jak mógł się przekonać, nie był odległy.

Ponowne wezwanie do stawienia się w środku nocy w cerkwi trochę go zdziwiło, ale nie stanowiło problemu. Nie przypuszczał, by po kradzieży świętej ikony dostanie się do kościółka było trudne, jednak na wszelki wypadek zaopatrzył się w niewielki łom. Rozkaz nie zawierał szczegółowych informacji. Telegram wysłany z fikcyjnego adresu w Atenach zawierał krótkie, starannie zaszyfrowane polecenia. Roztrząsanie jego treści było zbędne. I tak musiałby spełnić żądania. Zresztą, zaraz się dowie, o co tym razem chodzi.

Historyk opuścił klasztor podziemnym przejściem, jak zwykle bez niespodzianek. Przedzierał się teraz do cerkwi wydeptanymi przez owce polnymi drogami po kolejne zadanie. Zazwyczaj gangsterzy uprzedzali go, czego od niego oczekują. Dostawał, przeważnie pocztą albo przez łącznika, sporo dodatkowych informacji i wskazówek. Tym razem było inaczej. Określono tylko termin, miejsce i godzinę spotkania. Na wspomnienie o tym, jak się skończyło ostatnio podobne zadanie, skóra cierpła mu na plecach. Namacał w kieszeni wydruk komputerowy ze szczegółami zleconej akcji.

Przysłali mi to przez łącznika, a teraz kazali przynieść na spotkanie? Czuję, czuję, że po zniknięciu ikony będą kłopoty. Całe szczęście, że nie zniszczyłem rozkazu zaraz po wykonaniu zadania, jak to zazwyczaj robię. Chcą nas rozliczyć? Chcą nam wmówić, że coś spapraliśmy? Podejrzewają nas? Przecież ten świstek to oczywisty dowód przestępstwa. Po co im to? Czego, u licha, znowu chcą? Zastanawiał się, czując na twarzy pierwsze krople deszczu. Denerwował się, bo kolejna wyprawa do cerkwi była bardzo niebezpieczna. Wyspiarze mieli na oku to miejsce i dlatego nie odważył się pójść najkrótszą,

dobrze wszystkim znaną drogą. Poza tym musiał się przekonać, czy nie jest śledzony.

Nie interesowały ich pozostałe ikony, myślał z niechęcią o szefach mafii. O co więc może chodzić tym razem? Denerwował się jak w dniu, kiedy okradał cerkiew. Wtedy też miał obawy. Przeciw rabunkowi świętego obrazu buntowała się w nim odziedziczona po matce, Greczynce, zabobonna część jego natury. Wszystko stało się jeszcze bardziej skomplikowane, kiedy w drodze do Aten ikona zaginęła. Od dnia, w którym się o tym dowiedział, dręczył go koszmar. Wciąż mu się śniło, że budzi się na podłodze zakrystii. Nie może się wydostać z zamkniętej cerkwi, a z ikonostasu spogląda na niego dobrotliwie uśmiechnięta Madonna z Toros.

Ciekawe, czy już ją odzyskali, zastanawiał się. Znając skuteczność ich metod – aż się skrzywił do swoich myśli – to tylko kwestia czasu.

Miał teraz inne zmartwienie. Znowu przyszło mu stanąć w miejscu wielu zbrodni, na wprost sprofanowanego, okradzionego templonu. Nie miał ochoty tam wracać. Bał się, bo nie wiedział, jakie wyzwanie czeka na niego tym razem. Przeklęty kościół, pomyślał i przeżegnał się. Przed drzwiami cerkwi zaskoczył go nagle drobny lodowaty deszcz i grad. Z nieba leciały ostre kawałki zmarzliny. Uderzając o ściany i kopułę cerkwi, robiły spory hałas.

W środku było jeszcze głośniejsze, bo budynek rezonował uderzenia kropli deszczu jak instrument muzyczny. Słysząc było setki stuknięć i szum wiatru. Kotopulos nie usłyszał, kiedy do cerkwi wślizgnął się umówiony z nim człowiek. W płomieniu świecy na ścianę za jego plecami wypełził powoli długi cień.

– No wiesz! Nie przypuszczałem, że się tak prędko spotkamy! – wykrzyknął szczerze ucieszony, gdy się odwrócił. –

Nie przejmuj się, zaraz zniszczymy wspólnie dowód naszego udziału w kradzieży. Tu, w tym samym miejscu. Natychmiast. Ulżyło mi, że to ty chcesz zobaczyć ten świstek – zapewniał rozbawiony.

Jednak gdy postać wynurzyła się w całości z mroku, z twarzy Kotopulosa zniknął uśmiech, a pojawił się grymas zdziwienia.

Rozdział 28

Całe popołudnie w moim salonie omawialiśmy wydarzenia na wyspie. W atmosferze wzajemnych pretensji nie stworzyliśmy nowej koncepcji prowadzenia śledztwa. Wręcz przeciwnie. Było coraz gorzej, bo do głosu dochodziły emocje.

– Masz obsesję na punkcie Kotopulosa. Nie wierzę, że jest winien tych wszystkich zbrodni. – Kostas krytykował sposób prowadzenia śledztwa. Miał pretensje do zwierzchnika z Aten, który skoncentrował wszystkie działania policji na dziwnym historyku.

– Zgromadzone przez nas informacje i zeznania naocznego świadka doskonale się uzupełniają. – Tasos bronił swoich koncepcji. – Dlaczego nie chcesz uznać oczywistych faktów? Kotopulos i Lakis mieli rozliczenia finansowe. Obaj działali w jednej organizacji przestępczej. Nie wiemy, o co poszło, ale jest prawdopodobne, że Kotopulos wykonał wyrok, który na Lakisa wydała mafia. Na podstawie zeznań Anny Margaritis możemy przypuszczać, że Stawros z materiałów zgromadzonych w komputerze Lakisa dowiedział się o działalności przestępczej syna i o jego kontaktach. Zmusił historyka do spotkania w cerkwi. Czy podejrzewał Kotopulosa o zabójstwo syna, czy tylko winił za współpracę w organizacji przestępczej, nie dowiemy się już nigdy. Zginął, bo za dużo wiedział. To prawdopodobnie kolejna zbrodnia, która miała usunąć z drogi mafii niewygodnego świadka. – Tasos przerwał na chwilę i sięgnął po kolejną puszkę piwa. – Nie zaprzeczysz chyba – kontynuował – że to Kotopulos zamordował Stawrosa. Mamy przecież naocznego świadka. Chłopak widział Kotopulosa uciekającego z miejsca zbrodni.

– Tak, ale oba morderstwa wyglądały inaczej, niż je opisujesz. – Kostas zerwał się z sofy i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. – Moim zdaniem to zbrodnie w afekcie. W obu przypadkach nie widzę scenariusza typowego dla zabójstw planowanych przez organizację przestępczą. Lakis zginął w wyniku pobicia, a Stawros od ciosu włócznią, która akurat była pod ręką. Członkowie mafii w takich sytuacjach przychodzą przygotowani na spotkanie, a przede wszystkim uzbrojeni! Moim zdaniem w obu przypadkach wydarzyło się coś nieoczekiwanego, a zbrodnie nie były planowane.

– To może mi jeszcze powiesz, że nie zaplanowano też kradzieży? Może to też była improwizacja? – Tasos z trudem panował nad emocjami.

– Nie mieszaj dwóch różnych spraw i nie czepiaj się! – Kostas był wściekły. – Oczywiście, że kradzież była zaplanowana ze szczegółami i bezbłędnie przeprowadzona. Profesjonalna robota – mruknął pod nosem prawie z podziwem. Teraz i on otworzył kolejną puszkę piwa, ale tak energicznie, że wystrzeliła pianą na podłogę. – Na podstawie relacji Sotirisa przypuszczamy, że kradzież przygotował Kotopulos zaraz po tym, jak zginął Lakis, a historyk zamieszkał w jego hotelu – mówił dalej, przyglądając się bezzadnie kałuży złocistego płynu na marmurowej posadzce. – To bardzo prawdopodobne. W to akurat wierzę w stu procentach. – Wymachiwał Tasosowi rękami przed nosem.

Trzeba natychmiast ugasić ten pożar, myślałam, obserwując z niepokojem gniewne błyski w oczach obu panów.

– Ale przecież nie dokonał tej kradzieży sam. – Kostas dowodził dalej z pasją, nie dopuszczając nikogo do głosu. – Nie ukradł też mafii ikony, co jest przyczyną ostatnich zbrodni. Nie

miał ku temu sposobności. Jeśli za wszystko zło odpowiada sam Kotopulos, to gdzie jest cudowny obraz? No gdzie?

Teraz Tasos zerwał się z kanapy.

– Zaraz. A kto mówi, że Kotopulos jest jedyną osobą odpowiedzialną za wszystkie przestępstwa? – Nerwowo szukał wokół siebie nieodłącznych papierosów. – Ja? Ja? No ja? – powtarzał rozdrażniony, bijąc się w piersi. – Uważam tylko, że jest główną postacią w tej sprawie. To wszystko. Nie wmawiaj mi niczego!

– To miała być narada, a nie kłótnia. Uspokójcie się! Nawet psy zachowują się rozsądniej od was – wtrąciłam. Miałam dość narastającej agresji.

Psy rzeczywiście zachowywały się rezolutnie. Od rana leżały przed kominkiem, a teraz usiadły obok sofy zaniepokojone burzliwą atmosferą dyskusji. Ich kudłate pyski odwracały się miarowo to w jedną, to w drugą stronę, w kierunku głośniejszego krzykającego rozmówcy. Klaudiusz przestraszony podkulił pod siebie ogon, a Tyberiusz, jak większość dużych psów, rozważał możliwość interwencji na wypadek rękoczynów.

– Czy macie nakaz aresztowania Kotopulosa? – zadałam istotne pytanie, przerywając kłótnię i przywołując ich do porządku.

– Mamy z tym pewne problemy – wymamrotał niewyraźnie Kostas.

– Ach tak. No to macie poważne, a nie pewne problemy – powiedziałam zniecierpliwiona bezcelową dyskusją. – Siadać mi tu, bo się zaraz pobijecie! – zażądałam.

Byli tak zaskoczeni moim tonem, że przestali się kłócić i posłusznie usiedli na sofie.

– Po fiasku ostatniego aresztowania Kotopulosa szef czeka na opinię prokuratora generalnego przed podjęciem decyzji o kolejnym zatrzymaniu. To trochę potrwa – wyjaśniał Tasos.

– To znaczy? – dopytywałam natarczywie.

– Kilka dni – westchnął Kostas. – Nic się nie dało zrobić.

– Fatalnie. To fatalnie – powtórzyłam dobitnie. Rozpaczliwie szukałam w myślach rozwiązania.

– Jest na wyspie i pod stałą obserwacją. – Nasz wyspiarz bagatelizował moje obawy.

– A może areszt tymczasowy? – Nie pozwoliłam mu dokończyć.

– Na jakiej podstawie? – zdziwił się. – Przed ostatecznym osadzeniem go w więzieniu nie możemy zdradzić, co na niego mamy. Mafia to machina przestępcza – tłumaczył, a Tasos, o dziwo, przytakiwał. – Trudno przewidzieć, jak mogliby taką wiedzę wykorzystać. Areszt tymczasowy to ryzykowne posunięcie, jeśli nie mamy pewności, ile czasu potrwa oczekiwanie na decyzję prokuratora. Tymczasem świadek nie widział zbrodni, a jedynie ucieczkę Kotopulosa z miejsca przestępstwa. To obciążające zeznanie, ale dla oskarżyciela to nie jest dowód.

– Tak – przyznał Tasos. – Chociaż zwlekanie z aresztowaniem jest dla nich korzystne. Nic nie możemy zrobić.

Przynajmniej raz byli jednomyślni. Tyberiusz podszedł ostrożnie do płamy z piwa i elegancko ją wylizał.

– No, stary, witaj w klubie – odezwał się Kostas i pierwszy raz tego dnia się roześmialiśmy. – Byłaby z ciebie niezła gosposia. – Poklepał psa poufale po pysku i odskoczył, gdy ten warknął niezadowolony. – Myślałem, że mnie lubi. – Zerknął na mnie zdziwiony.

– Niektórzy tak myślą – przytaknęłam, uśmiechając się pod nosem.

– Ugryzł już kogoś? – zapytał Kostas. Patrzył niepewnie na Tyberiusza, który znowu przyjaźnie machał do niego ogonem.

– Od kiedy tu mieszka, nie – odparłam wymijająco i zawołałam psa. Zbliżył się do mnie, ale usiadł w pewnej odległości, jak zwykle, połowicznie spełniając moje polecenie.

– Niezależna bestia – gwizdnął z podziwem Kostas.

– Słucha kogoś? – zainteresował się Tasos.

– Wyłącznie mojego męża Jorgosa – odparłam z ubolewaniem, a Tyberiusz szczechnął natychmiast, gdy usłyszał jego imię.

– O, kochany... To ty mądry jesteś. Oj, mądry! – wykrzyknęli obaj Grecy, szczerze zachwyceni, chociaż pies przestał się już nimi interesować. Ułożył się znowu przed moimi nogami, obok Klaudiusza, i zasnął.

– Więc co zamierzacie zrobić w tej chwili w sprawie Kotopulosa? – podjęłam przerwana dyskusję, zdeterminowana, by nie dopuścić do kolejnej kłótni.

– Klasztor jest obserwowany dzień i noc. Kotopulos nie opuści Toros, a każda osoba, z którą się skontaktuje, będzie tak samo podejrzana jak on. Nie mieliśmy dotąd informacji od naszych zwiadowców, żeby się z kimś spotykał albo opuszczał opactwo. Wszystko jest pod kontrolą. Bez nakazu aresztowania i rewizji w klasztorze nic więcej nie możemy zrobić.

– A jakieś nowe wiadomości z Aten? – przerwałam Kostasowi, bo przypomniałam sobie nagle o moim spotkaniu w kawiarni Neon przy placu Omonia.

– Nie. Nie ma nic nowego. Przekazaliśmy do centrali, że prawdopodobnie namierzyliśmy człowieka mafii, o którym była mowa podczas spotkania w Atenach i że mamy go stale na oku.

Wysłaliśmy raport z opisem naszych ustaleń i poprosiliśmy, by poparli wnioski o nakaz aresztowania historyka. Lada chwila spodziewam się odpowiedzi. – Tasos swoim zwyczajem stanął przed kominkiem, by popatrzeć na roziskrzony polana.

Kiedy usłyszałam stukanie, w pierwszej chwili pomyślałam, że to Tula przybija coś na górze, jednak zaraz potem rozległ się tupot jej nóg na schodach.

– Klaruniu, co ty? Nie słyszysz? – Była zdziwiona, gdy weszła do salonu. – Ktoś się dobija do drzwi. – W rękę trzymała tacę pełną ciastek. Postawiła ją na stole obok kominka i po chwili wprowadziła do pokoju przemoczonego i zmarzniętego Nikosa.

– Co się stało? – zapytał Kostas, przyglądając się mu z niepokojem.

– Jest nakaz rewizji i aresztowania Kotopulosa. Przyszedł przed chwilą – mówił Nikos z ponurą miną. – Mamy też odpowiedź z centrali. – Wyciągnął z kieszeni pognieciony faks.

Kostas wyrwał mu dokument i podekscytowany przeczytał:

– Zgoda na wszystko. Zgłosimy się po niego wkrótce. To może być przełom. Gratulacje.

– Fantastycznie! – ucieszył się Tasos. – Nareszcie!

– Neeee – powiedział Nikos.

– Nie? Co nie? Zdejmujemy gościa i to zaraz! – Agent Interpolu dwoma susami przeskoczył przez pokój i gotowy do wyjścia stanął w progu obok Nikosa. – O co ci chodzi? Czekałem na ten moment trzy miesiące. Cieszę się, że możemy wreszcie aresztować tego drania.

– Nie możemy, bo nie ma go w klasztorze. – Nikos głośno przełknął ślinę. – Nie ma go – powtórzył bezradnie.

Rozdział 29

– Nie zniknął, panie komendancie, a wyprowadził się. Tak. Właśnie tak było – poprawił Kostasa ojciec Temistokles. – Uprzedził nas, że się wyprowadzi, jeśli nie włączymy ogrzewania. No, a my – zawahał się – no cóż, nie mogliśmy tego zrobić. Nawet dla niego. – Przez sympatyczną i opromienioną uśmiechem twarz mnicha przemknął cień smutku.

– Nie stać was na opał – bardziej stwierdził, niż zapytał współczującym tonem Tasos.

Ojciec Temistokles budził wyłącznie przyjazne uczucia. Patrzył teraz na gościa zdziwiony. W starym, przetartym wokół rękawów habicie, z gołymi nogami obutymi w sandały, puciołowaty i promiennie uśmiechnięty, przypominał cherubina z barokowych ołtarzy. Jego twarz o pałających dobrocią oczach okalała burza kręconych, lekko siwiejących włosów.

– Ależ nie, zupełnie nie o to chodzi, synu – powiedział zasepiony mnich. Podobnie jak jeszcze niedawno Nikos, duchowny tylko Kostasa traktował z szacunkiem i atencją cechującą kontakty obywateli z ważnymi urzędnikami. Obecność Tasosa przy tej rozmowie była dla niego widocznie mniej istotna. Do agenta Interpolu zwracał się pobłaźliwie. – To, synu, że mamy mało pieniędzy, oczywiście jest problemem – tłumaczył mu jak dziecku. – Wielu rzeczy musimy sobie odmawiać, ale przecież na szczęście Bóg obdarzył nas powołaniem. – Znowu się uśmiechnął. – Pan Kotopulos uprzedził nas kilka dni temu, że się wyprowadzi, jak już mówiłem, no i zrobił to. A ogrzewania – kończył wreszcie swój przydługi wywód – to tutaj po prostu nie ma, panie komendancie – mówił do szefa miejscowego komisariatu. – Obiekt klasztorny,

jak widać, jest bardzo stary. Życie w ascezie to nasza misja – powiedział dumnie.

– Hm – mruknął zakłopotany Tasos. Aż takie poświęcenie chyba nie mieściło się w jego koncepcji szczęśliwego życia.

– To pewnie pan Kotopulos powiedział też, dokąd się wyprowadza. – Kostas podjął temat, zadowolony z okazywanego mu szacunku.

– A nie. Nie powiedział – odparł spokojnie mnich. – On jest specyficznym człowiekiem, takim surowym i zamkniętym w sobie. Tak bym to nazwał. – Ojciec Temistokles starannie dobierał słowa.

– Tak – wtrącił niepotrzebnie nasz niesforny kolega z Aten. – Ja bym to inaczej nazwał, ale ojca rozumiem. Jednym słowem ten antypatyczny typ nie rozmawiał z wami szczegółowo o swoich planach – podsumował.

Mnich kiwał potakująco burzą pięknych loków.

– To może chociaż zauważyliście, kiedy wyniósł swoje rzeczy, bo ja tu nie widzę żadnych bagaży. – Rozglądałam się po skromnie urządzonej celi.

– Nie widzieliśmy, niestety. – Temistokles był coraz bardziej zakłopotany, że nie może nam pomóc. – Pan Kotopulos ma nietypowe przyzwyczajenia co do długości snu.

Tasos uśmiechał się dobrotliwie, mrużąc cicho i zjadliwie pod nosem:

– Jak każdy złodziej. – Odetchnął głęboko i podjął: – Tak? A co to są za przyzwyczajenia? – zapytał głośno, oglądając równocześnie z zaciekawieniem podłogę celi. Przetarł marmurowe płyty w pobliżu stołu wierzchem dłoni i pokazał mi ją całą oblepioną kawałeczkami drewna z wykałaczki. – Sotiris? – mruknął do mnie.

– Sypia tylko do godziny czwartej czterdzieści pięć. – Ojczulek tymczasem opowiadał o historyku. – Nawet ojciec Apostolis sypia o czterdzieści pięć minut dłużej. – W oczach zakonnika pojawił się błysk uznania. – No i właśnie dlatego nie wiemy nawet, kiedy zabrał rzeczy. Nie zwierzał się ze swoich planów, a że nie śmieliśmy go o nic pytać... – Uroczy rozmówca nie dokończył i rozłożył bezradnie ręce.

– Kiedy widzieliście go po raz ostatni? – zapytał Kostas.

– Przedwczoraj wieczorem. Jadł z nami uroczystą kolację szóstego stycznia, przygotowaną na okoliczność święta Objawienia Pańskiego. Był podekscytowany. Mówił więcej niż zwykle i zadawał dużo pytań. Interesowały go greckie jasełka.

– Co zrobił później, po posiłku?

– Poszedł do swojej celi i najpewniej położył się spać.

– Czy to znaczy, że zorientowaliście się dopiero wczoraj, kiedy weszli tu moi ludzie, że nie ma go w klasztorze od tamtej kolacji? – Kostas był zdumiony.

– Tak, panie komendancie. Nie wiemy dokładnie, od jak dawna go nie ma, bo często znikał na dłuższy czas. Wyjeżdżał, a po kilku dniach wracał.

– Nie informował was nawet o tym, że przez pewien czas go nie będzie? – zdziwił się Tasos.

– Oczywiście, że nie. Był naszym gościem, a nie więźniem – obruszył się duchowny, a zaraz potem poczerwieniał po uszy.

– O ile nam wiadomo, nadzór policyjny nad nim skończył się już – dopowiedział niepewnie.

– A czy ktoś przychodził tu do niego? Czy ktoś go odwiedzał? – Tasos roztropnie nie podjął tematu nadzoru policyjnego nad historykiem. Zadał kolejne rutynowe pytanie i zaskoczony spostrzegł w oczach mnicha wahanie. – No, ojcie –

powiedział stanowczo. – Od twoich zeznań może zależeć życie wielu ludzi.

Temistokles osłupiał. Patrzył na policjantów oszołomiony i powtarzał:

– Życie wielu ludzi. Życie ludzi? Czy to możliwe?

– Tak – bezlitośnie uświadamiał go Tasos. – Właśnie tak. No więc? – nalegał. – Czy ktoś tu do waszego gościa przychodził?

– Wiele osób – odpowiedział mnich skwapliwie. – A kto was interesuje?

– Wszyscy i wszystko – padła stanowcza odpowiedź.

– Najczęściej odwiedzali go bracia Jurek i Janek z Polski. Pomagali mu w pracach konserwatorskich nad freskami ściennymi z okresu wielkiego Bizancjum. Trzeba przyznać, że wykonali dla nas wspólnie dużo dobrej pracy. Za darmo. Nie mogliśmy im zapłacić inaczej niż jadłem, winem i noclegiem, bo nie mamy pieniędzy.

Kiwaliśmy głowami z powagą i ze zrozumieniem.

– Ze dwa razy był u niego Sotiris. O coś się kłócili. Bóg mi świadkiem, że nie wiem o co, bo na dziedzińcu, gdzie najczęściej pracuję, nie słyhać, co się dzieje w celach. Za daleko – westchnął rozgoryczony, a my skutecznie pohamowaliśmy ogarniające nas rozbawienie.

Jak dotąd Temistokles nie wniósł do śledztwa nic nowego, a jedynie utwierdził Tasosa w jego podejrzeniach. Przejęty ostrzeżeniem agenta o zagrożeniu życia ludzi, w swoim opowiadaniu na temat Kotopulosa rozkręcił się na dobre.

– Raz – zawahał się – a może i ze dwa był u pana Kotopulosa sam Dimitris Samaras. – Nazwisko miejscowego milionera ojczulek wymówił z widoczną atencją. – No tak – zadumał się na chwilę – ale też nie mam pojęcia po co.

Krzyków, rzecz jasna, nie było, bo to wielki pan i potrafi załatwiać swoje sprawy kulturalnie. Wizyty trwały bardzo krótko. Wyglądało na to, że mają wspólne interesy.

Poczułam, że robię się czerwona. Ojciec Jany był ostatnim człowiekiem, po którym spodziewałabym się kontaktów z tym podejrzanym antypatycznym człowiekiem. Tymczasem mnich z przejęciem kontynuował swoją relację:

– Po jednym ze spotkań z panem Samarasem pojawił się pod wieczór w klasztorze jego zięć, Janis. – Temistokles zastanawiał się nad czymś, a potem dodał: – Nie zabawił długo. Przyniósł tylko jakąś paczkę. Był tu też ojciec Teodor – przypomniał sobie – jakiś miesiąc temu, ale nie zastał pana Kotopulosa. Rzadko gościmy popa, dlatego z przyjemnością posiedzieliśmy sobie z nim i pogadaliśmy przy winku. Teodor to zacny człowiek. Było bardzo miło. – Widząc nasze wyczekujące miny, duchowny podsumował: – Celu wizyty nie zdradził. Nie śmiałem go, rzecz jasna, o nic wypytywać.

Kostas aż gwizdnął.

– No nieźle, nikogo nam już nie brakuje. Toż to cała gromadka naszych świadków. Czy to wszyscy? – zapytał nasz kolega, bo mnich na chwilę zamilkł.

– Nie, nie wszyscy – odparł Temistokles zdziwiony, że ktoś mu przerywa.

Tasos podniósł ręce do góry i wykrzyknął niezadowolony do Kostasa:

– Nie wtrącaj się. Nie przerywaj, do cholery!

Na taki wybuch gniewu gospodarz zareagował zdziwieniem. Jego łagodna twarz spochmurniała. My też byliśmy zaniepokojeni zachowaniem naszego kolegi. Jego kłopoty sercowe przekładały się na pracę i stawały coraz większym problemem. Zdecydowanie nie był sobą.

– Przepraszam. Wybacz, ojciec. – Tasos zreflektował się natychmiast. – Od kilku dni mam problemy i chyba nie panuję nad nerwami. – Kajał się tak szczerze i żałośnie, że mnich uśmiechnął się wyrozumiale i poklepał go po ramieniu.

– Co nas nie złamie, to nas wzmocni, synu – pocieszył go i podjął przerwany wątek: – No więc przychodzili tu jeszcze obcy ludzie, których nie znam, na przykład turyści odwiedzający wyspę. Byli u niego ze dwa razy – kończył swoją relację.

– Przyszli zwiedzić klasztor i spotkali się z nim czy przyszli do Kotopulosa? – dopytywałam.

– Do niego. Przyszli do niego, a klasztoru wcale nie zwiedzali.

– Grecy czy cudzoziemcy?

– Raczej Grecy. Pan Kotopulos był bardzo przejęty tymi wizytami. Trwały długo, a podniesione głosy jego gości przez niedomknięte drzwi – popatrzył na nas znacząco – dochodziły aż do refektarza. To bardzo akustyczne wnętrza – znowu się tłumaczył. – Dźwięk roznosi się daleko, ale pogłos – westchnął – nie pozwala zrozumieć słów. – Mnich powoli zmierzał w kierunku otwartych drzwi celi. W połowie drogi do wyjścia jednak się zatrzymał. – Tak nie wolno mówić, bo wszyscy ludzie są braćmi – zastrzegł, cały czas unikając naszego wzroku – ale to nie byli ludzie na jego poziomie. To w ogóle nie byli ludzie na poziomie.

– Kiedy to było? – Kostas wtrącił ważne pytanie. – Pamięta ojciec?

– Oczywiście, że tak. Ostatnio trzy dni temu, a poprzednio tuż po Bożym Narodzeniu. Tym pierwszym spotkaniem, którego odgłosy mimo woli słyszeli wszyscy w klasztorze, pan Kotopulos tak bardzo się przejął, że nie mógł spać i chodził nocą po korytarzach.

– Czy rozmawiał z kimś na ten temat?

– On nie rozmawia. Przeważnie mówi do nas, czego mu trzeba, albo oznajmia, co zamierza. Jego relacje z ludźmi są mało osobiste. Nie powiedziałbym, że oschłe, bo to okrutne słowo, ale jest bardzo skryty i dlatego trudno się z nim zaprzyjaźnić. O ile wiem, z nikim w klasztorze nie utrzymywał bliskich kontaktów.

– To znaczy, że nie rozmawiał. – Kostas skwitował rozczarowanym grymasem przydługi wywód.

– Jak do was trafił, skoro jest taki... – Tasos szukał odpowiedniego słowa, nie chcąc znowu urazić mnicha swoim zachowaniem.

– Przyszedł zwiedzić klasztor i sam zaproponował pomoc w rekonstrukcji fresków – przerwał mu Temistokles. – Nie spodziewaliście się takiej odpowiedzi? – Uśmiechał się dobrotliwie na widok naszego zdziwienia. – My też byliśmy zaskoczeni. Po wielu tygodniach wspólnego mieszkania stwierdziliśmy, że to kwestia wiary, że jest głęboko wierzącym człowiekiem. Wyłącznie tym tłumaczymy jego bezinteresowną propozycję – dodał.

– Domyśla się ojciec, gdzie postanowił teraz zamieszkać?

– Nie, ale wyspa jest pełna hoteli i pensjonatów. Przenosząc się w inne miejsce, na pewno dobrze przemyślał swój wybór. To bardzo praktyczny człowiek. Nasz Pan – spojrzał w górę wymownie – obdarzył go wielkim rozumem.

Nad klasztorem rozległ się ogłuszający dźwięk dzwonów.

– Wzywają nas na modlitwę – powiedział Temistokles z pytającym wyrazem twarzy.

– Ależ tak, oczywiście. Ojciec jest wolny. – Kostas spojrzał w naszym kierunku.

My też nie mieliśmy więcej pytań. Obserwowaliśmy odchodzącego mnicha dopóty, dopóki nie zniknął nam z oczu. Stukot jego sandałów jeszcze długo rozchodził się głośnym echem po kamiennych korytarzach.

– Gdzie jest Kotopulos? Gdzie on jest? Gdzie?! – powtarzał Tasos z pasją. – Nie mieliśmy pojęcia, że ma tak liczne kontakty. Co tu się dzieje? Gdzie jest? – Pytanie tym razem zostało skierowane do stojącego w drzwiach Nikosa, który w odpowiedzi bezradnie potrząsał głową.

Posterunkowy próbował tłumaczyć swoich kolegów:

– Jesteśmy bezradni. Dosłownie zapadł się pod ziemię. W hotelach go nie ma. Nikt nic nie wie o jego przeprowadzce. Nikt go ostatnio nie widział.

– Doprawdy? Podobno obserwujecie klasztor od kilku dni! Co tu się dzieje, do jasnej cholery?! Niczego nie potraficie zrobić, jak należy?! – Nasz zwierzchnik nie panował nad złością.

– Okazało się, to znaczy ojciec Temistokles właśnie nam powiedział, a raczej pokazał... – Nikos w panice z trudem konstruował prostą wypowiedź, której sensu nietrudno się było domyślić.

Tasos stanął w oknie celi i podziwiał zapierający dech w piersiach widok zatoki otulonej poranną mgłą. Potężne masywy skalne, które okalały dolinę i port, były stąd widoczne jak na dłoni. Wkomponowany w zbocza skał klasztor, niezależnie od intencji budowniczych, stanowił jeden z elementów stworzonej siłami przyrody naturalnej dekoracji.

– Wystarczy! Dość! – przerwał zniecierpliwiony. – Więc są jeszcze inne możliwości opuszczenia klasztoru niż przez główną furte – podsumował nieudolny bełkot Nikosa. – A niech to wszyscy diabli!

Jego krzyk głośnym echem odbijał się po sąsiednich szczytach, aż przepadł gdzieś w dolinie i nad klasztorem znowu zaległa dostojna cisza.

Rozdział 30

– Pani Klaro? – Usłyszałam za plecami.

– Tak? – Podniosłam głowę znad biurka i odwróciłam się w stronę rozmówcy. W biurze rozchodził się podejrzany zapach. W drzwiach stał pracownik oczyszczania miasta i patrzył na mnie z dezaprobatą.

– Pani psy bardzo cierpią – powiedział z wyrzutem.

– Słucham? – zapytałam, sądząc, że może się przesłyszałam.

– Leżą na wysypisku śmieci i zdychają. – Mężczyzna patrzył na mnie jak oskarżyciel. – Ktoś je tam podrzucił nad ranem. – Nadal przyglądał mi się badawczo.

To, co mówił, nie docierało do mnie. Nie mogło dotyczyć moich zwierząt. Z trudem zbierałam myśli. Klaudiusza i Tyberiusza wprawdzie nie było w domu od kilku dni, ale to przecież nic nowego. Moja świadomość budziła się powoli. W końcu dotarła do mnie z całym swym okrucieństwem wiadomość, którą przyniósł. Uczucie, które mną zawładnęło, było nie do zniesienia. Poczulałam tęsknotę za moimi psami i ból, który rozlewał się po ramionach i ścisnął za gardło. Dосkoczyłam do śmieciarza. Uczepiłam się cuchnącego, poplamionego skafandra i szarpałam go za ramię.

– Gdzie one są? Gdzie są? Mów, do diabła! – Trzęsłam się jak w febrze.

Kostas i Tasos rozdzielili nas. Z trudem oderwali mnie od zaskoczonego mężczyzny.

– Dosyć, Klaro! Opanuj się! Człowiek przyszedł z informacją. Daj mu spokój.

– Niko! – zawołał Kostas. – Przygotuj samochód.

– Pojedziesz z nami i pokażesz drogę. Tak będzie szybciej – powiedział Tasos do wystraszonego śmieciarza.

W radiowozie, wciśnięta w kąt siedzenia, sama skuliłam się jak zbity pies. Dręczyło mnie wspomnienie chwil, kiedy po przyjeździe na wyspę te zwierzaki były moimi jedynymi przyjaciółmi. Miałam wyrzuty sumienia, że nigdy nie spróbowałam ograniczyć ich wolności choćby na tyle, żeby zapewnić im bezpieczeństwo.

Samochód podskakiwał na wyboistej polnej drodze.

– To nie z tej strony. Trzeba objechać wokół – tłumaczył śmieciarz.

Do radiowozu przedostawał się powoli nieznośny fetor zgnilizny. Po kilkunastu metrach pracownik oczyszczalni wskazał miejsce i gwałtownie zahamowaliśmy. Przed nami rozściierały się jak wzgórza sterty rozkładających się śmieci. Wskoczyliśmy na zaśmiecony plac.

– Macie szczęście – mówił nasz przewodnik, zerkając na mnie niepewnie – że nie chciało im się wnieść psów do środka wysypiska. Nikt by ich tam nie znalazł.

W tym ohydny otoczeniu moje psy wyglądały jak porzucone futrzane zabawki. Dlaczego wszystko, co kochamy, gdy umiera, wygląda tak żałośnie? Nie tracąc czasu, otworzyliśmy bagażnik radiowozu i ułożyliśmy w nim moich konających czworonożnych przyjaciół.

Tasos popatrzył na moją mokrą od łez twarz i powiedział:

– Wciąż żyją. Nie opłakuj ich jeszcze.

– Dokąd? – zapytał Nikos zza kierownicy.

– Do domu – powiedziałam cicho.

Po drodze nie rozmawialiśmy. Tasos wezwał przez radio komisariat i kazał przywieźć do mojej posiadłości weterynarza.

– Natychmiast! Wyciągnij go spod ziemi! – Trwał nerwowy dialog z dyżurką w mieście.

W drzwiach przywitała nas zapłakana Tula. Położyliśmy nieprzytomne psy na podłodze w salonie i stanęliśmy nad nimi bezradni. Klaudiusz męczył się. Z pyska toczył pianę, a jego oddech był nierówny i chrapliwy. Tyberiusz wyglądał jak zabawka, z której uszło powietrze. Leżał z otwartymi oczyma, nie wydając żadnego dźwięku. Jego ledwie wyczuwalny oddech był płytki i nierówny. Zanim zdążyliśmy cokolwiek zrobić, zaskoczył nas hałas przy drzwiach wejściowych.

– Ależ panowie, tak nie można, moi pacjenci czekają. Mam umówione wizyty!

Nasi koledzy wprowadzili do salonu opierającego się lekarza.

– Dzień dobry, Klaro – pozdrowił mnie uprzejmie, gdy wszedł. – No dobrze, to gdzie macie chorych?

Patrzyliśmy na niego bez słowa. W ciszy, która zapanowała w pomieszczeniu, słyhać było tylko chrapliwe odgłosy oddychającego coraz ciężiej Klaudiusza.

– Nie jestem weterynarzem – jęknął lekarz. – Oszaleliście? Nie znam się na tej robocie.

Nasze twarze nie wyrażały zrozumienia dla jego obiekcji. Przygarbił się i nieśmiało protestował:

– To są psy, a ja się nie znam na leczeniu zwierząt. Oczywiście chciałbym pomóc, ale...

– Zrób, co potrafisz – przerwał mu Tasos. – To są policjanci – powiedział poważnie.

– Policjanci? – zdziwił się lekarz. Rozglądał się po salonie w poszukiwaniu choć jednej rozsądnej osoby.

Nie znalazł. Patrzyliśmy wyczekująco. Osaczony przez nas zaczął oglądać i osłuchiwać psy.

- Czy ktoś wie, co zjadły i jaka to może być trucizna?
- Jesteś pewien, że ktoś je usiłował otruć? – upewnił się

Tasos.

– Jestem pewien. Opuchlizna i bezdech nie są spowodowane żadnym pokarmem. Tak działają najcięższe trucizny. Zresztą psy przeważnie bez większych problemów dobrze trawią zepsute pożywienie. Mogli, dranie, przynajmniej użyć innej substancji. One się żywocem duszą – mrucał.

– Możesz im jakoś pomóc? – odezwałam się wreszcie nieswoim głosem.

– Przykro mi, Klaro. Jeśli ich stan będzie tak zły jeszcze przez kilka godzin, to do rana prawdopodobnie zdechną. Ten duży – pokazał na Tyberiusza – ma większe szanse na przeżycie.

Widząc rozpacz w moich oczach, dodał litościwie:

– Istnieje możliwość, że kryzys mają już za sobą i wbrew temu, co widać, powrócą do zdrowia, ale – rozłożył bezradnie ręce – kto to może wiedzieć? Pozostaje tylko czekać. Miłe pieski – westchnął współczująco. – Wszędzie ich było pełno.

*

– Klaro, Klaro, obudź się! – Poczułam, że ktoś mnie szarpie za ramię.

– Co się stało? – Przestraszona usiadłam na łóżku, nerwowo ściskając w rękach wełniany pled.

W pokoju panował półmrok, a przede mną stała Tula ze świecą. W długiej koszuli nocnej, szeroka i bezkształtna, wyglądała jak zjawą. Jej potężna postać rzucała długi i dziwnie chudy cień na ścianę przed moim łóżkiem.

– Cicho! – powiedziała szeptem. – Obudziły mnie jakieś głosy. Ktoś jest w salonie. Słyszałam rozmowę. Boję się sama zejść na dół i dlatego postanowiłam cię obudzić.

Narzuciłam szlafrok i stąpając na palcach, podeszłam do wielkiej szafy, w której mój mąż trzymał harpun. „Po co tu trzymasz takie straszne narzędzie?” – pytałam go często niezadowolona. „Tylko tutaj się mieści – odpowiadał ze śmiechem. – Chcesz, żebym go powiesił w garażu na ścianie? Jeszcze się ktoś pokaleczy” – tłumaczył mi.

Teraz miałyśmy tę straszną broń pod ręką. Nie potrafiłam się nią posługiwać, ale wyglądała odstraszająco, a to zawsze coś.

– Co to jest? – przestraszyła się Tula. – Zamierzasz tego użyć?

– Oczywiście, że nie – zdenerwowałam się. – Nawet nie potrafię – dodałam. – Ale ten, kto jest na dole, nie wie o tym – tłumaczyłam jej.

– A jeśli ma pistolet? – zapytała rezolutnie.

– Daj spokój, przecież nie zamierzam się od razu rzucać na niego z harpunem. To tylko na wszelki wypadek – broniłam swojego pomysłu bez przekonania. Cholera, ma rację. Takie ryzyko istnieje, pomyślałam. – No to jak? Chcesz iść ze mną czy wolisz tutaj zostać? – ucięłam dyskusję.

Tula rozejrzała się. Bała się pójść, ale jeszcze bardziej bała się zostać sama.

– Idę – powiedziała z determinacją w głosie.

Na dole jakby ucichło. Słyszeć było tylko trzaskające na kominku polana.

Skradając się ostrożnie, dotarliśmy do balustrady na szczycie schodów, skąd było widać cały salon. Kiedy nasze oczy przywykły do półmroku, w świetle buzującego ognia dostrzegłyśmy, że na podłodze leżą moje chore psy, a pomiędzy nimi kuca człowiek.

– A rzeczywiście, on ma broń. – Wybuchłam tłumionym śmiechem, bo rozpoznałam Tasosa.

Tyberiusz podniósł łeb i popatrzył w stronę schodów. Widocznie poczuł nasz zapach. Zapiszczał cicho, ale nie miał siły się podnieść. Thukł tylko ogonem w podłogę.

Moje kochane brzydkie psisko, pomyślałam ze łzami w oczach. Będzie żył.

„Jest taki brzydki, że aż piękny – mawiał mój mąż. – Na pewno nie ma drugiego takiego brzydala na świecie. Wielorasowce są jedyne w swoim rodzaju – żartował. – Nazwiemy go Tyberiusz, to chociaż imię będzie miał rasowe”.

– Widzisz, piesku – odezwał się Tasos. Gładząc ledwie żywego zwierzaka po uszach jedną ręką, drugą błędził po podłodze za szklanką metaxy. Jego bełkotliwy głos i opróżniona prawie do dna butelka koniaku mówiły same za siebie. Był kompletnie pijany. Chwilowo nie znalazł naczynia, więc oburącz ujął łeb Tyberiusza i patrząc mu z przekonaniem na uszy zamiast w oczy, przemawiał pouczająco: – Widzisz, stary. Zdradzę ci parę tajemnic, bo jesteś równy gość. Kiedyś spotkasz kobietę... To znaczy suczkę, chciałem powiedzieć – poprawił się – i wtedy to wszystko wokół będzie jakby twoje. No, może nie w tym pokoju, ale przed domem.

– Co on plecie? – zapytała mnie szeptem zdziwiona Tula.

– Cały świat będzie twój. Bracie, ty masz pojęcie, co to jest miłość?! – kontynuował Tasos. – Gdy znajdziesz swoją drugą połówkę, będziesz uszczęśliwiony – zapewniał – choć, niestety, wiele się w twoim życiu zmieni. Żadna inna suka nie będzie ci się podobać. A to jeszcze nie jest najgorsze! – Nasz nieszczęśliwie zakochany policjant znalazł wreszcie napelnioną do połowy szklankę metaxy i pociągnął z niej potężny łyk alkoholu. – Zmieniają się twoje relacje z kolegami – kontynuował po ugaszeniu pragnienia. – Przestanie ci się podobać w *kafenijo* – wyliczał rezolutnie jak na swój stan. – Wiem, co myślisz.

Wiem, ale nie protestuj – spierał się sam ze sobą. – Tak to właśnie będzie.

– Co mu się stało? – Tula znowu zapytała. – Pokłócił się z Ewą? Jest zrozpaczony, biedaczek – użalała się nad nim.

Tymczasem Tasos kontynuował swoje wynurzenia:

– Kobiety to istoty nieziemskiej urody. No oczywiście suczki też, oczywiście – bełkotał. – Subtelne, delikatne, ale najczęściej, bracie, wszystko, co mówisz i robisz, rozumieją opacznie. Nie masz szans nic wytłumaczyć, bo wszystko, co powiesz, jak w sądzie – podniósł palec wskazujący do góry – może być użyte przeciw tobie. – Drapał Tyberiusza delikatnie za uszami. – No co, nie wierzysz mi? – dopytywał skołowanego psa. – A ja się na tym znam. Prawo kończyłem. – Bił się teraz w piersi z przekonaniem.

Odłożyłam harpun na miejsce i zeszliśmy z Tulą do salonu. Tasos zobaczył nas dopiero wtedy, gdy stanęliśmy przed kominkiem, i natychmiast usiłował bezskutecznie wstać.

– Witaj, Klaro. Mam, niestety, pewne problemy, żeby się przywitać, ale to jest chwilowe – zapewniał. – Mam problemy z Kotopulosem, z Ewą i ze samym sobą. Przejściowa sytuacja – przekonywał bełkotliwie, kiedy układałyśmy go do snu na kanapie, otulając pledem. – Koniecznie powinienem pójść do cerkwi i się pomodlić – wymruczał na koniec i zasnął.

Kiedy uporałyśmy się z niedyspozycją alkoholową Tasosa, obejrzałam moje psy. Tyberiusz był w dobrej formie. Siedział na podłodze przy Klaudiuszu i cicho piszczął, patrząc w naszym kierunku.

– Cierpliwości, mój kochany, cierpliwości – powtórzyłam i podeszłam do nieprzytomnego Klaudiusza. Nie charczał już i nie dyszał ciężko, ale w dalszym ciągu nie odzyskiwał przytomności.

„Jeśli ich stan będzie tak zły jeszcze przez kilka godzin, to do rana prawdopodobnie zdechną – zawyrokował lekarz. – Mogli, dranie, przynajmniej użyć innej substancji. One się żywcem duszą”. Jego słowa nadal dźwięczały mi w uszach.

Ile czasu zostało na nadzieję? Zastanawiałam się, patrząc na Tyberiusza i na zegar wiszący nad kominkiem. Moje psy jako kolejne ofiary tej sprawy? Nie do wiary! Kradzieże, włamania, morderstwa, tortury i okrucieństwo. Do czego posuną się ci ludzie następnym razem? Obserwowałam cierpiące zwierzęta z narastającym niepokojem. Na szczęście, próbując je otruć, bandyci wreszcie popełnili błąd. Dzięki temu domyślałam się, dokąd Kotopulos przeniósł swoje rzeczy i gdzie jest. Jeśli się nie mylę, rozważałam w myślach, wkrótce rozwikłamy zagadkę cerkwi na wzgórzu. Kulisy tej sprawy są nieprawdopodobne, a początek banalny, bo... Z zadumy wyrwało mnie skamlenie. Klaudiusz też wreszcie odzyskał przytomność. Tyberiusz szczerzył radośnie i obwachał przyjaciela. Uklęłam przy nim. Dotknęłam gorącego nosa i zagładnęłam w wierne psie oczy.

– No co, staruszkę? Witamy pośród żywych! – Pogłaskałam go po karku.

Potem zerknęłam zrezygnowana na śpiącego i cuchnącego metaxą Tasosa.

– Wobec upadku moralnego policji – powiedziałam do swoich czworonożnych przyjaciół – śledztwo musi poczekać do rana. Zresztą, jeśli się nie mylę, szacowny historyk już nam nie ucieknie.

Położyłam się na podłodze przed dogasającym kominkiem, by być blisko moich ozdowieńców. Nie pamiętałam nazajutrz, kiedy Tula okryła mnie pledem i kiedy z salonu wymknął się Tasos.

Rozdział 31

– Skąd wiedziałaś? – Tasos i Kostas zerkali na mnie z ukosa.

– Próbowali otruć moje psy, a to mogło znaczyć tylko jedno: że ukryli coś w cerkwi. Tyberiusz i Klaudiusz wiecznie się tu kręcą. To one towarzyszyły w drodze do cerkwi Annie i Lakisowi i biegały po plaży w pobliżu kościółka w dniu pierwszej tragedii. To one odkryły zwłoki Stawrosa. Od wielu tygodni nikt inny tu nie przychodził. Kolejne zniknięcie człowieka i zamach na moje psy od razu skojarzyłam z cerkwią.

– Oglądałam plamę krwi zaschniętą na kamiennej posadzce. Była dziwna. Miała nienaturalne kontury i kończyła się pod plecami denata. – Jeśli one są w pobliżu, niczego nie można skutecznie ukryć, więc zabójca postanowił je wyeliminować. – Patrzyłam na zwłoki Andreasa Kotopulosa wpatrzone szeroko otwartymi, zdziwionymi oczyma w sklepienie nad drzwiami cerkwi. – Ma coś w ręku – zauważyłam, gdy pochyliłam się nad ofiarą.

Kostas podszedł i delikatnie wyciągnął z dłoni denata kawałek wydruku, który zahaczył się na złotej spince przy mankiecie koszuli i owinął dokoła małego palca lewej dłoni ofiary.

– Identyczny skrawek jak ten, który znaleźliśmy przy zamordowanym Stawrosie. Zabawne. I nawet tak samo zahaczony o guzik.

– Można coś odczytać? – zapytał prędko Tasos.

– Nie, raczej nic.

– O! – zdziwił się jeden z techników, oglądając z zaciekawieniem zwłoki. – A co on taki elegancki? Marynarka od

garnituru i złote spinki przy mankietach. Fiu, fiu – gwizdnął. – Zgarnęli go i przywieźli tu z jakiegoś przyjęcia czy jak?

– Przyszedł sam, ale rzeczywiście wcześniej był na uroczystej kolacji – skomentował Kostas. – Zaraz, zaraz. A co on tu robił? – zastanawiał się.

Jedna z rąk ofiary była pobrudzona tynkiem i zaschłą krwią. Historyk miał zdarte paznokcie, a na posadzce leżał wydłubany spod listwy przy podłodze kawałek drutu od alarmu.

– Tak się mocował z tą listwą, że aż przerwał drut – stwierdziłam po obejrzeniu skutków poczynań Kotopulosa.

– No, może tak. – Usłyszałam w odpowiedzi. – Tylko po co to wszystko?

– Przypadkowe. A że drut był stary, to się urwał i tyle. – Tasos spoglądał na zwłoki z niechęcią, która za życia naukowca też towarzyszyła ich wzajemnym kontaktom.

– Poświećcie mi tu czymś i podnieście go! – krzyknęłam podekscytowana. – Pod jego plecami jest jakiś napis. Wymalował go chyba własną krwią.

– Jasna cholera! Faktycznie! – wykrzyknął Tasos, gdy sanitariusze przenosili zwłoki na nosze. – Ostrożnie, żeby mi tego nie zamazać. – Na podłodze widniał trochę niezdarne, ale możliwe do odczytania tekst. – Zdjęcia w kilku ujęciach – przypomniał niepotrzebnie naszemu fotografowi. – Dziwne i nic nie znaczy – skomentował treść nabazgranego na podłodze tekstu. Brakowało pierwszego słowa, ale reszta była czytelna.

– ...jest ślepa jak Melpomena i kłamliwa... – Kostas wyduł usta w powątpiewaniu. – To jakieś przedśmiertne majaki. Melpomena nie jest ślepa.

– Hm... – zastanawiałam się głośno nad tym, co miał znaczyć ten tekst i po co Kotopulos go napisał. – Może to miała być zemsta? Albo przeciwnie, informacja, która po śmierci

doprowadzi nas do zabójcy? – kombinowałam. – Na wypadek gdyby przeżył, skonstruowana pozornie nielogicznie. Zakodowana. – Przychodziły mi do głowy dość niedorzeczne pomysły. – Po odzyskaniu zdrowia zawsze mógł powiedzieć, że był półprzytomny i sam nie wiedział, co pisze. Był antypatyczny, ale co geniusz, to geniusz – dodałam, widząc sceptyczne miny moich kolegów.

– Szkoda, że my nie jesteśmy genialni, bo nic mi to nie mówi. – Nasz miejscowy malkontent się skrzywił. – Mimo wszystko twoja koncepcja jest warta przemyślenia – przyznał. – Nie raz mieliśmy okazję się przekonać, że był, delikatnie mówiąc, inny niż wszyscy. Jak długo mógł tu leżeć ranny? Jak sądzisz? – rzucił przez ramię do naszego szefa, ale zamyślony Tasos nie usłyszał pytania.

Był przybity. Choć nie pomylił się co do Kotopulosa i od początku miał rację, nikt go nie chciał słuchać. Teraz, z powodu śmierci historyka, gratulacje centrali przysłane depeszą przekształcają się w pretensje, a może i naganę dla młodego agenta. Nie było mu czego zazdrościć.

– No więc jak długo mógł tu leżeć ranny? – Kostas nalegał na odpowiedź.

Natarczywie powtórzona pytanie wyrwało Tasosa z zadumy.

– Długo – odpowiedział. – Nawet do kilku godzin, zanim się wykrwawił.

– Dlaczego zabójca go nie dobił? Rozumiesz coś z tego? – zwrócił się teraz do mnie.

– Można się domyślać, że chodziło o zadanie ofierze cierpienia, a sam strzał rozładował u zbrodniarza napięcie. To głęboko patologiczne i kompletnie pozbawione sensu zachowanie albo reakcja emocjonalna, nad którą nie potrafił

zapanować. – Miałam problem z konstrukcją portretu psychologicznego zabójcy.

– Kolejny niezrównoważony zbrodniarz?! – zawołał Kostas. – Zlituj się, Klaro! Gdy patrzę na was oboje – kpił mimo wściekłego spojrzenia, jakim obdarzył go Tasos – zastanawiam się, czy i wy nie macie przypadkiem obsesji.

– A potrafisz to jakoś inaczej wytłumaczyć? – broniłam swojego stanowiska. – Przecież Kotopulos mógł równie dobrze przeżyć.

– Ano rzeczywiście. Morderca nie potrudził się nawet, żeby sprawdzić, czy jego strzał był śmiertelny. – Kostas niechętnie przyznał mi rację i popadł w zadumę.

– Spotkali się prawdopodobnie w nocy, w święto Objawienia – konstruowałam swoją wersję wydarzeń. – Byli umówieni. Historyk wymknął się z klasztoru w środku nocy i zrobił wszystko, żeby nikt tego nie zauważył, bo spotkanie było potajemne. Nie wiem, czy zwróciliście uwagę – wtrąciłam – że na lewej dłoni ma ślady dopiero co zagojonych głębokich zadrapań. To mogą być dowody jego winy. Kto wie, czy nie jest jednym ze złodziei ikony.

– Porównać grupy krwi! Chodzi o materiał zebrany z krzaków przed cerkwią w dniu kradzieży! – przerwał mi Kostas, wydając polecenie krzątającemu się przy zwłokach Nikosowi. – Ja akurat wątpię, że okaże się włamywaczem, ale mimo wszystko trzeba się upewnić.

– Uhm... jasne – mruknął posterunkowy.

Gdy nagle na podłogę z cichym brzękiem wypadł pistolet, Kostas gwizdnął przeciągle.

– Więc był uzbrojony, a mimo to dał się zaskoczyć – mruknął Tasos. – Jeśli się nim nie ubezpieczał, to po co go ze sobą zabrał?

– Żeby się czuć raźniej. A ty? Przyszedłbyś tu w środku nocy bez zabezpieczenia?

Kostas miał rację. Cerkiew otaczała zła sława. Nikt rozsądny nie przyszedłby tu w nocy sam, bez broni.

– Ślady wskazują na to, że stały tutaj dwie osoby i chyba ze sobą rozmawiały. – Zza naszych pleców z zakrystii odezwał się jeden z techników. – Cerkiew przez wiele dni nie była sprządana. Wszędzie jest mnóstwo kurzu, piasku, a nawet błota. Ślady przemieszczania się dwóch osób mamy jak na dłoni. Przebieg spotkania nie był burzliwy. Duże obuwie – zastanawiał się. – Tak. To było dwóch mężczyzn. Ślady są wyraźne, ale odciski mało czytelne. Nadeptane jedno na drugie. Nic z tego nie będzie – westchnął rozczarowany. – Potem zraniona ofiara czołgała się do drzwi cerkwi – dokończył, oglądając zakrwawioną podłogę. – O, cholera... – mruknął z niesmakiem na widok oblepionych zaschlą krwią ułożonych na noszach zwłok. – Toż to wygląda jak jatka.

– Zabierzcie w końcu denata – gderał Kostas. – Na co, do diabła, czekacie? – zganił opieszłych członków ekipy. Nasi ludzie zszokowani kolejną zbrodnią w kościółku zamiast wynosić zabitego, rozglądali się po cerkwi.

– Więc historyk czekał na swojego zabójcę w zakrystii – podchwyciłam wskazówki członka ekipy dochodzeniowej.

Szliśmy teraz powoli na zaplecze kościółka, kierując się śladami krwi, które kończyły się pod oknem zakrystii. Znowu byłam w tym małym, dusznym pomieszczeniu. Znowu roznosił się w nim ohydny, trupi zapach. Poczułam lęk, który prześladował mnie nawet we śnie i pojawiał się coraz częściej, kiedy tutaj wchodziłam. Umilkłam. Czułam, jak ogarniają mnie mdłości. Odruchowo rzuciłam okiem na podłogę. Upadł w tym

samym miejscu, co dwie poprzednie ofiary, przemknęło mi przez głowę.

– To się stało tutaj. – Usłyszałam głos Tasosa. Widząc moje niezdecydowanie, zaczął przedstawiać własną hipotezę: – Poszarpane i osmolone ubranie w miejscu wejścia kuli dowodzi, że zabójca podszedł do historyka bardzo blisko. Oddał jeden strzał, wyrwał z ręki postrzelonego wydrukowany dokument i natychmiast odszedł, zostawiając go rannego na podłodze. Dziwne, że nie sprawdził, czy strzał był śmiertelny. Miejsce i okoliczności zbrodni wskazują na to, że ofiara i zabójca znali się i że Kotopulos nie spodziewał się dramatycznego przebiegu spotkania. Tak myślę, bo nie ma żadnych śladów walki ani na podłodze – popatrzył na technika – ani na ubraniu ofiary, która nie próbowała nawet wyciągnąć broni. Uważam, że ciężko ranny naukowiec walczył o życie do końca. Doczołgał się do drzwi kościółka, ale nie potrafił ich otworzyć, bo zabójca położył przed nimi ciężki głaz. Historyk nie miał żadnych szans, by ktoś usłyszał jego jęki i wołanie o pomoc. W akcie desperacji postanowił zostawić wiadomość. Wydłubał wapienne fragmenty tynku, ale kiedy stwierdził, że nie zastąpią kredy, użył własnej krwi. Przed śmiercią napisał nią na podłodze cerkwi coś... – Tasos zawiesił głos – co jest kompletnie bez sensu – sapnął zniechęcony, ale zaraz dodał rzeczowy komentarz: – To zabójstwo nie ma cech wyroku mafii, za to znowu mamy w dłoni ofiary kawałek kartki. Jeśli Kotopulos rzeczywiście zamordował Lakisa i Stawrosa, a potem zorganizował kradzież ikony, to kto i z jakiego powodu go tu zwabił i wyeliminował w identyczny sposób? A przede wszystkim, gdzie są rzeczy tego dziwaka? Na wyspie jest ktoś, kto przechowuje jego bagaże i ukrył ten fakt przed policją. Ma powód, żeby nie ujawniać swoich kontaktów z Kotopulosem. Czy to on jest zabójcą? Jeśli nie, to co ukrywa

oprócz rzeczy zamordowanego historyka? No i ten papier w dłoni kolejnej ofiary. Czy to coś znaczy?

– To akurat znaczy tyle, że nietykalni są bardzo bogaci i lubią kosztowne zabawki – wtrąciłam.

Staliśmy we trójkę wpatrzeni w rysunek technika policyjnego i w plamę krwi, która jeszcze przed chwilą była wyniesionym stąd denatem. Śmierć historyka pogrzebała nasze nadzieje na zakończenie śledztwa.

– O Mateńko – jęknął Kostas i odruchowo zerknął na ikonostas z czarną dziurą po skradzionej ikonie. – A to pech. Mamy nieskończoną liczbę nowych pytań. Musimy zacząć dochodzenie od początku i zmienić całą koncepcję śledztwa.

– Po co? – przerwał mu Tasos. – Przecież wszystkie wątki sprawy prowadzą do niego. – Wskazał brodą na miejsce, z którego przed chwilą zabrano zwłoki.

– Jeśli nawet, to już nie żyje. Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić? Proszę, zaproponuj coś. – Kostas zakipiał ze złości. Oczywiście znowu byli odmiennego zdania i oczywiście znowu zaczynali się kłócić. – Jakaś nowatorska, oryginalna koncepcja z importu? – kpił.

– Musimy zacząć od końca. Od Kotopulosa – oświadczył Tasos spokojnie. – Tak czy inaczej, żywy czy martwy, tylko on może nas doprowadzić do przestępców. Musimy się o nim szybko jak najwięcej dowiedzieć. Tym bardziej że z zeznań mnicha wynika, iż nasze wyobrażenia o jego roli w tym środowisku są zupełnie błędne. Nie przywiązuję wielkiej wagi do krwawego napisu na podłodze cerkwi – skrzywił się – za to uważam, że gdzieś w informacjach o jego życiu ukrywa się zabójca. Z opisu śladów wynika, że ofiara i morderca stali i przez chwilę rozmawiali ze sobą. Przypominam ci, że Kotopulos w kieszeni spodni miał pistolet, ale nawet po niego nie sięgnął.

To pewne, że się znali i że nie spodziewał się ataku. Z kolei porzucenie ciężko rannego sugeruje, moim zdaniem, że wydarzyło się tu coś... – zawahał się – coś osobistego. – Patrzył na mnie pytająco.

– Tak – przyznałam. – Tak to wygląda.

– Proponuję odwrotny kierunek śledztwa. To jest nasza jedyna szansa – przekonywał Tasos, widząc grymas niezadowolenia na twarzy Kostasa.

– Stary! Ty masz kompletnego fioła na punkcie tego faceta. Opamiętaj się. – Kostas kipiał ze złości. – On już nie żyje. Nie zauważyłeś? – Szef miejscowego komisariatu nie panował nad sobą. Wymachiwał rękami przed nosem swojego zawodowego rywala.

– Zgadzam się z Tasosem. – Stałam pomiędzy nimi. – Uważam, że to ciekawy pomysł.

Kostas zaprzestał wreszcie swojej bogatej gestykulacji i bezradnie opuścił ręce. Wykonał jeszcze kilka rozpaczliwych gestów jak ktoś, kto zamierza podjąć dyskusję w obronie swoich racji, a na koniec ustąpił i zasypał nas przestrogi:

– To kompletny absurd. To się nie może udać. Ukierunkowanie całego śledztwa tylko na ostatnie zabójstwo jest nierozsądne. Nic dobrego z tego nie wyniknie, ale zgoda. Jesteśmy zespołem. Jeśli pójdziemy na dno, to wszyscy razem – westchnął ciężko. – Jutro wezwę do komendy podejrzanych. Wszystkich, którzy utrzymywali kontakty z ofiarą, tak?

– Nie! – uciął Tasos. – Nie – powtórzył, widząc zaskoczenie kolegi. – Zrobimy inaczej.

– Mam się do nich wybrać? – zastanawiał się na głos zdezorientowany Kostas. – Ty sam chcesz do nich pójść? – dopytywał, sondując niewyraźną minę rozmówcy.

– Mnie nie lubią, a tobie już nie ufają. Jest tylko jedna osoba, przed którą się otworzą i z którą lubią pogadać.

– Tak, stary. – Poklepał Kostasa pojednawczo po ramieniu.
– Zdaje się, że to jedyny rozsądny pomysł. Procedury tylko wszystko odwloką, a my chociaż raz musimy mafię wyprzedzić. Zacznesz już dzisiaj. – Uśmiechnął się do mnie.

*

– Czego tu chce? – Ewangelista spoglądała na mnie z niechęcią. – Ma jakąś sprawę?

– A mam. Ale nie do ciebie. – Zaskoczył mnie widok stojącej w progu naburmuszonej gosposi popa. Zaglądałam przez jej chude ramię do wnętrza starego domu. – Czy Teodor jest u siebie?

– Zależy, czego od niego chce – targowała się ze mną, oparta o framugę drzwi. Zasłaniała mi wejście. Zgorszona oglądała mnie z góry na dół. – Nie wstyd jej stać tutaj w spodniach i w takiej obcisłej bluzce? Nie godzi się do domu osoby duchownej przychodzić tak ubraną – syczała.

– To nie kościół. – Patrzyłam w jej wąskie jak szparki złośliwe oczy.

W małej i chudej postaci staruszki uderzał brak proporcji, a w twarzy dominował nad całością rysów garbaty nos. Moralność Teodora nie była zagrożona. Wobec takiego stróża wszystkie panny w okolicy były bez szans.

– Ewangelisto, wpuść gościa i zamknij drzwi, bo wieje – dobiegł ze środka zniecierpliwiony głos gospodarza.

– A jaki to gość?! To ta *Poloneza*, co z mężczyznami w kawiarni przesiaduje – zaskrzeczała z niechęcią gosposia i odsunęła się od drzwi, by mnie wpuścić.

Przed metalową kozą, na starym skórzanym fotelu siedział Teodor. Owinięty w pled aż po szyję, moczył nogi w gorącej wodzie i co chwilę kichał. W kuchni unosił się ostry zapach czosnku i ziół.

– Klara? – zdziwił się na mój widok.

Na prostym drewnianym stole, starym jak ten kamienny dom, stał dzbanek, z którego parował wrzątek.

– Dolać? – zapytała troskliwie i niespodziewanie serdecznie baba-jaga. Kiedy patrzyła na popa, w jej oczach pojawiały się ciepłe błyski, a głos przybierał miękkie tony.

To ci dopiero zagadka, pomyślałam rozbawiona.

– Kawy zagotować, moja droga – rozporządził gderliwie duchowny. – Kawy. Dla mnie i dla gościa – podkreślił, patrząc na nią gniewnie. – I żebym nie musiał tego Ewangelicie przypominać.

– Co Teodor sugeruje? – obruszyła się gosposia. – Że ja nie rozumiem, co się do mnie mówi?

Pomocnica popa, pouczona o swoich obowiązkach, obejrzała mnie jeszcze raz w całości i niechętnie podreptała do swoich zajęć.

– To dobra kobiecina, tylko charakter ma paskudny – tłumaczył zażenowany pop wredne zachowanie pomocy domowej. – Co cię do mnie sprowadza? – zapytał w końcu. Nagle zaniepokoił się i dodał: – Coś się stało?

Kiwnęłam głową, patrząc mu poważnie w oczy.

– Nigdy wcześniej tu nie przychodziłaś. – Spoglądał na mnie wyczekująco. – Stało się coś złego – domyślił się.

Przez chwilę siedzieliśmy obok siebie bez słowa. Teodor patrzył na wiszącą na kamiennej ścianie płaskorzeźbę z ukrzyżowanym Chrystusem i czekał.

– W cerkwi znowu zamordowano człowieka – przerwałam milczenie.

– Kogo tym razem? – zapytał spokojnie.

– Andreasa Kotopulosa – powiedziałam cicho rozczarowana jego reakcją.

Zachował się jak ktoś, kto nie jest zaskoczony.

– Masz na myśli tego historyka? To jego podejrzewaliście o morderstwa i kradzież ikony? Wiecie, kto go zabił? – Pop w dalszym ciągu wpatrywał się w piękną płaskorzeźbę Chrystusa, jakby nie było mnie obok niego.

– Próbuje to ustalić. Kilka dni temu Kotopulos zabrał swoje bagaże z klasztoru. Postanowił wyprowadzić się od mnichów na czas zimy. Wiesz, ojcze, że w tych starych pobizantyjskich zabudowaniach nie ma ogrzewania. Jak dotąd jego rzeczy nie udało się odnaleźć. Rozmawiamy ze wszystkimi ludźmi, z którymi się spotykał.

Teraz Teodor wreszcie na mnie popatrzył.

– Byłem u niego tylko raz, ale go nie zastałem. Dowiedziałem się od gosposi, że mnie szukał, więc wybrałem się do klasztoru.

– Czego od ojca chciał?

– Nie wiem, bo się nie spotkaliśmy.

– Nie zdziwiło cię, ojcze, że nie przyszedł potem do ciebie?

Pop zastanawiał się przez chwilę.

– Nie. Rozmowy z ludźmi, którzy tego potrzebują, to mój obowiązek. Często się zdarza, że wierni zmieniają plany. Nie przyniósł też tutaj swoich rzeczy – dodał po chwili, mając na myśli Kotopulosa. – Obawiam się, że nie potrafię ci pomóc. – Siedział w fotelu przygarbiony i z pobladłą twarzą.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, ojcze, żeby zabezpieczyć cerkiew na przyszłość. To nie może się już więcej powtórzyć – zapewniałam, widząc jego rozpacz.

– A co jest w waszej mocy? – zapytał rozgoryczony Teodor. – Jeśli Pan zechciał uczynić z mojego kościoła czyściec dla zbrodniarzy, nie zmienicie tego. Nikt nie ma na to wpływu. Może gdyby cudowna ikona wróciła do naszej świątyni... Może gdybym potrafił to sprawić...

– Cudowna ikona zaginęła w drodze z Toros do Aten – wyrwało mi się niepotrzebnie. – Teraz giną ludzie, których mafia podejrzewa o to, że im ją ukradli.

Reakcja duchownego była natychmiastowa. Złapał się za głowę i jęknął:

– O Madonno! – Przeżegnał się i wymruczał pod nosem: – I niech mi ktoś powie, że nie ma szatana.

Po tym emocjonalnym wystąpieniu poruszył się gwałtownie w fotelu, rozchlapując na podłogę strumienie wody.

Ewangelista wniosła kawę i ciasteczka posypane cukrem pudrem. Obsłużyła pracodawcę i zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, ignorując mnie, wyszła do sąsiedniego pomieszczenia. Pop popatrzył za nią z dezaprobatą, a potem zachęcił mnie do poczęstunku:

– Proszę, Klaro. Bardzo proszę, częstuj się. Ta kobieta jest nieznośna. Uparta jak osioł – złorzeczył pod nosem pod adresem służącej.

– Jak myślisz, ojcze, co może znaczyć tekst, który przed śmiercią Kotopulos napisał krwią na podłodze cerkwi? „...jest ślepa jak Melpomena i kłamliwa...” – zacytowałam napis.

Mój rozmówca zastanawiał się chwilę.

– Jesteś ekspertem w dziedzinie hellenistyki, Klaro. O ile wiem, specjalizujesz się w antyku. Nie muszę ci mówić, że

Melpomena nie jest ślepa – powiedział dokładnie to samo, co Tasos. – W tym kontekście napis brzmi absurdalnie, chyba że to jakiś rebus. Wszyscy wiemy, że Andreas Kotopulos był geniuszem. Chcesz mojej rady?

Przytaknęłam głową.

– Liczne prace naukowe zamordowanego dowodzą, że był świetnie wykształcony, utalentowany i bardzo pomysłowy. Nasz Pan... – duchowny wzniosł oczy do góry i powiedział z podziwem – obdarzył go umysłem odkrywcy. Tylko ktoś, kto to rozumie, ma szansę właściwie zinterpretować jego epitafium. Przez pamięć, jakim był człowiekiem, nie lekceważyłbym tego napisu, nawet jeśli jego treść wydaje się dziwna.

Patrzyłam na Teodora z sympatią. We wszystkim, co mówił, zawsze był sens. Tym razem też musiałam mu przyznać rację. Miałam jednak problem ze zrozumieniem relacji obu panów i jego opinii o zamordowanym historyku. Pop dokładnie opisał Kotopulosa, a przecież zaledwie przed chwilą sprawiał wrażenie, jakby go nie znał.

Rozdział 32

– Miło cię widzieć, Klaro. – Młoda pokojówka Samarasów uśmiechnęła się do mnie. – Pana nie ma w domu, ale Eleni jest u siebie. Mam cię zapowiedzieć?

Kiwnęłam głową, rozglądając się zaskoczona. Zastałam salon tego domu zupełnie odmieniony. Wszystko wyglądało inaczej, niż zapamiętałam. Nic dziwnego, jeśli zważyć, że nie było mnie tutaj od kilku miesięcy. Śledztwo, w którym uczestniczyłam, szkodziło moim kontaktom towarzyskim. Zaniedbywałam znajomych.

Sporo wysiłku i pieniędzy musiał pochłonąć ten remont. Rozglądałam się. Może wreszcie sfrustrowana pani domu przestanie narzekać na nudę, pomyślałam.

– Napijesz się czegoś? Tego, co zwykle? – dopytywała uprzejmie pokojówka.

– Uhm... – mruknęłam, podziwiając kolekcję fajansowych lalek gospodyni. – To też jakiś nowy nabytek? – Postukałam palcem w szybę pancerną szklanej gabloty.

Uśmiechnęła się do mnie, ale nie podjęła tematu.

Ten profesjonalny, bezosobowy grymas to potwierdzenie czy zaprzeczenie? Zastanawiałam się nad tym, gdy zniknęła na schodach prowadzących na piętro. Wszystko w tym domu, łącznie ze służbą, było na najwyższym poziomie. Dziewczyna wyszła bezszelestnie, a po chwili pojawiła się z moim ulubionym drinkiem.

– Dziękuję. Masz świetną pamięć – powiedziałam na widok wódki z lodem i plasterkiem cytryny.

Poczerwieniła.

– Pani zaraz zejdzie. Czy coś jeszcze podać? – zapytała.

– Nie, dziękuję – odparłam.

– Witam, witam, witam! – Usłyszałam prawie natychmiast egzaltowany i piskliwy głosik gospodyni.

Eleni Samaras stała na półpiętrze roześmiana i zadowolona z mojej zaskoczonej miny. Wydatny biust, talia modelki i twarz lalki – żona Dimitrisa Samarasa prezentowała się jak zwykle imponująco. Rozmowa z nią i wysłuchiwanie głupstw, które zazwyczaj plotła, bywały dla rozmówców próbą cierpliwości.

– Dimitris wreszcie uczynił wysiłek, żeby poprawić standard naszego życia – powiedziała z dumą, zataczając wokół siebie szeroki łuk ręką.

Biedactwo, pomyślałam z ironią. Standard życia był dla niej ciężarem.

Piękna pani domu, starannie ubrana, schodziła ostrożnie ze schodów w kiczowatych złotych pantofelkach. Długa grzywka ufarbowanych na blond włosów skrywała emanującą z jej oczu głupotę.

– To odwiedziny czy masz jakąś sprawę? – zapytała.

– Tak – powiedziałam bez sensu, zastanawiając się, jak wybrnąć z niezręcznej sytuacji. Planowałam rozmowę z ojcem Jany, z którym przyjaźniłam się od lat. Nie marzyłam o towarzystwie jego drugiej żony. Oprócz Dimitrisa Samarasa chyba nikt na Toros o tym nie marzył. Rozsądnym rozwiązaniem było pozwolić się jej wygadać. – Odwiedziny – wykrztusiłam więc.

– Dimitris odmienił nasze życie – podjęła natychmiast przerwany monolog. – To sukces w życiu mężczyzny tłamszonego latami przez prowincjonalne środowisko – westchnęła z przekonaniem pokazną, seksowną pierśią. – Oczywiście żeby wykorzystać takie możliwości, jakie ma Dimitris, oprócz pieniędzy potrzebna jest u boku mężczyzny kobieta z klasą. – Bez wątplenia miała na myśli siebie.

Na wspomnienie zmarłej matki Jany poczułam wzbierający gniew, więc przezornie milczałam. Obserwowałam salon, który przypominał teraz galerię sztuki. Co to wszystko znaczy? Eleni uprzedziła moje pytanie, mówiąc dalej:

– Mamy wreszcie odpowiednie towarzystwo. Otaczamy się ludźmi na poziomie i dziełami sztuki. Masz pojęcie, że każdy z eksponowanych w moim salonie przedmiotów ma niebanalną historię? – Nie czekając na odpowiedź, podeszła do jednego z nich. – Endrju w ubiegłym tygodniu zapoznał nas z dziejami tej rzeźby. – Wskazała na piękną podobiznę dziecka. – To oczywiście oryginał – pochwaliła się.

– Masz na myśli Andreasa Kotopulosa? – przerwałam potok jej słów.

– Tak. Znasz Endrju? Widziałas go ostatnio? – dopytywała.

– W pewnym sensie tak. – Przypomniałam sobie oczy zamordowanego historyka wpatrzone nieruchomo w sklepienie nad drzwiami cerkwi.

– Byliśmy z nim wczoraj umówieni, ale nie przyszedł. Pewnie coś go zatrzymało – mówiła, wcale mnie nie słuchając. – Na pewno wkrótce się odezwie – plotła dalej.

– W to akurat wątpię – mruknęłam.

– Eleni, skarbie – powiedział miękko ojciec Jany, stając za moimi plecami – zanudzisz Klarę tymi opowieściami.

Nie usłyszałam, kiedy gospodarz wszedł do salonu, ale na dźwięk jego głosu odetchnęłam z ulgą, tym bardziej że gdzieś na górze zadzwonił telefon.

– Och, tak mi przykro, Klaro, że muszę was opuścić. Czekam na informacje z Aten.

Niepoczyszona gospodyni ruchem ręki powstrzymała biegnącą z kuchni pokojówkę i pognęła do sypialni. Wspinała

się po stromych schodach wyjątkowo zręcznie w swoich niedorzecznych, karnawałowych pantofelkach.

Dimitris Samaras był zażenowany. Występ jego młodszej o dwadzieścia lat żony i przemiana siedziby rodowej w galerię sztuki wprawiły go w zakłopotanie.

– Usiądź, proszę. Może jeszcze jednego drinka? – Natychmiast przejął rolę gospodarza.

Zaprzeczyłam gwałtownym gestem.

– Przyjaźnicie się z Andreasem Kotopulosem – stwierdziłam, nawiązując do rozmowy z Eleni.

Uśmiechnął się do mnie pobłażliwie.

– Pan Kotopulos opowiada Eleni antyczne historie i pomaga dobierać dzieła sztuki, które, jak widzisz – tłumaczył zamęt w swoim życiu – zaczęła kolekcjonować. – Z właściwym sobie taktem ojciec Jany wyraził dystans do nieżyjącego historyka. – No cóż, zbieractwo pochłania ją kompletnie, a mnie daje nieco wolnego czasu na spotkania z kolegami. Jestem skłonny inwestować w sztukę, skoro wydawanie pieniędzy w ten sposób sprawia radość mojej żonie. Mam nadzieję, że zajmie ją to jeszcze przez pewien czas. – Kiedy mówił o wydatkach Eleni, znowu był sobą.

– Raczej nie – powiedziałam, przyglądając mu się uważnie.

– Nie? – zapytał. – A dlaczego nie? – Przekonany o sile nabywczej swoich pieniędzy, wyglądał na zaskoczonego moimi słowami.

– Bo Andreas Kotopulos został zamordowany w cerkwi na wzgórzu. – Nie spuszczałam oczu z rozmówcy.

Był zdziwiony. Nie był wstrząśnięty ani nawet poruszony tym, co usłyszał. Był po prostu zdziwiony. Odstawił drinka, którego właśnie pił, i przez chwilę się zastanawiał.

– Kiedy to się stało? – spytał. – Jeśli to nie tajemnica...

– Nie wiemy jeszcze dokładnie. Wczoraj odkryliśmy zwłoki. Denat świętował wieczór Objawienia Pańskiego uroczystą kolacją w towarzystwie mnichów. Spędził z nimi cały wieczór, a potem, jak zwykle, poszedł do swojej celi. Od tej chwili nikt go już nie widział. Rozmawiamy ze wszystkimi ludźmi, którzy utrzymywali z nim kontakty – wyjaśniłam cel mojej wizyty. – Bywałeś u niego w klasztorze... – prowokowałam pana domu do rozwinięcia tematu.

– Tak. – Znowu był zdziwiony, tym razem faktem, że o tym wiem. – Spotykałem się z nim niekiedy z przyczyn, o których ci opowiadałem. To wszystko.

Mój rozmówca nie sprawiał wrażenia, że temat jest dla niego kłopotliwy.

– Kiedy go ostatnio widziałeś?

– Całkiem niedawno. Jakiś tydzień temu, gdy przywieziono tę rzeźbę. – Wskazał na stojące w kącie arcydzieło antycznego rzeźbiarza. – Łatwo sprawdzić datę, bo zapłaciłem za transport przy odbiorze. Wystarczy odnaleźć rachunek. Kotopulos spędził z nami wtedy całe popołudnie. Opowiedział Eleni historię figury i jej twórcy. Była zachwycona.

Dopiero teraz, kiedy mówił o żonie, przez jego piękną, pociągłą twarz przemknął cień jakiegoś uczucia. Byłam zawiedziona. Zachowywał się tak, jakby śmierć historyka zupełnie go nie obeszła. Oczekiwałam innej reakcji. Ta była nienaturalna, a nawet nieludzka. Zupełnie jakbym miała przed sobą nieznanego mi człowieka. Co go tak odmieniło?

– Kotopulos przed śmiercią napisał na podłodze cerkwi własną krwią „...jest ślepa jak Melpomena i kłamliwa...”. Co o tym sądzisz? – zapytałam.

Wreszcie się ożywił.

– Niezrozumiałe i... głupie – stwierdził.

– Dlaczego głupie?

– Każdy, kto choć pobieżnie zna mitologię, wie, że Melpomena nie jest ślepa. Temida owszem, ma na oczach przepaskę, ale jak dobrze wiesz, ze sztuką i z teatrem nie ma nic wspólnego. Jednak nie sądzę, żeby taki znawca antyku jak on, światowej sławy naukowiec, mógł pomylić obie panie. Nawet w obliczu śmierci – dodał. – W tym nie ma sensu. Wykonał ten napis własną krwią w ostatnich chwilach życia? – Dimitris Samaras rozgadał się na dobre. – Musisz przyznać, że to makabryczny fakt. Może jakiś kamuflaż? – zastanawiał się.

– Nie wiem – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Może. Podobno zanim zniknął, zabrał swoje rzeczy z klasztoru i gdzieś je wyniósł. Wyprowadził się.

Choć nie zdążyłam o nic zapytać, mój rozmówca się zdenerwował:

– Nie, nie gościliśmy go u nas, jeśli o to ci chodzi. Ceniłem wiedzę pana Kotopulosa, ale nasze kontakty były raczej natury praktycznej, a nie towarzyskiej. Nie mieliśmy wielu wspólnych tematów.

– Rozumiem, że nie przychodził tu zbyt często?

– Nie – padła stanowcza odpowiedź.

Zastanawiałam się, dlaczego kłamie. Przecież przed chwilą Eleni powiedziała coś wręcz przeciwnego. Na górze trzasnęły drzwi i po chwili na schodach rozległ się stukot pantofelków gospodyni. Dimitris odwrócił się w moim kierunku zdenerwowany i poprosił:

– Pozwól, że powiem jej o tym sam.

Nie odezwałam się. Byłam coraz bardziej zaintrygowana przebiegiem wizyty.

Eleni Samaras schodziła po schodach bez uśmiechu.

– To nie był telefon z Aten – powiedziała cicho.

Zatrzymała się na podeście schodów i obdarzyła mnie pełnym wyrzutu spojrzeniem.

– Wiedziałaś, że Endrju nie żyje. To dlatego do nas przysłaś – stwierdziła.

Usiadła na kanapie i trzęsącymi się rękoma zapaliła papierosa. Zaciągała się głęboko, wypuszczając nosem i ustami kłęby dymu. Jej twarz bez makijażu była wyblakła i żałosna. Poczułam do niej sympatię.

– Rozmawialiśmy o tym wypadku, gdy wysłaś. – Samaras próbował delikatnie wyjaśnić sytuację, jednak jego spokojny, obojętny ton odniósł nieoczekiwany skutek.

Eleni zaczęła histerycznie krzyczeć.

– Zamordowali go! O czym ty mówisz?! O jakim wypadku?! – Kompletnie nie panowała nad sobą. – Chcę stąd natychmiast wyjechać! Boję się! Rozumiesz?! Ja się boję tu żyć! Kiedy to wreszcie zrozumiesz?!

Dimitris stał przed żoną z opuszczonymi bezradnie rękoma.

– Uspokój się, kochanie. Policja prowadzi śledztwo. To się musi wreszcie wyjaśnić. To się skończy, obiecuję ci – przekonywał ją.

Sytuacja była bardzo nieprzyjemna. Eleni siedziała na kanapie ze zwieszoną nisko głową i długo patrzyła w podłogę. Nagle wyprostowała się i spojrzała na męża ze złością.

– Nie wierzę ci. – W jej głosie słychać było z trudem maskowaną niechęć.

Dopiero teraz, siedząc obok, uświadomiłam sobie, że nie ma makijażu, bo płakała. Płakała, bo się boi czy z powodu śmierci Kotopulosa? Zastanawiałam się nad tym później.

Relacje państwa Samarasów na temat charakteru ich kontaktów z zamordowanym historykiem diametralnie się różniły. Prawdopodobnie Dimitris Samaras stał za moimi

plecami krótko, kiedy rozmawiałam o Kotopulosie z Eleni, i nie usłyszała wersji żony. W tym domu obecność nieżyjącego historyka odcisnęła na zawsze swoje piętno i to chyba nie tylko za sprawą kolekcjonowanych dzieł sztuki. To był jakiś głębszy problem. Nie spodziewałam się, że niesforny i mało sympatyczny naukowiec nawiąże na Toros tak liczne kontakty towarzyskie. Widać, wyspiarze znali go i podziwiali. Po jego śmierci wciąż zaskakiwały mnie nowe fakty na ten temat.

Rozdział 33

– Bo widzisz, kwiatuszku, w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku na Toros wkroczyły oddziały wojsk greckich i wyzwoliły wyspę – tłumaczył mi dziadek Waggielis. – Niemcy już kilka miesięcy wcześniej, pod koniec czterdziestego czwartego roku, zaczęli opuszczać okupowane tereny w naszej części basenu Morza Egejskiego. Na Toros stacjonowali najdłużej, bo właśnie z tej wyspy zrobili sobie punkt wypadowy do Aten i w głąb archipelagu.

Siedzieliśmy z Waggieliszem w bibliotece, w prywatnych apartamentach znajdujących się nad tawerną i hotelem Sotirisa. Przez przeszklone połączenie ścian i sufitu do pokoju wpadały przymglone promienie styczniowego słońca. Wystrój zdradzał dobry gust, a nawet wyrafinowany smak, czego nie spodziewałam się po właścicielu tawerny. Umeblowanie biblioteki ujawniało znawstwo i pasję do gromadzenia przez gospodarza kosztownych antyków i zupełnie nie pasowało do upodobań wyspiarzy.

W tym niezwykłym otoczeniu słuchałam po raz kolejny opowieści o stacjonującym na Toros podczas wojny niemieckim generale. Dziadek Sotirisa mówił coraz wolniej i miałam wrażenie, że zaraz zaśnie.

– Jak on się nazywał? – wtrąciłam uprzejmie, by podtrzymać rozmowę.

– Kto? – zdziwił się Waggielis.

– No, ten niemiecki generał. – Z trudem opanowałam ogarniającą mnie wesołość. W historii, którą, tak jak wszyscy na wyspie, znałam na pamięć, to był jedyny nieznanym mi fakt. – Jak się nazywał niemiecki generał, z którym się zaprzyjaźniłeś podczas okupacji tak serdecznie, że przez dwadzieścia lat pisał

do ciebie listy? – powtórzyłam, a nawet rozwinęłam swoje pytanie.

– Ach, ten! – powiedział staruszek, przytomniejąc i podejmując wygasający temat: – Müller. Hans Müller.

– Coś mi mówi to nazwisko – zastanawiałam się.

– Gdzieś tak w połowie regału – pokazał palcem na ścianę z imponującym księgozbiorem – jest prezent, który od niego dostałem. To książka jego jedyne syna.

Pokiwałam uprzejmie głową. Aby nie robić staruszkowi przykrości, zbliżyłam się do półek wypełnionych woluminami i wodziłam wzrokiem w poszukiwaniu wspomnianego prezentu.

– Hans zmarł całkiem niedawno. – Waggielis posmutniał. – Chociaż niemiecki oficer, to porządny był z niego człowiek. Łączyły nas wspólne zainteresowania. Obaj kolekcjonowaliśmy rokokowe meble – powiedział z dumą. – Mielśmy też podobne przekonania polityczne i świetnie się rozumieliśmy. Wiesz przecież, że moje poglądy, które nigdy się nie zmieniły, są przesiąknięte narodowym patriotyzmem. – Starszy pan chwilowo znowu mówił sensownie i zrozumiale.

– Tak, tak. Wiem – przytaknęłam z powagą.

Wiedziałam, że dziadek Sotirisa jest greckim nazistą. Patriotyzm zabarwiony faszyzmem w powojennej Grecji nie był rzadkością. Metody walki politycznej ugrupowania, które reprezentował, były bezwzględne i rzutowały na życie reszty społeczeństwa. Za przyczyną greckich radykalistów, po zamachu stanu w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku (Dwudziestego pierwszego kwietnia 1967 roku pucyści dokonali w Grecji wojskowego zamachu stanu. Spiskowcy aresztowali czołowych polityków, między innymi premiera Panagiotisa. Nadeszły lata rządu pułkowników. Tortury, zsyłki polityczne i prześladowania za lewicowe poglądy stały się dla

Greków codziennością na kilka lat.), na wygnanie do Polski trafili między innymi rodzice mojego męża Jorgosa. Wielu Greków prześladowano za poglądy polityczne i skazano na wygnanie z ojczyzny również wcześniej, po tragicznej wojnie domowej (W następstwie wojny domowej (1946–1949) za granicę wyemigrowało około stu pięćdziesięciu tysięcy Greków. Wszystkich pozbawiono obywatelstwa greckiego. Do Polski trafiło trzynaście tysięcy wypędzonych. Dopiero po dojściu do władzy premiera Andreasa Papandreu (o polskim rodowodzie) przywrócono im należne prawa.) na początku lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Kwestia rozrachunku za te krzywdy to w dzisiejszej Grecji, na szczęście, temat tabu.

– *Iliada i Odyseja, Dzieła Homera* – sylabizowałam napisy na grzbietach oprawionych w skórę dzieł. Nagle poczułam, jak krew potężną falą uderza mi do głowy. – *Historia nowożytna Grecji i archipelagu Cyklad* według Andreasa Kotopulosa – przeczytałam zszokowana, a dziadek Waggielis mruknął, znowu przysypiając:

– No właśnie. Przecież ci mówiłem, że dostałem ten prezent.

Zdjęłam delikatnie wolumin z półki i otworzyłam na tytułowej stronie. W lewym górnym rogu widniała dedykacja w języku greckim opatrzona datą sprzed roku i podpisana po niemiecku pięknym kaligraficznym charakterem pisma: „Przyjacielowi z lat wojny daruję na pamiątkę dzieło mego syna – Lakisa Andreasa Müllera. Hans Müller”.

Nie zdążyłam o nic zapytać, bo Waggielis zasnął na dobre. Przykryty pledem i ukołyszany dobiegającym z zewnątrz szumem wiatru zaczął nawet lekko pochrapywać.

– Muszę przeanalizować wszystkie fakty jeszcze raz – mruknęłam pod nosem – i ta książka będzie mi do tego

potrzebna. Sam mi ją wskazał, a to znaczy, że życzył sobie, żebym ją obejrzała.

Toczyłam wewnętrzną walkę o to, jak się zachować. Tymczasem usłyszałam z korytarza zbliżające się do biblioteki kroki. To wymusiło natychmiastową decyzję. Usiadłam na krześle obok śpiącego staruszka i schowałam publikację zamordowanego historyka do torebki.

Drzwi gwałtownie się otworzyły. Zamaszystym krokiem, tak jak się spodziewałam, do biblioteki wszedł gospodarz.

– Witaj, Klaro! Co za miła wizyta! – Sotiris zwrócił się do mnie uprzejmie, z przyklejonym do twarzy uśmiechem barmana.

Zawsze zachowuje się i uśmiecha tak samo, pomyślałam.

– Znowu zasnął? – Zdziwiony wnuk otulił szczelniej pledem śpiącego Waggielisa. – Przepraszam, że ci kazałem tak długo na siebie czekać. Mam mnóstwo pracy i żadnej pomocy. – Patrzył na mnie wyczekująco. Wydawało mi się, że jest zdenerwowany. Miałam nieodpartą chęć, żeby rozdrażnić go jeszcze bardziej.

– Bywałeś u Kotopulosa w klasztorze – powiedziałam bez wstępu i od razu uzyskałam zamierzony skutek. Mój rozmówca natychmiast się zdenerwował.

– Już rozmawiałem o tym z posterunkowym Nikosem. – Głos załamał mu się nieprzyjemnie. – Kotopulos nie zapłacił za rozbitą umywalkę w łazience apartamentu, w którym mieszkał. Wybrałem się do niego w tej sprawie, bo to kosztowny sprzęt. Apartament jest od trzech miesięcy wyłączony z użytku. Ponoszę przez niego straty, a zbliża się kolejny sezon turystyczny, w którym spodziewam się dużego ruchu. Rozmawialiśmy o odszkodowaniu.

– Mieszkał w apartamencie? – zdziwiłam się, bo pamiętałam opowiadanie Sotirisa o skapstwie nieżyjącego naukowca.

– Tak. Kiedy przyjechał, umieściłem go tam. Przyjmowaliśmy wycieczkę z Aten. Nie było wolnych pokoi.

– Podobno kiedy go odwiedziłeś w klasztorze, kłóciliście się tak głośno, że słyhać was było aż na dziedzińcu.

– Właśnie ci tłumaczę – prychnął zniecierpliwiony – że gość był mi winien pieniądze. Po ostrej wymianie zdań obiecał, że wkrótce zapłaci. Tłumaczył się, że ma przejściowe kłopoty w korzystaniu z konta bankowego. Nie wiem, czy to prawda, ale liczę, że dotrzyma obietnicy.

– Prawda – potwierdziłam wersję historyka. – Ale obietnicy nie dotrzyma. Nie żyje. Został zamordowany kilka dni temu w cerkwi na wzgórzu – mówiłam wolno, obserwując reakcję hotelarza.

Sotiris zrobił się siny na twarzy. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Teraz nie był już zdenerwowany, ale kompletnie wytrącony z równowagi.

– Jak to się stało? Kto to zrobił? – mamrotał.

– Pracujemy nad tym – odpowiedziałam wymijająco. – Niedawno, jak zapewne wiesz, po wizycie posterunkowego, Andreas Kotopulos zabrał swoje rzeczy z klasztoru, ale nie poinformował nikogo o swoich planach.

– Tak. – Sotiris kiwał głową, błędząc gdzieś myślami. – Nie mam pojęcia, gdzie chciał zamieszkać. Powiedziałem o tym Nikosowi.

– Przed śmiercią napisał na podłodze cerkwi własną krwią coś niezrozumiałego – kontynuowałam. – Pozostawił nam wskazówkę, którą usiłujemy rozszyfrować.

Sotiris patrzył na mnie szeroko otwartymi oczyma. Czego on się tak boi? Zastanawiałam się.

– „...jest ślepa jak Melpomena i kłamliwa...” – zacytowałam. – Co o tym sądzisz? – W dalszym ciągu obserwowałam go uważnie.

Zareagował nieoczekiwanie. Odetchnął z ulgą i wyraźnie się odprężył. Spodziewał się czegoś innego, przemknęło mi przez głowę. Wydał usta we wzgardliwym uśmiechu i stwierdził:

– Kompletna bzdura. Zawsze uważałem go za nawiedzonego głupka. – Takie określenie zamordowanego zabrzmiało obrzydliwie. Na widok mojej zbulwersowanej miny hotelarz się poprawił: – Chciałem tylko powiedzieć, że Kotopulos był dziwaczny. No, chyba przyznasz mi rację, że nieco się różnił od normalnych ludzi. – Usiłował tuszować swoje zachowanie.

– Z pewnością nie mieliście wielu wspólnych tematów. – Nie potrafiłam opanować uszczypliwości.

Sotiris zaczerwienił się, właściwie odczytując intencję ironicznej uwagi.

– Nie jestem naukowcem, to prawda – sapnął niezadowolony.

To mało powiedziane, dodałam w myśli, bo przypomniałam sobie jego prostackie zachowanie na promie.

– Nie lubiliście się. – Moje stwierdzenie odebrał jako zarzut.

– Nie! – zaprotestował natychmiast. – Mało się znaliśmy. Tylko tyle. Nie przepadam za ludźmi jego pokroju. Nie był ani dowcipny, ani towarzyski. Trudno go było nazwać sympatycznym.

– Sprawiał kłopoty jako klient hotelu? – Usiłowałam zrozumieć niechęć Sotirisa do historyka.

– Jeśli nie liczyć rzeczy, które potrafił, rozbił czy zniszczył przez nieuwagę, to nie – odpowiedział naburmuszony hotelarz.

– Słaby wzrok i ciągle roztargnienie nie przysparzało Kotopulosowi przyjaciół. Drażnił swoim sposobem bycia wielu ludzi. – Uśmiechałam się pod nosem, obserwując spod oka mimikę Sotirisa.

Nie lubiłam wnuka Waggielisa. Jedyłą rzeczą, która budziła w nim moją sympatię, był opiekuńczy stosunek do staruszka. Zawsze wyczuwałam w nim prostactwo i wyrachowanie, a teraz dodatkowo czułam, że kłamie. Kiedy rozstaliśmy się przed drzwiami biblioteki, gdzie na fotelu wciąż drzemał starszy pan, marmurowe schody sprowadziły mnie piętro niżej, na hotelowy korytarz.

Wyszłam wprost na dębowe drzwi prowadzące do apartamentu. Były otwarte. Z wnętrza dochodził hałas. Gruba pokojówka, przekrzykując odkurzacz, śpiewała soczystym sopranem jakąś ludową piosenkę. Na podłodze, wśród porozkładanych środków czystości i rozrzuconej w nieładzie bielizny pościelowej, bawił się umorusany ciemnooki chłopiec.

– Biegnij, syneczku, do pana Sotirisa i poproś o klucz do szafy w apartamencie. Powiedz, że mamusia chce przetrzeć półki – zwróciła się do chłopca serdecznym tonem. – Żeby potem znowu nie było gadania, że nie posprzątałam – wymruczała do siebie pod nosem.

Dzieciak niechętnie podniósł się z podłogi, ale ostatecznie podreptał na dół. Stałam w drzwiach zażenowana.

– Mam kłopot. Potrzebuję skorzystać z toalety – powiedziałam, uśmiechając się niepewnie.

– A co to za kłopot, Klaro?! Z lewej strony, tam gdzie stoisz, są drzwi. Nie krępuj się. – Dziewczyna stała na środku pokoju z rękami wspartymi na potężnych rozłożystych biodrach. – Tu wszędzie są tylko sypialnie i toalety. – Wybuchła zaraźliwym śmiechem.

– Dzięki. Zaraz wracam – powiedziałam i weszłam do łazienki ścigana jej rozbawionym spojrzeniem.

Pomieszczenie było duże. W rogu stała akrylowa wanna z hydromasażem, a obok szklana kabina natryskowa.

– No, no – mruknęłam z uznaniem zaskoczona. – Tak wyposażona łazienka w hotelu, nawet w apartamencie, to luksus.

Jedna z dwóch umywalek ustawionych pod ścianą przed kosztownym kryształowym lustrem była pęknięta na całej długości aż do podstawy. W szafce obok kabiny natryskowej znalazłam kilka opakowań męskich kosmetyków.

– Ach, ten Kotopulos – westchnęłam. – Taki jak on to nawet głowy mógłby zapomnieć.

Z apartamentu, w którym przez chwilę było cicho, dobiegł mnie nagle płacz dziecka.

– Co się dzieje? – Wyskoczyłam z łazienki, nie osuszywszy nawet rąk.

Dziewczyna, purpurowa z gniewu, tuliła chłopca w ramionach.

– Przepędził cię? – dopytywała. – Dlaczego na ciebie krzyczał? Nie kłamiesz?

– Nie, pewnie, że nie – rozżalił się malec na dobre. – Krzyczał, że znowu się kręcę po kuchni i żebyś sprzątała, co ci kazał, i nie zajmowała się rządzeniem za niego.

– W szafie przetrzeć nie wolno? A to gbur! – Wielka pierś pokojówki falowała gwałtownie w górę i w dół. W tym ciepłym i miękkim uścisku dzieciak uspokoił się natychmiast.

– A kupisz mi tę ciężarówkę, co jak się naciśnie guziczek, to podnosi do góry naczepę? – Synek pokojówki marudził, usiłując wykorzystać sytuację i wyciągnąć korzyść ze swojej krzywdy.

– Pewnie, że ci kupię, kruszynko ty moja. Pewnie, że tak. – Matka rozczuliła się nad chłopcem. – A tatuś, jak wróci z pracy, to sobie z tym gburem porozmawia – odgrażała się zagniewana, patrząc w kierunku schodów. – Sam będzie sprzątał. Wielki pan bogacz, a zachować się nie potrafi – złorzeczyła swojemu szefowi.

Nie mogłam jej nie przyznać racji. Sotiris po rozmowie ze mną nie panował nad emocjami.

Rozdział 34

Najlepszą porą dla handlu na Toros było późne popołudnie. Po sjeście kobiety wpadały do sklepu Stefanosa, żeby dokupić coś na kolację i poplotkować.

Teraz, tuż przed sjestą, było tu jednak cicho i pusto. Zniecierpliwiony właściciel stał za kasą osobiście i co chwilę spoglądał na duży ścienny zegar. W lokalu były tylko dwie klientki. Kiedy zobaczył mnie w drzwiach, zrobił nieprzyjemny grymas. Wymownie pokazał na zegar.

– Sjesta, Klaro. Sjesta się zbliża – powiedział rozdrażniony.

– Zajmę ci tylko minutkę. – Przymilałam się. – Zapomniałam kupić oregano. Tula mnie zabije. – Usiłowałam go udobruchać.

Żona miejscowego lekarza przebierała w mandarynkach, nie zważając na południową porę i doprowadzając sklepikarza do rozpacz.

– Ile kosztuje kilogram tych większych? – Uciskała i wachała skórkę wybranego owocu. Wiadomo, że mandarynki o szerokim przekroju, z cienką przesuwającą się pod palcami skórką są najśodsze.

– Droga pani Asmino, i po co tak gnieść te owoce? Przecież widać gołym okiem, że to pierwszy gatunek – denerwował się mężczyzna. – Są w dobrej cenie. Nigdzie nie kupi pani tak tanio. To z mojego gaju cytrusowego. Najlepsze w okolicy. Podać? – pytał zniecierpliwiony.

– Czy ja wiem? – zastanawiała się. – No to może podaj.

– No to ile?

– Co ile? – Klientka rozglądała się po sklepie, gubiąc wątek rozmowy.

– Ile zważyć, pani doktorowo? – Stefanos usiłował opanować irytację.

– No przecież ci mówię, że sama nie wiem. – Stała niezdecydowana przed ladą. – No już dobrze – westchnęła z rezygnacją. – Nie popędzaj mnie. Niech będzie kilogram.

Zadowolona z podjętej decyzji uśmiechała się do mnie przez szpary w sklepowych regałach.

Z paczuszką przyprawy ziołowej, dumna ze swojego wizerunku kobiety pragmatycznej, skierowałam się do lady. Sprzedawca nabił na kasę odważone mandarynki i podliczył rachunek, kiedy żona lekarza powiedziała nagle:

– Wiesz co, Stefane, mam wrażenie, że to jeszcze nie wszystko.

Sklepikarz pokiwał głową zrezygnowany.

– Oczywiście, pani doktorowo. – Pogodzony z losem przybrał zwykły, usłużny ton. – Co jeszcze ważymy?

Znałam marudny charakter i flegmatyczne usposobienie mojej sąsiadki, dlatego przygotowałam się na dłuższe oczekiwanie. Decyzja w sprawie kolejnego zakupu jednak nie zapadła, bo uwagę Stefanosa przykuł wózek pełen zakupów, który z piskiem zahamował za moimi plecami. Obejrzałam się. Obok sklepowego kosza wypełnionego produktami stała Anna Margaritis. Na widok objętości jej zakupów właściciel otworzył usta ze zdumienia, a pani doktorowa z wrażenia znowu zapomniała, po co przyszła do sklepu, i zamilkła.

– Witaj, Klaro. – Po raz pierwszy od wielu miesięcy usłyszałam piękny, aksamitny głos Anny.

Kiwnęłam głową i wzruszona przytuliłam ją do siebie.

– Dobrze wyglądasz – stwierdziłam zgodnie z prawdą.

W odpowiedzi uśmiechnęła się uprzejmie, ale chłodno. Pani doktorowa nie ociągała się dłużej i zapłaciła rachunek, ale węsząc sensację, stała obok lady i wpatrywała się w Annę.

Wrzuciłam sto pięćdziesiąt drachm za paczuszkę przyprawy prosto do szuflady w kasie Stefanosa. Żeby przerwać przedstawienie, powiedziałam do Anny:

– Widzę, że masz gości. – Ignorując wścibskie babsko, zaczęłam wyklądać na ladę produkty z wózka przyjaciółki.

W oczach sprzedawcy zobaczyłam ulgę, a na twarz pani doktorowej powoli wypełzło rozczarowanie. Dopiero gdy ciekawski babsztyl wyszedł ze sklepu, Anna powiedziała:

– Nie.

– Co nie? – zapytałam.

– Nie mam gości – odparła. – Stefane, który żel pod prysznic kupowałam zawsze dla mojego chłopca? – W rękę trzymała kolorowe opakowanie z jakimś kosmetykiem. – Czy to ten? – dopytywała.

W szeroko otwartych ze zdumienia oczach sklepikarza zagościła panika. Przełknął głośno ślinę. Popatrzył na mnie, nie na nią, i powiedział:

– Poczekaj, Anno, zaraz ci przyniosę.

Ucieszona odebrała podanego jej backa.

– Tak, to ten. Dołóż mi jeszcze taką samą wodę po goleniu – powiedziała, kładąc tubę żelu na ladzie przed kasą.

– To duże zakupy. Może pošlę kogoś, żeby ci je po południu dostarczył do domu? – Zatrzaszczył się właściciel sklepu.

– Nie. Nie potrzeba. Od noszenia zakupów mamy mężczyzn. Zgadzasz się ze mną, Klaro? – zapytała.

– No. Tak. Pewnie, że tak – odpowiedziałam zakłopotana. – Chyba że zaprosisz mnie na kawę i przy okazji razem

zanieśmy to wszystko do ciebie. We dwie powinnyśmy dać radę. – Oszacowałam optymistycznie nasze możliwości, patrząc, jak Anna odbiera od Stefanosa resztę po uregulowaniu rachunku.

– Jesteś zaproszona – poklepała mnie po ramieniu – ale zakupów nie będziemy targać. Przyślę chłopca – rzuciła przez ramię do zdezorientowanego sprzedawcy i otworzyła drzwi sklepu.

Na zewnątrz było już cicho i pusto. Miasteczko w czasie sjesty wyglądało jak wymarłe. Przymknięte okiennice domów i nieczynne sklepy wywoływały u nielicznych przemykających pod ścianami przechodniów poczucie osamotnienia.

Anna zatrzymała się na moment na środku jezdni i odwróciła w moim kierunku.

– Nie martw się, nie jestem wariatką. Wiem, że moi chłopcy nie żyją – zapewniła i ruszyła przed siebie.

W drodze do tawerny Margaritisów prawie nie rozmawiałyśmy, a przed drzwiami moja przyjaciółka nie wyciągnęła klucza, tylko nacisnęła dzwonek. Czekaliśmy dłuższą chwilę, po czym wewnątrz rozległy się kroki. Po chwili usłyszałam znajomy głos:

– Cierpliwości, bo nie wiem, gdzie dałem klucz.

Chwile oczekiwania dłużyły mi się, ale w końcu zazgrzytał zamek i w otwartych drzwiach stanął Jurek Kostkowski. Był jeszcze bardziej zaskoczony niż ja. W kapciach, szlafroku i z ociekającymi wodą włosami wyglądał jak domownik. Na mój widok przestał się uśmiechać. Bez słowa wpuścił nas do domu.

– Dzień dobry – powiedziałam zakłopotana.

– Jorgo, Klara jest moją przyjaciółką – upomniała go Anna.
– Proszę cię, żebyś o tym nie zapominał.

– Dzień dobry – odpowiedział niechętnie. – Właśnie brałem kąpiel. Chyba powinienem się ubrać – dodał i od razu pobiegł na górę.

– Zapraszamy cię na kawę – krzyknęła za nim Anna i wprowadziła mnie do salonu. – Wejdz, proszę. Jak widzisz, nie zwariowałam. Mimo wszystko – dodała. – Przygarnęłam go wczoraj na prośbę Teodora. Bracia mieszkali w górach, w namiocie. O tej porze roku! Potrafisz to sobie wyobrazić? – mówiąc do mnie, ściągała pokrowce z mebli w salonie. – Najwyższy czas, żeby do tego domu wróciło normalne życie – mruzczała pod nosem. – Janek wyjechał do Polski jeszcze tego samego dnia, w którym wrócili z Aten. Był na Toros tylko kilka godzin, bo w drodze na wyspę zaskoczyła ich wiadomość o chorobie babci. Od tej chwili Jurek jest sam. Gdy spotkaliśmy się wczoraj wieczorem w domu Teodora, był skostniały z zimna i głodny. Pop nie mógł się nim zaopiekować. Na plebanii nie ma miejsca, za to ciągle są problemy z ogrzewaniem. Teodor traktuje życie w spartańskich warunkach jako część kapłańskiego powołania, ale gościny u siebie nikomu nie proponuje. Jego celem, jak sam mówi, jest osiągnięcie stanu wyższego uduchowienia. – Patrzyła na mnie pytająco, a w jej oczach, jak dawniej, czały się wesołe ogniki.

– Jedyne widoczne osiągnięcie do tej pory, to permanentne przeziębienie – zażartowałam i jak dawniej ogarnęłam nas beztraska wesołość.

Gdzieś na górze trzasnęły drzwi. Anna posmutniała.

– Jest bardzo przygnębiony.

Domyśliłam się, że mówi o Jurku.

– Gdy Teodor poprosił mnie o opiekę nad nim, miałam wątpliwości, czy potrafię temu sprostać, ale teraz jestem

zadowolona. Czuję się przy nim bezpieczniej. – Patrzyła na mnie ufnie.

Poczułam gwałtowne ukłucie w sercu, ale nie zdążyłam nic powiedzieć. Jak zwykle bez pukania, bezszelestnie jak kot, w drzwiach salonu stanął Jurek. Na jego bladej i wychudłej twarzy uwagę zwracały podkrążone z niewyspania oczy. Nasze spojrzenia się skrzyżowały.

– Kiepsko wyglądasz. Masz jakieś kłopoty? – zapytałam, przypominając sobie podróż promem i plany Tasosa wobec braci. Zamierzaliśmy wtedy odbyć z nimi rozmowę.

Jurek skrzywił się.

– Nie mam pracy ani pieniędzy, ale na szczęście mam przyjaciół i dach nad głową. Mogło być gorzej. Jest szansa, że przetrwam zimę. – Popatrzył na Annę.

– Janek znowu nie zgłosił swojego wyjazdu z wyspy – stwierdziłam. – Wiedziałabym o tym – dodałam, obserwując, jak przez jego twarz przebiega nerwowy skurcz.

– Przecież to mnie, a nie mojego uroczonego brata typujecie na gangstera – zakpił. – Nic nie straciliście. Czarny charakter jest nadal na Toros do waszej dyspozycji. – Ukłonił się po błazeńsku.

– Dajże spokój, dziecko – obruszyła się Anna. – Klara nie jest twoim wrogiem.

– Nie jesteś taki twardy, jakiego udajesz – powiedziałam cicho. – Chcielibyśmy ci pomóc.

– Nie jestem twardzielem – potwierdził, nie patrząc na mnie. – Ale mimo to potrafię się sam zatroszczyć o swoje sprawy. Poczuję się lepiej, kiedy przestaniecie się mieszać do mojego życia.

– To dobrze, że jesteś zaradny i że nie mieszkasz sam. Na Toros robi się coraz bardziej niebezpiecznie.

– Co masz na myśli? – zaniepokoiła się Anna.

Twarz Jurka nie wyrażała żadnych uczuć. Albo nie zainteresował się moim ostrzeżeniem, albo dobrze maskował emocje.

– Kilka dni temu w cerkwi na wzgórzu znowu zamordowano człowieka.

– Jezu Chryste! – krzyknęła Anna i upuściła na podłogę filiżanki, które właśnie wyciągała z kredensu.

Kawałki kolorowej porcelany rozprysły się na marmurowej posadzce salonu. Jurek rzucił się na podłogę, żeby pozbierać skorupy. Żadne z nich nie miało odwagi zapytać, kto jest ofiarą zbrodni. W milczeniu przywróciliśmy porządek i usiedliśmy przy stole. Moi rozmówcy patrzyli na mnie w ponurym oczekiwaniu.

– Andreas Kotopulos – rzuciłam krótko.

Anna znowu cicho krzyknęła, a Jurek poszarzał na twarzy jeszcze bardziej.

– Sądzicie, że Janek to zrobił? – zapytał przestraszony.

– Nie – zaprzeczyłam natychmiast. – Nie postawiliśmy jeszcze żadnej hipotezy. Żeby kogoś podejrzewać o zbrodnię, trzeba mieć do tego podstawy. Choćby motyw – powiedziałam, obserwując ulgę na jego twarzy. – To świeży problem. Sami dowiedzieliśmy się o tym morderstwie niedawno. Zналиście go? – prowokowałam Jurka do zwierzeń.

– Pracowaliśmy razem z nim przez kilka tygodni w klasztorze – zaczął mówić niechętnie i powoli, ważąc każde słowo. – Po powrocie z Aten nie spotkaliśmy go. Mieliśmy same kłopoty – skrzywił się. – Skończyły się sezonowe prace i nikt nie chciał nas zatrudnić.

– Nie zwróciliście się do niego o pomoc w potrzebie? Był bogatym i wpływowym człowiekiem – zdziwiłam się.

– Byyył – zaczął Jurek przeciągle – obojętny na sprawy innych ludzi. Wciąż roztargniony, rozmyślał wyłącznie o swoich naukowych teoriach. Ostatnia rzecz, która przyszłaby nam do głowy, to prosić go o wsparcie.

Wygłosił smutną, ale prawdziwą charakterystykę Kotopulosa. Pierwsza poważniejsza rozmowa z nim uświadomiła mi, że mam przed sobą nie umiejętnionego osiłka, na którego wyglądał, ale intelektualistę. Anna obserwowała nas zdezorientowana.

– Może powinnaś usiąść? – Zaniepokoił go widok jej poblądłej twarzy.

– Kiedy to się stało? – przerwała mu, zwracając się do mnie.

– Prawdopodobnie tydzień temu. Nocą, szóstego stycznia w święto Objawienia, po uroczystej kolacji kończącej *Dhodhekaimero*. Ktoś go zwabił do cerkwi.

Zmartwił mnie wyraz jej twarzy. Po niedawnym odprężeniu nie zostało śladu.

– Jak zginął? – dopytywała.

– Został zastrzelony z pistoletu z bliskiej odległości. Wszystko wskazuje na to, że znał mordercę.

– Czy to znaczy, że zabójca jest wśród nas? Że jest wciąż na wyspie?

– To możliwe. Wszyscy powinniśmy zachować czujność.

– Ach, więc to tak – domyśliła się. – To znaczy, że przyszłaś mnie ostrzec.

– Wiem, że rzadko wychodzisz z domu. Przede wszystkim przyszłam uprzedzić plotkarzy. Chciałam, żebyś dowiedziała się o tym ode mnie. Jestem pewna, że nic ci nie grozi – uspokajałam ją.

Ściskając dłonie i wyłamując nerwowo palce, Anna krążyła po pokoju od drzwi do okien. Miotła się jak zaszczute zwierzę.

– Nie rozumiem. Był głównym podejrzanym, a teraz nie żyje. Nie rozumiem tego – powtórzyła. – Czuję się bezsilna, Klaro! – Jej nieskładna wypowiedź zabrzmiała jak wołanie o pomoc.

– Wobec zbrodni zawsze czujemy się bezsilni. – Ratowałam sytuację psychologiczną doktryną. – Bliscy zamordowanych stają się psychicznymi ofiarami mordercy. Dlatego tak ważna jest następująca po zbrodni kara. Choć dla ofiary nie ma znaczenia, wyrównuje bilans moralny i przywraca żyjącym równowagę emocjonalną. Obiecuję ci, że winni zostaną ukarani i że poczujesz się lepiej. Zaufaj mi.

Jurek nie zadawał pytań. Przysłuchiwał się naszej rozmowie.

– Czy kojarzy ci się z czymś takie zdanie: „...jest ślepa jak Melpomena i kłamliwa...” – zwróciłam się nagle znowu do niego, podejmując przerwane rozważania na temat Kotopulosa.

– Pewnie, że tak – odpowiedział natychmiast. – Chyba tak jak wszystkim, z pomyłką.

– Jak to rozumiesz?

– Zwyczajnie. To musi być pomyłka. Temida ma zasłonięte oczy i to ją można nazwać ślepą. – Zastanawiał się przez chwilę. – Jest nawet takie powiedzenie, że sprawiedliwość bywa ślepa, tak jak miłość. Melpomenie z kolei, w dużym uproszczeniu, można zarzucić kłamliwość. Przecież w teatrze wszystko jest fikcją. Aktorzy udają kogoś innego. Nawet dekoracje są sztuczne.

– A jeśli ten pogląd wyraził ktoś, kto nie mógł się pomylić?

Patrzyliśmy na siebie. Nagle jego źrenice rozszerzyły się gwałtownie, a twarz przybrała wyraz osłupienia.

– Kotopulos? – zadał pytanie, choć już się domyślił, o kim mowa.

– Tak. Przed śmiercią napisał te słowa na podłodze cerkwi. Własną krwią. – Cytując tekst, nie spuszczałam oczu z Jurka. Krew uderzyła mu do głowy i jego twarz przybrała czerwoną barwę.

– Skoro o niego chodzi, to nie wiem. Naprawdę nie wiem – wykrztusił. – Przyczyna musi być inna. On nie mógł się pomylić. Nikt nie znał antyku tak dobrze jak Kotopulos – mamrotał.

– Masz jakiś pomysł?

W odpowiedzi Jurek zdecydowanie pokręcił głową.

– On się na pewno nie pomylił. – Usłyszałam zapewnienie.

A jeśli jest przeciwnie? Zastanawiałam się nad tym w drodze do domu. Jeśli Kotopulos pozostawił nam wskazówkę, że to pomyłka jest kluczem do tajemnicy jego śmierci? Wynik takich rozważań mógł się okazać bardzo ciekawy.

Rozdział 35

Dom Jany stał w bezsprzecznie najwyższym punkcie Toros. Był kompleksem trzech nowoczesnych budynków wkomponowanych perfekcyjnie w nadmorski krajobraz. Dwa mniejsze, w pastelowych kolorach i o fantazyjnych futurystycznych kształtach, stanowiły tło dla trzeciego, osadzonego na szczycie skały i górującego nad zatoką.

Przeszklone ściany wielu pomieszczeń dawały domownikom poczucie jedności z naturą. Oryginalne, na wskroś nowoczesne meble cechowała prostota i funkcjonalność. Nic, co znajdowało się w tym wnętrzu, nie zakłócało więzi z przyrodą wdzierającą się do środka willi przez tarasy, balkony i oszklone ściany. W tej niezwyklej wizji architektonicznej ujawniała się przemożna skłonność Greków do życia na łonie natury.

– Nie do wiary. To ty? – zażartowała Jana na mój widok. – Mieszkasz jeszcze na Toros? Nie widzieliśmy cię chyba z miesiąc. Janis! Zgadnij, kto do nas przyszedł! – krzyknęła w głąb salonu do stojącego przed sztalugami męża.

Gospodarz, jak zwykle o tej porze, rozwijał swój talent plastyczny, uwieczniając na płótnie widniejącą w oddali przystań. Artyści miewają niekiedy dylematy twórcze przy wyborze tematu swoich prac. Mąż Jany, odkąd pamiętam, wciąż od nowa malował rozpościerający się przed oknami willi pejzaż, którego głównym elementem były liczne żaglowce cumujące w zatoce. Doszłam do wniosku, że do domu moich przyjaciół powrócił spokój, skoro Janis stał przed kolejną sztalugą w poplamionym fartuchu.

– No, witaj, witaj. Nareszcie. Co cię sprowadza o tak wczesnej porze? – zapytał. – Niech zgadnę. Będziemy rozmawiać o Kotopulosie. – Nie dopuścił mnie do głosu.

Spodziewałam się takiej reakcji. Kilka dni po odkryciu zwłok sprawa kolejnego morderstwa nie była już na wyspie tajemnicą. Na pewno plotkowali też o tym, że wypytuje wszędzie o historyka.

– Dajże jej spokój. Nie czepiaj się dziewczyny. Wszyscy chcemy, żeby ta makabryczna historia wreszcie się wyjaśniła – broniła mnie Jana. – Chodź. – Objęła mnie ramieniem i zaprowadziła do niewielkiego stolika w rogu pokoju. – Siadaj. Napijemy się koniaczku.

– O tej porze? – jęknął z dezaprobatą artysta malarz, nucąc coś pod nosem. – Już ja znam wasze zwyczaje. Wstyd, moje panie, wstyd. – Drewnianym uchwytem pędzla odmierzał odległości na płótnie i porównywał z perspektywą za oknem. – Tak – mrucał do siebie. – Coś mi się tu nie zgadza. No, to i ja poproszę – upomniał się o kieliszek dla siebie i obdarzył nas promiennym uśmiechem. – Pewnie chcesz wiedzieć, po co chodziłem do niego do klasztoru? – zapytał, mając na myśli zamordowanego. Kotopulosa. – To delikatna sprawa. Wypełniałem swojego rodzaju misję. Krótko mówiąc, występowałem w czyimś imieniu.

– Rozumiem – powiedziałam z powagą.

Spojrzał zdziwiony.

– Wiesz coś na ten temat?

– Domyślam się, o co mogło chodzić – przyznałam. – Nie wiem tylko, na ile sprawa była poważna. Mam na myśli niechęć twojego teścia do Kotopulosa albo, inaczej, słabość Eleni do niego.

– No więc... – mój rozmówca podjął temat od razu – w obu przypadkach przewartościowałeś sytuację i mylisz się, jeśli oczekujesz, że to problemy małżeńskie teścia były powodem moich wizyt w klasztorze. – Janis podszedł do stolika i dorzucił

do przygotowanej dla niego wódki garść lodu. Nie ingerowałam w jego monolog, bo wstęp brzmiał interesująco. – Nasza mała Eleni polubiła towarzystwo historyka, bo obdarzał ją odrobiną zainteresowania, którego potrzebuje każda kobieta, a szczególnie tak młoda jak ona – dodał. – Mój teść, który nawiasem mówiąc, uwielbia swoją piękną żonę, spędza większość czasu w *kafenijo*. To typowy Grek. Typowy – mrucał pod nosem. – W dodatku jest w wieku, w którym mężczyzna, z przyczyn oczywistych, zapewnienie żonie komfortu życia może mylnie uznać za wystarczające dowody zainteresowania i miłości. Młoda kobieta u boku starzejącego się mężczyzny to prawdziwy kłopot – roześmiał się, zaczepnie zerkając na żonę. Jana leżała na zdobionym złoceniach szezlongu i popijała z kieliszka bursztynowy płyn. Z nieprzeniknioną twarzą przysłuchiwała się naszej rozmowie. – Kotopulos umiejętnie rozbudzał u Eleni zainteresowanie sztuką, inkasując niezłe pieniądze za pośredniczenie w zakupie wybranych eksponatów i za doradztwo. Jej z kolei towarzystwo naukowca dostarczało trochę rozrywki i zaspokajało snobizm. – Janis chętnie rozwijał swoją wypowiedź nienagabywany przeze mnie. – Nie przypuszczam, żeby zabawa w kolekcjonerkę antyków – przymrużył żartobliwie oko – przesłoniła młodej żonie uczucia do ojca i... zdrowy rozsądek.

Patrzyłam na niego zaskoczona.

– A co myślisz? Mała Eleni jest wytrawnym graczem. Nie jest, oj nie jest idiotką, na jaką wygląda! – zapewnił mnie i podniósł znacząco wskazujący palec do góry, tuż przed moim nosem.

– Znowu zaczynasz? Przestań – jęknęła Jana.

– Awans społeczny striptizerki do roli żony milionera to nie byle co. Na pewno nie przywiodła ją na Toros wyłącznie miłość – dodał z ironią.

– Zapominasz się – rzuciła Jana ostrzegawczo. – Mówisz o żonie mojego ojca.

– Oczywiście poziom wiedzy Eleni na każdy temat jest, delikatnie mówiąc, rozczarowujący. – Mimo protestów padła kolejna złośliwość.

– Dość tego. Wystarczy! – Moja przyjaciółka zdecydowanie sprzeciwiła się kpinom z macochy. – Eleni jest głupiotka, ale nie jest złą dziewczyną i jest bardzo przywiązana do ojca.

– Tym szczególnym rodzajem przywiązania, które wyzwala pieniądze i władza. – Zięć Dimitrisa Samarasa nie dawał za wygraną, jednak tym razem Jana zdenerwowała się nie na żarty.

Wstała i z hukiem rzuciła srebrne szczytce do lodu na marmurowy blat stolika. Jej nietypowe zachowanie przerwało ciąg inwektyw pod adresem Eleni. Przezornie nie wtrącałam się do kłótni.

– A powiesz mi coś więcej na temat wizyty w klasztorze? – dopytywałam, podążając za obrażonym na żonę gospodarzem w głąb przeszklonego wykuszu przed umieszczone na sztalugach płótno.

– Hm... – mruzczał i zerkał niepewnie w kierunku poblądłej z gniewu pani domu. – Obiecałem Dimitrisowi, że nikomu o tym nie powiem.

– To bardzo ważne dla śledztwa – nalegałam, patrząc wyczekująco na Janę.

Nie powiedziała nic, ale pokiwała przyzwalająco głową i stanęła za plecami malującego męża. Przez chwilę obserwowaliśmy, jak spod pędzla malarza wyłania się zarys

widocznego za oknem nabrzeża. Zimowa brunatno-siwa wizja artysty przedstawiała widok dosyć ponury. Pejzaż przenosił klimat smutku i nostalgii, której pomimo zimowej pory nie było za oknem. W kraju, który przyroda tak hojnie przyozdabia cały rok w kwiaty i zielone rośliny, ponury krajobraz to raczej portret wewnętrzny twórcy, pomyślałam.

– Odwiedziłeś Kotopulosa w klasztorze w imieniu teścia – zaczęłam zachęcająco. – Dlaczego nie poszedł tam osobiście?

– Poszedł, poszedł – zaprzeczył Janis. – Ale ponieważ nic nie załatwił, po kilku dniach wysłał mnie. Chodziło o antyczną rzeźbę, której transport na Toros się odwlekał. Oczywiście zamówienie nie było pilne, bo, jak się spodziewasz, posiadanie obelisku z piaskowca nie jest podstawową potrzebą w życiu i można się bez tego obejść, ale Eleni zadręczała teścia o interwencję w tej sprawie. Planowała zrobić przyjęcie, na którym koniecznie chciała zaprezentować swój nowy nabytek przyjaciółkom z Aten. Choć widywała historyka często, nie śmiała się wtrącać w męskie sprawy. Nalegała, żeby to ojciec odwiedził Kotopulosa i wymógł na nim przyspieszenie doręczenia dzieła sztuki – mówił dalej.

– Co na to twój teść? – zapytałam.

– Uważał, że ponaglanie jest niepotrzebne, a osobiste wizyty w klasztorze u zatrudnionego przez siebie Kotopulosa niestosowne. Jednak chcąc uniknąć konfliktu z żoną i przyspieszyć dostawę rzeźby, poprosił mnie o pomoc.

– Zatrudnionego? – zdziwiłam się.

– Ano tak. Historyk na zamówienie ojca od kilku tygodni odnawiał pamiątki rodowe Samarasów. Obrazy i ikony. Zaniósł mu kilka takich przedmiotów do klasztoru.

Relacja Janisa pokrywała się w tym szczególe z zeznaniami ojca Temistoklesa, który opowiadał o paczce pozostawionej przez zięcia Dimitrisa Samarasa w klasztorze.

– To znaczy, że wizyta żadnego z was, twoim zdaniem, nie miała nic wspólnego z relacjami Eleni i Kotopulosa – podsumowałam nieco rozczarowana.

– Oczywiście, że nie. – Mąż Jany uśmiechnął się na widok mojej zawiedzionej miny. – Ojciec był niezadowolony z tych kontaktów, ale jest człowiekiem z klasą. Zna swoją wartość w tym środowisku i potrafi się zachować stosownie do sytuacji.

– A jaka, twoim zdaniem, była ta sytuacja? – zapytałam podchwytliwie.

– Kłopotliwa, jeśli zważyć z jednej strony na jego egocentryzm, a z drugiej na brak posłuchu u żony. Nic więcej. Znam jego despotyczny charakter i dlatego dziwiłem się, że po prostu nie zakazał jej definitywnie tych kontaktów. Widocznie nie dostrzegał problemu. – Janis zamilkł, dając do zrozumienia, że chciałby skończyć rozmowę na tematy rodzinne, ale ostatecznie odwrócił się i zaglądnął mi prowokacyjnie w oczy. – Dimitris nie przepadał za często konferującym z Eleni historykiem, ale nie zabił go z tak błahaego powodu. Kotopulos nie miał szans rywalizować z teściem. To absurd. – Wzruszył ramionami. Mówił o zamordowanym obojętnie, a nawet lekceważąco. Nie zapytał o szczegóły śledztwa. Sprawiał wrażenie, że ta zbrodnia nie obchodzi go w najmniejszym stopniu. Poczulałam ukłucie w sercu. Oprócz Eleni i Anny nikt z moich rozmówców nie zareagował na wieść o śmierci sławnego naukowca po ludzku, choć wyglądało na to, że wszyscy go znali.

– Zazdrość bywa uczuciem trudnym do opanowania – mruknęłam przekornie.

– Zazdrość może tak. Tyle że uczucia ojca do Eleni są bliższe poczuciu własności niż miłości – wtrąciła się Jana, jak zwykle rzeczowo. – Niestety – dodała cicho. – Jest sporo prawdy w tym, że ojciec wielbi swoją młodą żonę jak nowy nabytek. Nie traktuje jej jak partnera życiowego, a raczej jak dziecko albo budzącą podziw atrakcyjną zabawkę. Przypuszczam, że w dobrobycie, którym ją otoczył, ona czuje się samotna – dopowiedziała współczująco. – Nie podejrzewam Eleni o wyrachowanie – zastrzegła się. – Uważam, że Janis przesadza, a nawet że krzywdzi ją takim posądzeniem.

Po oświadczeniu mojej przyjaciółki zapadła kłopotliwa cisza. Nie roztrząsałam drażliwego tematu, tym bardziej że jej macocha była mało istotnym ogniwem w mojej koncepcji zbrodni.

– Wygląda na to, że Kotopulos wiódł na Toros bogate życie towarzyskie. Nie spodziewałam się, że utrzymywał tak rozległe kontakty z mieszkańcami – wygłosiłam myśl, która prześladowała mnie od kilku dni.

– Był popularną postacią na wyspie. Jedni szanowali go i podziwiali za wiedzę, innym imponował swoją sławą. Przyjmowano go w wielu domach – przytaknęła mi przyjaciółka. – Trudno wymienić takie, których nie odwiedzał – dodała, zerkając na męża.

Spojrzałam na nią pytająco.

– Ależ tak, u nas też bywał. Rzadko – zaznaczyła. – Oszacował wartość dzieł sztuki, które otrzymaliśmy w prezencie ślubnym wiele lat temu od mojego teścia.

Artysta malarz poruszył się gwałtownie przy sztalugach. Przewrócił na podłogę słoiczek czerwonej farby.

– O cholera! – syknął.

– Coś się stało przy tej okazji? – dopytywałam, pokazując głową na Janisa.

– Tak – odpowiedziała niechętnie. – Jeden z obrazów holenderskiego malarza, wyceniony wysoko przez marszanda w Atenach, uznał, ku naszemu zaskoczeniu, za pracę któregoś z mało znanych uczniów Rembrandta. – Popatrzyła znacząco w moje oczy poza plecami Janisa. – Szczegółów nie znam – dodała cicho, przysłaniając usta ręką.

– Rozumiem. – Zezowałam dyskretnie w kierunku sztalug, ale mistrz pędzla milczał jak zaklęty. – Kotopulos zakwestionował poprzednią wycenę – prowokowałam dyskusję.

– Tak – potwierdziła Jana.

– Sprawdziliście to?

– Oczywiście – odezwał się wreszcie pan domu ze skwaszoną miną.

– Jednym słowem historyk miał rację – stwierdziłam.

– Był najlepszy. – Dotarło do mnie niechętnie mruknięcie gospodarza.

– Zaraz, zaraz. Bywał u Dimitrisa, przyjaźnił się z Eleni i przychodził tutaj. Czy to znaczy, że i wy byliście z nim blisko, a ja nic o tym nie wiem? Nie wierzę – ożywiłam się.

– No, niezupełnie – wzbraniał się Janis przed moimi wnioskami. – Nie dlatego, że nie chcieliśmy tej znajomości. Powodem było co innego.

– Co takiego? – dopytywałam zdezorientowana.

– On sam. – Na widok niezrozumienia w moich oczach dodał: – Kotopulos był dziwny. Skryty i nieufny. Nie wdawał się w zażyłości z ludźmi. Chyba ich nie potrzebował. Trudno się dziwić – dopowiedział niemal jak ktoś, kto zna moje myśli – że nikt po nim nie płacze.

– Mylisz się. – Posłałam mu zagadkowy uśmiech. – A właśnie, że płacze. I to bardzo.

Przez twarz Janisa przemknął cień niepokoju. Zorientował się, że chodzi o Eleni. Byłam pewna, że o niej pomyślał.

– Przed śmiercią na podłodze cerkwi historyk napisał kilka słów własną krwią. – Zacytowałam epitafium. – Jak to należy zrozumieć? Jako wskazówkę, przesłanie, ostrzeżenie? Jak wam się wydaje? – Zdecydowałam się zamknąć tą zagadką ponury temat.

Moi przyjaciele byli zaskoczeni.

– To nieporozumienie – odpowiedział pan domu po chwili konsternacji.

– Nieporozumienie?

– To, co powiedziałaś, jest w sprzeczności z powszechnie znanym wizerunkiem Melpomeny – tłumaczyła mi Jana.

– Tak, to nieporozumienie. Właśnie tak – powtórzył Janis zajęty już swoimi myślami. – Na twoim miejscu sprawdziłbym to jeszcze – poradził mi na koniec.

Rozdział 36

Znowu schodziłam ze wzgórza w kierunku miasteczka. Było zimno, ciemno i o dziwo bezwietrznie. Dzwony w klasztorze właśnie wybiły szóstą rano. Klaudiusz i Tyberiusz towarzyszyły mi na swój osobliwy sposób. Z pyskami przy ziemi obwąchiwały drogę, jakby podążały za jakimś tropem. Od czasu do czasu oglądały się łaskawie. Trudno było przewidzieć ich zachowanie, a nawoływanie nie miało sensu. Na skrzyżowaniu dróg przed cerkwią Mateńki z Toros pognały w kierunku kościółka.

Po raz pierwszy od wielu tygodni miałam chwilę czasu dla siebie. Szłam powoli, wdychając ostre jak żyletka poranne powietrze.

Co robić, gdy zawodzi logika i wszystkie zdobycze kryminalistyki? Czym się kierować w dochodzeniu, w którym wszystkie koncepcje wiodą donikąd? Rachunkiem prawdopodobieństwa, odpowiedział żartobliwie mój wewnętrzny głos. Bzdura, zachnęłam się. Podążając tym torem, przeanalizowaliśmy wszystkie możliwe wersje wydarzeń. Coś z tego wyniknęło? Moje ja nie dawało za wygraną i dopytywało dociekliwie. Sęk w tym, że nic.

W tym samym miejscu, w kręgu tych samych osób dokonano zbrodniczych czynów, a my, mimo zgromadzonych dowodów, dotąd nie potrafiliśmy połączyć faktów w logiczny ciąg. Śmierć głównego podejrzanego postawiła przed nami kolejną niewiadomą, burząc większość stworzonych dotąd i uznanych za pewnik koncepcji. Kotopulos niewątpliwie był jednym z poszukiwanych przestępców, ale jego udział w całej sprawie, a najbardziej motywy działania były nie do końca jasne. Ta niespodziewana śmierć nie wyglądała na porachunki mafijne,

tym bardziej że do wyspy od kilku dni nie przybił żaden statek. Na liście pasażerów ostatniego promu do Aten, który odpłynął z Toros przed tygodniem, znalazł się Janek Kostkowski. Nie był jednak poszukiwanym przez nas mordercą, bo Kotopulos zginął później, po jego wyjeździe. Zwodzeni przez bandytów mylnymi tropami, błądziliśmy po omacku.

Tylko jednego byliśmy pewni – morderca wciąż był na wyspie. Słusznie budziło to poczucie zagrożenia i powszechny strach. Był wśród nas i był jednym z nas.

Dlaczego zamordował Kotopulosa? Jakie są jego zamiary i kto jeszcze powinien się bać? Od podobnych pytań skóra na karku cierpła niejednemu z miejscowych. Tymczasem z termosem mocnej kawy zdążałam do komisariatu, gdzie moi koledzy pracowali nocą nad dokumentacją ostatniej zbrodni. Ulice miasteczka spowite gęstą mgłą, opustoszałe o świcie, były obce i nieprzyjazne. Dotkliwie odczuwałam przenikliwy poranny chłód. Otuliłam się szczelniej wełnianym szalem i odruchowo przyspieszyłam kroku. Pomyślałam, że o takiej samej porze zdążali do cerkwi mordercy i ofiary zbrodni. Ta świadomość spowodowała, że postanowiłam skrócić sobie drogę. Weszłam w uroczy zaułek łączący przystań z targiem rybnym, ale to nie była miła przechadzka. Nabrzeża greckiej wyspy o świcie są królestwem kotów wyczekujących na powrót do portu rybackich kutrów. Spacer w porannej szarówce, wśród okrytych brezentem straganów rybnych i wylazających zewsząd dachowców, był jak surrealistyczna wizja z koszmarnego snu. Pomiaukiwania i krzyki krążących nad przystanią mew zagłuszyły nagle odgłosy walki agresywnych kocurów gdzieś za moimi plecami. Zaskoczona hałasem odwróciłam się i kilka metrów od siebie zauważyłam mężczyznę chowającego się za jednym ze straganów. O tej porze na wyspie

słyszanej niechlubnie z tajemniczych zbrodni poczułam się nieswojo. Przyspieszyłam kroku. Byłam świadoma zbliżającego się zagrożenia, ale gdy wiedziona złym przecuciem obejrzałam się jeszcze raz, wpadłam w panikę. Postawny mężczyzna w kominiarce na twarzy był bowiem tuż za mną. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, gwałtownie skoczył do przodu, a ja rzuciłam się do ucieczki. Rozpętało się piekło. Nad naszymi głowami pokrzykiwały mewy, a wokoło przeraźliwie wrzeszczały koty.

Czułam, że uciekam przed śmiercią. Miałam świadomość, że jeśli prześladowca mnie dogoni, zginę, bo hałasy dobiegające stąd o świcie nikogo nie zaalarmują. Niestety opuszczały mnie siły, a w końcu zupełnie osłabłam. Zamaskowany mężczyzna dopadł mnie i chwycił za rękę. Na przedramieniu poczułam stalowy uścisk dłoni bandyty i mocne szarpnięcie w barku. Pomyślałam o mojej matce i o Jorgosie. W głowie zapulsowała mi krew. Nie poddawałam się, ale w końcu to nie ja uwolniłam się z uścisku. Z pomocą przyszło mi przeznaczenie. Gdy zainkasowałam kolejne szarpnięcie za ramię, ciężki termos z kawą, który niosłam w plastikowej torbie, poszybował gwałtownie w górę, a potem opadł i uderzył w coś miękkiego. Usłyszałam skowyt bólu napastnika i uścisk na moim ramieniu osłabł. Byłam wolna.

Biegłam przed siebie, nie oglądając się. Podczas walki nie wydałam z siebie głosu. Kiedy dopadłam do drzwi komisariatu, też nie krzyczałam. W milczeniu, resztkami sił, tłukłam pięściami w drzwi komendy. Po twarzy płynęły mi łzy.

– Co się dzieje, do cholery? Ktoś oszalał? Przecież drzwi są otwarte! – Usłyszałam głos sprzątaczk.

Gdy otworzyła, po prostu upadłam na podłogę.

– Rany boskie, pani Klara! Co się stało? Tasos! Kostas! Ratunku – jęczała przerażona, wyglądając na ulicę.

– Pani Litso, co się dzieje? – Usłyszałam głos Kostasa, a zaraz potem silne męskie ramiona uniosły mnie jak piórko i posadziły na krześle w biurze.

Kiedy wreszcie oprzytomniałam, zobaczyłam stojącego przede mną Tasosa.

– Klaro, na miłość boską, co ci się stało? Ktoś cię gonił? – dopytywał z zatroskaną miną.

– Tak – odpowiedziałam. – Ktoś chciał mnie zabić.

– W samym środku miasteczka? Nie przesadzasz?

– Nie. Nie przesadzam – wydyszałam cicho. – Poczułam na plecach oddech śmierci. Jestem pewna, że miałam być następną ofiarą.

W drzwiach, z kredowobiałą twarzą i szklanką w ręce, stanęła sprzątaczką. Zza jej pleców do biura wszedł Kostas. Położył na biurku porzucone przeze mnie na ulicy termos i wełniany szal.

– Gdzie to było? – zainteresował się Tasos.

– Rzeczy Klary leżały w pobliżu, tuż za rogiem – padła lapidarna odpowiedź. – Tam, gdzie je zgubiła. – Patrzyli na mnie pytająco.

– Nie, nie zgubiłam ich tam – zaprzeczyłam.

– Nie? A gdzie? – dopytywali.

– Na targowisku rybnym. Tam mnie dopadł – opowiadałam o miejscu napadu zirytowana, obserwując ich sceptyczne miny.

– Kto to był?

– Nie wiem.

– Widziałaś go? Jak wyglądał? – zadawali rutynowe pytania, które dobrze znałam.

– Nie wiem. Nic nie wiem – mruczałam bezsilnie przez zaciśnięte zęby, starając się opanować ogarniające mnie dreszcze.

– Okryjcie ją kocem, a najlepiej niech się napije czegoś gorącego – komenderowała kobieta. – Ma objawy szoku. Sama się tak nie urządziła. Dajcie jej spokój. Jest przerażona – litowała się nade mną.

– Obszedłem centrum i okolice przystani. – Kostas relacjonował swój błyskawiczny rekonesans w miasteczku, na który wyruszył po moim wtargnięciu na komisariat. – Nie spotkałem nikogo oprócz dwóch śmieciarzy, którzy objeżdżają ten rejon od piątej rano. Niczego nie zauważyli ani nie słyszeli prócz kotów wrzeszczących w okolicach przystani i targu rybnego. Jak zwykle nad ranem – dodał.

Wszyscy przyglądali mi się z powątpiewaniem. Krew uderzyła mi do głowy. Wobec ich podejrzenia o histerię poczułam się skrzywdzona i bezsilna.

– Jest jeszcze ciemno – tłumaczyłam rozzalona. – Spojrzałam na niego tylko raz – dodałam, mając na myśli napastnika. – Tylko raz, kiedy się obejrzałam zaalarmowana hałasami walczących za moimi plecami kotów. Potem, nawet gdy mnie już dopadł i gdy się szarpaliśmy, był cały czas z boku albo z tyłu, dlatego nie wiem, jak wygląda. – Byłam rozgoryczona, że mi nie wierzą. – Miał na twarzy kominiarkę i nie odzywał się. Nie potrafię go opisać, bo przygotował się do tego ataku i zachował jak zawodowiec. Nie działał pod wpływem emocji. Chciał mnie wyeliminować i zaplanował to. Jest wytrawnym graczem. – Umilkłam zmęczona, a Litsa podsunęła mi wreszcie szklanekę gorącej herbaty, z którą wciąż stała w progu biura.

Grecy wszystkie gorące napoje prócz kawy traktują jak lekarstwo. Przypuszczam, że ten, który parował mi teraz prosto w nos, rezolutna kobiecina przygotowała po przetrząśnięciu szuflady mojego biurka. Bursztynowy gorący płyn przesączał się przez ściśnięty przelyk. Przenikał ciało ciepłem i przynosił ukojenie.

– Porzucił rzeczy w pobliżu siedziby policji, chociaż sporo ryzykował. Chce podważyć moją prawdomówność. – Nie dawałam za wygraną. Walczyłam o swój wizerunek. – Napastnik chciał was wprowadzić w błąd i widzę, że prawie mu się udało.

Wstałam i podciągnęłam rękaw swetra. Moje przedramię było jednym wielkim sińcem. Bandyta pozostawił na nim granatowosiny odcisk swoich pięciu palców.

– O ho, ho – jęknął Tasos, a Kostas przeciągle gwizdnął.

– Sama sobie tego nie zrobiłam. To nie miała być przyjacielska pogawędka. O nie! – skomentowałam.

– Skąd wiedział, że dzisiaj o świcie będziesz tutaj szła? – zastanawiali się.

– Sama mu o tym powiedziałam – burknęłam niechętnie.

Patrzyli wyczekująco.

– Wczoraj jadłam kolację w tawernie Sotirisa w towarzystwie rodziny Samarasów – zaczęłam tłumaczyć. – Jak zwykle wieczorem restauracja pękała w szwach. Kiedy opuszczałam lokal, było już późno i zimno. Ostatnio dużo pracuję, dlatego chciałam pieszo wrócić do domu. Jana pożyczyła mi wełniany szal, który dostała w prezencie gwiazdkowym od ojca. Od drzwi tawerny zapewniałam ją, przekrzykując hałas panujący w lokalu, że następnego dnia go odniosę. Powiedziałam, że przyda mi się jeszcze raz o świcie, kiedy będę szła do komisariatu, tak jak się z wami umówiłam, i że potem, najdalej w południe, podrzucę go jej do domu. Ktoś

się zdziwił, że pracujecie po nocach, a ktoś inny nawet żartował z waszej gorliwości. Wszyscy w tawernie słyszeli, że wybieram się do miasteczka o świcie – dodałam.

– Gubi nas brak rozsądku i rutyna – westchnął Kostas z politowaniem. – Takich rzeczy funkcjonariusz operacyjny nie ogłasza publicznie.

Czułam, że rumieniec oblał moją twarz od dekoltu aż po same uszy.

– Dajże dziewczynie spokój. – Tasos stanął w mojej obronie. – A dlaczego nie obroniły cię psy? Gdzie były? – zainteresował się.

– Towarzyszyły mi do skrzyżowania z cerkwią – wymamrotałam zażenowana. – Potem, tuż przed miasteczkiem, gdzieś zniknęły. Przypuszczam, że napastnik obserwował mnie i to chyba z dużej odległości, bo go nie wyczuły.

– Całe szczęście, że zwierzęta towarzyszyły ci do przystani. – Kostas usiadł przede mną na brzegu biurka. – Gdyby dopadł cię przed skrzyżowaniem dróg, wśród pól, nie miałabyś żadnych szans.

– Jest zdeterminowany i gotów na wszystko. To dobrze i źle jednocześnie – wtrącił Tasos filozoficznie. – Dobrze, bo zaczął popełniać błędy i dał nam sygnał, że wiesz o czymś, czego się obawia, a czego jeszcze z nim nie skojarzyłaś. Źle, bo stał się nieobliczalny i bardziej niebezpieczny. Walczy o swoją wolność, a może i o życie. Kto wie, co się teraz dzieje w przestępczych strukturach, z którymi jest związany. Śmierć Kotopulosa mogła być szokiem nie tylko dla nas.

– Co proponujesz? Co robimy? – zapytałam.

– My – wskazał na siebie i Kostasa – zabieramy się do pracy. Musimy skończyć segregowanie tych papierzysk. – Spoglądał niechętnie na sterty porozrzucanych wokoło

dokumentów. – Ty – powiedział stanowczo, ignorując moją zawiedzioną minę – wracasz do domu. Nikos zaraz tu przyjdzie i cię odwiedzie. Musisz odpocząć. Wypuść psy przed dom i przez cały czas trzymaj się blisko Tuli. Nie przypuszczam, żeby bandyta wtargnął na twój teren, jednak mimo wszystko postawimy kogoś przed domem. Po południu wpadniemy do ciebie i jeszcze raz wspólnie przyjrzymy się zgromadzonym materiałom. Zastanów się, Klaro. Przemyśl wszystko, co ostatnio widziałaś i słyszałaś – zachęcał mnie. – Znasz klucz do tej zagadki. Jestem tego pewien.

Rozdział 37

Obudziłam się wieczorem w salonie. Nie pamiętałam, ani kiedy zasnąłam, ani kiedy wyszedł Nikos, który przywiózł mnie do domu. Zapadły mi w pamięć przerażone oczy Tuli i ich przyciszone głosy dobiegające z kuchni, kiedy leżąc na kanapie przed kominkiem, udawałam, że zasypiam. W końcu rzeczywiście zapadłam w niespokojną drzemkę.

Ocknęłam się zlaną potem i przestraszona. Choć spędziłam w objęciach Morfeusza cały dzień, nie czułam się wypoczęta. Obudziły mnie odgłosy rozmowy. Tym razem to Kostas i Tasos omawiali coś szeptem, siedząc przed kominkiem i wzajemnie się uciszając. W pokoju unosił się zapach wieprzowiny w ostach górskich. Woń mojej ulubionej potrawy wywołała w pustym żołądku bolesny skurcz. Zakręciło mi się w głowie i mimo wilczego głodu poczułam, jak ogarniają mnie mdłości. Klaudiusz i Tyberiusz siedzieli przy mnie, obok kanapy, i urzeczonym wzrokiem wpatrywały się w przygotowaną przez gosposię ucztę.

– Jak się czujemy? – Kostas zauważył, że nie śpię.

– Czujemy, że żyjemy – powiedziałam i jęknęłam, bo nieopatrznie podparłam się na posiniaczonym ramieniu.

Wyraźnie czekali na mnie z kolacją, więc podeszłam do stołu i usiadłam na moim zwykłym miejscu. Jedliśmy w krępującym milczeniu. Szczękały sztucce i stukały talerze. Tula zerknęła na posiniaczoną rękę, ale widoczne na mojej twarzy rozdrażnienie skutecznie powstrzymywało ciekawość.

Po kolacji Tasos zapytał ostrożnie:

– Przypominasz sobie coś jeszcze?

– Nie – odpowiedziałam opryskliwie.

– A może chcesz o tym porozmawiać? – złożył propozycję psychicznego wsparcia, czym kompletnie wyprowadził mnie z równowagi.

– Nie, do cholery! Co to za tekst? To ja jestem psychologiem i umiem sobie radzić w kryzysowych sytuacjach! – wrzasnęłam, przecząc sobie takim zachowaniem.

– Jasne. W porządku – skwitował ugodowo mój wybuch. – To co? Zabieramy się do pracy? – zapytał.

– Tak. Tak będzie najlepiej. Powinnam się natychmiast czymś zająć. – W końcu powiedziałam coś rozsądnego. Potem dodałam: – Przepraszam. Wstyd mi, że dałam się draniowi zaskoczyć jak dziecko.

Uśmiechnęli się do mnie, przeglądając jakieś notatki. Wreszcie odezwał się Tasos:

– Kotopulosa odwiedzali w klasztorze: Andreas Samaras, jego zięć Janis, Sotiris, ojciec Teodor i obcy na wyspie jednodniowi turyści z Aten – przerwał i podniósł głowę znad papierów. – Mafia? – Popatrzył na nas pytająco.

– Mafia – przytaknęliśmy.

– Straszili go?

– Jasne – przytaknęliśmy raz jeszcze.

– Nie można też z kręgu podejrzeń wykluczyć Jurka Kostkowskiego – dopowiedział. – Bracia Kostkowscy nie odwiedzili wprawdzie Kotopulosa po swoim powrocie z Aten, ale pracowali z nim w klasztorze i chyba najlepiej go znali. Janka podczas zabójstwa, według naszych ustaleń, nie było na wyspie, dlatego obiektem zainteresowań pozostaje starszy z braci. Wszyscy podejrzani, oprócz niego, na czas zabójstwa mają alibi. Żadne nie jest przekonujące. Żadne – podkreślił relacjonujący sytuację Tasos. – Dimitris Samaras spędził świąteczny wieczór w domu z żoną.

– Piękna! Co za kobieta... – rozmarzył się Kostas.

– Uspokój się – warknął Tasos. – Amorów mu się teraz zachciewa! – Naszemu szefowi najwyraźniej udzieliła się moja irytacja. – Ona spała na piętrze, a on podobno do późna oglądał telewizję w salonie na parterze. Jak wiecie, z ich willi do cerkwi jest około trzech minut drogi – dodał. – Czy to jest alibi? – Rozłożył znacząco ręce, udzielając tym gestem przeczącej odpowiedzi. – Janis, mąż Jany i zięć Samarasa, który też bywał w klasztorze – Tasos spojrział teraz w moją stronę – twierdzi, że był w domu. Małżeństwo zaprzyjaźnione z tobą, jak pamiętamy, już raz udzieliło sobie wzajemnie fałszywego alibi. Z ich domu do cerkwi, na skróty wzdłuż plaży, jest może – zastanawiał się – dziesięć minut drogi? Służbę zwolnili tego dnia o dziewiątej wieczorem. Byli więc sami, a my mamy powody, żeby im nie wierzyć. Ich alibi też uznaliśmy za niewiarygodne.

Nie protestowałam. Przytaknęłam głową.

– Po nabożeństwie w klasztorze Teodor wrócił do domu i, jak twierdzi, położył się spać. Jego służąca tego dnia miała wychodne. Uczestniczyła w procesji i poświęceniu wód, jak większość mieszkańców wyspy. Potem do późnego wieczora świętowała ze swoimi bliskimi ostatni dzień *Dhodhekaimero*. Z restauracji, gdzie spotkała się z rodziną i przyjaciółmi, wróciła na plebanię po północy. Potwierdziła zeznania popa i przyznała, że tego dnia nie było jej w pracy. Tymczasem stamtąd do cerkwi polnymi drogami można dojść w nie dłużej niż siedem minut.

– Ty to mówisz poważnie? – przerwałam mu zbulwersowana i aż pobladłam ze złości.

W odpowiedzi kiwnął głową.

– A jak twoja ręka? Jak się ma? To poważna sprawa czy jakieś głupstwo? – dopytywał ironicznie.

Nic nie odpowiedziałam.

– Musimy przyjąć, że osób poza podejrzeniami, oprócz nas – uśmiechnął się pod nosem – na wyspie nie ma. Jasne? Na marginesie dodam, o czym z pewnością nie wiecie, że ojciec Teodor, żyjący w spartańskich warunkach i ubóstwie, jest – podkreślił z przekąsem – bardzo bogatym człowiekiem. Fortuna, którą odziedziczył niedawno po zmarłym w Kanadzie stryju, sięga kilkunastu milionów dolarów, a że ów człowiek był znanym na świecie kolekcjonerem dzieł sztuki, spadek stanowią w większości unikatowe zabytkowe przedmioty o wielkiej wartości – obrazy, rzeźby, meble.

– Dodam na marginesie, o czym, zdaje się, nie wiesz – przerwał mu zirytowany Kostas – że Teodor przejął zaledwie część tego majątku. Większość dzieł sztuki przekazał na rzecz muzeów i galerii narodowej w Atenach.

– No właśnie! – Tasos usiłował spożytkować ten komentarz. – Życie na granicy ubóstwa to jego wybór i ekscentryczne dziwactwo. To przecież nie jest normalne – skwitował.

– No nie, nie jest. A już szczególnie z twojego punktu widzenia. Szlachetny to ty nie jesteś. – Policjant skrzywił się pogardliwie.

– To on jest ten Tsantakis? Spadkobierca fortuny kanadyjskiego milionera? To nie zbieżność nazwisk? – wtrąciłam pytanie, przerywając dyskusję, która nieuchronnie zmierzała do kolejnej sprzeczki.

– Ano ten, ten – potwierdził nasz as Interpolu. – Też się zdziwiłem. – Kogo tu jeszcze mamy? – zamruczał pod nosem, zaglądając znowu do swoich notatek.

– Sotiris – podpowiedział cicho jego policyjny oponent.

– No właśnie – podchwycił Tasos. – Nasz restaurator i hotelarz tego dnia obsługiwał gości do późna. Po północy

zwolnił barmana, który ma chore dziecko, i sam sprzątał kawiarnię. Tak zeznał. Nikt tego nie może potwierdzić, bo nikogo z nim nie było, oprócz ciągle i wszędzie zasypiającego dziadka Waggielisa. To mało wiarygodny świadek.

– No tak. Poświadczenie Waggielisa to wątpliwe alibi – przyznał Kostas.

– A co z braćmi Kostkowskimi? – dopytywałam.

– Janka w ogóle nie bierzemy pod uwagę. Opuścił wyspę przed morderstwem. Tak zeznał jego brat i rzeczywiście jest na liście pasażerów promu, który odpłynął wtedy do Aten. Jurek natomiast, w przeciwieństwie do pozostałych rozmówców, nie tłumaczył się i wprost przyznał, że nie ma alibi. Dwa dni poprzedzające morderstwo spędził w górach, w namiocie. Nie miał pracy, jak twierdzi, ani pieniędzy. Ostatecznie zwrócił się o pomoc do popa, a ten umieścił go w domu Anny Margaritis. Wieśniacy z gór przyznają, że kręcił się po okolicy, ale gdzie faktycznie przebywał, nikt nie wie. Na pytania o alibi wszyscy podejrzani reagowali spokojnie. Było widać, że są już uprzedzeni przez Klarę o tragicznej zbrodni w cerkwi. Ukryć tego przed nimi w istniejących na miejscu warunkach i tak by się nie udało – wtrącił Tasos, widząc grymas niezadowolenia na mojej twarzy. – Jeśli masz siły, opowiedz nam teraz jeszcze raz, jak reagowali twoi rozmówcy na wieść o śmierci Kotopulosa i czego się dowiedziałaś na temat ich relacji z zamordowanym historykiem.

– Dowiedziałam się – zawiesiłam głos – że go podziwiali. Właśnie tak – dodałam i z satysfakcją obserwowałam miny moich partnerów. – Wyspiarze gościli dziwnego badacza antyku w swoich domach i byli dumni z tych kontaktów – podkreśliłam. – Wiedzieli sporo o jego zasługach na polu nauki i chętnie robili z nim różne interesy. Chyba po prostu im

imponował, ot co. Znajomość z nim była dobrze widziana. Pomimo plotek wyspiarze nie przejęli się, a przede wszystkim nie uwierzyli w jego powiązania z mafią i udział w przestępstwach. Łatwo zrozumieć, że wikłanie tak wybitnego naukowca w pospolite zbrodnie uważali za absurdalne.

Przypomniałam sobie powątpiewanie w głosie Teodora, kiedy zapytał mnie, czy kolejną ofiarą mordercy jest ten sam Kotopulos, którego podejrzewaliśmy o liczne przestępstwa – ten sam znany i wybitny naukowiec.

– Wszyscy zgodnie twierdzą – mówiłam dalej – że Kotopulos był dziwny i że nie można było się z nim zaprzyjaźnić. Uważam, że był osobowością typu paranoidalnego. To nie jest choroba psychiczna, a wrodzona wada osobowości powodująca, często w połączeniu z obiektywnymi czynnikami, znaczne wypaczenie charakteru. To właśnie, moim zdaniem, powodowało problemy historyka w tworzeniu więzi emocjonalnych z innymi ludźmi. Niestety geniusze cierpią na zaburzenia osobowości częściej niż reszta populacji. Jak większość podręcznikowych paranoików, Andreas Kotopulos był wyizolowany z otoczenia i samowystarczalny emocjonalnie, a jego kontakty z ludźmi ograniczały się wyłącznie do relacji zawodowych. Nikogo do siebie nie dopuszczał. Może dlatego, oprócz Eleni Samaras, która chyba się w nim podkochiwała, nikt nie okazał po jego śmierci żalu.

Kostas gwizdnął przeciągle.

– Mamy motyw zazdrości czy coś źle zrozumiałem?

– Można to rozważyć – przyznałam – choć Jana i Janis twierdzą, że to zupełnie nieprawdopodobne, a zainteresowanie tym człowiekiem wynikało tylko z zaniedbywania Eleni przez męża i z jej kompleksów.

– Uważam, że jedno drugiego nie wyklucza – skonstatował Tasos.

– Rywalizowanie Kotopulosa z Dimitrisem Samarasem o jego młodą żonę – oponowałam w dalszym ciągu – prawdę mówiąc, i mnie nie wydaje się możliwe. Tak jak Jana, wierzę, że śliczna striptizerka rzeczywiście jest przywiązana do jej ojca. Rzecz jasna, nie można wykluczyć motywu zazdrości tylko na podstawie moich odczuć. Ta nieprzyjemna sytuacja może tłumaczyć mało wrażliwą albo wręcz obojętną reakcję na wiadomość o śmierci Kotopulosa, którą zaobserwowałam, gdy rozmawiałam z Dimitrisem – dodałam.

– A czego się spodziewałaś? Wybuchu rozpaczki z powodu śmierci rywala? – kpił Kostas.

– Nie, ale wyrażenia żalu choćby przez grzeczność i dla zachowania pozorów tak. Samaras jest nienagannie wychowany i jak wiecie, bardzo kulturalny. Teodor i Janis też przyjęli wiadomość o śmierci historyka obojętnie – zmieniałam nieprzyjemny dla siebie temat. – Sotiris zdenerwował się, a Jurek Kostkowski bardziej się zmartwił ewentualnym podejrzeniem Janka o tę zbrodnię, niż przestraszył oskarżenia jego samego o udział w sprawie. Reakcja Jurka, prawdę mówiąc, zastanawia mnie najbardziej. Zachowanie Sotirisa odebrałam zaś jako zupełnie nieadekwatne do sytuacji. Nie rozumiem, co go w rozmowie ze mną wytrąciło z równowagi. Momentami z trudem nad sobą panował.

– To dziwne. – Kostas zastanawiał się głośno. – Sotiris był nieobecny na wyspie podczas poprzednich zbrodni. Sprawdziliśmy to dokładnie. Nigdy nie był w pobliżu i nie kojarzymy go z żadną z tych spraw. Jest najmniej prawdopodobnym kandydatem na zabójcę Kotopulosa, nawet mimo braku przekonującego alibi na czas ostatniego

morderstwa. Pomiedzy nim a całym tym bałaganem trudno się dopatrzeć jakichkolwiek wspólnych punktów.

– No właśnie. Ja też tak myślę – przyznałam mu rację. – Tylko jedna kwestia jest niejasna. Dlaczego zataił przed nami przyjaźń swojego dziadka i ojca Kotopulosa, Hansa Müllera?

– Zataił? – zdziwił się Kostas. – Nie przypominam sobie, żebyśmy go kiedykolwiek o to pytali. A w ogóle to skąd takie przypuszczenie?

– W bibliotece Waggielisa znalazłam książkę Kotopulosa z dedykacją jego ojca dla dziadka Sotirisa z datą mniej więcej sprzed roku.

– To rzeczywiście ciekawe, ale może być bez znaczenia dla naszej sprawy. Gdyby ktokolwiek słuchał uważnie, co opowiada w tawernie Waggielis, być może wiedzielibyśmy o przyjaźni z papą Müllerem wcześniej. To prawdopodobnie o niej staruszek rozprawia od lat. Poza tym, jeśli większość wyspiarzy, jak twierdzisz, znała Kotopulosa, to żaden dowód.

– A jak ojciec Teodor zareagował na wiadomość o kolejnej śmierci? – wtrącił Tasos, wpatrując się we mnie uważnie.

– Spokojnie. Jak ktoś... – zastanawiałam się – kto spodziewał się kolejnej tragedii w cerkwi. No... takie właśnie odniosłam wrażenie. Dodatkowo zaskoczył mnie przebieg naszej rozmowy. Teodor z jednej strony nie okazał żalu ani zdziwienia, że kolejną ofiarą okazał się Kotopulos, ale z drugiej wspominał historyka z podziwem i chyba – zawahałam się – z sympatią. Prawdę mówiąc, i w tym przypadku spodziewałam się jakiejś innej reakcji.

– Jakiej? – Tasos obserwował mnie z zaciekawieniem.

– Nie wiem. Innej.

– Może po prostu po sensacjach w cerkwi Teodor jest uodporniony na wstrząsy i przygotowany na każdą ewentualność? – Miejscowy stróż prawa bronił popa.

– Może – przytaknął Tasos bez przekonania.

– Widzę, że szokowanie podejrzanych sprawiało Klarze niezłą frajdę – zażartował Kostas.

Przygryzłam wargę i speszyłam się lekko.

– Uhm – mruknęłam. – W dodatku daliście mi fory. Taka jest prawda – przyznałam. – W prywatnej rozmowie i przez zaskoczenie można się najwięcej dowiedzieć.

– Zdaniem przestępców w którymś momencie dowiedziałaś się za dużo. Kręciłaś się wokół nich na Toros i w Atenach, aż w końcu uznali twoje wścibstwo za zagrożenie, a że nie jesteś policjantką i dostęp do ciebie był łatwy, postanowili uwolnić się od kłopotu albo chociaż cię przestraszyć. – Panowie wymienili porozumiewawcze spojrzenia. – Wyrzucamy sobie teraz, że naraziliśmy cię na niebezpieczeństwo.

– Spokojnie, dziewczyno – perswadował Kostas, widząc moje poblądłe oblicze. – Odnosimy wreszcie sukcesy w tej grze. Jesteśmy o krok od rozwikłania zagadki Madonny z Toros. Nerwowa reakcja przestępców i napad na ciebie to sygnał, że tak jest. Możemy śmiało powiedzieć, że depczemy im po piętach.

Słowne manifestacje Kostasa naszej rosnącej przewagi nad przestępcami nie przekonały mnie. Miałam zamęt w głowie, a przed oczyma wciąż pełne agresji spojrzenie napastnika w kominiarce na twarzy. Poturbowana ręka pulsowała bólem i rwała jak diabli. Skóra przedramienia zrobiła się sina i gorąca.

– A jak reagował mąż Jany podczas rozmowy na temat Kotopulosa? – Tymczasem Tasos wciąż sondował przenikliwym spojrzeniem moją twarz.

– Dość chłodno – odparłam. – Kontaktował się z nim w klasztorze na prośbę teścia, ale zasadniczo obaj mieli z nim jakieś, jak twierdzą, drobne interesy. Ich osobiste kontakty, Janisa i Kotopulosa, zaczęły się niefortunnie. Mąż Jany w wyniku ekspertyzy dzieł sztuki, którą zamówił u historyka, dowiedział się, że stracił pieniądze. Chciał skorzystać z obecności na Toros wybitnego znawcy, by podnieść prestiż swojej kolekcji obrazów opinią takiej sławy jak on. Tymczasem spotkał go gorzki zawód. Kotopulos stwierdził, że jedno z płócien, które moi przyjaciele otrzymali od teścia Jany w prezencie ślubnym, jako bezcenne dzieło holenderskiego mistrza, nie ma przypisywanej mu wartości. Trudno się dziwić, że mój rozmówca nie był przychylnie usposobiony do dyskusowania na temat znanego nam rzeczoznawcy, skoro ten zaledwie kilka dni wcześniej wystawił jego kolekcji obrazów kompromitującą opinię.

– Czy Kotopulos w czymś tu zawinił?

– Nie, oczywiście że nie, ale nikt nie lubi ponosić strat. Nie lubimy też ludzi, którzy przynoszą złe wieści. Ich dobre intencje są wtedy – uśmiechnęłam się – mało istotne.

– Zastanów się, czy jest coś, co szczególnie zwróciło twoją uwagę i utkwilo ci w pamięci podczas tych wizyt. – Patrzyli na mnie w napięciu.

– Tak. Zauważyłam, że prawie nikt nie darzył zamordowanego szczerą sympatią.

– A jakieś mniej sentymentalne spostrzeżenia? – Ton głosu Tasosa był pobłażliwy.

– Uświadomiłam sobie, że mamy do czynienia z bardzo bogatymi ludźmi, kolekcjonerami dzieł sztuki. Stwierdziłam, że to jest jedyny element, który zespala wszystkie wątki śledztwa i prowadzi do Kotopulosa.

– Co z tego wynika?

– Że nasze dotychczasowe rozumowanie i wybór podejrzanych są słuszne i że istnieje wspólny mianownik tych zdarzeń. Wszystko bezpośrednio lub pośrednio dotyczy cerkwi. Zaczęło się na krótko przed kradzieżą cudownej ikony, a potem toczyło wokół tego samego tematu i w kręgu tych samych osób. Choć nie wszystkie wątki sprawy są jasne i zrozumiałe, myślę, że uda się nam odnieść sukces, jeśli logicznie zespolimy elementy, które wymieniłam.

– Nie przekonałaś mnie – oponował Kostas. – Tych przestępstw, moim zdaniem, nie można połączyć w logiczny ciąg.

– Kto wie? Może powinniśmy jeszcze raz spróbować? – Tasos zastanawiał się nad tym, co powiedziałam, skrobiąc Tyberiusza za uchem.

Mój pies od dłuższego czasu siedział z pyskiem na jego kolanach. Poczułam w sercu ukłucie zdrady i pomyślałam z żalem, że się tego po nim nie spodziewałam. W tym momencie, jakby mi czytał w myślach, z podłogi podniósł się Klaudiusz. Zbliżył się, jak zwykle lekliwie i ostrożnie, a gdy go przytuliłam, z zainteresowaniem zaczął obwąchiwać moje obolałe ramię. Na widok takiej czułości Tyberiusz w dwóch susach przesadził pokój i znalazł się po drugiej stronie.

Hm... Zazdrośnik i despota. Byłam rozbawiona zaborczością większego psa.

– Coś więcej? – Tasos wyrwał mnie z rozmyślań.

– Tak. Po rozmowach, które odbyłam, uważam, że powinniśmy jeszcze raz dokładnie obejrzeć zdjęcia z miejsca ostatniej zbrodni, szczególnie napis, który widniał na podłodze.

– Rozmawiałaś z nimi o tym? – Tasos był zaskoczony.

– Tak. Byłam ciekawa ich reakcji i opinii.

– No i co? – Panowie dopytywali, ale jakoś bez entuzjazmu.

– Reakcje były różne. Oscyłowały pomiędzy oburzeniem a zdziwieniem. Opinie natomiast były zgodne. Moi rozmówcy, poza Sotiridem, który nigdy nie wyrażał się o Kotopulosie dobrze, uważali, że nie należy tego tekstu bagatelizować. Podkreślali, że historyk był wielkim umysłem i pomysłowym człowiekiem. Treść napisu, która wydaje się nielogiczna, oceniali jako nieporozumienie albo pomyłkę. – Przyglądałam się moim rozmówcom pytająco.

– Taaak – mruknął Tasos, obserwując spod oka sceptyczną minę Kostasa. – Co zamierzasz w związku z tym zrobić?

– Już wam mówiłam. Zamierzam jeszcze raz przyjrzeć się zdjęciom z miejsca zbrodni. Mam je na górze w sypialni. Może coś przeoczyliśmy. Stworzyłam nawet pewną koncepcję innej niż odczytaliśmy pierwotnie treści epitafium Kotopulosa, ale – zachnęłam się – za wcześnie, by o tym opowiadać. Muszę obejrzeć te zdjęcia i sprawdzić wszystko jeszcze raz. Wierzę, że prawidłowa interpretacja przesłania zza grobu może wiele wyjaśnić. Nie lubiłam historyka, ale przyznaję, że miał łeb na tranzystorach – wyrwało mi się nieopatrznie po grecku polskie powiedzenie.

– Łeb na co? – Kostas osłupiał.

– Nic, nic. To tylko takie powiedzenie. Gra słów. To po polsku znaczy, że był mądrym gościem.

– Ach, rozumiem. Miał na głowie baterie? – Patrzył na mnie wyczekująco.

– Uhm. Coś w tym rodzaju – przytaknęłam bez przekonania.

Ostatecznie Kostas wymruczał do siebie z powagą:

– Bardzo sprytnie wymyślone. Naprawdę bardzo...

– No dobrze, to sobie pogadaliście, a teraz przeanalizujemy wszystko od początku jeszcze raz – wtrącił się Tasos. – Podobno masz tu jakieś swoje notatki. – Pokazał bałagan na stole, zerkając na towarzysza. – Do dzieła zatem, bo już dnieje – popędzał go.

– Wszystko od początku? – jęknął Kostas, ale spiorunowany wzrokiem kolegi wyższej rangi zamilkł i posłusznie zaczął układać przed sobą dokumenty.

W kominku wygasło. Tyberiusz i Klaudiusz leżały u moich stóp, grzejąc mi nogi. Za oknem wstawał blady świt.

*

Gdy Kostas wyciągnął zapiski, Tasos zajrzał mu przez ramię i aż gwizdnął.

– To się nazywa porządek – sapnął.

– Zbrodnia po raz pierwszy – zaczął komisarz, ignorując jego zachowanie. – W październiku na podłodze w zakrystii naszej cerkwi Margaritisowie i Teodor znaleźli pobitego do nieprzytomności Lakisa. Ofiara brutalnej napaści trafiła w stanie śpiączki do szpitala i po kilkunastu dniach zmarła. W śledztwie nie udało się ustalić sprawcy napaści, a w dniu pogrzebu Lakisa zniknął jego ojciec, Stawros, który jak się potem okazało, prowadził swoje prywatne śledztwo.

I tu mamy zbrodnię po raz drugi – zabrzmiało złowieszczo. – Po kilku dniach poszukiwań Klara odkryła zwłoki Stawrosa w cerkwi w tym samym miejscu, gdzie zginął syn ofiary. Nie mieliśmy dowodów, ale liczne poszlaki doprowadziły nas do Andreasa Kotopulosa, którego oskarżyliśmy o obydwa morderstwa. Po interwencji adwokata oskarżonego historyka i fiasku naszych teorii na temat jego udziału w obu zbrodniach byliśmy zmuszeni wycofać zarzuty i wypuścić go na wolność.

Nie byliśmy przekonani o jego niewinności, ale nie mieliśmy dowodów na poparcie koncepcji Tasosa. W trakcie śledztwa wyszły na jaw powiązania Lakisa ze środowiskiem przestępczym w Atenach. To dlatego zaraz po jego śmierci na wyspę przysłano z Aten konsultanta, który miał nam pomóc w zlikwidowaniu tutejszej komórki mafijnej. Jego obecność na Toros miała też zapobiec kolejnym planowanym przez bandytów przestępstwom. Misja się nie powiodła, bo sprawy potoczyły się błyskawicznie.

Punkt trzeci, czyli kradzież świętej ikony – ogłosił Kostas. – Bandyci osiągnęli swój cel – dodał. – W grudniu, tuż przed *Dhodhekaimero*, nocą, podczas burzy skradziono z cerkwi na wzgórzu bezcenną ikonę Matki Boskiej Płaczącej. Kradzież przygotowano perfekcyjnie i tylko przypadek sprawił, że odkryliśmy brak ikony na tyle wcześnie, żeby zabezpieczyć ślady przestępstwa. Ustaliliśmy, że do wyspy przybił kuter, który zabrał skradzione dzieło i że ze złodziejami współpracowało dwóch mężczyzn z wyspy. Posądziliśmy o udział w kradzieży Jurka Kostkowskiego, który ukrywał przed przyjaciółmi swoją znajomość języka greckiego i greckie pochodzenie. Jeszcze przed świątecznym wyjazdem braci Kostkowskich do Aten porównaliśmy krew zabezpieczoną przed cerkwią podczas kradzieży z krwią Jurka Kostkowskiego, ale badanie wykluczyło nasze podejrzenia.

Zbrodnia po raz trzeci – przeczytał kolejny punkt. – Tymczasem nasz informator przekazał Klarze w Atenach szokujące informacje. Ikona Madonny z Toros, skradziona na zamówienie rosyjskiego milionera, nie dotarła do miejsca przeznaczenia. Spowodowało to wojnę gangów i brutalne morderstwo na jednym z członków mafii, którego uczyniono odpowiedzialnym za jej zaginięcie w drodze z Toros do Aten.

Wobec długów przywódców organizacji mafijnej i zagrożenia ich życia sytuacja stała się niebezpieczna dla większości osób, które zetknęły się z cudowną ikoną. Informator przestrzegł nas przed tym i upewnił, że na wyspie po śmierci Lakisa wciąż są osoby związane z mafią, ważne i szczególnie niebezpieczne. Nieoczekiwanie na policję zgłosił się pasterz Sarantis, naoczny świadek ucieczki Kotopulosa z cerkwi w dniu, w którym zamordowano Stawrosa Margaritisa. Chłopak złożył zeznanie obciążające historyka. Nie mieliśmy wątpliwości, że wybitny naukowiec jest winien śmierci i ojca, i syna, choć długo nie było obciążających go zeznań ani dowodów. Po przesłuchaniu Sarantisa byliśmy pewni sukcesu śledztwa, tym bardziej że Kotopulos pasował do naszej koncepcji również jako rezydujący na wyspie nietykalny, czyli uprzywilejowany członek mafii. Perspektywa osadzenia go w więzieniu stwarzała szansę wyjaśnienia wszystkich zbrodni i zamknięcia sprawy. Do tego jednak nie doszło, bo szybko okazało się, że przestępcy są wciąż o krok przed nami.

Zbrodnia po raz czwarty – kontynuował wyliczanie. – W ostatnim dniu *Dhodhekaimero*, tuż przed planowanym aresztowaniem historyka, w cerkwi na wzgórzu znowu zamordowano człowieka. Tym razem ofiarą był sam Andreas Kotopulos. Morderca zostawił go umierającego na podłodze zakrystii i zadbał o to, by nikt nie odkrył zbrodni. Podał psom Klary truciznę i wywiózł je na wysypisko śmieci. Badania porównawcze krwi dowodzą, że Kotopulos był jednym ze złodziei Madonny z Toros, a jego śmierć otworzyła kolejny ciąg niewiadomych. Umierający historyk napisał własną krwią przed drzwiami cerkwi, gdzie się doczołgał, tekst – Kostas zawahał się – którego nikt nie rozumie. Jego przedśmiertne epitafium jest prawdziwą zagadką i chyba tylko Klara traktuje je serio. –

Uśmiechnął się pobłaźliwie, zerkając na mnie. – Sytuację dodatkowo komplikuje to, że podejrzenia koncentrują się na osobach szanowanych, dobrze sytuowanych i ważnych na wyspie. Ostatnie ustalenia i wywiad Klary utwierdziły nas w przekonaniu, że dobrze wyselekcjonowaliśmy krąg podejrzanych.

Aha, i jeszcze jedno – wyciągnął długopis i dopisał ręcznie u dołu strony kolejny tytuł, mrużąc: – Nieudany zamach na życie Klary. – Komentarz w tym temacie był krótki: – Światłem w tunelu jest nieudana próba napadu na Klarę. Po pierwsze dlatego, że nic się jej nie stało, co jest pierwszą porażką bandytów. Po drugie dlatego, że ten zamach może być dla nas sygnałem nadchodzącego sukcesu. Co się tak dziwicie? – podsumował swoje przemówienie, widząc nasze sceptyczne miny. – Przecież przestępcy właśnie tak myślą. Musieli nieźle spanikować, skoro zaryzykowali napad w centrum miasteczka.

Autor, dumny ze swojego streszczenia, spoglądał na nas wyczekująco.

– No nieźle, całkiem nieźle. – Tasos wysilił się na pochwałę. – To może masz też jakąś koncepcję działań, które przerwą tę makabryczną wyliczankę? – zapytał.

– Jestem przekonany, że to już koniec kłopotów na wyspie – padła uroczysta odpowiedź. – Nie zgadzam się z Klarą, że wszystkie przestępstwa mają wspólną genezę tylko dlatego, że miały miejsce w cerkwi. Nie dopatrywałbym się też, tak jak ona, enigmatycznych znaczeń tam, gdzie ich nie ma i nie komplikowałbym tej oczywistej w swej istocie sprawy. – Przytyk dotyczył znaczenia, jakie przypisywałam napisowi Kotopulosa.

– O! – zdziwiliśmy się oboje.

– Co przez to rozumiesz? Skoro wszystko jest dla ciebie jasne, oświeć i nas. – Tasos ewidentnie kpił.

Kostas rzucił mu zniesmaczone spojrzenie.

– Jeśli mafia przysłała na wyspę kutrem złodziei po ikonę i dwukrotnie tą drogą przybyli posłańcy do Kotopulosa, to prawdopodobnie w ten sam sposób zlecono wykonanie na nim wyroku po zaginięciu ikony. Oczywiście i tym razem morderca nie działał w pojedynkę. W optymistycznym wariancie zakładam, że odzyskali już i ukryli albo wywieźli obraz i że zaniechają dalszych działań. Odnalezienie i przejęcie od nich obrazu, którego tu już nie ma, to na szczęście nie nasze zmartwienie.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś z zewnątrz przyплыł po ikonę i po to, żeby zlikwidować Kotopulosa?

– Właśnie tak myślę – odparł Kostas pewnie.

– Pokonanie drogi morskiej o tej porze roku, przy sztormowej pogodzie i, jeśli prawidłowo kojarzę, co masz na myśli, przybicie do Toros pod osłoną nocy jest bardzo trudne. Sam o tym wiesz – oponowałam.

– Tak, to jest trudne, ale możliwe. Mamy w naszym rejonie kilku speców od żeglugi, którzy to potrafią. Trzeba będzie sprawdzić, gdzie wtedy byli – zasugerował Kostas.

– Przypuszczasz, że obraz był cały czas na wyspie? Że Kotopulos ukrył go tutaj?

W odpowiedzi miejscowy stróż prawa spokojnie potakiwał głową.

– To kompletny absurd – skwitował Tasos. – Historyk przede wszystkim nie miał sposobności, żeby podmienić obrazy. Poza tym, jak twoim zdaniem miałyby wejść w posiadanie falsyfikatu? Przecież zamówienia wykonania kopii tej słynnej ikony u fałszerza, z jego rzucającą się w oczy fizjonomią i

nazwiskiem, nie dałoby się ukryć. To równałoby się samobójstwu. Nie podjąłby takiego ryzyka. Nie był szalony. Jestem przekonany, że gangsterzy ufali mu i mieli rację. Współpracował z nimi od dawna i nigdy wcześniej ich nie oszukał. Nie zamordowali go, bo nie mieli powodu. Nie zatrzymał tej ikony dla siebie.

– A wspólnik, który pomagał mu przy włamaniu do cerkwi?

– Patrzyliśmy wyczekująco na autora odczytanego referatu.

– Od początku sugerowałem, że tego dnia na wyspie było kilka wycieczek, ale oczywiście założyliśmy, pod twoje dyktando – Tasos aż podskoczył na krześle – że to musi być mieszkaniec wyspy. – Kostas niezrażony reakcją kolegi, z którym przeważnie się nie zgadzał, kontynuował swoją opowieść: – Tymczasem tamtej nocy w kilku hotelach na Toros byli turyści z Aten. Prawie do rana trwały, mimo postu – dodał z niesmakiem – pijackie biesiady. Ich uczestnicy odchodzili od stołu wielokrotnie do swoich pokoi i wracali, gasło światło... Niczego w tej sytuacji nie udało się ustalić. To najlepsze z możliwych alibi i nie wierzę w zbieg okoliczności. Pomocnik Kotopulosa przybył z Aten, a po kradzieży, moim zdaniem, powędrował do hotelu. Następnego dnia spokojnie opuścił wyspę. Nietykalny, który bez wątpienia mieszka na wyspie, z pewnością nie był zamieszany w żadną zbrodnię. Nie wiem, kto to jest, ale że nie brudzi sobie rąk osobiście, to pewne.

– A napad na Klarę? – dopytywał Tasos.

– To już inna sprawa.

– No więc? – zachęcał go.

– Klara i jej psy wciąż się kręcą w pobliżu cerkwi. W dodatku nasza partnerka przebywa pośród ludzi zamieszanych w śledztwo i obserwuje ich. Być może bandyci podejrzewali, że odkryła albo domyśliła się, gdzie historyk ukrył ikonę, której

odzyskanie i zatarcie za sobą śladów było dla nich najważniejszą sprawą po zamordowaniu Kotopulosa. – Kostas upierał się przy swojej koncepcji. – Zlecenie napadu jakiemuś łobuzowi i postraszenie jej trochę po śmierci naukowca to żaden problem. W okolicy wciąż kręci się sporo bezrobotnych marynarzy, którzy czekają na pierwsze sezonowe rejsy w głąb archipelagu. Można popytać tu i tam, ale wątpię czy warto. Jeśli moje rozumowanie jest słuszne, to po odzyskaniu i zabezpieczeniu ikony poprzestaną na nieudanej próbie wyeliminowania Klary z gry. Przecież każdy kolejny ruch w tym kierunku jest dla nich wielkim ryzykiem.

– Tryska z ciebie optymizm na każdym kroku. Mogę ci tylko pozazdrościć. – Tasos podsumował jego wywód.

– Nie rozumiem twojej złośliwości. – Zamiast odpowiedzi usłyszał pretensje. – Przecież to, co powiedziałem, poza szczegółami, jest zbieżne z koncepcją, w której najważniejszą rolę w sprawie odgrywa mafia i nieżyjący historyk. To był twój pomysł.

– Ja też cię nie rozumiem. Sądziłem, że kojarzysz zamach na Klarę z jej obserwacjami w domach podejrzanych – przerwał mu Tasos. – Rozmawialiśmy o tym jeszcze dzisiaj rano w biurze – irytował się. – Teraz widzę, że co do wielu kwestii raptownie zmieniłeś zdanie.

– To prawda, całe popołudnie rozmyślałem nad tą sprawą i zmieniłem zapatrywania. Właśnie dałem ci przykład, że powody ostatniego napadu mogą być bardzo różne. Chcę powiedzieć, że jeśli faktycznie nasi podejrzani mieli coś do ukrycia, to goszcząc naszą wysłanniczkę w swoich domach, byli szczególnie ostrożni – uściślił. – Na własnym terenie nawet przestępca bywa czujny. Stara się przezornie odsuwać podejrzenia od siebie i od swojej rodziny, dlatego wątpię, żeby to któryś z naszych podejrzanych

był napastnikiem. Zamach na Klarę właśnie teraz może być tylko zbiegiem okoliczności. Naprzykrzała się mafii dość często przez ostatnie miesiące. Nie ma ochrony i nie nosi broni. To sprzyjająca sytuacja i wystarczający powód do ataku. Gangsterzy wykorzystali sposobność. Ot co! Nie przeceniałbym tej zbieżności, ale oczywiście wykluczyć innej wersji niż moja też nie można – zastrzegł się.

Tasos potrząsał głową z dezaprobatą już od dłuższej chwili. Poderwał się z kanapy i zaczął chodzić nerwowo wzdłuż salonu z założonymi na plecy rękoma.

– Nie przekonałeś mnie. To byłoby zbyt proste. Do cholery! Daruj, stary, to jest prymitywne! – wykrzyknął. – Najwięcej moich wątpliwości budzi kiepsko uzasadnione twierdzenie, że to koniec kłopotów na wyspie. Taki błyskawiczny *happy end* – rozważał.

Jego powątpiewanie kompletnie wytrąciło Kostasa z równowagi.

– No, skoro nie mam racji, to proszę, przedstaw swoją koncepcję.

Byłam wykończona i śpiąca. Z narastającym znużeniem obserwowałam ich kolejną kłótnię. Czy nie mogliby współpracować ze sobą zgodnie? Nie, nie mogą, znalazłam odpowiedź prawie natychmiast. Ich upór i południowy temperament nie pozwalają na wypracowanie wspólnego stanowiska w żadnej sprawie w mniej burzliwy sposób. Uśmiechając się do siebie, zapadałam w błogostan, jaki daje kompletne znużenie fizyczne i psychiczne. W dodatku mówią o tym, że mafia chce mnie zgładzić, snułam obojętnie i sennie refleksje o swojej ewentualnej śmierci z rąk bandyty jak o planowanej eksterminacji komara.

– Phi – wybuchłam śmiechem, co wprawilo w osłupienie moich zacierzawionych kolegów.

– Dobrze się czujesz, Klaro? Wszystko w porządku? – zaniepokoiłi się.

– A tak, tak. – Ocknęłam się natychmiast. – Coś sobie przypomniałam, ale to nie należy do tej sprawy – tłumaczyłam się, obserwowana podejrzliwie. Jeszcze gotowi pomyśleć, że zwariowałam ze strachu! Mobilizowałam się do dalszej dyskusji.

Po wnikliwej obserwacji mojej osoby swoje racje zaczął przedstawiać Tasos.

– Zaskoczę was – powiedział na wstępie prawie uroczyście.

– No, nieźle się zaczyna. – Obudziłam się natychmiast.

– Ostatnie wydarzenia i relację Klary można, moim zdaniem, traktować jako zwrot w śledztwie. Moim typem na głównego podejrzanego jest teraz osoba, która przez cały czas była w tle wszystkich wydarzeń. Mój podejrzanym idealnie pasuje do koncepcji wszystkich zbrodni i udziału w organizacji przestępczej. Miał motyw, żeby zamordować Lakisa. Mógł, jako jeden z nietykalnych, zlecić Kotopulosowi zlikwidowanie Stawrosa, który stał od lat na jego drodze do osobistego szczęścia. Dziwnym zbiegiem okoliczności najbardziej osobiście związany z cerkwią podczas kradzieży ikony był nieobecny na wyspie. Wyobraźcie sobie, że on też ma komputer. Jest jednym z najbogatszych ludzi w Grecji, chociaż nikt tutaj nie ma o tym pojęcia, i w dodatku jego rodzina od lat kolekcjonuje dzieła sztuki. W moich podejrzeniach utwierdziła mnie też relacja Klary, że nie był zaskoczony ani przejęty wieścią o kolejnej ofierze znalezionej w cerkwi. Jednak najbardziej obciążająca, z mojego punktu widzenia, jest jego reakcja na kradzież cudownej ikony. Powiem inaczej: brak wyraźnej reakcji. Nasz pop, bo to o nim mowa, dość prędko pogodził się ze stratą. Taka pokora nie

pasuje do jego powszechnie znanego wizerunku. Tymczasem śmierć Kotopulosa, tak jak wcześniej Lakisa i Stawrosa, czyni go bezkarnym. Po śmierci syna i męża Anny udowodnienie jego ewentualnego ojcostwa jest niemożliwe. Jeśli zabił Lakisa, by uwolnić się od szantażysty, nigdy mu tego nie udowodnimy. Nieżyjący Kotopulos już nikomu nie zdradzi, dlaczego zamordował Stawrosa i czy rzeczywiście ukradł mafii ikonę. Nie dowiemy się od niego, po co odwiedził plebanię i dlaczego Teodor pojawił się niespodziewanie w klasztorze, bo zaraz po tym historyk został zamordowany. Przyznaję, że mistrzowskim posunięciem taktycznym popa było uwolnienie kontrowersyjnego naukowca z aresztu. Teodor, gdy interweniował wtedy w jego obronie i zdradził nam swoją przeszłość, niczym nie ryzykował. Wprowadził zamieszanie w dochodzenie i odzyskał podwładnego, uzależnionego od siebie na okoliczność każdego kolejnego zadania. Uprzedził w ten sposób ustalenia policji na swój temat i zyskał nasze naiwne zaufanie – kończył zmęczony Tasos. – Jest mistrzem. Niewykluczone, że ma tę ikonę i wywiódł w pole wszystkich, łącznie z kompanami z mafii. Nic na niego nie mamy. To zbrodniarz niemal doskonały.

Zapadła martwa cisza. Przypomniałam sobie zmieszanie Teodora na wieść o porachunkach bandytów po zaginięciu ikony w drodze z Toros do Aten, ale nie były mi pisane dalsze przemyślenia, bo nagle rozległ się huk upadającego na podłogę krzesła.

Na środek pokoju z pobladłą twarzą i z zaciśniętymi pięściami wyskoczył Kostas.

– Jak śmiesz! – Stał przed zaskoczonym Tasosem i cedził przez zaciśnięte zęby: – Jakim prawem tak o nim mówisz, skoro nie masz żadnych dowodów?! Czy ty w ogóle masz pojęcie, kim

jest dla nas ten człowiek?! Wychował na wyspie całe pokolenia dzieci w poszanowaniu dla godności ludzkiej i moralności. To wzór. Jest dla nas jak święty. Jeśli żyje jak nędzarz z wyboru, to tym bardziej. Licz się ze słowami! Rozumiesz? Rozumiesz? – powtarzał natarczywie, nacierając na cofającego się Tasosa.

Na szczęście wymiana poglądów nie miała dalszego ciągu. Nie usłyszeliśmy żadnej odpowiedzi, bo w drzwiach salonu niespodziewanie stanęła rozczochrana i zaspana Tula. W papilotach na głowie i długiej, wymiętej koszuli nocnej wyglądała jak szmaciana pacynka. Tyberiusz zerwał się na jej widok i zaczął ujadać na uczestników kłótni.

– Jezus Maria, Klaro! Co tu się dzieje? – zawołała przestraszona. – Biją się? Co się znowu stało?

– Dosyć tego. Wystarczy. Uspokójcie się natychmiast. – Odciągnęłam powarkującego Tyberiusza od nogi Kostasa. – Przesadziłeś – rzuciłam do Tasosa. Obserwowałam z niepokojem, jak niechętnie się rozchodzą, każdy w inny kąt pokoju.

Rozdrażnienie i agresja wibrowały w powietrzu. To nie był dobry moment na prezentowanie własnych domysłów. Usiadłam na kanapie i zapatrzyłam się w okno. Wschodzący nad zatoką świt odsłaniał kontury zabudowań miasteczka. Z porannej mgły powoli wynurzała się górująca nad zatoką cerkiew Madonny Płaczącej.

Bolałam nad tym, że różnice poglądów podzieliły moich przyjaciół, tym bardziej że ich koncepcje były odkrywcze i miały wiele cech prawdopodobieństwa. Każda z nich mogła być właściwą wersją wydarzeń, jednak prawda, która nie była już dla mnie tajemnicą, okazała się zupełnie inna.

Rozdział 38

Tym razem obudziłam się w swojej sypialni. Wyciągnęłam się na pościeli jak kot i zatęskniłam za Jorgosem. „Słodka moja! Co robisz? Tęsknisz trochę? – Wspominałam naszą ostatnią rozmowę telefoniczną. – Jestem na Atlantyku. Kołysze, ale niebawem wchodzimy na spokojniejsze wody – dźwięczał mi w uszach jego niski, schrypnięty głos pośród trzasków i zakłóceń na linii. – Za kilka dni będę w domu. Kocham cię” – usłyszałam jeszcze, zanim szumy zagłuszyły wszystko. Nie mogłam się doczekać jego powrotu. Do tego czasu prawie boski spokój powinien znowu zagościć na wyspie. Muszę jeszcze tylko sprawdzić kilka faktów, zebrać dowody i przekonać prokuratora do wizji lokalnej w cerkwi.

Nasi winowajcy, ci, którzy jeszcze żyli, zasługiwali na spektakularny i efektowny finał śledztwa. Niechętnie wyglądęłam z łóżka, tymczasem sytuacja w pokoju przedstawiała się interesująco. Tyberiusz zajmował niemal połowę podłogi sypialni, a w kącie, obok garderoby, skulony i zziębnięty spał na karimacie Tasos. Klaudiusz dobrotliwie ogrzewał mu stopy. Leżał na nich i przyglądał się uważnie obiektowi swoich zabiegów. Mój szef smacznie pochrapywał. To ten odgłos wybił mnie ze snu. Klaudiusz przy każdym chrapnięciu przekręcał łeb na bok, stawiając uszy. Niezrozumiałe komendy Tasosa wprawiały go w zakłopotanie.

Kiedy moje wiercenie się na łóżku spowodowało hałas, przysypiający ochroniarz zerwał się na równe nogi i chwycił za broń. Psy zaczęły ujadać.

O, Chryste, pomyślałam. Biedna Tula. W końcu dostanie w tym domu zawału. Podniosłam obie ręce do góry i dusząc się ze śmiechu, wykrztusiłam:

– To ja skrzypię, szefie. – Pokazałam palcem na łóżko. – Wciąż żyję. Dzień dobry. Obiecaliście mi ochronę, ale nie sądziłam, że zamierzacie spać w mojej sypialni. To chyba przesada, co? – dodałam rozbawiona.

– Dziwię ci się, że masz jeszcze poczucie humoru na swój temat. – Tasos skrzywił się, z trudem rozprostowując kości. – Oni są nieprzewidywalni. – Miał na myśli mafię. – Nie podzielałam optymizmu Kostasa, który uważa, że nic ci nie grozi. Nie wiadomo, co jeszcze szykują.

– Nic – powiedziałam pod nosem. – Jeśli mnie wesprzesz, zamkniemy tę sprawę w ciągu kilku dni. Wiem wszystko i potrafię wszystko udowodnić.

– No, no. Przyznaję, że jestem pod wrażeniem. – Ewidentnie ze mnie kpił. – Skąd masz taką pewność?

– Powiedział mi – odparłam.

– Kto?

– Kotopulos.

Tasos zaspany był jeszcze przystojniejszy niż zwykle. W wygniecionej koszuli i powycieranych dżinsach stał przede mną bosy, z grymasem zniecierpliwienia na twarzy.

– Dajże spokój, Klaro. Sprawiasz wrażenie rozsądnej osoby.

Wychyliłam się z łóżka. Z nocnej szafki wyciągnęłam plik zdjęć z miejsca zbrodni i duży czarny notes. Rozsypałam je na pościeli.

– Popatrz uważnie na fotografie. Czy nie wydaje ci się, że niewyraźna linia pomiędzy wyrazami „Melpomena” a „kłamliwa” to nie litera „i”, ale po prostu rozmazany kawałek litery „a” w słowie Melpomena?

– No, może tak – zastanawiał się. – Co twoim zdaniem z tego wynika?

– Spójrz jeszcze tutaj. Na początku zdania czegoś brakuje, jednego albo nawet dwóch krótkich słów. Mam rację? – nalegałam na odpowiedź.

Tasos oglądał zdjęcia ze wzrastającym zainteresowaniem.

– No tak. Chyba masz rację. I co?

– Odczytaliśmy: ...jest ślepa jak Melpomena i kłamliwa...

– No. – Pokiwał twierdząco głową.

– Wszyscy nasi podejrzani podkreślali, że to nieprawda.

Wyrażali swoje opinie w różny sposób, ale ostatecznie sens był zawsze taki sam. To zdanie jest przekłamaniem. Przeczy mitologii i jest niemożliwe, żeby Kotopulos o tym nie wiedział. Melpomena nie jest ślepa. Za taką można uznać Temidę, boginię sprawiedliwości. Ma w ręku wagę i przesłonięte opaską oczy. Melpomena, bogini teatru, to uosobienie fikcji, symbolizuje więc coś innego, może w dużym uproszczeniu uchodzić za kłamczuchę. Co ty na to?

Tasos się roześmiał:

– No dobrze, powiedzmy, że masz rację, ale w dalszym ciągu nic mi to nie mówi.

– A mnie tak. Odczytałam ten tekst inaczej i wiele zrozumiałam.

– Inaczej, to znaczy jak? Jak go teraz interpretujesz?

– Jak Temida jest ślepa, jak Melpomena kłamliwa...

– Słusznie. Mógł tak napisać. Ale czy to coś zmienia?

– Wszystko! – zawołałam. – Wszystko, wszystko, wszystko – powtarzałam w zapamiętaniu. – Ale jeśli mamy ich dopaść, musisz mi pomóc.

– No dobrze. Skoro jesteś taka pewna swoich racji, spróbuj mnie do nich przekonać. Nic nie tracimy, eksperymentując. Co proponujesz?

– Kilka zagranicznych telefonów, helikopter do Aten i rozmowę z arcybiskupem Anatolem. Koniecznie – podkreśliłam.

– Fiu, fiu – gwizdnął Tasos. – Masz niezłe wymagania. Co dalej?

– Rewizję w jednym z domów na wyspie i wizję lokalną w cerkwi. Na koniec zebranie wszystkich zainteresowanych w lokalu Sotirisa, z nakazem aresztowania w ręku i dużą obstawą policji. Dobrym pretekstem do takiego spotkania będzie powrót mojego męża z kolejnego rejsu. Zaproszenie na przyjęcie z tej okazji nikogo nie zdziwi.

– Masz oczywiście dowody?

– Będę mieć.

– Jasne – przytaknął bez przekonania. – Co uzyskam w zamian?

– Ostateczne wyjaśnienie sprawy i ujęcie przestępców. To mało? – oburzyłam się.

– Chcesz powiedzieć, że potrafisz zakończyć śledztwo? – Spoglądał na mnie z ironią. W jego na wpół greckiej świadomości nie mieściła się taka nedorzeczność. Nie było opcji, żeby zagadkę mogła rozwiązać kobieta.

– Zakończyć śledztwo i ująć sprawców tak, ale żeby ostatecznie rozprawić się z pozostałymi na wolności bandytami, musimy w ogłoszenie prawdy wciągnąć wszystkie możliwe media. – Jego wątpliwości nie deprymowały mnie ani trochę.

– O nie! – jęknął. – Wiesz, czego ode mnie oczekujesz? Po co ci to?

– Myślę o mafii. Chcę, żeby złe wieści szybko do nich dotarły. To nas uchroni przed kolejnymi ofiarami. Gdyby bossowie przewidzieli, w jakiej pułapce się znajdą – rozgadałam się podekscytowana – i jaki los ich czeka, nie podnieśliby nigdy ręki na Mateńkę. Przeznaczenie z nich zakpiło.

– Nie przesadzasz?

– Sam się przekonasz, że nie. Przede wszystkim nie są w stanie uregulować swoich długów, bo już nigdy nie będą w posiadaniu oryginału tej ikony. Jestem tego pewna, a najbardziej zagrożone jest teraz ich życie. Czy jest w tym zemsta losu za zakłócenie spokoju świętego obrazu? Tego nie wiem. – Zbierałam z podłogi i z łóżka porozrzucone zdjęcia. – Wątpię, żeby ktoś im współczuł. Chyba że nasza Madonna wspaniałomyślnie uroni nad nimi łzę – rzuciłam sarkastycznie, widząc, jak Tasos znika w drzwiach sypialni. Chyba nie usłyszał.

Rozdział 39

Mijały dni. W biurze Kostasa rozdzwoniły się telefony i faksy. Pracowaliśmy w pośpiechu, zmagając się z upływającym czasem i walcząc o przeżycie kolejnych potencjalnych ofiar gangu. Kiedy wreszcie nadszedł nasz wielki dzień, liczyliśmy w głębi serca na fart i wierzyliśmy, może trochę naiwnie, że Mateńka pomoże nam zadać mafii ostateczny cios. Pierwszy sezonowy prom z Aten przywiózł na wyspę nielicznych turystów i kilku zakonspirowanych agentów wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną. Zaplanowaliśmy zaskoczenie przestępców, ale okoliczności sprawy były tak dramatyczne, że wszystko mogło się zdarzyć. Wieczór na przystani wyglądał jak co dzień. Stoliki przed hotelem Sotirisa obsiedli nieliczni jeszcze turyści. Zaproszenie na uroczystą kolację przyjęli wszyscy podejrzani, a sam Jorgos miał się pojawić w lokalu po północy. Do tego czasu sprawa Madonny z Toros powinna być przeszłością.

Tasos postukał w filiżankę widelcem.

– Proszę państwa, proszę o uwagę.

Poczułam gwałtowne bicie serca. Działania operacyjne ostatnich dni przyniosły nieoczekiwane wyniki. Ze zgromadzonych dowodów wyłoniła się prawda gorsza niż wszystko, czego się spodziewaliśmy.

– Powrót Jorgosa nie jest jedyną niespodzianką, którą przygotowała dla was Klara na dzisiejszy wieczór – zaczął Tasos, uważnie obserwując twarze wpatrzonych w niego gości. – Za chwilę dowiecie się prawdy o tajemniczych zbrodniach w naszej cerkwi. Cały hotel jest otoczony przez policję. Przykro mi o tym mówić, ale nikomu do końca jej relacji nie wolno opuszczać sali.

Oświadczenie wywołało natychmiastową reakcję. Przez salę przeszedł głośny szmer, a potem zapadła nienaturalna cisza. Wszyscy patrzyli w ponurym milczeniu w moją stronę. Przełknęłam głośno ślinę.

– Zawsze uważałam Toros za oazę spokoju i wzór regionalnego piękna w tej części Dodekanezu – zaczęłam. – Nie wyobrażałam sobie miejsca na świecie, gdzie czułabym się lepiej i bezpieczniej. Tak było do momentu, kiedy w cerkwi na wzgórzu znaleziono śmiertelnie pobitego Lakisa Margaritisa. Naszą wyspę nawiedził ciąg tajemniczych zdarzeń i nikczemnych zbrodni, które zdawały się nie mieć końca. Wielomiesięczne bezowocne śledztwo utwierdziło mieszkańców w przekonaniu, że policja jest bezradna wobec przestępców. Moi przyjaciele i znajomi pogrążali się stopniowo w beznadziejnym przeświadczeniu, że nikt nie potrafi rozwikłać tej sprawy i zapewnić nam bezpieczeństwa. My też – spojrzałam na Tasosa i Kostasa – powoli popadaliśmy w jakiś przeklęty marazm. Sytuację zmieniła dopiero śmierć Andreasa Kotopulosa. Genialny historyk, umierając, pod drzwiami świątyni napisał własną krwią na podłodze intrygujący tekst. Używając zmyślnej metafory, zawarł w nim prawdę o swoim udziale w tej sprawie. Czy chciał nam pomóc, czy przed śmiercią pragnął tylko oczyścić się z niektórych zarzutów, nie dowiemy się już nigdy. Pozostawił przesłanie, które stało się impulsem do zrozumienia tajemniczych wydarzeń, które miały miejsce na wyspie. Ponieważ hipotezy, które powstały wcześniej, podczas śledztwa, nie doprowadziły do spodziewanego rozwiązania sprawy, postanowiliśmy odwrócić kolejność rozumowania. Skonstruowaliśmy nową koncepcję zbrodni w cerkwi, zaczynając od końca, czyli od śmierci Andreasa Kotopulosa. Ważną wskazówką, mimo wątpliwości moich kolegów, okazał

się krwawy napis na podłodze. Prawidłowo odczytany tekst brzmiał: „Jak Temida jest ślepa, jak Melpomena kłamliwa”. Zastanawiałam się, co miał na myśli historyk, zestawiając te dwa symbole, i jaki może mieć to związek ze sprawą. Jakie słowo było w domyśle tej metafory? Odpowiedź na to pytanie oczywiście okazała się łatwa. Z tekstu umierającego historyka wyzierało poczucie krzywdy. Najprawdopodobniej Kotopulos miał na myśli sprawiedliwość. To ona według niego miała być ślepa i wyrokować na podstawie kłamstwa, fikcji i nieprawdy.

– To, jak przypuszczamy, symbolizuje w tym napisie Melpomena, muza teatru, bo ma zasłonięte oczy – wtrącił się Tasos.

– Choć jesteśmy pewni – nie pozwalałam mu przejąć inicjatywy – że Kotopulos zabił Stawrosa i że z pomocą współnika ukradł z cerkwi ikonę, to na podstawie faktów i przemyśleń wnioskujemy, że sam jest najtragiczniejszą ofiarą tego dramatu. Paradoks i okrucieństwo losu dotknęły go w ten sposób, że jak przypuszczaliśmy, nie zamordował Lakisa. Mamy na to niepodważalne dowody. Inaczej sprawa ma się z ojcem pierwszej ofiary. Szantażowany przez mafię wybitny naukowiec, prawdopodobnie zaskoczony przez Stawrosa niesłusznym oskarżeniem o tę zbrodnię, zgładził go w obawie o własne życie.

– Mąż Anny nie pozostawił mu wyboru. – Tasos znowu się wtrącił. – Z naszych ustaleń wynika, że dowiedział się o udziale historyka w organizacji przestępczej, gdy włamał się do komputera syna po jego śmierci. Poznał rolę, jaką odgrywał Lakis w organizacji przestępczej, i prawdopodobnie dotarł do danych na temat Kotopulosa. Przekonany z jakiegoś powodu, że odkrył zabójcę swojego jedynaka, przypuszczalnie napisał do historyka anonim z żądaniem rozmowy. Spodziewamy się też, że pod wpływem emocji groził mu podczas spotkania w cerkwi.

Tymczasem zdemaskowanie Kotopulosa na Toros jako członka mafii przez niesłuszne podejrzenie o morderstwo, którego nie popełnił, wiązało się dla niego z likwidacją całej siatki na wyspie i z automatycznym wyrokiem śmierci. Historyk dużo wiedział i prawdopodobnie głową odpowiadał za planowaną kradzież Madonny z Toros.

– Odłożmy na razie analizę faktów związanych ze śmiercią Lakisa – przerwałam Tasosowi niezadowolona, że się znowu wtrąca. – Wiedzieliśmy, że Kotopulos zamordował Stawrosa – wróciłam do tematu – i że był jednym ze złodziei ikony. Mamy na to dowody. Przede wszystkim zeznania naocznego świadka jego ucieczki z cerkwi po zabójstwie Stawrosa. Stwierdziliśmy też zgodność grupy krwi z krwią jednego ze złodziei. Niestety nie zdążyliśmy go aresztować, a jego niespodziewana śmierć postawiła nas przed kolejną niewiadomą, niwecząc sukcesy śledztwa. Od początku podejrzewaliśmy, że powodem zamordowania historyka było zaginięcie Madonny Płaczącej w drodze z Toros do Aten. Trzeba dodać, że nie był on jedyną osobą, którą zgładzono z tego powodu. Po burzliwej dyskusji ustaliliśmy jednak, że zbrodnia na nim nie miała cech porachunków mafijnych i że przestępcy, którzy przybyli na wyspę, konsultowali z nim ten problem, ale nie zabili go z powodu zaginięcia ikony. Wielokrotnie powierzali mu podobne zadania i nigdy ich nie zawiódł. Nie mieli powodów, żeby go podejrzewać o zdradę. W tym kontekście ta śmierć była bezsensowna, chyba że istniał jakiś dodatkowy, nieznan nam motyw zbrodni. Jeśli Kotopulos nie był ofiarą zemsty mafii, to kto mógł być winien jego śmierci i dlaczego go zamordował, gdy zginęła skradziona ikona? – zastanawiałam się głośno, obserwowana w napięciu przez moich gości.

Eleni Samaras ścisnęła w jednej ręce chustkę do nosa, a w drugiej trzymała wypalony do połowy i niestrzepnięty papieros. Dimitris obserwował ją spod oka, bawiąc się kluczykami do samochodu.

– W poszukiwaniu odpowiedzi na to pytanie znowu sięgnęliśmy po krwawy werset z podłogi cerkwi. Z zaświatów pisał do nas zabójca, który, o ironio, sam stał się ofiarą. Morderca strzelił do niego i nie upewniwszy się nawet, że ofiara nie żyje, opuścił kościółek. Najwyraźniej stan emocjonalny napastnika wykluczał racjonalne zachowania. Jaka mogła być przyczyna tak wielkiego wzburzenia? Wszystko wskazywało na kolejne zabójstwo, które ma oczywiste cechy zemsty, i na to, że śmiertelnie ranny historyk próbował wskazać nam drogę do zabójcy. A jeśli Kotopulos padł i tym razem ofiarą pomyłki? – opisywałam zebranych nasz sposób rozumowania. – Czego tym razem mogła dotyczyć? Czy znowu przypisano mu niesłusznie jakąś winę? Jeśli tak, to jaką? Te pytania spędzały nam sen z powiek. Zakładając, że zbrodnia miała związek z kradzieżą cudownego obrazu, naszą uwagę zwróciła naturalnie osoba współnika Kotopulosa. Ustaliliśmy, że ktoś mu pomagał w kradzieży ikony, ale oczywiście nie wiedzieliśmy, kto to był. Z jednej strony przypuszczaliśmy, że być może to on posądził historyka o oszukanie przestępców i wymierzył mu straszną karę. Snuliśmy różne domysły. Z drugiej strony rodziło się pytanie, czy takie podejrzenie mogło być wystarczającym impulsem do zbrodni. Uznaliśmy, że tak, ale pod warunkiem że oszukanie przestępców pociągnęło za sobą poważne konsekwencje i spowodowało czyjąś tragedię. – Przerwałam na chwilę i sięgnęłam po szklanę z wodą. – Niestety spowodowało – zdecydowałam się wreszcie odkryć karty – a zabójca Andreasa Kotopulosa jest teraz z nami. Odpowie za tę zbrodnię, lecz

największą karę wymierzył sobie sam – mówiłam, z trudem maskując współczucie. – Przyjdzie mu żyć ze świadomością, że fatalnie się pomylił. Kotopulos bowiem nie ukradł mafii ikony i tym samym nie był przyczyną jego osobistej tragedii.

Patrzyliśmy na siebie przez długość sali. Jego oczy były pełne gniewu i rozpacz.

– To morderstwo było niepotrzebne. Zamordowałeś z premedytacją człowieka, który niczym ci nie zawinił – powiedziałam do Jurka Kostkowskiego, a on skulił się po moich słowach i ukrył twarz w dłoniach.

Rozległ się głośny szloch Eleni Samaras.

– Boże, dziecko, coś ty zrobił?! – Anna Margaritis głośno rozpacziała nad Jurkiem. – Ale dlaczego? Dlaczego? – Rozglądała się po zebranych, jakby szukając w ich oczach wyjaśnienia. – Musiał mieć ważny powód. To dobre dziecko! – Nie pozwałała mi dojść do głosu.

– Miał ważny powód – przerwałam jej. – Sąd na pewno weźmie pod uwagę to, że działał pod wpływem silnych emocji.

Do lokalu weszli policjanci. Jurek szarpał się z nimi chwilę, a potem stanął w drzwiach lokalu i popatrzył w moim kierunku.

– Pomogłem Kotopulosowi wynieść z cerkwi ikonę, to prawda, ale nigdy nie zamierzałem skrzywdzić ani ciebie, ani twoich psów. To nie ja na ciebie napadłem. Przysięgam. Przysięgam – powtarzał. – Tyberiusza i Klaudiusza chciałem tylko uspić na jakiś czas, nie otuć. Uwierz mi. Byłem przekonany, że historyk oszukał mafię i ukrył oryginał ikony. Pragnąłem zemsty na nim ponad wszystko na świecie. Byłem pewien, że zasłużył na swoją śmierć. O Boże, co ja zrobiłem! – szlochał jak dziecko.

Stał jeszcze chwilę w drzwiach z nisko pochyloną głową i trzymał się oburącz framugi. Potem pozwolił się wyprowadzić.

– Skoro tak się sprawy mają, że winny jest pod kluczem, to zapraszam wszystkich na degustację win z mojej piwnicy. – Na środku lokalu jakby spod ziemi wyrósł nienaturalnie podekscytowany Sotiris. – Zaraz wydam rozporządzenia. Wyjaśnienie tej sprawy i ujawnienie morderców to święto dla mieszkańców Toros. Oczywiście ja stawiam – podkreślił i zniknął na zapleczu.

Nikt nie zareagował na to niedorzeczne zaproszenie. Wszyscy patrzyli wyczekująco w moją stronę. Odświeżyłam gardło jeszcze jednym łykiem lodowatej wody, zajrzałam do notatek i zaczęłam opowiadać:

– Cała historia zaczęła się w Atenach jakiś czas temu, kiedy bezrobotni bracia Kostkowscy spotkali na placu Omonia człowieka, który zaoferował im pomoc. Powoli i umiejętnie wciągał ich do brudnych interesów mafii, aż stali się od niego kompletnie zależni. Ponad pół roku temu zlecił im zakonspirować się na Toros i czekać na rozkazy. Spotkanie ze studentami z Polski i wspólny przyjazd na wyspę były dla nich najlepszym z możliwych kamuflaży. Nikt nie wiedział, że bracia Kostkowscy są dziećmi greckich przesiedleńców do Polski. Zatajona przed wszystkimi dobra znajomość języka greckiego pozwalała im kontrolować sytuację, a biwakowanie w namiocie na plaży było idealnym sposobem na zbliżenie się do cerkwi i rozpoznanie miejsca planowanego przestępstwa.

Tymczasem mafia instalowała na Toros sieć swoich ludzi. Kiedy na wyspę jak grom z jasnego nieba spadła śmierć Lakisa, bracia Kostkowscy nie byli w tę sprawę zamieszani. Mieli stuprocentowe alibi i znaleźli się poza podejrzeniami. Na wyspę przybył Kotopulos. Po utracie kompana z mafii, w niesprzyjających okolicznościach, nieudolnie kontynuował przygotowania do kradzieży cudownego obrazu. Tymczasem

Janek i Jurek zamieszkali w mojej posiadłości. Byli już znani w okolicy i kojarzeni przez moją osobę z policją. Miejscowi ufali im. Po rabunku przez pewien czas posądzaliśmy Jurka o współudział w przestępstwie, ale zebrane dowody nie potwierdziły naszych przypuszczeń. Nie mając żadnych podstaw, żeby zatrzymać braci na wyspie, przystaliśmy na ich okresowy wyjazd do Aten. Wtedy na krótki czas straciliśmy ich z oczu.

– Nasze ponowne spotkanie miało miejsce na promie, którym wspólnie wracaliśmy z Aten na Toros – dopowiedział Tasos.

– Tak im się wtedy tylko zdawało, że wracają razem z nimi – skomentował Kostas niepotrzebnie.

– Fatalny wygląd Jurka podczas tej podróży zmartwił nas – przerwałam moim ambitnym kolegom. – Ale pochłonięci intensywnym dochodzeniem po grabieży w cerkwi nie mieliśmy czasu zająć się rodzeństwem. Po śmierci Kotopulosa sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej, ale wszyscy podejrzani o tę zbrodnię mieli kiepskie alibi. Jurek początkowo niczym się w tej grupie nie wyróżniał.

Wciąż jednak powracały w naszym śledztwie tematy, z którymi kojarzyli się bracia Kostkowscy. Po pierwsze, w dalszym ciągu poszukiwaliśmy współnika Kotopulosa, który uczestniczył w kradzieży ikony, a alibi Jurka, mimo relacji świadków, budziło nasze wątpliwości. Poznaliśmy już wcześniej jego skłonności do manipulacji. W momencie rabunku mógł leżeć chory w pokoju, ale mogło być zupełnie inaczej. Nie przekonały nas zeznania Ewy i Adama. Z kolei nagły wyjazd Janka do Polski, w kontekście tragicznej śmierci historyka, był też podejrzany. Ostatecznie brak motywu zbrodni i stuprocentowe alibi na czas kradzieży w cerkwi rozstrzygnęły

nasze wątpliwości na jego korzyść, więc nie szukaliśmy go. Choć moi lokatorzy nie byli głównymi podejrzanymi, żałowałam, że nie było sposobności, żeby po zabójstwie Kotopulosa ich przesłuchać. Żałowałam, a w końcu zaczęłam się zastanawiać, gdzie się mogli zatrzymać i w jakich okolicznościach ostatnio spotkałam Janka. Zaczęliśmy o nich wypytywać. Kiedy wreszcie przypadkowo natknęłam się na Jurka w domu Anny Margaritis, moją uwagę zwróciło to, że nerwowo reaguje na każde pytanie o młodszego brata.

Ta refleksja stała się przełomem w śledztwie. Zaraz potem dowiedzieliśmy się, że po rzekomym powrocie Janka z Aten nikt go nie widział. Nie zapamiętała go nawet obsługa promu, na którym spotkaliśmy Jurka. Zaczęliśmy podejrzewać, że w różnych sytuacjach manipulowano tak, byśmy sądzili, że obaj są w pobliżu. Zarówno w podróży z Aten, kiedy na naszych oczach Jurek kupił dwie pizze i dwie butelki wody mineralnej, jak i przez umieszczenie nazwiska Janka na liście pasażerów promu; tego samego, którym podobno opuścił następnego dnia wyspę, spiesząc do chorej babci. Uznaliśmy, że Jurek, jak magik, zręcznie oddziaływał na naszą psychikę, projektując w niej nieistniejącą rzeczywistość. Dał się nam poznać już wcześniej jako mistrz mistyfikacji.

W tej sytuacji rozpoczęliśmy oddzielne śledztwo w celu odnalezienia Janka. Okazało się, że babcia Kostkowska ma się dobrze, a Janek wcale nie wrócił do Polski. Po tych ustaleniach sprawy potoczyły się błyskawicznie. Marszand, pobity przez przestępców w Atenach, rozpoznał na fotografii w jednym z bandytów, którzy przynieśli do niego kopię cudownej ikony, młodszego z braci. Niestety to właśnie Janek okazał się łącznikiem mafii, który po straszliwych torturach zginął z rąk przestępców, ku makabrycznej przestrodze skierowanej do

reszty gangsterów. Jego zmasakrowane ciało, odnalezione w Atenach, dopiero wczoraj udało się zidentyfikować. Fakty ułożyły się w logiczną całość.

Nie mieliśmy już wątpliwości, że współnikiem kradzieży w cerkwi i mordercą Andreasa Kotopulosa jest Jurek Kostkowski. Uważaliśmy, że do tej zbrodni popchnęła go męczeńska śmierć brata. Słabo zorientowany w zasługach historyka dla mafii i przekonany, że tylko Kotopulos mógł podmienić ikonę, skoro on sam tego nie zrobił, zamordował go, mszcząc się za zmasakrowanie przez bandytów Janka. Nie zapanował nad swoją rozpaczą w słusznym przeświadczeniu, że brata zabito zamiast niego, z powodu zaginięcia obrazu. W środowisku mafijnych degeneratów to, który z młodych Polaków rzeczywiście uczestniczył w kradzieży, było bez znaczenia. Morderstwo na historyku nie przyniosło Jurkowi ulgi w cierpieniu. Nie dała mu też ukojenia wizyta i spowiedź u popa.

Zamyślony Teodor spoglądał na horyzont za oknem.

– Niezbadane i niezrozumiałe są wyroki naszego Pana – wyszeptał cicho. – Przypuszczam, że w najbliższym czasie ten chłopiec sam zgłosiłby się na policję – dodał.

– Chyba tak – przyznałam mu rację. – Nie wyparł się przed chwilą morderstwa, choć wie, że jedyne, co na niego mamy, to poszlaki.

– Bardzo cierpiał – powiedziała cicho Anna. – Mówił o sobie „ten zły”, a o Janku „ten dobry Kostkowski” – rozplakała się żałośnie.

– Nie mieliśmy dowodów przeciwko niemu. Liczyliśmy na psychiczne zmęczenie przestępcy wyrzutami sumienia i na zaskoczenie. Nie pomyliliśmy się – przechwalał się Kostas nedorzecznie. Skomentował zachowanie Jurka zadowolony, że wreszcie ma sposobność coś powiedzieć. – W więzieniu chłopak

ma szansę uniknąć zemsty mafii i przeżyć. – Jego komentarz nie spotkał się z dobrym przyjęciem. Zabrział ponuro i nietaktownie.

– O Jezus Maria! – jęknęła Anna.

– Chciałem tylko powiedzieć, że taka postawa daje mu pewne szanse na... przeżycie. – Tym stwierdzeniem dolał tylko oliwy do ognia.

– No i jak zwykle powiedziałaś głupotę – podsumował Tasos.

Ich zacietrzewienie było niewiarygodne. Nawet w takim momencie najbardziej obchodziło ich to, kto ma rację. Na szczęście nikt nie zwracał na nich uwagi, bo Anna podeszła do mojego stolika i głosem pełnym determinacji powiedziała:

– Chcę się natychmiast dowiedzieć, kto zabił mojego syna. I dlaczego – dodała, po czym usiadła na najbliższym krześle.

– Śledztwo w sprawie śmiertelnego pobicia twojego syna, Anno, było prawdziwym wyzwaniem. Do Lakisa, chociaż wiele osób miało motyw morderstwa, nie pasowała żadna koncepcja zbrodni. Długo nie mogliśmy tej sprawy rozgryźć, aż w końcu zastosowaliśmy zasadę, która brzmi: jeśli coś ci się wydaje niemożliwe, to może po prostu takie jest. Po wnikliwej analizie zgromadzonych w śledztwie materiałów i ponownych oględzinach miejsca, w którym znaleźliście nieprzytomnego Lakisa, doszliśmy do wniosku, że nikt go nie zamordował. To był wypadek.

Anna osłupiała.

– To niemożliwe. Przecież ktoś go pobił – protestowała z przekonaniem.

– A tak. Pobił go Stawros, który przyszedł za nim do cerkwi, by mu uniemożliwić współpracę z mafią i udział w kradzieży. Twój mąż domyślił się wielu rzeczy, również tego, że

Lakis symuluje zranienie ręki, żeby w spokoju przygotować miejsce przestępstwa. Poznał plany bandytów, buszując w komputerze syna. Usiłował im nawet przeszkodzić, czym w efekcie spowodował nieudany zamach na życie leżącego w szpitalu Lakisa.

Bójka między twoimi mężczyznami musiała być poważna, skoro Lakis przewrócił się i uderzył w głowę tak mocno, że ojciec przyniósł z zakrystii krzesło z oparciem, żeby go posadzić i docucić. To dlatego Lakis siedział na krześle, a nie w ławce. Obaj nie chcieli cię martwić, więc kiedy ofiara upadku poczuła się lepiej, Stawros wymknął się z kościółka. Zostawił swojego jedynaka w dobrym zdrowiu i dlatego potem, na widok nieprzytomnego, szeptał, że to, co widzi, jest niemożliwe. Prawdopodobnie po wyjściu ojca Lakis znowu poczuł się gorzej. Jana, która ostatnia widziała go przytomnego, zeznała, że siedział na krześle, zachowywał się dziwnie i że wokoło był bałagan. Przypuszczamy, że ostatnie piętnaście minut przed kolejnym omdleniem twój syn spędził... sprzątajac. Starannie wytarł nawet podłogę. W zakrystii, kiedy chował ścierkę pod szafę, zamoczyło go ponownie. Przeszedł jeszcze kilka kroków w poszukiwaniu oparcia, lecz upadł, tym razem na źle położone płyty posadzki. Dwie z nich tworzą wystający kant, dokładnie w miejscu, gdzie go znaleziono. Kamienny wyłom, który mylnie wzięliśmy za narzędzie zbrodni, wbił mu się w głowę w zranione poprzednio miejsce i spowodował wylew. Plama krwi, która zasłoniła fatalną niedoróbkę posadzkarzy, na wiele miesięcy wprowadziła zamieszanie w śledztwie. Nie sfotografowano tego miejsca ani nawet nie sprzątnięto w pierwszej chwili, bo po bójce zadbano przede wszystkim o stan zdrowia rannego.

Zamieszanie wzmogło też nasze negatywne nastawienie do ofiary wypadku spowodowane złą reputacją Lakisa. Z uporem niepotrzebnie doszukiwaliśmy się w tej sprawie drugiego dna.

– Co się dzieje? – krzyknął Tasos do jednego z naszych ludzi.

Z zaplecza dochodziły odgłosy kłótni i bijatyki. Na środek restauracji wypadł nagle Sotiris, czerwony ze złości i zziębnięty, z uczeptionym ramienia policjantem.

– Czego chce ten facet, panie komendancie? – zwrócił się do Kostasa. – Nie mogę przejść po wino dla gości do mojej ziemianki obok hotelu? O co chodzi?

– Chodzi o to, panie komendancie – kpił z niego agent wchodzący do restauracji – że po wino nie chadza się z bagażami. Mam rację? – Na środku, obok Sotirisa, postawił torbę podróżną. – I jeszcze to – dodał, wnosząc z zaplecza elegancki neseser z przypiętą do rączki plastikową wizytówką i ogromny plecak. – Były tam, gdzie Klara radziła zajrzeć. – Nasz człowiek pokiwał głową z uznaniem. – Zamknięte na klucz w szafie hotelowego apartamentu.

– No, bracie, cieszymy się bardzo, że dotrzymasz nam towarzystwa. – Tasos rozpromienił się na widok stojącego wśród bagaży hotelarza.

Widząc, że wstaję z krzesła i zamierzam się do niego zbliżyć, powstrzymał mnie gestem ręki.

– Zostawcie go! – Odprawił też ochronę. – Sam to załatwię.

Sotiris stał na środku, łypiąc spode łba wściekle w moim kierunku.

– Od dawna poszukiwaliśmy na wyspie nietykalnego. – Tasos spokojnie zaglądał w iskrzące złością oczy. – To szefowie mafii – wtrącił, zwracając się do zebranych z wyjaśnieniem. –

Poszukiwaliśmy jednak naiwnie człowieka z klasą, a nie takiego taniego zbira jak ty – znowu mówił do hotelarza.

Na twarzy wnuka Waggielisa pojawiło się szyderstwo.

– Jestem szefem mafii? Macie jakieś dowody na poparcie tych bredni?

– A jak ci się zdaje? Mamy, bo tak się przestraszyłeś, kiedy Klara przepytowała twojego dziadka i znalazła kosmetyki Kotopulosa w łazience apartamentu hotelowego, że osobiście ją napadłeś. Tak czy nie?

Rozmówca mierzył Tasosa nienawistnym spojrzeniem.

– Odniosłeś wtedy, według jej relacji, kontuzję lewej nogi, co pozwoliło jej uciec i przeżyć. To było zaledwie kilka dni temu. Pokażesz nam swoją nogę?

Sotiris milczał z wyrazem pogardy i nienawiści w oczach.

– Cieszymy się, że z nami jesteś. Naprawdę. To prawdziwa przyjemność zakończyć ten wieczór w twoim towarzystwie. Co my tu mamy? – Agent Interpolu oglądał torby podróżne, przy których stał zdemaskowany mafioso, z widowiskowym zainteresowaniem. – To jest twoja torba, a tu jest napisane „Andreas Kotopulos”. Wiemy, kto go zabił, i wiemy też, dlaczego w apartamencie twojego hotelu został bagaż zamordowanego. Chcesz przy wszystkich o tym porozmawiać? – kpił bezlitośnie.

– Miał tu zamieszkać. Co z tego? – warknął Sotiris.

– Widzę, że chcesz. Co więcej, zasługujesz na publiczną spowiedź. Tak, miał u ciebie zamieszkać. – Tasos znowu mówił o Kotopulosie. – Tak jak parę miesięcy wcześniej. Mieszkał wtedy w hotelu, aż do momentu kiedy uznałeś, że powinien się wyprowadzić. Bardzo się obawiałeś kojarzenia cię z podejrzanym przez policję Kotopulosem. Tak bardzo, że podawałeś własnemu dziadkowi środki nasenne, żeby przestał

opowiadać o swojej przyjaźni z jego ojcem. Waggielis jest stary, ale nigdy przedtem nie był taki senny, jak przez ostatnie miesiące. W jego krwi odkryliśmy mnóstwo barbituranów. Ty draniu! Nawet rodziny nie oszczędziłeś! Byłeś tak nieostrożny, a my ciągle poszukiwaliśmy do roli nietykalnego kogoś wyjątkowego. Po zaginięciu ikony chciałeś mieć historyka na oku. Pozwoliłeś mu się znowu sprowadzić do swojego hotelu, bo bardziej niż policji bałeś się mafii. Gdy naukowiec nagle zniknął, wpadłeś w panikę, a kiedy dowiedziałeś się o jego śmierci, zacząłeś podejrzewać, że być może zdemaskowaliśmy go jako członka organizacji przestępczej. Wtedy znowu zapragnąłeś ukryć wasze powiązania, ale na drodze do twojej bezkarności stanęła Klara. Chciałbyś wiedzieć, kiedy i dlaczego zaczęliśmy cię podejrzewać? – Tasos spieszył się z odpowiedzią, nie czekając na zachętę: – Zdradziłeś się na promie, w drodze z Aten na Toros.

Sotiris patrzył na Tasosa zaskoczony.

– Byłeś bardzo poruszony, kiedy powiedziałem mimochodem, że podróżują z nami bracia Kostkowscy. Zareagowałeś tak, bo wiedziałeś, że jeden z nich nie żyje. Może nawet sam wydałeś na niego wyrok. Ot co! Teraz, kiedy Jurek zemstą na Kotopulosie udowodnił niewinność swoją i Janka, a my ogłosimy, że historyk też nie zatrzymał dla siebie ikony, jak myślisz, kogo mafia obwini za tę stratę? My wiemy, że winnych oszustwa nie ma na wyspie, ale jesteśmy pewni, że zanim w wojnie gangów bossowie sami zaczną ginąć, spróbują dotrzeć i do ciebie. To bardzo prawdopodobne. O, tak. – Tasos patrzył na hotelarza ze źle skrywaną odrazą. Oddychał ciężko, z trudem panując nad nerwami.

Z hardych oczu gangstera powoli zniknął gniew i zaczął się w nich czaić strach.

W telewizorze nad głową Kostasa, który stał przy barze, pojawił się zwiastun ostatnich wiadomości dziennika. Na ekranie ukazała się ikona Madonny z Toros. Szef miejscowego komisariatu w pośpiechu odstawił kieliszek i podregulował głośność przekazu. Usłyszeliśmy brzęk szkła. Przewrócona koniakówka toczyła się po barze, a aromatyczny płyn rozlewał po blacie i kapał na podłogę. Piękna spikerka beznamiętnym głosem oznajmiła wiadomość z ostatniej chwili:

– Jak donosi nasz korespondent, dzisiaj wieczorem na wyspie Toros, na Dodekanezie, aresztowano członków zorganizowanej grupy przestępczej. Policja odniosła spektakularny sukces również w Atenach. Po sprawnej akcji odzyskano skradzioną niedawno przez bandytów bezcenną ikonę Madonny z Toros, zwaną Mateńką Płaczącą. Rzecznik prasowy arcybiskupstwa w Atenach oświadczył, że obraz, uznawany przez mieszkańców archipelagu za cudowny, w najbliższych dniach powróci na Toros. – Kadr się zmienił. W następnym newsie pojawiła się na ekranie twarz znanego greckiego polityka Andreasa Papandreu.

Tasos wyłączył odbiornik, a potem znowu stanął przed Sotirisem.

– Macie na rękach krew ludzi i żadnych skrupułów. – Sięgnął po kajdanki i skuł hotelarza. – To nie ulży waszym ofiarom, które żyją skazane na samotność i ból po stracie bliskich, ale jak sam słyszałeś, dzisiaj w Atenach odzyskano oryginał cudownej ikony. Nie zaplanowaliśmy tego aresztowania właśnie teraz i przeciw tobie. To tajemniczy zbieg okoliczności, jakich wiele w tej historii. Jednak tak spektakularny powrót do cerkwi sławnego dzieła sztuki i twoje zatrzymanie, te dwa fakty skojarzone razem, mogą być sygnałem

dla twoich kompanów, że to ty ich oszukałeś i okradłeś.
Oczywiście tak nie jest, ale kogo to obchodzi?!

Epilog

Siedziałam w cerkwi i patrzyłam na nią. Była zachwycająca. Jej zagadkowe oczy zdawały się pełne łez. Złudzenie było tak silne, że po plecach przeszły mi dreszcze.

– Ach, więc to tak. To stąd ta nazwa.

Magnetyzm spojrzenia Madonny z Toros był nie mniejszą zagadką niż jej płacz.

Tak zwana technika pisania ikon, rozmyślałam zapatrzona w obraz, jest wielką tajemnicą. Według ścisłych przepisów, od wieków powstaje zawsze taki sam wizerunek osoby świętej. Zrodzony w modlitwie obraz ma być emanacją bóstwa, które prowadziło rękę twórcy. Chociaż praca artysty jest niezmienna jak kanon, a sama czynność uznawana za świętą, od wieków powstają podobne do siebie, a jednak różniące się dzieła. Ikona nie jest zwykłym obrazem religijnym, a raczej przesłaniem wiary. To przesłanie, przed którym siedziałam, zapierało dech w piersiach.

Mateńka jest jak wulkan. Oddziałują z niej ekspresja i moc. Burzy wszelkie reguły, myślałam z satysfakcją.

– Ech! – westchnęłam. Oczarowała mnie, tak jak wszystkich.

Za moimi plecami skrzypnęły drzwi. Ktoś powoli zbliżył się do ławki, w której siedziałam. Stał przez chwilę za moimi plecami i podziwiał ją tak, jak ja. Owładnięta uczuciem wewnętrznej harmonii, nie zdobyłam się na wysiłek, żeby oderwać oczy od ikony i się obejrzeć.

– Znowu tu siedzisz. – Usłyszałam głos Teodora. – To dobrze. Cieszy mnie to. Dawniej nie przychodziłaś do cerkwi. Kiedy się domyśliłaś, że skradziony stąd obraz od początku był

kopią? – Wtargnął w moje błogie rozmyślenia pytaniem, którego się spodziewałam.

– Dość szybko, ale byłam pewna, że nikt mi nie uwierzy. Potrzebowałam mocnych dowodów. A ty – odwróciłam się w jego kierunku – wiedziałeś od początku?

– Nie. Po włamaniu do cerkwi i kradzieży ikony zostałem wezwany do Aten, do arcybiskupa. Tam dowiedziałem się prawdy. Wtedy pokazali mi prawdziwą Mateńkę po raz pierwszy.

– Dlaczego ukrywali oryginał przez tyle lat?

– Przyczyną manipulacji była tragiczna historia Grecji. Doskonałą kopię Madonny Płaczącej namalowano w czasie wojen bałkańskich (Wojny bałkańskie (1912–1913) – dwa konflikty militarne wywołane roszczeniami państw bałkańskich wobec Turcji, po których Grecja odzyskała część wysp na Morzu Egejskim.). Przez te tereny przetaczało się wtedy wiele nawałnic historycznych. Palono, niszczone i rabowano nasz dobytek i dorobek greckiego narodu. Potem przyszły nie mniej trudne lata okupacji włoskiej i hitlerowskiej, wojna domowa, a na koniec niepokoje społeczne podczas rządów greckiej junty, wojskowej dyktatury. W skarbnicy arcybiskupiej oryginał ikony był bezpieczny. Ostatnio nikt się tą sprawą już nie zajmował. Niezręcznie było ogłosić, że na Toros wierni otoczyli czcigodny falsyfikat świętej ikony i w dodatku przypisują mu cuda. Właśnie planowano dyskretną podmianę, kiedy zbrodnie na wyspie zaskoczyły wszystkich – wyjaśnił. – Niezbadane są wyroki naszego Pana – dodał.

– No ale Kotopulos? Jak to możliwe, że nie odkrył oszustwa?

Teodor spoglądał teraz na wydłubany przez historyka spod tynku, wciąż sterczący obok drzwi, kawałek starego drutu.

– On przyjechał na wyspę w dniu pobicia Lakisa. – Przed oczyma stanęły mi tamte zdarzenia jak żywe. – Wszędzie pełno policji. Nie miał sposobności, żeby wejść do cerkwi i obejrzeć obraz. W nocy, podczas kradzieży, nie dość że w kościółku ciemno, to jeszcze piorun uszkodził transformator i na całej wyspie nie było prądu. Nie wiedział, że kradnie kopię, bo ikonie się nigdy dokładnie nie przyjrzał. Zorientował się, że się pomylił – ja też odwróciłam się w kierunku sterczących przy drzwiach drutów – ale dopiero przed śmiercią, kiedy wygrzebał spod podłogi kawałek atrapy alarmu. Sądziliśmy, że szarpnął za przewód urządzenia i rozerwał instalację, a on go po prostu wyciągnął przypadkowo spod listwy i od razu domyślił się prawdy. Zrozumiał, że w cerkwi nie było oryginału cudownego obrazu ani tym bardziej sygnalizacji alarmowej. Zamocowane w widocznych miejscach druty miały odstraszać potencjalnych złodziei i stwarzać wrażenie, że ikona jest bezpieczna.

– Nikt nie miał pojęcia, że urządzenie, które miało chronić dzieła sztuki zgromadzone w świątyni, nie działa i nigdy nie działało. Nikt. Nawet ja – przerwał mi z pasją Teodor. – Tajemnicę założenia atrapy alarmu w naszej cerkwi ojciec Barnaba zabrał ze sobą do grobu. Na plebanii nie ma żadnych dokumentów na ten temat.

– W ten sposób mistrzowska kopia – wtrąciłam się – zawładnęła na wiele lat wyobraźnią mieszkańców, przybywających na wyspę turystów i, jak się okazało, złodziei. Ci ostatni powzięli plan zawłaszczenia tego obrazu, od którego nie odstąpili nawet po śmierci Lakisa i Stawrosa, chociaż na Toros roіło się od policji. Gdyby po kradzieży falsyfikatu zbadano urządzenie alarmowe – rozgadałam się – sprawa by się wyjaśniła, ale zamkniętą i popadającą w ruinę cerkwią nikt się nie interesował. To był błąd. Z powodu zakazu rozkuwania ścian

kościółka poszukiwanie odpowiedzi na wiele pytań utknęło w martwym punkcie. Wszyscy utwierdzili się w przekonaniu, że skradziono i wywieziono z Toros bezcenną ikonę Madonny Płaczącej – ubolewałam nad mistyfikacją.

Ikonostas przyciągał moje oczy jak magnes. Piękna i spokojna twarz Mateńki była łudzaco podobna do wizerunku z kopii, ale odkąd oryginał ikony pojawił się w cerkwi, niewielką świątynię wypełniał jakiś mistyczny, trudny do opisanie klimat. Nie mogłam się oprzeć absurdalnemu wrażeniu, że Ona przysłuchuje się naszej rozmowie.

Co za bzdury. Doszło do tego, że wyobraźnia płata mi figle, toczyłam w myślach walkę o swój racjonalny wizerunek.

– Tylko Kotopulos mógł zapobiec tragicznemu rozwojowi wydarzeń, ale bandyci mieli w tej sprawie nieustającego pecha – wspominałam. – To właśnie ciemność, o którą zabiegali w chwili kradzieży, nie okazała się ich sprzymierzeńcem. Kotopulos się pomylił. Nieświadomie przekazał bandytom podróbkę i rozpętał wojnę gangsterów poszukujących utraconego oryginału.

– Tak. Tylko on mógł zapobiec tragedii – przytaknął Teodor. – Był wybitnym ekspertem.

– Był fajtłapą! – Nagle ogarnęła mnie wściekłość. Mówiłam z pasją, jakby gniew na nieżyjącego historyka mógł coś zmienić. – Nawet mordercą został przez przypadek, a los i tak go nie oszczędził. Uczynił go zbrodniarzem, a potem ofiarą zbrodni. – Złość nakręcała mnie coraz bardziej. – To wszystko nie musiało się zdarzyć! – wyrzuciłam z siebie wreszcie.

– Nie musiało się zdarzyć. – Teodor powtórzył po mnie jak echo. – Ale się zdarzyło. Kradzieżą kopii Kotopulos sprowadził śmierć na Janka i wydał wyrok na siebie. Umierając pod drzwiami cerkwi, napisał do nas o Melpomenie i o tym, że jak w

teatrze, wszystko w rzeczywistości okazało się inne, niż się zdawało. Tak, tak – szepnął pop i zerknął z szacunkiem na ikonostas. – Wszystko sprzysięgło się przeciw przestępcom.

– Myślisz, że dosięgła ich kara boska? – Poruszyłam się w ławce niespokojnie.

– Nie nam to oceniać, Klaro. – Jak zawsze, kiedy nie potrafił albo nie chciał odpowiedzieć na pytanie, mruknął pod nosem: – Niezbadane są wyroki Pana.

Znowu się wierciłam i ławka zaskrzypiała cicho. Nie zamierzałam wracać do pustego domu i nigdzie się nie spieszyłam. Jorgos wypłynął w kolejny rejs, a Adam i Ewa wyjechali do Polski zaraz po zakończeniu śledztwa. Nawet Tasos wrócił już do Aten. Nikt nie wie, jak potoczą się losy kolejnego romansu Polki i Greka. Na wyspie znowu zapanował prawie boski spokój, chociaż nic nie było już takie jak dawniej.

Rozmowa z Teodorem przywołała bolesne wspomnienia. Pomyślałam o ofiarach zbrodni i do oczu napłynęły mi łzy. Patrzyłam zapłakana na Mateńkę, a gdy nasze spojrzenia się spotkały, ogarnął mnie kojący spokój. Powoli, bardzo powoli popękana powierzchnia ikony pokryła się rosą, a po chwili wzdłuż twarzy pięknego wizerunku z kącików oczu Madonny popłynęły łzy. A może tak mi się tylko zdawało, bo sama płakałam?

Chciałam zapytać Teodora, co o tym sądzi, ale w cerkwi nie było już nikogo oprócz mnie... i Jej.

Od wydawcy

Drodzy Czytelnicy,

Kręta droga do nieba jest książką sensacyjną, której pierwsze wydanie ukazało się w 2010 roku pt. *Tajemnice greckiej Madonny*. Obecne jest zmienione i poprawione. Ponadto w rozdziałach dziewiątym i – częściowo – dziesiętnym celowo zastosowano inną czcionkę w celu wyodrębnienia fragmentów z narracją prowadzoną w trzeciej osobie.

Wierzymy, że nowa edycja książki wzbudzi zainteresowanie i z ochotą sięgniecie Państwo po inne publikacje Bożeny Gałczyńskiej-Szurek, w tym po *Klasztor zapomnienia*, w którym powraca Klara.

Życzymy przyjemnej lektury w iście greckim klimacie!